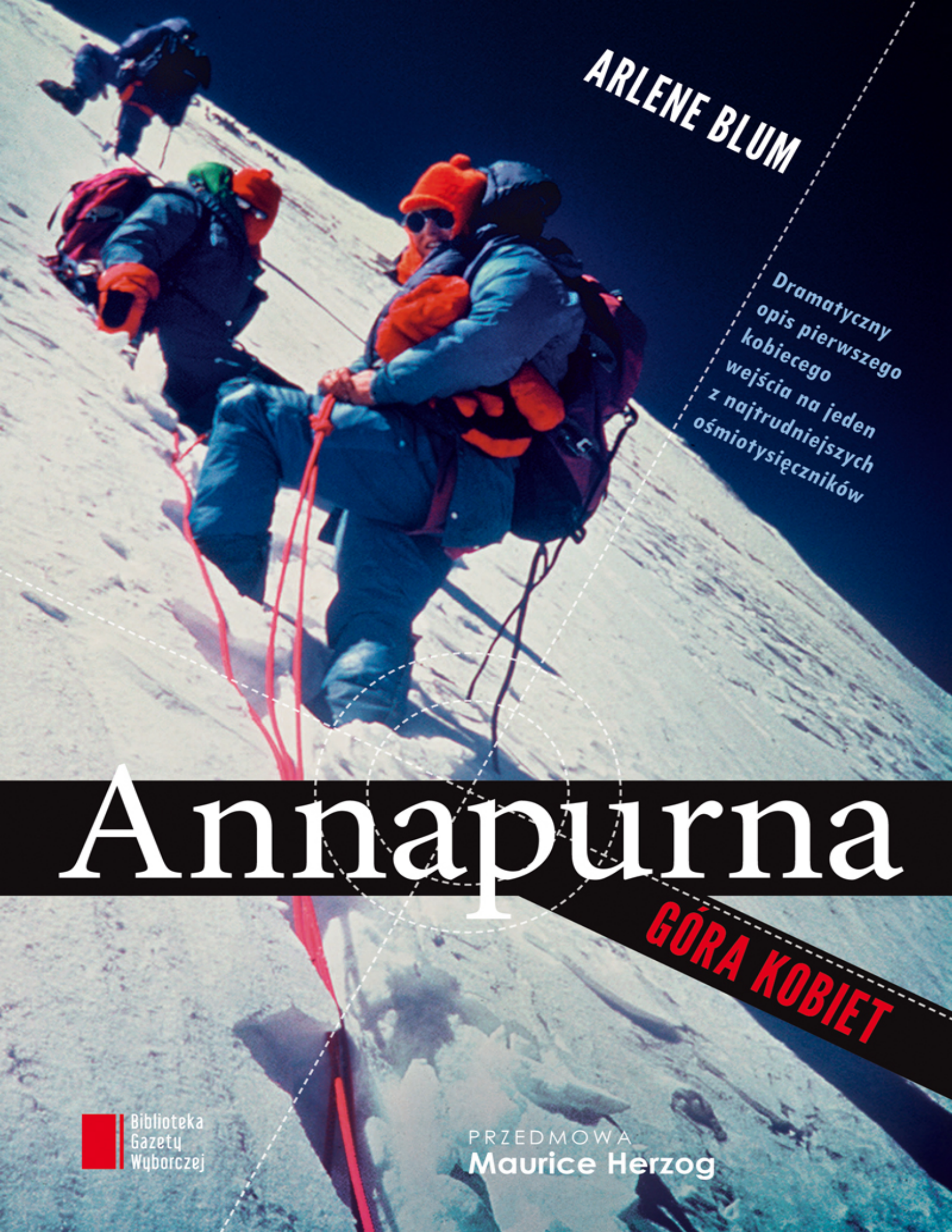
ARLENE BLUM
Dramatyczny opis pierwszego kobiecego wejścia na jeden z najtrudniejszych ośmiotysięczników
Annapurna
GÓRA KOBIET
Biblioteka Gazety Wyborczej
PRZEDMOWA
Maurice Herzog

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Arlene Blum

Annapurna

Góra Kobiet

Dramatyczny opis
pierwszego kobiecego wejścia
na jeden z najtrudniejszych
ośmiotysięczników

Przedmowa:
Maurice Herzog

WARSZAWA 2014

Tłumaczenie: Hanna Urbańska
Redakcja: Stanisław Tekieli
Konsultacja: Wojciech Cieśla
Korekta: Anna Zalewska

Zdjęcia: Arlene Blum, Irene Miller, Mary Ashton, Vera Kormakova, Vera Watson, Margie Rashmore, Liz Klobusicky, Alison Chadwick, Christy Tews, z archiwum Autorki

Projekt graficzny, skład i łamanie: BC Projekt

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART. DESIGN

Tytuł oryginału: ANNAPURNA: A WOMAN'S PLACE
Copyright @ 1980, 1998, 2014 by Arlene Blum

Polish edition arranged with Arlene Blum, c/o Felicia Eth Literary Representation, Palo Alto, Ca. ALL RIGHTS RESERVED

Copyright @ 32014 Poradnia K, Kontrakt OSH, Agora SA
All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2014

ISBN: 978-832-681-579-9 (epub)
ISBN: 978-832-681-580-5 (mobi)

WYDAWCY:
Poradnia K Sp. z o.o.
ul. Okopowa 16/169
01-063 Warszawa

Kontrakt OSH J. Gut, W. Haman, R. Zych Sp.j.
ul. Niedźwiedzia 12B
03-737 Warszawa

Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji

Spis treści

Dedykacja
Przedmowa do wydania z okazji 20. rocznicy wyprawy
Przedmowa
Podziękowania
Wstęp
Annapurna – Góra Kobiet. Początki
Niewzruszone Katmandu
Wędrówka do bazy
Francuska Przełęcz
Obóz bazowy i obóz I
Obóz II
Bogowie gór
Holenderskie Żebro
Burza
Lawiny
Strajk Szerpów
Plany i zmiany
Najwyższe obozy
Na szczyt
Góra Kobiet
Inne szczyty
Symboliczny cmentarz

Posłowie
Wspomnienie o Wandzie Rutkiewicz
Książka o marzeniach i pasji
Bibliografia
Przypisy

Pamięci

Very Watson,
Alison Chadwick-Onyszkiewicz,
Joan Firey,
i Very Komarkovej

Nie da się zdobyć góry.
Można na nią wejść, postać chwilę na jej szczycie,
a potem i tak wiatr zdmuchnie twoje ślady.

Jim Whittaker

Przedmowa
do wydania z okazji 20. rocznicy wyprawy

W roku 1978 grupa trzynastu kobiet pojechała do Nepalu, by wspiąć się na Annapurnę I, jedną z najtrudniejszych do zdobycia gór ziemi. Do tej pory na ośmiotysięczniki wspinali się tylko mężczyźni. Wiele osób – zresztą obojga płci – uważało, że kobietom po prostu brakuje sił, umiejętności i odwagi, czyli cech niezbędnych do takiej wspinaczki. Jednak pomimo burz, lawin, a nawet strajku szerpów udało nam się wejść na pokryty lodem szczyt. Wyprawa przeszła do historii jako pierwsza amerykańska i zarazem pierwsza kobieca ekspedycja na dziesiątą co do wysokości górę świata.

Napisałam tę książkę, by opowiedzieć o tym, jak i dlaczego wspięłyśmy się na Annapurnę. Pragnę także sama, patrząc z perspektywy czasu, lepiej zrozumieć wyzwania, które podejmowałam wtedy jako liderka grupy. Dwadzieścia lat później przedstawiam tę historię nowemu pokoleniu, z którego wiele osób nie było jeszcze na świecie podczas naszej wspinaczki, zastanawiając się, czy fakt, że ekspedycja kobiet wspięła się na tę górę w Himalajach w 1978 roku, może kogoś zainteresować w XXI wieku.

Niedawno kobieca drużyna wioślarska z Uniwersytetu Dartmouth zaprosiła mnie na trening na przystani. Patrząc na długie, gładkie wiosła ułożone w stosy na stojakach, zauważyłam, że na bokach większości z łodzi widniały imiona mężczyzn – prawdopodobnie sponsorów danej drużyny.

Jednak oto uśmiechnięta młoda kobieta i wskazała na zieloną łódź z wymalowanym białymi literami napisem: „Annapurna".

– Nazwałyśmy naszą łódź na cześć waszej ekspedycji – powiedziała. – Twoja książka uświadomiła nam, po co tak naprawdę wiosłujemy i jak wspaniałą nagrodą za nasz trud jest satysfakcja płynąca ze współpracy. Patrząc na ten napis, przypominamy sobie, czego dokonałyśmy jako drużyna, i zastanawiamy się, jakich niesamowitych rzeczy zdołamy jeszcze dokonać, gdy skoncentrujemy się na przekraczaniu własnych granic.

Na jednej z dyskusji panelowych poznałam Ellen Ochoa, pierwszą astronautkę latynoskiego pochodzenia, która w trakcie swego drugiego lotu kosmicznego kierowała pracami naukowymi załogi.

– Słyszałam o waszym wejściu na Annapurnę i twojej karierze naukowej, kiedy byłam w szkole – powiedziała mi. – To sprawiło, że zaczęłam wyznaczać sobie ambitne cele i starać się je osiągnąć. Nikt z mojej rodziny nie był związany z nauką, to twoja książka zainspirowała mnie, by studiować fizykę, a teraz, proszę, jestem tutaj.

Na przestrzeni lat wiele razy mówiłam, że nasza wyprawa przyczyniła się do rozwiania mitów o barierach nie do pokonania dla kobiet – tak powszechnych w czasie, kiedy postanowiłyśmy wspiąć się na Annapurnę. W tamtym latach kobiety rzadko biegały w maratonach, ścigały się w psich zaprzęgach czy wspinały na ściany skalne. W tych rzadkich chwilach, kiedy uprawiając

jogging, wpadałam na jakąś inną biegaczkę, zatrzymywałyśmy się, by wymienić się adresami.

Obecnie maraton kobiecy jest dyscypliną olimpijską. Kobiety wygrały też pięć spośród ostatnich piętnastu Iditarod – najdłuższych i najcięższych wyścigów psich zaprzęgów na świecie. W 1993 roku Lynn Hill, jako pierwsza i jedyna jak dotąd osoba, wspięła się czysto klasycznie na ekstremalnie trudną, przewieszoną ścianę skalną El Capitan (zwaną też El Cap) w górach Yosemite. Zajęło jej to cztery dni, ale w następnym roku dokonała tego samego wyczynu jedynie w dwadzieścia trzy godziny. Kiedyś prostą drogę wspinaczkową określano jako „drogę dla panienek"; dziś warto zadać sobie pytanie, czy jakikolwiek facet zdoła się kiedyś bez asekuracji wspiąć na El Cap.

Annapurna stała się dla mnie metaforą ważnych, a zarazem trudnych do osiągnięcia celów. Ich realizacja uświadamia nam, jaki mamy potencjał, i pomaga wydobywać z nas na powierzchnię wszystko to, co najlepsze. Wciąż wiele jest na świecie „Annapurn" czekających, by się na nie wspiąć – zapewnienie należytej ochrony środowiska, zmniejszenie różnic pomiędzy bogatymi a biednymi, spełnienie podstawowych potrzeb wszystkich mieszkańców naszej planety, wychowanie dzieci tak, by żyły w miłości i kierowały się pozytywnymi wartościami...

Nasz zespół składał się z trzynastu kobiet, które owładnięte wspólnym marzeniem, pełne odwagi i determinacji wzięły udział w niesamowitej przygodzie. Mam nadzieję, że nasza historia pomoże innym podążać za własnymi marzeniami, niezależnie od tego, czy będzie to wspinaczka na szczyt góry, eksploracja

Kosmosu, praca z dziećmi w szkole, zarządzanie korporacją czy też dążenie to tego, by świat stał się lepszym miejscem do życia.

Burze, lawiny i urwiska będą na tej drodze nieuniknione. Na Annapurnie, powoli i spokojnie, krok za krokiem, udało nam się pokonać te przeszkody i osiągnęłyśmy szczyt.

Mam nadzieję, że Ty, czytelniczko lub czytelniku, podobnie jak ja, znajdziesz i zdobędziesz „Annapurny" swego życia.

Arlene Blum
Berkeley, Kalifornia
Lipiec 1998 r.

arlene@arleneblum.com

Przedmowa

Lektura tej książki poruszyła mnie do żywego, częściowo z powodu dramatycznych wspomnień łączących mnie z Annapurną. Opis wyprawy, podczas której dwie himalaistki dotarły na szczyt, a dwie inne straciły życie, poważnie mną wstrząsnął.

Bezpośredni styl, wartka narracja i wzruszające szczegóły książki Arlene Blum sprawiają, że czytelnik czuje się jednocześnie uczestnikiem wyprawy. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu przy scenie podróży samolotem do Nepalu, kiedy to ostatnia z piętnastu tysięcy koszulek sprzedawanych w celu sfinansowania ekspedycji została – pomimo malutkiego rozmiaru – naciągnięta na barczyste plecy sikha. Oburzałem się na dąsy i brak współpracy ze strony Szerpów. Razem z resztą ekspedycji cieszyłem się, gdy dziewczyny osiągnęły szczyt, ale też gardło ścisnęło mi się z bólu, kiedy dwie inne alpinistki zaginęły, a reszta musiała pogodzić się z tym, że nigdy nie wrócą.

Gdy niektórzy z moich rówieśników twierdzą, że kobiety nie są zdolne do niezwykłych osiągnięć, czuję się, jakbyśmy nadal żyli w średniowieczu. Dlaczego kobiety nie miałyby być przywódczyniami państw, laureatkami Nagród Nobla, szefowymi wielkich międzynarodowych korporacji czy podziwianymi przez cały świat bohaterkami? Były przecież nimi w przeszłości i w przyszłości też będą. I nie mogę się zgodzić z ulgowym

traktowaniem tych bohaterek, przyznawaniem im sławy w dużej części tylko dlatego, że są kobietami.

Powody, które się podaje na udowodnienie nikłych zdolności kobiet do realizacji wielkich osiągnięć, to czyste uprzedzenia, które ciążyły na rozwoju ludzkości przez tysiące lat. Moim zdaniem dotykamy tu kwestii podstawowych praw człowieka. Bronimy przecież wolności jednostki przed każdym rodzajem uprzedzeń, które zatruwają życie społeczne. Tym bardziej więc powinniśmy sprzeciwiać się tej najpowszechniejszej i być może najgorszej formie dyskryminacji. Doprowadzenie do tego, by kobiety miały możliwość piastowania najwyższych stanowisk w naszym społeczeństwie, powinno być celem rewolucji, która przebiegnie cicho, dogłębnie i – co najważniejsze – w sposób naturalny.

Z radością gratuluję sukcesu Arlene i jej towarzyszkom. Zdobyły swą Annapurnę. Jestem przekonany, że sukces ten doprowadzi do dalszych kobiecych tryumfów w dziedzinie ryzykownych wypraw, eksploracji i odkryć.

Każdy akt odwagi i poświęcenia dokonany z pasją lub dla osiągnięcia wyższego celu zasługuje na szacunek i podziw. Jednak, choć ważny, akt taki nie wywarłby szerszego wpływu, gdyby nie został opisany z taką autentycznością jak ta wyprawa na Annapurnę. Czytelnicy z pewnością będą tak samo poruszeni lekturą tej książki jak ja. Jestem szczerze wdzięczny Arlene za to, co dała nam wszystkim.

Maurice Herzog

(z francuskiego przełożył William Rodarmor)

Jego największym sukcesem było poprowadzenie ekspedycji, która dokonała pierwszego wejścia na Annapurnę w 1950 roku. Był następnie ministrem sportu we Francji, a przez wiele lat

reprezentował departament Górnej Sabaudii (Haute-Savoie) we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Zmarł 13 grudnia 2012 roku w wieku 93 lat.

Podziękowania

Ta książka jest osobistym zapisem wejścia kobiecej wyprawy na Annapurnę I w 1978 roku, do której nie doszłoby bez wsparcia setek, a pewnie i tysięcy osób. Chciałabym im wszystkim podziękować, a w szczególności wolontariuszom i wolontariuszkom, którzy ciężko pracowali, by umożliwić nam realizację tej wyprawy, a także licznym firmom i osobom, które wspomogły nas sprzętem, jedzeniem i pieniędzmi. Specjalne podziękowania kieruję do stowarzyszenia National Geographic Society, tragarzy i Szerpów, którzy pracowali przy ekspedycji, Mike'a Cheneya i personelu Sherpa Cooperative, Douglasa i Erniego Hecków, a także wszystkich życzliwych nam osób w Nepalu, którzy nas wspaniale ugościli i przyczynili się do osiągnięcia przez nas celu.

W proces tworzenia tej książki włączyło się wielu redaktorów i przyjaciół, którym również tu dziękuję. Pozostałych dwanaście uczestniczek ekspedycji na Annapurnę udostępniło mi swoje dzienniki i komentowało kolejne wersje książki. Samo pisanie nigdy nie doszłoby do skutku, gdyby nie cenne rady i wsparcie mojej przyjaciółki Marthy Coulton. Diana Landau, redaktorka z Sierra Club Books, Jessie Wood, Leslye Russel i Jay Stewart pracowały nad manuskryptem. Marcy McGaugh precyzyjnie spisała wiele wersji, a moja agentka Felicia Eth udzielała mądrych rad marketingowych i wsparcia. Mary Jean Haley, Linda Fletcher, Betsy White, Carolyn Strauss, Debbie Cage i John Percival pomogli przy pisaniu pierwszych rozdziałów. Ingeborg Prochazka wsparła

mnie w sporządzaniu bibliografii, korzystając ze świetnych bibliotek Nicka Clincha i Dicka Irvina. Mary Lynn Hanley, Steve Bezruchka, Diane i Edwin Bernbaum, Anna Ferroluzzi, Christine Harris, Karil Frohboese, Joel Brown, Ignacio Tinoco i Susan Coons dostarczyli wielu trafnych sugestii na temat ostatecznej wersji książki. Chciałabym również podziękować Johnowi Henry'emu Hallowi i Fredowi Ayresowi, którzy pierwsi nauczyli mnie gór i nigdy, przenigdy nie zasugerowali, że kobiety nie powinny wspinać się zbyt wysoko.

Na koniec chcę podziękować Jimowi Cohee'emu, mojemu redaktorowi w Sierra Club Books, oraz B.K. Moran, Diane Bernabaum, Sidney Chase, Marci Levenson, a także członkiniom zespołu wspinającego się na Annapurnę za ich wkład w poprawioną edycję. Specjalne podziękowania kieruję do mojej córki Annalise za jej pomysły i wsparcie.

Wstęp

Na początku 1969 roku chciałam dołączyć do alpinistycznej ekspedycji w Afganistanie. Jeden z członków zapewnił mnie, że na pewno zostanę przyjęta, ponieważ mam więcej doświadczenia na dużych wysokościach niż inni. Przez długie miesiące nie miałam żadnych wieści, w końcu otrzymałam od lidera ekspedycji odpowiedź:

Re: Koh-i-Marchech (6461 m)
Szanowna Panno Blum,

Nie jest mi łatwo pisać ten list, zwłaszcza że Pani wcześniejsze dokonania w Peru pokazują, iż jest Pani w stanie wspinać się na duże wysokości, a zaufane źródło zapewniło mnie, że jest Pani miłym kompanem w górach.
Niemniej myślę, że jedna kobieta na dziewięciu facetów na otwartym lodowcu to byłoby trochę zbyt karkołomne doświadczenie. Nie mówię tu tylko o sytuacjach toaletowych, ale o utrzymaniu codziennej męskiej, braterskiej atmosfery, co jest tak ważne dla powodzenia ekspedycji.

Cholernie mi przykro.

Tego lata pojechałam na wspinaczkę z przewodnikiem na szczyt Waddington w Kolumbii Brytyjskiej i zostałam przez niego

poinformowana, że „nie ma dobrych kobiet alpinistek. Kobiety albo nie są dobre we wspinaczce, albo nie są prawdziwymi kobietami".

Niedługo potem otrzymałam broszurę reklamującą planowaną wyprawę na górę McKinley, w której przeczytałam:"... kobiety mogą wziąć udział w wyprawie w bazie wyjściowej lub pierwszej bazie wspinaczkowej w charakterze pomocy kuchennej (dla chętnych przewidziane są ulgowe stawki). Nie mogą jednak brać udziału w samej wspinaczce". Kiedy spytałam, dlaczego, powiedziano mi, że kobiety to w wysokich górach jedynie obciążenie: nie są wystarczająco silne, by nieść swój własny sprzęt, i brak im równowagi emocjonalnej, by wytrzymać psychicznie napięcie związane ze wspinaczką.

I tak zetknęłam się z problemem, czy kobiety mogą i czy powinny wspinać się na dużych wysokościach. Inne alpinistki opowiadały mi o podobnych doświadczeniach. Problem kobiecych możliwości w wysokich górach spotkał się z licznymi komentarzami ze strony tak różnych osób jak sir Edmund Hillary i Mao Tse-tung. W 1975 roku siedem chińskich alpinistek wspięło się na wysokość ponad 8000 metrów, podchodząc pod Mount Everest, a jedna z nich, Phanthog, Tybetanka, dotarła na szczyt. Mao Tse-tung skomentował to osiągnięcie tak:

Czasy się zmieniły i dziś mężczyźni i kobiety są równi. To, co może osiągnąć towarzysz, może osiągnąć także towarzyszka („Another Ascent of the World's Highest Peak – Qomolangma", 1975).

Sir Edmund Hillary również uważał, że czasy się zmieniły, ale jego wnioski były zgoła inne:

Kobiety się zmieniły od lat 40. i 50., kiedy zacząłem brać udział w ekspedycjach. Wtedy oczekiwało się, że kobieta zostanie w domu,

opiekując się dziećmi i pilnując domowego ogniska. Czasy się zmieniły. Kiedy w grę wchodzi ewentualny udział żony (któregoś z kolegów), staram się być bardzo ostrożny przy organizowaniu wyprawy... Problemy i tarcia, do jakich dochodzi podczas międzynarodowych ekspedycji, bledną w porównaniu z tymi, które spowodować może jedna kobieta w męskim towarzystwie. (Sir Edmund Hillary, „From the Ocean to the Sky", 1979).

Niektórzy mężczyźni zdają się nie mieć nic przeciwko wyprawom składającym się z samych kobiet, ale gorąco sprzeciwiają się tym, w których uczestniczą obie płcie. Kiedy Irene Miller, członkini naszej ekspedycji na Annapurnę w 1978 roku, próbowała dołączyć w 1961 roku do ekspedycji Hillary'ego na Makalu, jeden z członków wyprawy wymyślił żenujący argument na wyłączenie jej ze wspinaczki: „Jeżeli chcesz wziąć udział w tej wspinaczce, powinnaś być gotowa na przespanie się z każdym mężczyzną z ekspedycji".

Mieszane ekspedycje zawsze budziły różne mniej lub bardziej sensowne obiekcje. Dawniej kobiety często były zapraszane na wyprawy ze względu na to, że brali w niej udział ich mężowie, a nie z powodu swoich umiejętności alpinistycznych. Włączenie niewykwalifikowanej kobiety do ekspedycji to niedźwiedzia przysługa zarówno dla alpinistek, jak i kobiet w ogóle. Kobieta otoczona przez męskie towarzystwo w czasie wyprawy górskiej zazwyczaj i tak jest przedmiotem nieustannych analiz oraz ocen, nawet jeśli jest doświadczoną alpinistką. Taka presja może sprawić, że uczestniczki wyprawy będą starały się dać z siebie więcej, niż potrzeba, a wspinaczka stanie się trudniejsza nawet dla tych najbardziej kompetentnych.

Są również i tacy wrogowie udziału kobiet w wysokogórskich wspinaczkach, którzy twierdzą, że kobiety są z natury „zbyt dobre" –

klasyczna podwójna pułapka. Tę sprzeczność ilustruje komentarz mojego przyjaciela Granta Barnesa, wspinacza i byłego prezesa komitetu wydawniczego American Alpine Club (AAC):

Wysokogórska wspinaczka ze swoją przerażającą statystyką wypadków śmiertelnych – nie wraca jeden na dziesięciu – jest być może najbardziej zdehumanizowanym ze wszystkich sportów i najbardziej absurdalnym zajęciem rekreacyjnym. Można zrozumieć machoheroizm młodych, a czasem nawet nie tak młodych mężczyzn, którzy nieustannie próbują przekraczać granice wytrzymałości, ryzykując życie lub zdrowie – ich absurdalność jest zaprogramowana społecznie, a być może także hormonalnie. Ale kobiety? W imię tego wszystkiego, co powinno stanowić najwyższe wartości życiowe i świadczyć o dojrzałości emocjonalnej (umiłowanie życia, unikanie fałszywego bohaterstwa i takiejże dumy), apeluję do was, kobiety: nie poświęcajcie życia na tym samym ołtarzu egoizmu, który każe mężczyznom wstępować do marines, polować na bizony, jeździć szybkimi samochodami czy bić się o kobiety!

Pozostaje jednak niezbitym faktem, że przez ostatnie 150 lat tysiące kobiet pomyślnie wspinało się z mężczyznami i innymi kobietami. Pierwszą alpinistką w historii zachodniej cywilizacji była Marie Pardis, Francuzka, która wraz z kilkoma mężczyznami weszła na Mont Blanc w 1808 roku. Mówi się, że kierowała nią żądza sławy (dla zysku otworzyła sklepik z napojami u stóp tej góry). Jedyna wypowiedź, jakiej miała udzielić podczas wspinaczki, nie brzmi zachęcająco: „Wrzućcie mnie w rozpadlinę i idźcie dalej sami". Najwyraźniej Marie cierpiała na chorobę wysokościową, ale mimo to dotarła na szczyt.

Angielka, znana nam jedynie jako pani Cole, w połowie XIX wieku odbyła wiele wycieczek w Alpach, wliczając w to trasę wokół Monte Rosa i Mont Blanc. Była większą optymistką:

Zapewniam was, że każda dama, nawet średniego zdrowia i średnio aktywna fizycznie, może chodzić na wycieczki [w Alpach] z wielką przyjemnością, choć musi liczyć się z paroma niedogodnościami (Cole, „A Lady's Tour Round Monte Rosa", 1859).

Krótkie spojrzenie na kilka ważnych osiągnięć kobiet w dziedzinie wspinaczki i eksploracji wysokogórskich jasno pokazuje, że mają one nieprzeciętną potrzebę odkrywania odległych regionów i zdobywania wysokich szczytów. W pracy „On Top of the World: Five Women Explorers in Tibet" („Na dachu świata: pięć odkrywczyń w Tybecie") Luree Miller opisuje pięć z wielu kobiet, które zdobywały Himalaje w latach 1850–1920. Jedna z nich, Isabella Byrd, delikatna i chorowita przez większość swego życia w Anglii, przeszła totalną metamorfozę w trakcie wędrówek przez wysokie przełęcze Kaszmiru. Miller pisze o niej:

Jako pionierka i podróżniczka śmiała się ze zmęczenia, nie czuła strachu, nie dbała o to, co będzie jeść następnego dnia...

Niezwykłą podróżniczką swoich czasów była Francuzka Alexandra David-Néel. Jej wędrówki przez tybetańskie wyżyny w latach 1911–1944 uważane są za bodaj najbardziej niezwykłe ze wszystkich przeprowadzonych kiedykolwiek w Tybecie – zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. W wieku 55 lat w stroju tybetańskiej żebraczki przeszła ponad 3000 kilometrów przez śnieżne przełęcze, by dojść do zakazanego dla cudzoziemców miasta Lhasa.

Fanny Bullock Workman i jej mąż dr W.H. Workman ze stanu Massachusetts podróżowali po Himalajach w latach 1890–1915. Napisali sześć książek o swoich przygodach; w jednej z nich, „In the Ice World of the Himalaya" („W lodowym świecie Himalajów"), Fanny opisała swoje „osobiste przeżycia w rozrzedzonym powietrzu, dla kobiet, które być może jeszcze nie osiągnęły wysokości 4900 metrów, ale myślą o tym, żeby tego spróbować". Fanny, zagorzała sufrażystka, została kiedyś sfotografowana na przełęczy w Himalajach, jak trzyma w ręku gazetę z nagłówkiem „Prawa wyborcze dla kobiet".

Inną kobietą, która została jedną z pierwszych alpinistek, a potem także zagorzałą rywalką pani Workman, była Annie S. Peck, nauczycielka akademicka z Nowej Anglii. Karierę wspinaczkową zaczęła w wieku 45 lat wejściem na Matterhorn. W 1908 roku, w wieku 58 lat, dokonała pierwszego wejścia na południowy szczyt masywu Huascarán w peruwiańskich Andach o wysokości 6566 metrów – twierdziła, że to najwyższa wysokość, na jaką wszedł jakikolwiek Amerykanin (to właśnie twierdzenie stało się przyczyną waśni pomiędzy Peck a panią Workman.) Peck opisywała siebie jako „twardą zwolenniczkę równości płci... każde moje znaczące osiągnięcie w jakiejkolwiek dziedzinie będzie zarazem ważne dla sprawy kobiet" (Annie S. Peck, „High Mountain Climbing in Peru and Bolivia", 1912).

Po II wojnie światowej kobiety pokonały bardzo wiele trudnych tras wspinaczkowych w Andach i Himalajach. Jedną z najbardziej nieustraszonych alpinistek była Francuzka Claude Kogan, „pierwsza kobieta, której pozwolono zabrać głos w świątyni Klubu Alpinistów". Czcigodny Brytyjski Alpine Club był instytucją całkowicie męską aż do 1955 roku, kiedy to Kogan opowiedziała w pełnej słuchaczy sali tego klubu w Londynie o swoich

wspinaczkach na Salcantay, Alpamayo, Nun Kun i Czo Oju. Brytyjczycy przetarli wiele szlaków w świecie alpinizmu, zrozumiałe jest zatem, że nacja ta była też jedną z pierwszych w organizowaniu wysokogórskich ekspedycji kobiecych. Począwszy od lat 50. XX wieku Brytyjki przeprowadziły wiele dobrze zorganizowanych ekspedycji w nieznane rejony Himalajów, o czym potem pisały w skromny, typowo angielski sposób (bibliografia na końcu książki naprowadzi czytelników na te i inne ważne dzieła z historii kobiecego alpinizmu).

Nie tylko brytyjskie ekspedycje z udziałem kobiet, ale również alpinistki na całym świecie walnie przyczyniły się do rozwoju trekkingu i wspinaczki na przestrzeni ostatnich stu lat. Jednakże do niedawna kobiety były praktycznie niezauważalne przy atakach na najwyższe góry świata.

Na świecie jest czternaście gór, które wznoszą się na wysokość ponad 8000 metrów – wszystkie w Himalajach[1]. Od dawna stanowią obiekt pożądania alpinistów. Próby ich zdobycia zaczęły się w XIX wieku, a w pierwszej połowie kolejnego stulecia setki mężczyzn wzięły udział w dziesiątkach wypraw na ośmiotysięczniki. Jednak poza Fanny Workman w podobnych próbach wzięły udział jedynie nieliczne kobiety. Elizabeth Knowlton była członkinią niemiecko-amerykańskiej ekipy wchodzącej na Nanga Parbat w 1932 roku. W roku 1934 Hettie Dyhrenfurth wzięła udział w ekspedycji, która eksplorowała region lodowca Baltoro w Karakorum i stworzyła jego mapę; zdobyła Szczyt Królowej Marii (7428 metrów) i ustanowiła nowy światowy rekord kobiecy, kładąc kres dotychczasowej rywalizacji na tym polu Annie Peck i Fanny Workman.

Pierwszy ośmiotysięcznik został zdobyty przez człowieka w 1950 roku. Po heroicznym wejściu na Annapurnę I przez francuską grupę

Maurice'a Herzoga kolejne ośmiotysięczne szczyty zostały zdobyte w ciągu następnych czternaście lat – wszystkie przez mężczyzn. W tym czasie jedynej próby wejścia na ośmiotysięcznik Czo Oju w Nepalu podjęła się w 1959 roku feralna ekspedycja kobieca, w której zginęły cztery jej członkinie, w tym liderka Claude Kogan. Do 1972 roku, kiedy to powstał pomysł kobiecej ekspedycji na Annapurnę, żadna kobieta nie zdobyła ośmiotysięcznika.

Nasza wyprawa miała swój początek w sierpniu 1972 roku na górze Noszak, w tzw. korytarzu wachańskim – tej niezwykłej części Afganistanu, która oddziela (ówcześnie radziecki) Tadżykistan i Chiny od Pakistanu i Indii. W tym czasie różne europejskie i amerykańskie ekipy, wliczając w to ponad tuzin alpinistek, próbowały zdobyć Noszak. Pewnego późnego popołudnia wspinałam się tam do obozu na wysokości 7200 metrów, by przygotować się na atak na szczyt następnego dnia. Mgła, wiatr i pojedyncze płatki śniegu wirowały wokół mnie, a stok pod stopami zmieniał się z kruchej skały w sypki śnieg. I nagle zobaczyłam postać wyłaniającą się z mgły. Była to polska alpinistka Wanda Rutkiewicz, która właśnie wracała ze szczytu. Powitała mnie ciepło i powiedziała: „Weszłyśmy na 7500 metrów. Teraz musimy wspiąć się na 8000 metrów – my, kobiety".

Ten pomysł porwał mnie natychmiast. Później, w obozie bazowym pod Noszakiem, Wanda Rutkiewicz, Alison Chadwick-Onyszkiewicz (brytyjska członkini polskiej wyprawy) i ja zdecydowałyśmy się zorganizować polsko-amerykańską wyprawę kobiecą na któryś z ośmiotysięczników. Miałyśmy nadzieję wspiąć się na Annapurnę I (8089 metrów) w 1975 roku, ale nie udało nam się zdobyć zezwolenia nepalskich władz.

W międzyczasie, w 1974 roku, trzy członkinie japońskiej ekspedycji kobiecej wspięły się na Manaslu (8153 metry), co było długo oczekiwanym pierwszym wejściem kobiet na ośmiotysięcznik. Rok później polska ekspedycja złożona z kobiet i mężczyzn, w której brała udział Alison Chadwick-Onyszkiewicz, kierowana przez Wandę Rutkiewicz, zdobyła Gaszerbrum III, w tamtym czasie najwyższy niezdobyty szczyt na świecie. W trakcie tej samej ekspedycji Anna Okopińska i Halina Krueger-Syrokomska wspięły się na Gaszerbrum II. Był to pierwszy przypadek, by kobiety dotarły na szczyt ośmiotysięcznika bez towarzystwa mężczyzn (z Japonkami na Manaslu do samego szczytu szedł Szerpa). Tego też roku Junko Tabei i Tybetanka Phanthog dotarły na szczyt Mount Everestu (włoski superalpinista Reinhold Messner w swojej książce „Everest" opisuje Tabei inaczej niż alpinistów mężczyzn: „mocno zbudowana [ale]... z całą elegancją właściwą dla kobiet Wschodu, jest przede wszystkim bardzo ciepłą, życzliwą osobą, mężatką i matką córki, która w czasie jej wejścia na Everest skończyła trzy lata").

W 1976 roku wzięłam udział w amerykańskiej ekspedycji na Everest z okazji dwustulecia niepodległości Stanów Zjednoczonych, podczas której dwójka wspinaczy bezpiecznie i gładko dotarła na szczyt. To doświadczenie odświeżyło moje zainteresowanie zorganizowaniem amerykańskiej kobiecej wyprawy na ośmiotysięcznik i po wspinaczce zahaczyłam o MSZ w Katmandu, by wybadać, które szczyty będą dostępne w ciągu następnych dwóch lat. Urzędnicy dali do zrozumienia, że mogliby rozpatrzyć aplikację na Annapurnę w 1978 roku.

Po powrocie do mojego domu pod San Francisco skontaktowałam się z różnymi alpinistkami, które entuzjastycznie przyjęły propozycję wyprawy. Mając wsparcie grupy i obietnicę

wydania zezwolenia przez nepalskie MSZ, następnym krokiem było otrzymanie pozwolenia od naszej krajowej organizacji – American Alpine Club. Taki był warunek Nepalczyków na wydanie ich pozwolenia.

AAC wahał się i zwodził nas przez wiele miesięcy, mętnie się tłumacząc, a ja byłam coraz bardziej przerażona. Wiedziałyśmy, że męskie ekspedycje z mniej doświadczonymi liderami były rutynowo przez nich aprobowane. AAC nigdy wcześniej nie wydał pozwolenia grupie składającej się z samych kobiet i najwyraźniej nie chciał robić tego teraz.

Ten brak wsparcia ze strony Klubu dla kobiecej wspinaczki nie był niczym nowym. Czcigodny „Alpine Journal" w nekrologu Fanny Workman w 1925 roku napisał:

Ona sama czuła, że cierpi przez walkę płci, i możliwe jest, że istniało wśród nas nieświadome uczucie, niech nam będzie wolno powiedzieć, zakłopotania w związku z wtargnięciem przez kobietę w sferę zarezerwowaną dotąd dla mężczyzn. W tym czasie w pewnych kręgach wzrastała, by tak powiedzieć, atmosfera dystansu...

Te „pewne kręgi" najwyraźniej niewiele się zmieniły od 1925 roku.

– Musimy być bardziej ostrożni przy aprobowaniu kobiecych ekspedycji – powiedzieli Verze Watson, która prowadziła większość negocjacji z klubem. – Gdyby coś poszło nie tak, zyskalibyśmy złą opinię.

My jednak nie ustąpiłyśmy i wreszcie – głównie dzięki nieustającym wysiłkom Very – AAC zaakceptował nasze zgłoszenie. Nepalczycy ogłosili w prasie, że dostałyśmy wstępne pozwolenie

na wspinaczkę na Annapurnę I jesienią roku 1978. I tak Himalajska Ekspedycja Amerykanek zaistniała oficjalnie!

Nazwę „Annapurna" można tłumaczyć jako „bogini żywicielka" – odpowiednie imię dla patronki kobiecej ekspedycji, pomyślałyśmy. Można też tę nazwę opisać jako „bogini żniw", ale mimo tego imienia góra nie ma dobrej sławy u alpinistów. Z trzynastu grup próbujących wcześniej zdobyć masyw udało się to tylko czterem, z których na szczyt docierały po dwie osoby. Cena, jaką wyprawy te zapłaciły, była wysoka: na lodowych stokach Annapurny życie straciło dziewięciu alpinistów. Pomimo tego uznałyśmy, że nadszedł czas, by i kobiety spróbowały dostać się na ten himalajski szczyt.

Choć nasza ekspedycja tworzona była w atmosferze wątpliwości co do tego, czy kobiety mogą i powinny wspinać się na najwyższe szczyty, dla nas Annapurna była przede wszystkim osobistym wyzwaniem o bardzo przyziemnym wymiarze. Czy zdołamy zebrać tysiące dolarów, zorganizować tony jedzenia i sprzętu, rozwiązać niezliczone problemy logistyczne i zaaklimatyzować się w rozrzedzonym himalajskim powietrzu? Tak czy inaczej, jeżeli ta wyprawa pomoże przełamać uprzedzenia do alpinistek, to już coś – myślałyśmy. Przez wiele lat wściekałam się na podejście wielu zasłużonych alpinistycznych wspólnot do mnie i innych alpinistek. Jednak kiedy prasa pyta mnie o dyskryminację kobiet w środowisku alpinistycznym – a robi to często – moje odpowiedzi zawsze są świadomie stonowane. Chcę zobaczyć, jak to podejście ewoluuje na przestrzeni czasu, więc staram się unikać wojowniczych wypowiedzi. Nasze osiągnięcia w górach powinny mówić same za siebie.

Podobnie często wciągana jestem w debaty na temat tego, czy to kobiety czy też mężczyźni są bardziej wytrzymali i czy jest jakaś fizyczna lub psychiczna przewaga kobiet, jeżeli chodzi o wspinaczkę. Nie uważam, żeby takie porównania miały jakąkolwiek wartość. Indywidualne różnice między osobami są ważniejsze niż te pomiędzy płciami, a najważniejsza jest niewątpliwie motywacja. Kobiety mają wystarczająco siły i wytrwałości, by wspinać się na najwyższe góry, i powinny mieć na realizację tych marzeń zapewnione te same szanse co mężczyźni.

Taką właśnie szansę dała kobietom Himalajska Ekspedycja Amerykanek – szansę zmierzenia się z wyzwaniem. Sens tego wyzwania znakomicie oddał Maurice Herzog, opisując swoje pierwsze podejście na Annapurnę: „Kiedy podejmujemy się najcięższych zadań, korzystamy ze wszystkich zasobów, jakie posiadamy, i wtedy dopiero widzimy potęgę i wspaniałość **człowieka** [podkreślenie moje – A.B.].

Annapurna
Góra Kobiet

Annapurna I – cel Himalajskiej Ekspedycji Amerykanek (z archiwum Autorki).

Początki
6–8 sierpnia

Lecąc nad Pacyfikiem, patrzyłam na zachodzące słońce, które rzucało złotą poświatę na migoczący daleko w dole ocean, i czułam się bardziej zrelaksowana niż przez ostatnich kilka miesięcy. Był sierpień 1978 roku i dziewięć członkiń Himalajskiej Ekspedycji Amerykanek znajdowało się w drodze z San Francisco do Nepalu i na Annapurnę I. Zebrałyśmy całkiem nieźle wykwalifikowaną grupę – dziesięć alpinistek, dwóch filmowców i menadżerkę obozu bazowego. Udało się nam też uzbierać 80 tysięcy dolarów, a także zakupić, zapakować i przetransportować około czterech ton jedzenia i sprzętu. Jednak nawet po wykonaniu tych zadań od szczytu góry dzieliła nas długa droga.

Pytanie, które wszyscy zadają alpinistom, brzmi: „Dlaczego to robicie?". A kiedy słyszą o ciągnących się w nieskończoność skomplikowanych przygotowaniach, zadają je jeszcze bardziej natarczywie. Dla nas odpowiedź była bardziej skomplikowana niż ta, której udzielają alpiniści mężczyźni („Wspinamy się na górę, by zobaczyć, co z niej widać"). Wszystkie doświadczałyśmy już w przeszłości euforii, radości i poczucia przebywania we wspólnocie przyjaciół na dużych wysokościach, a teraz znajdowałyśmy się w drodze do naszego ostatecznego celu, którym był dziesiąty najwyższy szczyt ziemi. Jednak jako kobiety stałyśmy w obliczu jeszcze większego wyzwania niż sama góra. Musiałyśmy uwierzyć

w siebie na tyle, by przełamać społeczne konwenanse i 200 lat historii alpinizmu, w trakcie których kobiety były zazwyczaj spychane na boczny tor.

Brałam udział we wcześniejszej ekspedycji złożonej z samych kobiet – na szczyt góry McKinley w 1970 roku – i była to dla mnie jak do tej pory najbardziej satysfakcjonująca wspinaczka. Przed tą wyprawą mówiono nam, że kobiety nie są wystarczająco silne fizycznie, by dźwigać ciężkie toboły, że nie mamy wystarczającego doświadczenia w przywództwie i odpowiedniej stabilności emocjonalnej. Jednak wspinaczka na McKinley okazała się cudownie beztroską przygodą. Czułyśmy się trochę jak dzieci, które wspinają się na „swoją górę" bez nadzoru dorosłych i – jak się okazało – poradziłyśmy sobie znakomicie z wieloma trudnymi problemami. Kiedy 6 lipca 1970 roku nasza szóstka stanęła na tym arktycznie zimnym szczycie, moja wiara w to, że kobiety mogą się wspinać na najwyższe góry, umocniła się.

Annapurna była kolejnym wyzwaniem. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie próbowała się na nią wspiąć. Nasza ekspedycja miała dać dziesięciu kobietom szansę zmierzenia się z jednym z najwyższych i najbardziej wymagających szczytów świata, a także zdobycia doświadczenia potrzebnego do planowania przyszłych himalajskich wypraw. Jeżeli by nam się udało, byłybyśmy pierwszymi Amerykanami, którzy wspięli się na Annapurnę, a zarazem pierwszymi Amerykankami, które pokonały wysokość 8000 metrów.

Nasze przygotowania do wspinaczki zaczęły scalać grupę – trzynaście bardzo różnych osobowości – w silną i spójną jednostkę. Kiedy spojrzałam na moje koleżanki w samolocie, spadkobierczynie tradycji Alexandry David-Néel i Annie S. Peck, czułam pewność,

że niezależnie od tego, czy dotrzemy na szczyt czy nie, będziemy bardzo się starać i dobrze się bawić w trakcie wyprawy.

Vera Watson była w naszej grupie prawdziwą damą. Zewnętrznie bardzo kobieca, a nawet trzpiotkowata, wewnątrz pozostawała silną i niemal nieustraszoną osobowością – kobieta z romantyczną duszą, a zarazem żelazną wolą. Komputerowiec i pierwsza kobieta, która dokonała samotnego wejścia na szczyt Aconcagua w Argentynie, najwyższą górę na półkuli zachodniej, wówczas 42-letnia, marząca o wspinaniu się w Himalajach. Vera wyglądała szczupło i elegancko w swoim beżowym kostiumie podróżnym i okularach od Diora, ale zazwyczaj była z siebie niezadowolona.

– Nie powinnam tego jeść, jestem taka gruba – powiedziała, oddając mi swoje migdały, które podawano w samolocie.

Irene Miller już podczas lotu zaczęła pisać listy do rodziny. Fizyczka pracująca w IBM była w naszym zespole jedyną matką, której dzieci wciąż mieszkały w domu. Zwierzyła mi się, że jest bardzo zaniepokojona niebezpieczeństwami związanymi ze wspinaczką na Annapurnę – bojąc się nie tyle o własne życie, ile o konsekwencje podobnej tragedii dla jej dzieci. Była bardzo emocjonalnie związana ze swymi dwiema nastoletnimi córkami i mimo że miała 42 lata, można było ją pomylić z jej starszą córką Carolyn. Irene wzięła udział w wielu ekspedycjach, ale większość jej ważniejszych wspinaczek – w Peru i paśmie Teton w Górach Skalistych – miała miejsce jeszcze przed narodzinami jej córek.

Ja, Vera i Irene byłyśmy przyjaciółkami i mieszkałyśmy blisko siebie nad zatoką San Francisco, wspólnie dzieliłyśmy też odpowiedzialność za organizację ekspedycji. Naszym pierwszym zadaniem było wybranie wykwalifikowanego zespołu. W 1973 roku,

kiedy ja, Wanda Rutkiewicz i brytyjska alpinistka Alison Chadwick-Onyszkiewicz próbowałyśmy organizować polsko-amerykańską wyprawę kobiet na Annapurnę, zaprosiłam do udziału w niej Irene i dwie inne alpinistki – Piro Kramar i Joan Firey (całej trójki wówczas osobiście jeszcze nie znałam). Nie dostałyśmy wtedy jednak, jak już wspomniałam, zezwolenia od nepalskiego rządu.

Kiedy zaczęłyśmy planować nową wyprawę, na początku 1977 roku, Piro, Joan i Alison były tu oczywistymi kandydatkami. Teraz, gdy o zmierzchu leciałyśmy na zachód, Joan i Alison już były w Nepalu, organizując na miejscu jedzenie i inne zapasy. Przypadkowo była tam również Wanda Rutkiewicz, jako członkini międzynarodowej ekspedycji, która miała wejść na Mount Everest. Piro Kramar, siedząc w fotelu na pokładzie samolotu, zapisywała coś w swoim dzienniku. Ta 40-letnia okulistka z Seattle była lekarką naszej ekspedycji. Zerknęłam na jej dziennik, ale nie zrozumiałam ani słowa z tego, co pisała.

– Co piszesz? – spytałam.

– Ćwiczę mój węgierski – odparła.

– Więc raczej nie będę mogła użyć fragmentów twojego dziennika w mojej książce...

Byłam rozczarowana. Dziennik jest z natury prywatnym dokumentem, a dziennik po węgiersku jest nim podwójnie. To było charakterystyczne dla Piro, która pilnowała swojej prywatności do tego stopnia, że wydawała się oderwana emocjonalnie od reszty grupy. Trzymała się z dala od pyskówek, powoli i z rozwagą wydawała sądy. Była zamknięta w sobie.

Piro wspinała się dotąd głównie z jednym przyjacielem lub dwojgiem (często była to Joan Firey) w Górach Kaskadowych. Miała wątpliwości dotyczące bycia poza domem przez tak długi czas i wspinania się z tak dużą grupą. Jednak znalazła się tu,

w składzie ekspedycji mającej trwać trzy miesiące i wymagającej współpracy kilkudziesięciu osób.

Reszta grupy dowiedziała się o wyprawie z alpinistycznych czasopism i amerykańskiej prasy. Kiedy jesienią 1978 roku Nepalczycy w końcu udzielili nam zezwolenia na wejście na Annapurnę, nasze plany zostały podane do wiadomości publicznej. Setki kobiet chciały do nas dołączyć – począwszy od najlepszych alpinistek na świecie, a skończywszy na dwóch masażystkach z Berkeley, które chciały wziąć udział w wyprawie tylko po to, by masować nasze obolałe mięśnie.

Znalezienie alpinistek, które miałyby odpowiednie fizyczne i psychiczne kwalifikacje, było dla nas niezwykle ważne. Pierwsza Himalajska Ekspedycja Amerykanek w sposób oczywisty wydawała się być jak najbardziej ekscytującym i pożądanym przedsięwzięciem. Jednak dla wielu alpinistek splendor udziału w wyprawie szybko bladł wobec związanych z nią uciążliwości, takich jak przebywanie na dużej wysokości, znój, wilgoć, zimno, utarczki z biurokratami czy wreszcie nieustannie grożące nam choroby i wypadki. Podczas długich, wielogodzinnych burz, które są w Himalajach częstym zjawiskiem, alpiniści czasem stają się apatyczni, przestają jeść i pić, co szybko prowadzi do osłabienia organizmu; determinacja potrzebna do ciągłego topienia śniegu na wodę pitną i jej gotowania może być cenniejsza od umiejętności wspinaczki na stromym lodzie. Siła psychiczna i fizyczna wytrwałość są w wysokich górach o wiele bardziej potrzebne niż siła mięśni i tak samo ważne jak umiejętność czerpania przyjemności z tej osobliwej formy rekreacji pomimo jej nieuniknionych trudów.

Pożądane jest również wcześniejsze doświadczenie we wspinaniu się na dużych wysokościach. Niektórzy mają swoją „granicę

wysokościową", po przekroczeniu której chorują. Przyczyny tego fenomenu ciągle pozostają nieznane. To była zmora kobiety, która poprowadziła kobiecą wyprawę na szczyt McKinley. Do 4300 metrów była w stanie wspinać się na najostrzejsze stoki, niosąc bardzo ciężki bagaż, ale powyżej tej granicy zaczynała cierpieć na ostrą chorobę wysokościową. Do wejścia na Annapurnę starałyśmy się zaprosić kobiety, które wspięły się wcześniej powyżej 6000 metrów. Jednak w większości przypadków wcale nie oznaczało to doświadczenia w samych Himalajach; takim dysponowało wówczas bardzo niewiele kobiet.

Kobiety z wymaganymi kwalifikacjami zapraszałyśmy na którąś z naszych próbnych wspinaczek w Sierra Nevada. Po wspólnej wspinaczce można się było zorientować, czy dana kandydatka może zostać uczestniczką ekspedycji, czy też nie. Ten proces działał naprawdę dobrze i nawet kobiety, które ostatecznie nie dołączyły do ekspedycji, poznały w ten sposób nowe przyjaciółki i partnerki do wspinaczki. Nikt nie czuł się urażony czy upokorzony.

Kolejnymi wybranymi przez nas członkiniami zespołu były Margi Rusmore i Elizabeth Klobusicky-Mailaender (miały spotkać się z nami w Nepalu) oraz Vera Komarkova i Annie Whitehouse, które leciały z nami.

Vera Komarkova przysypiała w fotelu obok Irene (będę tu ją określać jako Verę K., dla odróżnienia od Very Watson, którą będę nazywać Verą W.). Vera K. i Irene zaprzyjaźniły się podczas wspólnej wspinaczki w Górach Brooksa i Irene przekonała mnie, by zaprosić Verę K. do ekspedycji. Razem wybłagały i zebrały fundusze, za które kupiły półtorej tony wyposażenia, począwszy od czekanów i reszty sprzętu wspinaczkowego, przez kaski, śpiwory i skarpetki, a skończywszy na rękawiczkach i torbach na śmieci.

Vera K. w ciągu swego 35-letniego życia zdążyła wyemigrować z rodzinnej Czechosłowacji do Stanów Zjednoczonych, spędzić cały rok, idąc przez Europę i Amerykę Północną na olimpiadę w mieście Meksyku, obronić doktorat na Colorado State University, gdzie studiowała arktyczną i górską roślinność, a także dokonać wielu najtrudniejszych wejść w kategorii kobiet, wliczając w to heroiczne, trwające dwadzieścia dni podejście na pionową, wietrzną ścianę góry Dickey na Alasce. Irene opisała mi Verę K. jako niezwykle mocną, silną i energiczną osobę; ludzi, którzy się z nią wspinali, wręcz odstręczała jej dominująca, a zarazem nieco zamknięta w sobie osobowość. Dla mnie była najbardziej enigmatyczną postacią z całej grupy. Nie wiedziałam, czy ostatecznie będę się cieszyć, czy żałować, że ją zaprosiłam, i zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie zdejmowała swoich przyciemnionych okularów.

Annie Whitehouse, siedząca teraz obok mnie w samolocie, uśmiechała się swoim cudownym uśmiechem i pracowała nad pamiętnikiem. Jak zauważyłam, rysowała komiksy. Normalnie Annie nie miałaby szans na wspinaczkę w Himalajach: była zbyt młoda (miała raptem 21 lat), no i była kobietą. Jednak była też osobą szalenie zdeterminowaną i wytrwałą, miała tolerancyjne usposobienie oraz świetne poczucie humoru; uwierzyłyśmy zatem, że zostanie alpinistką pierwszej klasy, i dołączyłyśmy ją do zespołu.

Dla większości zaproszonych kobiet, a wszystkie były doświadczonymi alpinistkami, ekspedycja w Himalaje była marzeniem spoza sfery realności. Wiele członkiń wyprawy, szczególnie tych starszych, czuło, że była to prawdopodobnie ich jedyna szansa, by wspinać się w Himalajach. Piro, Irene i Vera W. miały ponad 40 lat, a Joan Firey miała w trakcie wspinaczki obchodzić swoje 50. urodziny. Czasami Irene i Vera W. pół żartem, pół serio mówiły, że są za stare na wspinaczkę w Himalajach.

Powszechna opinia głosi, że alpiniści są w pełni swoich możliwości, gdy mają po trzydzieści kilka lat. Jednak z wiekiem zyskuje się doświadczenie, tolerancję i stabilność, która często kompensuje postępujący spadek sprawności fizycznej.

Christy Tews, menedżerka naszego obozu, solidnej budowy 38-letnia dziewczyna ze Środkowego Zachodu, miała wszystkie niezbędne do udziału w wyprawie cechy, ale brakowało jej doświadczenia w samej wspinaczce. Pracowała równie ciężko jak wszyscy inni, abyśmy mogły zrealizować nasz cel, i nawet teraz, w samolocie, starała się wciskać koszulki z logo naszej wyprawy przygodnym pasażerom. Dochody z ich sprzedaży pomogły nam zrealizować ekspedycję.

Margi, Sylvia Paull i Arlene na trekkingu w Sierra Nevada. Brały w nim udział alpinistki, które chciały przyłączyć się do ekspedycji na Annapurnę (z archiwum Autorki).

Przed wyprawą na Annapurnę (z archiwum Autorki).

Kiedy otrzymałyśmy pozwolenie, nie miałyśmy pojęcia, jakim sposobem zdobyć 80 tysięcy dolarów potrzebnych na przeprowadzenie ekspedycji. Żadna z nas nie miała dodatkowych środków prywatnych czy choćby asystentek, które pomogłyby w zbieraniu funduszy. Jednak miałyśmy coś dużo ważniejszego: wielu zwolenników, zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn, którzy wierzyli w sens tego, co robiłyśmy, poświęcili nam swoje umiejętności i czas. Ponieważ same alpinistki były zbyt zajęte kupowaniem i organizowaniem sprzętu oraz jedzenia, przyjaciele i wolontariusze podjęli się arcytrudnego zadania zbierania pieniędzy. Mój dom w Berkeley był w miesiącach poprzedzających wyprawę zazwyczaj pełen rozentuzjazmowanych wolontariuszy – nieustannie dzwonił telefon, w powietrzu czuć było atmosferę napiętej pracy.

Pomysły na zbieranie funduszy były różne: bale, bankiety, naklejki na zderzaki, rejsy po zatoce San Francisco, plakaty, afisze, imprezy, sygnety, koktajle z gwiazdami, wyścigi, turnieje tenisa i wędrówki. Pomysł zaprojektowania i sprzedawania koszulek z logo ekspedycji wydawał się jednak najbardziej obiecujący. Na jednym przezabawnym spotkaniu oglądałyśmy dwadzieścia różnych projektów graficznych: masyw Annapurny, alpinistka z włosami rozwiewającymi się na kształt góry, sprzęt wspinaczkowy, alpinistki idące w góry, góry wchodzące na alpinistki... W końcu na samym dnie sterty rysunków znalazłam idealny moim zdaniem projekt – nic lepszego nie byłam sobie w stanie wyobrazić. Przytuliłam go do piersi i zaśmiałam się. To było to. Podałam Irene stos rysunków i kiedy dotarła do ostatniego, również zaczęła się śmiać. Reakcja wszystkich alpinistek i wolontariuszy była taka sama, zatem decyzja co do wyboru logo była jednomyślna.

Był to wyraźnie zaznaczony zarys góry i napis: „Miejsce kobiet jest na szczycie... Annapurna".

Na początek zamówiłyśmy kilkadziesiąt koszulek, by sprzedać je naszym przyjaciołom, ale popyt na nie był ogromny, co spowodowało kompletną dezorganizację. Upchnęłam setki koszulek w moim domu i musiałam się użerać z niezliczonymi, zdumiewającymi żądaniami ludzi, którzy chcieli taki, a nie inny kolor lub fason („Przykro mi, nie mamy nylonowych koszulek w kolorze chartreuse"), a śniegi Annapurny zdawały się oddalać coraz bardziej. Jednak bardzo szybko Christy wraz z Lynn Lee (która zaprojektowała koszulki), Sylvią Pauli (która wymyśliła slogan) i Sandy Formoso (która zajmowała się księgowością) znacznie usprawniły biznes. Firma, w której zamówiłyśmy koszulki, uprzedziła nas, że proponowana przez nas cena jest za wysoka

i koszulki się nie sprzedadzą. Jednak się sprzedały – 15 tysięcy sztuk – i pieniądze z nich pokryły większość wydatków.

Hasło „Miejsce kobiet jest na szczycie" dostarczyło inspiracji dla niezliczonych żartów i zostało dewizą ekspedycji.

Dodatkowo Mary Lynn Hanley zorganizowała dla chętnych wędrówki trekkingowe w niższych górach wokół masywu Annapurny, z czego dochód wsparł ekspedycję, a inni wolontariusze zabiegali o dotacje w postaci jedzenia oraz sprzętu, pomagali nam się spakować i – co najważniejsze – podtrzymywali nasz entuzjazm oraz energię. Bez ich ciężkiej pracy nigdy nie dotarłybyśmy do Nepalu. Ta wyprawa dużo znaczyła dla wolontariuszy i tysięcy osób, które kupiły koszulki czy w inny sposób wspomogły nas finansowo. Ich pomoc popchnęła nas w stronę Annapurny i umocniła naszą determinację. Jednocześnie wzrosła presja na realizację naszego marzenia do końca – wiedziałyśmy, że teraz nie możemy się już wycofać.

Christy sprzedała ostatnią niebieską koszulkę w rozmiarze M, trochę znoszoną, przeogromnemu sikhowi, który próbował wcisnąć ją na siebie, siedząc w ciasnym fotelu samolotu. Najwyraźniej był zadowolony z zakupu, ponieważ dziesięć minut później stewardesa podając nam słuchawki i drinki, przekazała również „podziękowania od pana Singha".

Scenę tę nagrała nasza ekipa filmowa złożona z dwóch kobiet. Dyanna Taylor, operatorka kamery, i Marie Ashton, dźwiękowiec, były młodymi filmowcami z imponującym doświadczeniem i referencjami. Do ostatniej chwili nie wiedziałyśmy, czy będzie nas stać na nakręcenie własnego filmu – Dyanna i Marie dołączyły do nas w ostatniej niemalże chwili, porzucając swoje wcześniejsze zobowiązania. W ciągu niecałego miesiąca zdołały pozyskać kamery i sprzęt dźwiękowy przystosowany do pracy w niskich

temperaturach, a także same przeszły błyskawiczny trening wspinaczkowy z ciężkim sprzętem na wzgórzach pod Berkeley.

W zespole były podzielone zdania co do tego, jaki film byłby najlepszy. Niektóre uczestniczki wolały tradycyjne podejście, koncentrujące się na ujęciach stromych zboczy i wiatru wirującego ponad szczytami. Inne uważały, że bardziej niezwykłe byłoby pokazanie, jak my, kobiety, radzimy sobie z najcięższymi psychicznymi i fizycznymi wyzwaniami. Czułyśmy, że taki film najlepiej zrobią dwie towarzyszące nam stale kobiety, które będą mogły dyskretnie nagrywać nasze zmagania z górą i samymi sobą. Różne stacje telewizyjne chciały wysłać własne profesjonalne ekipy filmowe złożone z mężczyzn, którzy wspinaliby się z nami i kręciliby nas na najbardziej stromych stokach. Kiedy zdecydowałyśmy się zatrudnić dwie kobiety bez doświadczenia w górach, szef jednej ze stacji telewizyjnych powiedział nam, że będzie to amatorszczyzna i że możemy sobie darować wysyłanie im potem filmu do obejrzenia. Mylił się. Dyanna i Marie wspięły się powyżej obozu II na wysokość 5800 metrów i nakręciły fenomenalny materiał, a zmontowany z niego znakomity, trwający godzinę film dokumentalny był pokazywany na kanale ABC-TV.

Samolot leciał i leciał, przekraczając granice stref czasowych, słońce wschodziło i zachodziło – tak nam się przynajmniej wydawało. Lotniska, na których mieliśmy międzylądowania, pojawiały się i znikały.

Czas i przestrzeń zmieniały się tak gwałtownie, że czułam, iż mogłabym wysiąść z tego samolotu gdziekolwiek w przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości – w Atenach podczas wojen peloponeskich, na Marsie czy w moim domu w Berkeley.

Przypomniałam sobie o tym, co się działo na lotnisku, kiedy wylatywałyśmy z San Francisco. Setki przyjaciół, członków rodzin,

bliskich i dziennikarzy przyjechało, by nas pożegnać. Zostawienie mojego chłopaka, Johna Percivala, gdy wezwali nas do samolotu, było bardzo trudne. Chociaż pracowałam nad tą wyprawą od wielu lat, w tym momencie chciałam przytulić się do niego i... nigdzie nie lecieć.

Kiedy niechętnie oderwałam się od Johna i dołączyłam do grupy, miałam wrażenie, jakbym przeszła z jednego bieguna magnesu na drugi. Gdy tylko weszłam do samolotu, John, cały mój świat w Berkeley i moja praca biochemiczki – wszystko to zeszło nagle na jakiś bardzo odległy plan. Teraz byłam przywódczynią ekspedycji, odpowiedzialną za bezpieczne zaprowadzenie dziesięciu kobiet na szczyt Annapurny I.

Wyjazd był ciężki również dla reszty. Irene próbowała nie okazywać emocji. Wiedziałam, że jej młodsza córka Teresa zamartwiała się o nią. Nieczęsto się zdarza, że kobieta opuszcza męża, kochanka czy dzieci na trzy miesiące, by wspinać się na niebezpieczną górę, a Annapurna słynęła z częstych lawin.

Przysnęłam w niewygodnej pozycji i śniłam o Johnie Henrym Hallu – przyjacielu, który pierwszy raz zabrał mnie w góry.

Poznaliśmy się podczas wielkiej październikowej burzy w 1962 roku w Oregonie, kiedy byłam na pierwszym roku studiów na Reed College. Huragan o niewiarygodnej sile, pioruny i błyskawice uderzyły w Portland, przewracając drzewa i zrywając przewody. Kiedy poproszono mieszkańców o pomoc w usunięciu zawalonych drzew, zgłosiłam się i pracowałam z postawnym, przystojnym młodym mężczyzną. Jego pasją było chodzenie po górach i gdy ścinaliśmy gałęzie oraz usuwaliśmy rumowisko pozostałe po burzy, on opowiadał mi o białych, pokrytych lodem górach. Wkrótce zaczęliśmy się razem uczyć, spędzać długie wieczory nad problemami chemicznymi, rozwiązywać równania różniczkowe

i spierać się o Kanta. Jego niebieskie jak błękit nieba oczy i opowieści o lodowych szczytach uwiodły mnie i na naszej pierwszej wycieczce w góry zakochałam się zarówno w nim, jak i w nich – górach. Kiedy pierwszy raz wspinałam się na lodowiec, czułam się, jakbym dotarła do źródła piękna i spokoju – miejsca, do którego czułam przynależność, gdzie później ciągle miałam powracać.

W tym czasie góry były dla mnie pełne radości i cudów – najlepszym miejscem do poznawania ludzi i bycia szczęśliwą. Wspinaczka sprawiała, że czułam się silna i spokojna. Chociaż kilka razy bywało gorąco podczas moich pierwszych prób w górach, byłam nieświadoma niebezpieczeństwa, ponieważ moja wiara w dobroć gór była niezachwiana.

Jednak ta moja naiwna wiara gwałtownie się zakończyła. W sierpniu 1971 roku przeczytałam w porannej gazecie, że John Henry Hall i jego trzech przyjaciół zostali zasypani pod lawiną na Górze Świętego Eliasza w Jukonie. Od tamtej pory miałam nawracający sen o zamarzaniu pod lawiną. I teraz śpiąc w samolocie, śniłam o śmierci, o ogromnej lawinie lecącej w dół i przygniatającej nas wszystkie.

Obudziłam się zrozpaczona. Od czasu tragedii na Górze Świętego Eliasza straciłam w górach wielu przyjaciół i czasami podczas tych ostatnich miesięcy pytałam sama siebie, dlaczego właściwie organizuję tę podróż. Smutne statystyki przedstawiają się tak, że jeden na dziesięciu himalaistów nie wraca. Jednak to nie powstrzymało setek mężczyzn od wspinania się w tych najpiękniejszych i wymagających najwyższych umiejętności górach. Był najwyższy czas na to, by i kobietom dano tę szansę.

Kiedy otrząsnęłam się ze snu o lawinie, byłam znowu spokojna i pewna siebie. Dla mnie wyprawa zaczęła się dwa lata wcześniej,

w momencie pierwszych przygotowań. Nauczyłam się na przykład, że cierpliwość potrzebna podczas niekończących się spotkań jest tak samo niezbędną umiejętnością w realizacji wyprawy na Annapurnę jak zdolność do noszenia ciężkich bagaży po śliskim stoku. Podczas wspinaczki każda z nas mierzyła się z prywatnymi wyzwaniami, no i z samą górą. Podczas spotkań natomiast toczyłam bój ze swoim niezdecydowaniem: musiałam być bardziej zdecydowana, by spotkania zaczęły przynosić konkretne efekty.

Jako naukowiec mam tendencję do rozpatrywania problemu ze wszystkich stron. Rozważam wszystkie dostępne możliwości i nawet po podjęciu decyzji w nieskończoność martwię się, czy miałam rację. W Nepalu decyzje musiały być podejmowane szybko i pewnie, ponieważ w wysokich górach niezdecydowanie może być fatalne w skutkach. Mogłam przewidzieć różnice zdań wśród uczestniczek wyprawy i to, że przy podejmowaniu decyzji będę bombardowana argumentami ze wszystkich stron. Wiedziałam, że muszę wtedy uważnie słuchać, podjąć decyzję i – co najtrudniejsze – przestać o niej myśleć. Musiałam zaakceptować fakt, że czasami mogę się mylić.

– Po lewej widać nepalską część Himalajów – głos pilota wyrwał mnie z rozmyślań i przyciągnął wzrok do okna odrzutowca. Mogłam zobaczyć tylko niższe partie gór, Annapurna i inne szczyty były otulone woalem białych chmur zwiastujących monsun. Wiedziałam jednak, że tam są, i zastanawiałam się, jakie warunki pogodowe zastaniemy na tych dalekich zboczach.

Planowałyśmy dotrzeć do obozu bazowego w czasie deszczów monsunowych, żeby być gotowe na wspinaczkę we wrześniu, kiedy deszcze się skończą. Miałyśmy nadzieję, że załapiemy się na „okienko" dobrej do wspinaczki pogody, zanim dni będą się kurczyć, a na szczytach zaczną hulać zimowe wiatry, sprawiając,

że wspinaczka będzie praktycznie niemożliwa. Jeżeli doszłybyśmy do obozu bazowego zbyt wcześnie, musiałybyśmy siedzieć tam tygodniami, czekając na koniec pory deszczowej – w ten sposób mogłybyśmy zużyć całe nasze jedzenie i sprzęt, nie wspominając o wyczerpaniu psychicznym.

Rozmawiałam z dziesiątkami ludzi, którzy wspinali się w Himalajach. W oparciu zarówno o ich, jak i moje własne doświadczenie wybrałam jako datę wyjazdu 6 sierpnia. A jednak nadal się martwiłam. Czy będziemy miały problemy z celnikami w Katmandu? Czy po drodze zdarzą się jakieś opóźnienia, które przesuną w czasie nasze przybycie do obozu bazowego? A co ze strajkami tragarzy, niespodziewanymi monsunami, epidemią czerwonki czy wojną? Ewentualności – mniej lub bardziej prawdopodobne – były nieskończone i nie mogłam przestać myśleć o tym, czy wybrałam dobrą datę.

– Proszę zapiąć pasy bezpieczeństwa i przygotować się do lądowania w Katmandu. Jest godzina 8.30 rano czasu miejscowego – usłyszałam głos pilota i prawie natychmiast moje troski zamieniły się w podekscytowanie.

Opuściłyśmy San Francisco około 24 godzin temu w niedzielne popołudnie, ale w Katmandu był już wtorkowy poranek. Przestawiłam zegarek o 11 godzin i 40 minut naprzód, pamiętając, że tu zasady są inne. Indyjski czas jest przesunięty o pół godziny w porównaniu z czasem w innych krajach. Indie miały być początkowo podzielone na dwie strefy czasowe, ale mieszkańcy zdecydowali się używać średniej strefy w całym kraju. Nepalczycy natomiast, chcąc podkreślić swoją niezależność, ustawili swój czas dziesięć minut naprzód w stosunku do czasu obowiązującego w Indiach.

– Niesamowite! Prawie irlandzka zieleń! – wykrzyknęła Vera W. Wyjrzałam i zobaczyłam wyraźnie nieirlandzki krajobraz: strome, tarasowe zbocza, upstrzone chatkami o dachach ze strzechy, wszystko to pod sklepieniem monsunowych chmur. Wzgórza ustępowały rozległej szmaragdowej dolinie, a centrum tego wszystkiego stanowiło Katmandu, ozdobione niezliczonymi świątyniami, stupami i wieżami. Zanim wylądowaliśmy, obsługa musiała przegonić krowy z lądowiska.

Niewzruszone Katmandu
9–14 sierpnia

Nasz jeep przedzierał się wśród riksz, wędrujących krów, świętych mężów i kobiet w sari wypełniających ulice Katmandu. Powietrze było ciepłe, na co składała się aromatyczna mieszanka dymu z tysiąca palenisk, słodkiego zapachu kadzideł i przypraw oraz drażniącego smrodu moczu, odchodów i gnijących warzyw. Z pobliskich herbaciarni płynęła nepalska muzyka, która na ulicy mieszała się z rykiem klaksonów taksówek, dźwiękiem dzwonków rowerowych oraz odgłosami targowania się w różnych językach kupujących i ulicznych sprzedawców.

Jeepa prowadził Mike Cheney, nasz przedstawiciel w Nepalu. Ten Anglik o elfiej urodzie, z haczykowatym nosem i uroczym szorstkim poczuciem humoru, prowadził Sherpa Cooperative, firmę organizującą wyprawy i oferującą sprzęt dla alpinistów. Zyskami dzielił się z zatrudnionymi w firmie Szerpami. Tego dnia Mike miał na sobie szorty khaki, rozszerzane tak, że wyglądały jak spódnica noszona przez oficerów oddziałów Gurkhów, a także dziwnie niepasującą do reszty koszulkę rdzawego koloru z napisem „Miejsce kobiet jest na szczycie". Podziękowałam mu za wsparcie, jakie okazał nam przez założenie tej koszulki.

– Dziewczyny, zrobiłyście wrażenie na Nepalczykach – zachichotał. – Osłupiałem, kiedy Christy zdjęła bluzkę.

Cheney mówił o zdarzeniu, które miało miejsce na lotnisku w Katmandu. Christy zaprzyjaźniła się w samolocie z Kurtem Diembergerem, znakomitym austriackim wspinaczem, który przypadkowo leciał tym samym samolotem co my, by wejść się na Everest.

– Bardzo chciałbym mieć taką koszulkę jak twoja – powiedział do niej, kiedy wysiedli z samolotu. – Masz jakieś na sprzedaż?

– Nie, wszystkie już sprzedałam. Mam tylko tę na sobie.

– Jeżeli dasz mi swój T-shirt, dostaniesz w zamian tę całkiem niezłą francuską koszulkę, którą mam na sobie – powiedział, posyłając jej czarujący uśmiech.

Tak więc po wyjściu z samolotu, na płycie lotniska, Christy i Diemberger odwrócili się do siebie plecami, zdjęli koszulki i dokonali wymiany ku uciesze naszej grupy i zdumieniu Nepalczyków, którym opadły szczęki. Niebieski francuski T-shirt sięgał Christy do kolan, natomiast spod nowej koszulki Austriaka wystawał kawał brzucha.

Ze śmiechem na ustach stawiłyśmy czoło czekającej na nas nepalskiej prasie – w delegacji było wielu Nepalczyków ubranych na zachodnią modłę i jedna Amerykanka. Wspinaczka często trafia na pierwsze strony w królestwie Nepalu i jest regularnie relacjonowana przez korespondentów AP, UPI i Reutersa. Nieuniknione pytania: dlaczego tylko kobiety? Dlaczego Annapurna? Czy weźmiemy tragarzy kobiety? Dlaczego chcemy się wspinać na Annapurnę? Trwało to 20 minut, pytania były takie same jak te, na które musiałyśmy odpowiadać, opuszczając San Fransisco.

– Część twojego zespołu, która dotarła tu wcześniej, świetnie sobie ze wszystkim poradziła – powiedział mi Cheney, gdy jechaliśmy przez zatłoczone ulice.

– Joan kupiła dwie tony lokalnego jedzenia i razem z Liz, Alison i Szerpami wszystko zapakowała. Natomiast sporym problemem mogą być celnicy.

Urząd celny zdążył już otworzyć, przetrzepać i skonfiskować wszystkie pudła, które tak pieczołowicie pakowałyśmy i zabezpieczałyśmy z nadzieją, że przetrwają nienaruszone długi marsz w deszczu do obozu bazowego. Spytałam Cheneya, dlaczego celnicy są wobec nas tak ostrzy.

– Zeszłej wiosny amerykański alpinista został złapany, kiedy usiłował przemycić trzy tysiące zegarków, więc są podejrzliwi w stosunku do wszystkich Amerykanów – wyjaśnił.

Nie mogłam przestać się śmiać i zastanawiałam się, jak pojedynczy człowiek mógł ukryć trzy tysiące zegarków. Liz Klobusicky, która spotkała się z nami na lotnisku, również zachichotała i uspokoiła mnie w kwestii celników. Wyglądała na wyluzowaną i spokojną w swoich zielonych nepalskich spodniach i koszulce, z długimi brązowymi włosami związanymi w kucyki.

Trudno było uwierzyć, że ta elokwentna 33-letnia kobieta wspinała się już wcześniej po najtrudniejszych ścianach lodowych w Alpach. Szczupła, a jednocześnie bardzo silna Liz czasem wyglądała jak elegancka modelka, innym znów razem jej umięśniona, szczupła sylwetka prezentowała się niemal męsko. Urodziła się na Węgrzech, ale wychowała w Spokane w stanie Waszyngton i zrobiła doktorat z germanistyki na Colorado State University. Teraz uczyła angielskiego w Tybindze w Niemczech, gdzie mieszkała ze swym mężem Nicko o niemiecko-irlandzkich korzeniach. Życie w Europie ułatwiło Liz wspinanie się na wiele stromych lodowców i była ona naszym najbardziej doświadczonym ekspertem od wspinaczki lodowej.

Liczyłam, że Liz pomoże nam w poprowadzeniu ekspedycji na twardych, stromych oblodzonych ścianach, na które miałyśmy się natknąć. Jednak teraz zmagała się z wyzwaniem innego rodzaju.

– Wymagało to cierpliwości, ale udało mi się odebrać większość naszego sprzętu od celników. Sama wiesz, jak wolno wszystko tutaj idzie, ale zawsze dobrze się kończy – Liz była w Katmandu już od tygodnia. – Ostatnie dni były fantastyczne, zapoznawałam się z urokami Katmandu. Nawet trochę żałuję, że już tu jesteście i trzeba wziąć się do roboty.

W istocie czekała nas ciężka praca. Po dwóch latach przygotowań w Stanach Zjednoczonych musiałyśmy obecnie odebrać resztę naszego sprzętu z rąk celników, przepakować i powtórnie zabezpieczyć sto pięćdziesiąt pudeł; wybrać, zaopatrzyć w niezbędne do pracy wyposażenie i ubezpieczyć nasz nepalski personel; kupić i spakować kilka ton miejscowego jedzenia; załatwić ewentualną pomoc ratunkową helikoptera, no i dostosować się do szeregu lokalnych przepisów, by dostać pozwolenie na rozpoczęcie wyprawy. Lista spraw do załatwienia była nieskończenie długa, ale poniekąd z góry nam znana. Chociaż podniecało mnie wyzwanie negocjowania wszystkich tych kwestii z Nepalczykami, wiedziałam, że im dłużej tu zostaniemy, tym więcej wydamy pieniędzy i że z każdym dniem narastać będzie prawdopodobieństwo, iż któraś z nas padnie ofiarą miejscowych bakterii.

Z głównej ulicy skręciliśmy w wąską alejkę i zatrzymaliśmy się przed nowoczesnym hotelem Siddhartha, z którego entuzjastycznie pomachały do nas Joan Firey i Alison Chadwick.

Joan Firey, 49-letnia artystka, rehabilitantka i sezonowa alpinistka, była wysoką, przystojną kobietą o krótkich, srebrzystych włosach. Promieniowała pewnością siebie i zdawała się nie zwracać

uwagi na wszechobecny na ulicach tego miasta hałas. Jeżeli miała jakiekolwiek wątpliwości czy lęki, zachowywała je dla siebie. Zastanawia mnie, czy w ogóle zdawała sobie z nich sprawę?

Joan była bardzo zdeterminowaną kobietą. Wspinała się na niezliczone szczyty i eksplorowała wiele dzikich rejonów północno-zachodnich Stanów Zjednoczonych oraz Kanady, jednocześnie wychowując trójkę dzieci. Miała również bardzo zdecydowane poglądy na temat tego, jak wszystko należy robić, zazwyczaj zupełnie różne od moich. W ciągu frustrujących miesięcy przygotowań zdarzało się, iż żałowałam, że z nami jedzie. Jednak teraz byłam zwyczajnie oczarowana jej pewnością siebie i fascynującą osobowością. Joan nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że nam się powiedzie.

Nie czułam się zbyt komfortowo z Alison Chadwick, Brytyjką, która miała 36 lat. Była artystką i mieszkała w Leeds ze swym mężem – Januszem Onyszkiewiczem. Chociaż poznałam ją na Noszaku w 1972 roku, a ona zatrzymała się zeszłej wiosny na jakiś czas u mnie w Berkeley, ciągle była dla mnie osobą nieznajomą. Miała swoje dokładne wyobrażenie tego, jak powinien się zachowywać przywódca z prawdziwego zdarzenia, do którego ja, niedbająca o konwenanse, najwyraźniej nie pasowałam. Jej brytyjska rezerwa i nieco zbyt oficjalny sposób komunikowania się z ludźmi jedynie podkreślały moją niepewność; chciałam ją za wszelką cenę zadowolić, ale czułam, że mi to nie wychodzi. Alison wspinała się wcześniej wyżej niż którakolwiek z nas, a ja szanowałam jej doświadczenie i wiedzę. Chciałam jej akceptacji, lecz jej nie dostałam. Być może stało się tak, ponieważ byłyśmy zupełnie różnymi kobietami.

Alison uważała, że samo dotarcie na szczyt Annapurny nie wystarczy, musimy to zrobić naprawdę w wielkim stylu. Była

purystką i nie podobała jej się decyzja grupy, by wynająć Szerpów, a w dniu ataku na szczyt korzystać z butli tlenowych. Ja natomiast byłam bardziej pragmatyczna.

Alison bardzo zaprzyjaźniła się z Liz Klobusicky. Obie mieszkały w Europie i były znakomitymi technicznie alpinistkami, obie miały też za mężów znanych alpinistów, z którymi zwykle razem chodziły w góry. Teraz jednak były zadowolone z szansy wzięcia udziału w kobiecej wyprawie.

Wszystkie ciepło się przywitałyśmy i zaczęłyśmy opowiadać sobie o niedogodnościach, jakie spotkały nas w drodze do Katmandu. Kiedy wspomniałam o kłopotach z pieniędzmi i konfiskacie sprzętu przez celników, Alison natychmiast zaproponowała, byśmy zrezygnowały z pięciu Szerpów, których miałyśmy wynająć do pomocy w noszeniu ciężarów.

– Mogą się okazać uciążliwi – ostrzegała. – To w końcu kobieca wspinaczka. Nie potrzebujemy Szerpów. Powinnyśmy same nosić nasze rzeczy.

Joan, która przez ostatnie pięć dni pracowała blisko z Szerpami, zaprotestowała.

– Dobrze się spisali podczas pakowania – powiedziała. – Są pomocni i pracowici, nie możemy ich teraz tak po prostu zwolnić.

– Sprawią, że wspinaczka będzie sprawniejsza i bezpieczniejsza – dodałam. – Jeżeli komukolwiek coś się stanie, Szerpowie zniosą go na dół.

Większość ekspedycji w Himalajach zatrudniała Szerpów. Wprawdzie niektóre wyprawy obywają się bez ich pomocy, byłam jednak za tym, by ich wynająć dla zminimalizowania grożącego nam ryzyka. Zeszłej wiosny, gdy Alison była w Stanach, wiele razy prowadziłyśmy rozmowy na ten temat. Marzyłam tylko, żeby

istniał jakiś sposób na zaspokojenie jej purystycznych zapędów bez zwiększania ryzyka.

Wtrąciła się Liz.

– Myślę, że powinnyśmy zatrudnić dziesięciu Szerpów zamiast pięciu. Pieniądze wydane na zwiększenie bezpieczeństwa nie są wyrzucone w błoto. Ale oprócz tego zgadzam się z Alison – musimy zmieścić się w budżecie i nie wydawać forsy na zbędne kaprysy.

Miała poniekąd rację: ledwo nam wystarczyło na dotychczasowe wydatki z budżetu i wszyscy się martwili, że zabraknie pieniędzy.

W naszą dyskusję włączyła się Christy, wyraźnie rozgorączkowana i nieswoja.

– To miejsce jest nie do wytrzymania. Podłączyłam przenośną maszynkę benzynową, żeby zagotować wodę do picia, ale w kranie nie było wody. Chciałam zadzwonić na recepcję, ale telefon nie działał. A upał i wilgoć przypominają mi, dlaczego wyjechałam z Iowa.

– Spokojnie, Christy – odpowiedziałam.

– Jesteśmy w Azji. Wszystko będzie w porządku – powiedziała Annie z uśmiechem na ustach. – Może to dziwne, ale ja czuję się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Chciałabym tu zostać dłużej. Nepal jest dla mnie rajem.

Takie było właśnie Katmandu – dla jednych raj, dla innych nieznośne miejsce.

Następnego ranka, gdy jechałyśmy z Irene wypożyczonymi rowerami do surowo wyglądającego, szarego, kamiennego budynku Sherpa Cooperative, tropikalne słońce zamieniało wczesnoporanną mgłę w parę. Kilkunastu Szerpów radośnie pracowało na błotnistym podwórku, przepakowując nasze pudła. W pozbawionym powietrza pokoju Alison pieczołowicie nadzorowała pakowanie, pilnując, by każde pudło ważyło

dokładnie trzydzieści pięć kilogramów, co jest maksymalnym obciążeniem dla tragarza. Z niepokojem spoglądała na Verę K., która energicznie przerzucała raki wspinaczkowe z jednego pudła do drugiego.

– Powinnyśmy wziąć to, co jest nam potrzebne, i nic więcej. Powtarzam Verze, że mamy za dużo sprzętu, za dużo raków. Targanie tego wszystkiego to cholerne marnotrawstwo – powiedziała Alison, oczekując z mojej strony wsparcia.

– Ależ nie! – zaprotestowała Vera K. – Powinnyśmy wszystko to wziąć do obozu i wtedy zdecydować, czego potrzebujemy. Nigdy nic nie wiadomo. A nuż okaże się, że coś zgubiłyśmy po drodze.

Vera W. wyglądała na zmartwioną.

– Powinnaś – powiedziała do drugiej Very – uważać na to, co wrzucasz do pudeł. Jeżeli zawartość nie będzie się zgadzała z listą, zrobi się totalny bałagan.

– Przecież uważam – powiedziała Vera K., bez opamiętania wrzucając do pudeł rękawiczki i skarpetki.

Ja i Irene przy pierwszej możliwej okazji opuściłyśmy panujący w pokoju upał i chaos na rzecz chłodnego biura Mike'a Cheneya na piętrze budynku. Mike natychmiast pochwalił naszą organizację, co mnie ucieszyło, ponieważ pracował wcześniej z dziesiątkami ekspedycji.

– Mamy spore problemy z forsą – powiedziałam mu. – Kończy się. Zostały jakieś pieniądze z zaliczki, którą wysłała ci Irene?

– Przykro mi. Nic nie zostało.

Podał mi rejestr wydatków, a ja przestudiowałam liczby.

– Dwieście dolarów za dzisiejsze party? To śmieszne! Jest nas tylko dwadzieścia osób. W tutejszych restauracjach można kupić ogromny posiłek za mniej niż dwa dolary.

– Zaprosiliśmy jeszcze parę osób. Poza tym restauracje kupują hurtowo i mogą sobie pozwolić na niższe ceny. Tutaj gotowanie w domu jest droższe niż jedzenie w restauracji.

– Przykro mi, Mike, wydajemy sto dolarów na tę imprezę. A i to jest za dużo.

– Więc nie będziesz mogła zjeść sałatki owocowej z rumem.

– Sałatki owocowej z rumem? Za sto dolarów?

– Słyszałem, dziewczyny, że macie w Stanach wielu sponsorów. Zawsze możecie ich przecież poprosić o więcej forsy.

Byłam przerażona. Mike uważa, że mamy w Ameryce niewyczerpane zasoby pieniędzy. Jeśli powie to nepalskiej ekipie, ta natychmiast zażąda wyższych stawek!

– Bardzo ważną sprawą – kontynuował – jest nawiązanie przyjaznych stosunków z miejscową ekipą. Dziś poznacie waszych Szerpów.

– O, to fantastycznie! – powiedziałam. – Znalazłeś jakieś Szerpijki, które chcą się nauczyć wspinaczki?

– No, niezupełnie... – Mike się zawahał.

W Stanach Zjednoczonych starałyśmy się zatrudniać kobiety, gdzie tylko było to możliwe. Logiczne wydawało się zaszczepienie tej idei także w Nepalu i poszukanie Szerpijek, które wspinałyby się razem z nami i niosłyby bagaże.

W życiu codziennym w tym kraju zawód tragarza wykonują często Szerpijki lub Nepalki z niższych kast, ale wspinaczka i noszenie ciężarów przy ekspedycjach wysokogórskich to domena Szerpów mężczyzn. Szerpowie są plemieniem o tybetańskich korzeniach, które żyje we wschodnim Nepalu, zwykle na wysokości powyżej 3000 metrów. Są fizycznie przystosowani do funkcjonowania na dużych wysokościach. Posiadają wrodzoną zdolność do wspinaczki, którą dodatkowo rozwinęli, pracując dla

zachodnich ekspedycji, są także znani ze swej siły, wytrzymałości, a także lojalności i poczucia humoru.

Zawsze bardzo podobała mi się idea wspinaczki z Szerpami, a teraz cieszyłam się na myśl o współpracy z Szerpijkami, którym będę mogła zapewnić dobrze płatną pracę tragarza na dużych wysokościach. Jednak Mike Cheney był źle nastawiony do tego pomysłu. W listach do mnie pisał, że tutaj, w Nepalu, sprawy wyglądają inaczej. Zatrudnienie Szerpijek do pracy na dużych wysokościach nie spodobałoby się Szerpom i w ten sposób ściągnęłybyśmy sobie na głowę „duże kłopoty". Wtedy nie mogłam w to uwierzyć, zważywszy na to, że są one zazwyczaj dosyć niezależne: należy do nich połowa majątku w małżeństwie i mogą domagać się rozwodu. Jednak tak naprawdę jest to społeczeństwo poliandryczne. Nalegałyśmy i wyglądało, że Mike zdołał zatrudnić jakieś Szerpijki.

– Czy Szerpijki miały czas na lekcję wspinaczki i angielskiego? – zapytałam, bo taki był plan.

– Obawiam się, że nie – odpowiedział nieco zawstydzony Mike. – Twój sirdar (przewodnik Szerpów) zatrudnił swoje dwie krewne. I nie są to najsilniejsze, najinteligentniejsze czy najbardziej atrakcyjne Szerpijki, jakie poznałem. Mają pomagać w praniu i zmywaniu, a ich obecność będzie pozytywnie wpływała na morale Szerpów.

– O nie, Mike! – zaprotestowałam. – Oczekiwałyśmy czegoś zupełnie innego. Kiedy byłam tu w zeszłym roku, poprosiłam cię, żebyś znalazł dwie Szerpijki, które pracowały jako tragarze na małych wysokościach i chciały nauczyć się wspinać, pamiętasz?

Byłam zaniepokojona, że obie zatrudnione dziewczyny nigdy wcześniej nie nosiły ciężarów ani nie miały wielkiej ochoty nauczyć się wspinaczki.

– Zatrudnianie krewnych jest przywilejem sirdara – Cheney wzruszył ramionami. – A on oznajmił, że te kobiety nie mogą wejść wyżej niż na wysokość obozu bazowego. Będziecie musiały zatrudnić dodatkowo dwóch Szerpów do wnoszenia ciężarów na górę.

Wykłócałam się jeszcze przez chwilę, ale poddałam się, zdając sobie sprawę, że zmiana układu nie wchodzi w grę.

– Dobra, Mike, zatrudnij dwóch Szerpów. Ale w takim razie nie będziemy w stanie zabrać tych Szerpijek. Co powiesz na zapłacenie im za sześć tygodni i odprawienie ich? Wyjaśnij, że bardzo nam przykro, ale nie możemy ich ze sobą wziąć.

Mike pokręcił głową.

– Spróbuję – powiedział. – Ale będą bardzo zawiedzione, że nie mogą iść z wami. Skoro zostały już zatrudnione, powinnyście przynajmniej wziąć je ze sobą do obozu jako zwykłych tragarzy.

Niechętnie się zgodziłam. Żądanie coraz wyższych cen przez personel jest częstym problemem ekspedycji w tym kraju o wysokim bezrobociu, bałam się jednak, że odprawienie kobiet sprawi nam problemy.

Po wyjściu od Mike'a ponownie zatrzymałam się w pokoju, w którym pakowano bagaże, by opowiedzieć reszcie ekipy o Szerpijkach i naszych problemach finansowych.

– Okropność! – współczująco powiedziała Vera K. – Ale może powinnyśmy jednak wydać 200 dolarów na dzisiejsze przyjęcie? Rum naprawdę dobrze smakuje w sałatce owocowej.

Alison bardziej martwiła kwestia Szerpijek.

– To byłoby obrzydliwe, gdybyśmy wzięły je ze sobą jako nasze służące. Przecież właśnie przeciw takiemu traktowaniu kobiet walczymy!

– Są takie smutne... – Vera W. wskazała na dwie Szerpijki siedzące na schodach; najwyraźniej Mike już im powiedział. – Myślę, że powinnyśmy przynajmniej pozwolić im pójść z nami do obozu bazowego. Jestem pewna, że znajdzie się dla nich coś do roboty.

– Przepraszam, że tak się upierałam przy tych Szerpijkach – westchnęłam. – Nie stać nas na dwóch dodatkowych Szerpów, których chce Lopsang, nasz sirdar. Ale skoro i tak zapłacimy im za sześć tygodni, to może weźmy je do obozu bazowego jako zwykłych tragarzy – zaproponowałam. Później miałam tego żałować.

Tego wieczoru zebraliśmy się na imprezę w domu Cheneya, na której miałyśmy poznać nasz nepalski personel.

W drzwiach ogromnego kamiennego domu przywitał nas Purna – Szerpa, który od dwudziestu lat był kucharzem Mike'a Cheneya.

– Namaste, memsahibs – pochylił się w tradycyjnym ukłonie, składając razem dłonie. Christy spojrzała na mnie.

– „Namaste" znaczy „szanuję w Tobie Boga" – szepnęłam do niej. – „Memsahib" dosłownie oznacza „pani". To pozostałości z czasów brytyjskiego panowania w Indiach, tak do białych kobiet zwracała się służba.

Christy uniosła swoje złożone razem dłonie.

– Namaste, Purna.

– Namaste, Purna – powtórzyła za nią Irene, uśmiechając się. – Poznałam cię w 1961 roku, kiedy brałam udział w ekspedycji Hillary'ego na Makalu.

– W 1961 roku? Więc musi być pani bardzo stara – odpowiedział Purna z rozbrajającą szczerością. Z twarzy Irene zniknął uśmiech.

– Starsza pani bardzo silna. Dojdzie na szczyt pierwsza – powiedział Purna, ale Irene nie wyglądała na przekonaną.

Purna z dumą nosił niebieską koszulkę z napisem „Miejsce kobiet jest na szczycie", którą mu dałyśmy.

– Bara memsahib („bara" to tytuł przywódcy), sprzeda mi pani więcej takich T-shirtów? – zapytał. Purna był sprytnym przedsiębiorcą, a koszulki cieszyły się już dużą popularnością w Katmandu. – Te koszulki są bardzo drogie – ostrzegłam go, wiedząc, że kosztują równowartość sześciu dni pracy normalnego tragarza.

– Ile rupii, memsahib?

– Sto – odparłam nieco zawstydzona.

– Za wytarty T-shirt? – zaśmiał się i zaprowadził nas do surowych wnętrz głównego pokoju domu Mike'a. Reszta ekipy i Szerpowie siedzieli na słomianych matach na podłodze, podano wielkie kadzie ryżu i dal – pikantną potrawkę z soczewicy. Posiłek był smaczny, choć zaskakująco prosty jak na jego cenę. Jednak wszyscy dobrze się bawili, nawet bez rumu. Annie radośnie jadła ryż i dal palcami.

– Pyszne! – mówiła, oblizując palce.

Mingma Tsering (z archiwum Autorki)

Chewang Rinjing (fot. Marie Aston)

Dyanna Taylor (fot. Vera Watson)

Christy Tews (fot. Arlene Blum)

Vera Kormakova (z archiwum Autorki)

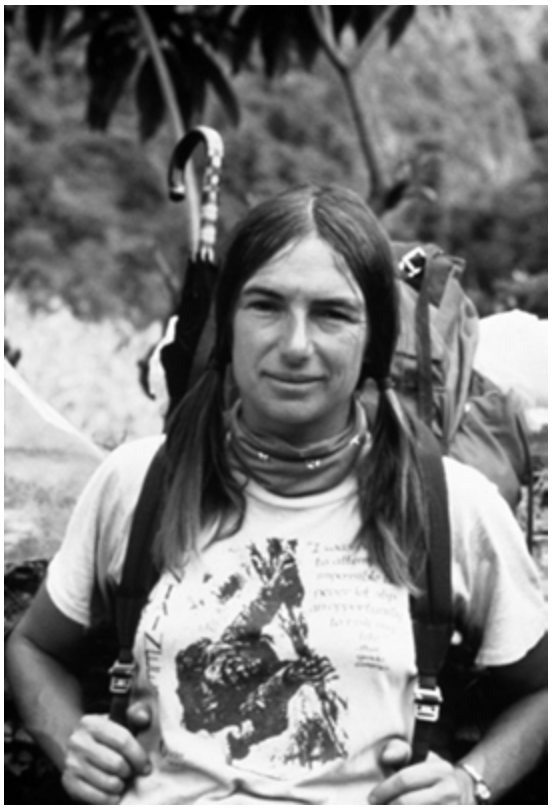

Liz Klobusicky-Mailaender (fot. Arlene Blum)

Margie Rusmore (fot. Arlene Blum)

Marie Ashton (fot. Margie Rusmore)

Vera W. pałała mniejszym entuzjazmem.

– Mogę dostać widelec? – spytała. – Jeszcze nie przywykłam do jedzenia wszystkiego palcami.

Po jedzeniu Mike Cheney przedstawił nam Szerpów.

– To Lopsang, wasz sirdar, czyli główny Szerpa.

Prawie 40-letni mężczyzna o mocno wystających kościach policzkowych ukłonił się nam z szacunkiem. Lopsang, niegdyś oficer armii indyjskiej, był sirdarem wielu pieszych wypraw i niewielkich ekspedycji, ale to miała być jego pierwsza wyprawa na ośmiotysięcznik. Cheney wybrał go ze względu na dobry angielski, umiejętności organizacyjne i doświadczenie we wspinaczce. Miał być łącznikiem pomiędzy członkami ekspedycji a Szerpami.

– Wasi tragarze na dużych wysokościach: Mingma Tsering, Chewang Rinjing, Lakpa Norbu, Ang Pemba i Wangel.

Pięciu tęgich mężczyzn ukłoniło się nam z uśmiechem. Mieli na sobie tradycyjne nepalskie spodnie z pasem wiązanym na brzuchu i zachodnie koszule. Pamiętałam Chewanga z Everestu z 1976 roku. Byłam pod dużym wrażeniem jego siły, poczucia humoru i zdolności we wspinaczce lodowej. Reszty Szerpów nie znałam.

– Personel kuchenny: Pasang Temba, Yeshi Tenzing i Pemba.

Kolejna trójka ukłoniła się z uśmiechem.

– Pomocnice kuchenne: Pasang Yangine i Ang Dai.

Dwie Szerpijki w tradycyjnych czarnych tybetańskich swetrach, pasiastych fartuchach i pantalonach ukłoniły się nieśmiało. Jednak jak to się stało, że zostały zaanonsowane jako pomoc kuchenna? Zgodziłam się jedynie na to, żeby pracowały jako tragarze. Musiałam wydawać się zaskoczona, bo Vera W. szeptem wyjaśniła mi:

– Były tak smutne, że Cheney przekonał mnie, żebym sama zapłaciła za ich pensję. Mogą zostać i pomagać w kuchni.

– O nie! – sprzeciwiłam się. – Nie stać nas na ich utrzymanie. A zresztą to poniżające dla kobiet.

Nasza ekipa była teraz dwukrotnie większa. Pamiętałam, z jaką ostrożnością wybierałyśmy członkinie wyprawy, i początkowo miałam nadzieję, że Szerpów wybrano równie ostrożnie. Teraz wiedziałam jednak, że tak nie było. Mingma został zatrudniony, ponieważ był szwagrem Lopsanga, a Wangel jego bliskim przyjacielem. Obstawałam przy Chewangu z Everestu i Lakpie, który brał udział w holenderskiej ekspedycji na Annapurnę w zeszłym roku. Lopsang niechętnie przystał na mój wybór, ostrzegając mnie, że to nie byli „jego ludzie" i że mogą go nie słuchać.

Chewang miał na sobie czapkę z wyhaftowanym na niej symbolem „kobiecej siły". Kiedy spytałam, skąd ją ma, powiedział mi, że dała mu jakaś wyprawa. Chewang był na Annapurnie już trzy razy, więc spytałam, jak się czuje, idąc tam kolejny raz.

– Bardzo duża góra, bardzo niebezpieczna. Omal nie zginąłem tam pięć lat temu z Japończykami w lawinie. Czterech Japończyków i jeden Szerpa martwy. Tak, memsahib, lubię Annapurnę. Bardzo lubię.

Ja raczej nie chciałabym wracać na górę, na której omal nie zginęłam – pomyślałam.

– Nie brzmi to zachęcająco – powiedziałam.

– Wieszamy flagi z modlitwami do górskich bogów w obozie bazowym. Potem bogowie gór szczęśliwi. Lawiny nie niebezpieczne. Wszystko dobrze.

Miałam nadzieję, że ma rację.

Niespodziewanie z nóg ściął mnie jet lag, ziewnęłam szeroko, pożegnałam się z towarzystwem i potoczyłam z powrotem do Siddharthy, gdzie około 21.30 runęłam na łóżko jak nieżywa. Jednak o trzeciej rano byłam już kompletnie rozbudzona i zaczęłam robić plany na kolejny dzień.

Zwykle gdy jestem w Azji, adaptuję się szybko do lokalnego czasu.

– Kiedy przyjeżdża autobus? – pytałam i dostawałam zawsze tę samą odpowiedź.

– Poczekaj. Przyjedzie.

Podczas poprzednich wypraw z radością czekałam na autobus godzinami, a nawet całymi dniami, popijając herbatę i gawędząc z mieszkańcami. Pojazd zawsze w końcu przyjeżdżał, a trzy dni oczekiwania stanowiły miły kontrast wobec życia w Stanach, gdzie każdą chwilę wypełniają dzwoniące telefony, rozmowy z dziesiątkami osób, sprawy do załatwienia – wszystko z góry zaplanowane i ustalone.

Jednak tym razem miałam ze sobą dwustronicową listę ludzi, których musiałam zobaczyć, i tyleż spraw do załatwienia. Byłam zmuszona przenieść zachodni tryb życia do Azji, ale skoro to miało przyspieszyć realizację wspinaczki, było tego warte. Zapadając nad ranem w niespokojny sen, myślałam o coraz większej ilości rzeczy do zrobienia.

Następnego ranka, kiedy podjechałam na rowerze pod budynek Sherpa Cooperative, Liz, Alison i Joan przekazywały właśnie sprzęt Szerpom. Pensja Szerpów jest bardzo niska, biorąc pod uwagę wymagającą, niebezpieczną pracę, którą wykonują jako tragarze na dużych wysokościach. Główną część zapłaty stanowią warte kilka tysięcy dolarów odzież i sprzęt do wspinaczki wysokogórskiej.

Na razie Szerpowie wydawali się być bardzo zadowoleni z tego, co dostali. Joan narysowała obrazki Annapurny z napisem „Himalajska Ekspedycja Amerykanek" na ich białych kapeluszach z szerokim rondem chroniącym przed słońcem. Szerpowie dumnie chodzili po mieście w tych kapeluszach i koszulkach z logo ekspedycji.

W swoim biurze Mike Cheney przedstawił mnie Nepalczykowi, który miał na sobie niebieskie dżinsy, buty do tenisa i kowbojską koszulę. Był porucznikiem Straży Królewskiej Dambar Singh Gurung, wyglądał na inteligentnego i wykształconego człowieka. Jako nasz łącznik miał pomagać w rozwiązywaniu wszystkich problemów z Nepalczykami i pilnować, czy przestrzegamy wszystkich zaleceń rządu Jego Wysokości.

– Namaste, panie Gurung – ukłoniłam się z szacunkiem.

– Namaste, bara memsahib. Teraz musi pani pójść ze mną, by dostać ostateczne pozwolenie na ekspedycję – mówił powoli, ale poprawną angielszczyzną.

Szybko przejechaliśmy taksówką przez miasto i dalej na wzgórza, gdzie zatrzymaliśmy się przed starym pałacem. Przez ogród różany weszliśmy do ciemnego, zatęchłego biura pełnego much. Po uściśnięciu wielu dłoni zostaliśmy zaprowadzeni do wiceministra i jego asystenta. Tak jak wiele pomieszczeń w Nepalu to również było udekorowane zdjęciami Jego Wysokości Birendry Bir Bikram Shah Dev i Jej Wysokości Aishwarya Rajya Laxmi Devi, króla i królowej Nepalu. Rodzina królewska spoglądała na nas dobrotliwie przez przydymione szkło.

Kilku Nepalczyków zgromadzonych w tym pokoju miało władzę decydowania o tym, kto może, a kto nie może wspinać się na najwyższe góry świata. Każdego roku biuro turystyczne otrzymuje setki próśb o udzielenie pozwolenia na wejście na takie

góry, jak Everest czy Annapurna. Zaledwie dwie ekspedycje na każdy szczyt rocznie dostają pozwolenie: jedna na sezon przedmonsunowy od marca do czerwca, druga na pomonsunowy – od sierpnia do listopada.

W lutym 1977 roku, kiedy złożyłyśmy podanie o zezwolenie na wspinaczkę na Annapurnę planowaną na jesień 1978 roku, powiedziano nam, że trzy inne ekspedycje są zainteresowane tą datą. Jednak z jakiegoś powodu nasze podanie uzyskało pierwszeństwo. Kto wie dlaczego? Być może pomyśleli, że to stosowne, żeby kobiecy zespół wspiął się na Annapurnę, Boginię Żniw?

Pan Sharma, wiceminister, przedstawił nam zasady, którymi miała się kierować ekspedycja.

– Najważniejsze – tłumaczył – żeby wieści z ekspedycji były wysyłane bezpośrednio do Ministerstwa Turystyki. Nie wolno wam rozmawiać z reporterami. Wszystkie informacje dla prasy muszą pochodzić od rządu Jego Wysokości – pouczał mnie surowo.

Przepiękna młoda dziewczyna w pomarańczowym sari i ze znakiem tika na czole weszła i nieśmiało popatrzyła na mnie. Wyszeptała coś po nepalsku do wiceministra.

– Mówi, że chciała zobaczyć lidera kobiecej ekspedycji. Myślała, że będzie pani wyglądać jak mężczyzna – wyjaśnił. – Tymczasem jest zaskoczona, widząc, że jest pani tak piękna.

Zabrakło mi słów i komplement przyjęłam z uśmiechem.

Pan Sharma mówił dalej.

– Szczególnie kiedy któraś z alpinistek dotrze na szczyt, musicie natychmiast wysłać gońca, żeby doniósł nam, że jemu – to znaczy, oczywiście, jej – się udało – roześmiał się, zażenowany.

Przyrzekłam przestrzegać wszystkich zasad i otrzymałam certyfikat (na papierze bez żadnych ozdób) potwierdzający po nepalsku

i angielsku, że nasza wyprawa jest oficjalna. Teraz legalnie mogłyśmy wydać 80 tysięcy dolarów i ryzykować życie, by stanąć na szczycie Annapurny.

Tryskając energią, wskoczyłam do spartańsko urządzonego pokoju Joan w hotelu Himalayan View z pozwoleniem upchniętym w torebce. Zdecydowała się tu przenieść z droższej Siddharthy. Ja natomiast uznałam, że warto wydać kilka dolarów więcej za klimatyzację i zachodnie wygody; powinno nam to pomóc w utrzymaniu dobrej formy. Po raz kolejny Joan i ja miałyśmy inne zdanie.

– Jak idą zakupy? – spytałam.

– Kucharz Pasang zajął się tą kwestią. Radzi sobie znakomicie. Oto lista zakupionych produktów.

W Stanach prowadziłyśmy z Joan niekończące się spory na temat jedzenia w trakcie wyprawy. Ona uważała, że jedzenie, podobnie jak inne aspekty wspinaczki, powinno być tak skromne, jak to tylko możliwe. Jednak ja czułam, że jej romantyczna idea prostego życia w górach nie sprawdziłaby się na wyprawie w Himalaje. Przejrzałam listę jedzenia z rosnącym zaniepokojeniem.

– Ryż i dal są w wystarczającej ilości. Ale mięsa, suszonych owoców, orzechów, dżemu i masła orzechowego jest chyba za mało – powiedziałam, usiłując hamować złość, wywołaną powtórką sytuacji z rozmów w Stanach.

– Nie stać nas na więcej – powiedziała defensywnie Joan. – Nie możemy być zbyt wybredne. Będziemy jeść dal z ryżem.

– Nie damy rady się wspinać, jeżeli nie będziemy dobrze jadły i dbały o zdrowie – oponowałam. – Wielu ludzi z Zachodu szybko zaczyna mieć dość ryżu oraz dalu i przestaje w ogóle jeść – widziałam to na własne oczy. Luksusowe produkty są warte swojej ceny. Poza tym jestem pewna, że wpisują się one w budżet, który

ustaliłyśmy w Stanach – starałam się argumentować łamiącym się głosem.

– Już za późno. Zanim kupimy cokolwiek innego, musiałabym zapytać ekipę, co kto lubi, a nie ma czasu na rozmowę ze wszystkimi. Będziemy sobie musiały poradzić z tym, co mamy.

Rzeczywiście, czasu już nie było, niemniej stanowczo powiedziałam:

– Kup to jedzenie dzisiaj, Joan. Nie pozwolę, żeby ekspedycja się nie powiodła z powodu braku potrzebnych produktów. – Wyszłam bez słowa z pokoju Joan, buzując adrenaliną.

Nieustannie uczyłam się odgrywać rolę liderki ekspedycji. Dość dobrze opanowałam takie umiejętności jak powściągliwość w wydawaniu opinii i dążenie do kompromisu, teraz jednak widziałam, że te cechy nie zawsze wystarczają do skutecznego przewodzenia grupie. Do tego potrzeba mi jeszcze było cech właściwych dowódcy w wojsku i powoli zmierzałam w tym kierunku. Problem polegał jednak na tym, by nie przekroczyć tu granicy. Czy udałoby mi się namówić Joan, żeby kupiła jedzenie, gdybym nie była tak autorytatywna? Ekspedycja potrzebowała silnego przywódcy, ale oczywiście nie dyktatora.

Dla uspokojenia postanowiłam pobawić się w turystkę i skręciłam w wąską alejkę z małymi sklepikami oraz kramikami, gdzie sprzedawano ciastka smażone na głębokim tłuszczu. Próbowałam oprzeć się pokusie, wspominając, ile razy jadłam takie rzeczy i jak ciężko to zawsze potem odchorowywałam. Zazwyczaj podczas rzygania obiecywałam sobie już nigdy nie jeść ulicznego jedzenia, a później poddawałam się tej pokusie, jak tylko wyzdrowiałam. Jednak tym razem trzymałam się mojego postanowienia. Annapurna była zbyt ważna, żeby miała mi przejść przed nosem przez jakąś samosę z salmonellą.

U krawca wskazałam na parę cudownych spodni, które były wiązane tasiemką w kostkach i w pasie, natomiast na nogach wydymały się bufiasto.

– Może mi pan zrobić dwie takie pary na jutro?

– Tak, memsahib – odpowiedział krawiec, nie odrywając oczu od pracy. – Niech pani tylko wybierze kolor.

Z dostępnych kolorów nepalskiej bawełny wybrałam głęboką czerwień i fiolet. Nieco zażenowany krawiec zmierzył mnie spojrzeniem.

– Memsahib bardzo wysoka, bardzo dużo materiału. Spodnie kosztują 35 rupii za parę (około trzech dolarów). Proszę, zapłać teraz.

Zapłaciłam i powędrowałam na bazar poszukać tamponów. Johnson & Johnson, producent tamponów OB, był jedyną korporacją, która hojnie dofinansowała naszą ekspedycję, i założyłam, że zaopatrzą nas również w swoje produkty. Jednak najwyraźniej nie poprosiłyśmy o nie i chociaż miałyśmy cztery tony koniecznych zapasów na ekspedycję do Nepalu, tampony nie znalazły się wśród nich. Przeszukałam cały bazar, chodząc od jednej apteki do drugiej, z trudnością tłumacząc, czego potrzebuję, ale wyglądało na to, że tamponów w Katmandu nie sprzedawali.

Przed kawiarnią Everest wpadłam na Liz, która powiedziała, że przyniosła dodatkowe wyposażenie. Potem zaproponowała, żebyśmy poszły na herbatę do kawiarni, która obsługiwała głównie odwiedzających tłumnie to miasto hipisów. Po drodze do stolika minęłyśmy smakowicie wyglądającą ladę ze słodyczami.

– Poproszę herbatę i dwa makaroniki – powiedziałam do kelnera, nepalskiego młodzieńca, który miał na sobie dżinsową kamizelkę z groźnym tybetańskim smokiem wyhaftowanym na plecach.

– Memsahib chce specjalne makaroniki?

– Poproszę dwa zwykłe.

– Przykro mi, memsahib. Dziś tylko specjalne makaroniki.

– Co to znaczy: specjalne?

– Makaroniki z haszyszem – odpowiedział z uśmiechem. Roześmiałam się i ja.

– Poproszę ciasto czekoladowe – powiedziałam. – Makaronik z haszyszem zwaliłby mnie z nóg na parę dni.

Po cieście czekoladowym zjadłam jeszcze duży kawałek krówkowego. Wreszcie mogłam jeść słodycze z czystym sumieniem. Przybieranie na wadze było teraz wskazane, zważywszy na to, że na pewno schudniemy podczas wspinaczki.

Kiedy jadłyśmy, Liz opowiadała mi o trudnościach z celnikami.

– Co za koszmar! – pomstowała. – Ale powinnaś zobaczyć Margi. Wczoraj odebrała parę rzeczy, w ogóle nie płacąc cła.

– Jak jej się to udało?

– Po prostu nalegała. Nepalczycy byli przytłoczeni widokiem delikatnej młodej blondynki wrzeszczącej: „To są moje walizki i chcę je natychmiast dostać!". Jej głos niósł się po całym budynku.

Margi dotarła do Katmandu dzień wcześniej, zrelaksowana i pełna energii po wakacjach w Grecji.

Roześmiałam się.

– Szkoda – powiedziałam – że Margi nie mogła w ten sposób uratować wszystkich naszych rzeczy...

Już miałyśmy wyjść, kiedy dołączyły do nas Annie Winehouse i Margi Rusmore, obie rozgorączkowane i zmęczone, ale szczęśliwe.

– Margi i mi udało się dziś kupić większość lokalnych rzeczy z listy – powiedziała Annie. – Musiałyśmy pójść do dwudziestu jeden różnych sklepów, żeby wszystko zdobyć. Kawał roboty!

Annie, lat 21, i Margi, lat 20, były najmłodszymi, ale wcale nie najmniej kompetentnymi członkiniami wyprawy. Obydwie skończyły Ravenswood, eksperymentalne liceum publiczne w Palo

Alto w Kalifornii, gdzie „ukończyły” wspinaczkę górską. Poznałam Margi w 1975 roku, kiedy przyszła do mnie po radę dotyczącą planowanej po ukończeniu liceum ekspedycji na górę McKinley na Alasce. Ona i Annie podczas tej wyprawy zdobyły szczyt – miały wówczas 17 i 18 lat, były najmłodszymi kobietami, które kiedykolwiek tego wyczynu dokonały. Margi wzięła następnie udział w naszej próbnej wspinaczce w Sierra Nevada, która odbyła się podczas Dnia Pracy, i zrobiła na nas duże wrażenie swoją kompetencją i miłym usposobieniem. Potem przekonała nas, żebyśmy zaprosiły na wyprawę również jej przyjaciółkę, Annie. Margi studiowała geologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz, a Annie pielęgniarstwo na Uniwersytecie Wyoming. Obie urwały się ze szkoły, żeby pomóc w pakowaniu oraz wysyłaniu jedzenia i sprzętu. To wymagało ogromnego nakładu pracy, z czym świetnie sobie poradziły. Teraz świetnie sprawdzały się w gromadzeniu lokalnych zapasów.

– Dwie godziny zajęło nam targowanie się o te wszystkie rzeczy – powiedziała Annie. – Ale w sumie było fajnie, dzięki Yeshiemu, kucharzowi. Naprawdę go lubię.

Kiedy opowiadała nam o Yeshim i jego cudownych głębokich, brązowych oczach, jej własne oczy zaświeciły, a ja zaczęłam się martwić.

– Od razu dobrze się poczułam w jego towarzystwie, jakbym znała go od lat – wyznała.

– Pamiętasz zasady ekspedycji? – spytałam surowym głosem. – Żadnych amorów podczas wspinaczki!

Nie chciałam się wtrącać w prywatne życie członkiń wyprawy, ale romans którejś z nich mógł być katastrofalny w skutkach dla jedności grupy i relacji pomiędzy jej członkiniami a Szerpami. Annie wyglądała na zaskoczoną.

– Jesteśmy oczywiście tylko ludźmi – tłumaczyłam – ale romanse wszystko komplikują. Musimy być lojalne przede wszystkim wobec siebie nawzajem. Jesteśmy tu po to, by wspiąć się na szczyt, a to wymaga stuprocentowego wkładu naszej energii.

– Oczywiście... – westchnęła Annie.

Miałam nadzieję, że do Annie dotrze to, co właśnie powiedziałam, i nie zbuntuje się wobec tej zasady. Była dojrzała, rozważna i pracowita, ale nie zawsze miała ochotę trzymać się regulaminu.

Zapadł zmierzch. Zostawiłam Annie oraz Liz w kawiarni i poszłam do hotelu. Tybetańczycy, Newarowie i wiele innych klanów plemiennych – Gurungowie, Limbowie, Raisowie i Tamangowie – tłoczyli się na ulicach. Ostrożnie przeciskałam się wśród buddyjskich mnichów w szafranowych habitach, świętych sadhusów w białych sarongach, hinduistek w kolorowo drukowanych sari, świń, świętych krów, wozów załadowanych przeróżnym jedzeniem i huczących klaksonami taksówek. Spoglądając ponad tym kalejdoskopem kolorów i obrazów, nagle ujrzałam pomiędzy chmurami szczyty gór, barwiące się fioletowo w zachodzącym słońcu. Gwałtownie westchnęłam.

Następnego ranka Irene i Piro zapukały do moich drzwi o 5.30.

– Jedziesz z nami na wycieczkę rowerową? – pytały.

– Pewnie.

Razem z Christy dołączyłyśmy do nich na wpół przytomne. Wyglądało na to, że prawie wszystko było gotowe na nasz wyjazd do Pokhary następnego ranka, więc uznałam, że mogę sobie całą resztę odpuścić na parę godzin.

Kiedy w gęstej mgle poranka wjechałyśmy na ulicę stanowiącą swego rodzaju obwodnicę Katmandu, miasto dopiero budziło się do życia. Słońce wschodziło, rozpraszając mgłę i oświetlając zielone

pola złotymi promieniami. Zjeżdżając na rowerze ze wzgórza, poczułam się, jakbym frunęła z wiatrem. U stóp wzgórza Irene zatrzymała się i zaczęła uważnie patrzeć przez lornetkę.

– Spójrz – powiedziała, podając mi lornetkę. – Trzy czaple: złotawa, czarnonoga i żółtodzioba.

Spojrzałam, ale nie mogłam z takiej odległości odróżnić jednego ptaka od drugiego.

Nieopodal zebrała się grupa ciekawskich dzieci. Po kolei patrzyły przez lornetkę.

– Która godzina? – zapytał mały chłopiec, dumnie popisując się swoim angielskim.

– Siódma – odpowiedziałam, wskazując na tarczę zegarka. – Lepiej wracajmy – zwróciłam się do dziewczyn. – Mamy dziś mimo wszystko sporo do zrobienia w Sherpa Co-op.

Wróciłyśmy, pedałując tak szybko, jak tylko mogłyśmy.

– Przyda mi się to ćwiczenie po tygodniu spędzonym w samolotach i biurach – zawołałam do Irene.

– Tak, tak, byłoby szkoda stracić formę po roku codziennego trenowania – odkrzyknęła, kiedy przemykałyśmy obok pól ryżowych.

Myślałam o naszym rocznym treningu. Zawsze staram się spędzić przynajmniej godzinę dziennie, ćwicząc na zewnątrz, ale ostatnio pracowałam nadzwyczaj ciężko.

Sprawdzałyśmy naszą sprawność prawie rok temu w Instytucie Stresu Środowiskowego na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Okazało się, że siła i wytrzymałość każdej z nas jest sporo powyżej przeciętnej. Szczególnie interesujące okazało się to, że chociaż w grupie były osoby w wieku od 20 do 49 lat, nie odnotowano spadku formy wśród starszych uczestników – dowód na to, jak w zachowaniu sprawności fizycznej ważne są regularne

ćwiczenia. Każdej z nas polecono przynajmniej trzydzieści minut dziennie aerobiku w celu utrzymania lub poprawienia formy i każda z nas ćwiczyła inaczej. Ja wchodziłam na strome wzgórze koło mojego domu z plecakiem wyładowanym 30 kilogramami cegieł albo biegałam od pięciu do dziesięciu mil pod górę. Margi i Annie pokonywały długie odległości na rowerach. Irene grała w piłkę, biegała i także dźwigała ciężary.

Siła w ramionach jest bardzo ważna przy wciąganiu ciężarów na linach na strome ściany górskie, a kobiety mają z reguły słabszy stosunek siły ramion do ciężaru ciała. Prawie wszystkie zaczęłyśmy podnosić ciężary i wkrótce byłyśmy zadowolone z tego, jak szybko nasze ramiona stawały się silniejsze. Jednak najważniejsze było to, że wspinałyśmy się razem tak często, jak było to tylko możliwe – walką z organizacyjnymi wyzwaniami ekspedycji i wymogami codziennego życia.

– W każdym razie marsz w tę i z powrotem do obozu bazowego powinien pomóc nam wrócić do formy – powiedziałam, kiedy wyprzedziłyśmy dwustu żołnierzy armii nepalskiej, którzy odbywali swój poranny jogging.

Irene miała wątpliwości.

– Mam nadzieję, że uda nam się jutro opuścić Katmandu – powiedziała.

– A dlaczego miałoby się nie udać? – spytałam. Jedzenie i sprzęt były kupione i zapakowane; Joan i Alison znajdowały się już w Pokharze, szukając odpowiednich tragarzy; nasz personel był wybrany, ubezpieczony i we wszystko należycie wyposażony; zdołałyśmy załatwić wszystkie formalności. Podjeżdżając pod budynek Sherpa Cooperative, byłam pełna optymizmu, ale Mike przywitał mnie wieścią, że musimy zapłacić za jedzenie i mieszkanie

Szerpów w trakcie ich pobytu w Katmandu, a także zwrócić pieniądze za ich przylot tutaj.

Mój optymizm wyparował.

– Ale, Mike – zaprotestowałam – przecież tego nie było w budżecie. Miałeś nam podać wszystkie krajowe wydatki.

– Byłem pewien, że o tym wiecie. To taki zwyczaj.

Westchnęłam i zaczęłam rachować w myślach.

– Nie mamy dodatkowego tysiąca dolarów – powiedziałam.

Zadzwonił telefon. To Joan, dzwoniła z Pokhary. Musiała natychmiast wiedzieć, ile mamy bagażu. Pognałam do pakowalni, by to sprawdzić, ale nikogo tam nie było, nie było też żadnej informacji na temat tego, ile miałyśmy bagażu. Pospieszyłam do zniecierpliwionej Joan.

– Muszę zdecydować w tej chwili, ilu bierzemy tragarzy.

Wtedy właśnie przybył Douglas Heck, amerykański ambasador, by odebrać butelki, które łaskawie zaoferował się wypełnić oczyszczoną wodą pitną. Nie wiedziałam, gdzie były.

W tym momencie pojawiła się Piro.

– Jakie jedzenie powinnam kupić na jutro do autobusu? – spytała.

Wpadła Liz, chciała wiedzieć, gdzie kupić uszczelniacz do szwów namiotów. Annie z kolei potrzebowała pieniędzy, by zapłacić za jedzenie, a wszyscy mówili jednocześnie.

Przez chwilę poczułam się przytłoczona, ale zaraz przypomniałam sobie, że jesteśmy przecież w Azji.

– Idę się napić herbaty – powiedziałam. – Ktoś chce się przyłączyć?

Tego wieczoru Mike Cheney przyszedł do Siddharthy, by dać nam pożegnalny wykład o protokole marszowym. Wszystkie zebrałyśmy się w jednej z większych sal.

– Przede wszystkim, dziewczyny – powiedział Cheney – muszę was pochwalić. Jesteście jedną z najlepiej zorganizowanych ekspedycji, jakie do tej pory widziałem. Pracowałyście bardzo ciężko; teraz powinnyście się zrelaksować i cieszyć pierwszym tygodniem marszu, jak tylko możecie. Pozwólcie Szerpom zająć się całą resztą. Mają rano podawać wam herbatę, gotować, wybierać miejsca na obozowiska i ustawiać namioty. I nie martwcie się o tragarzy. Robią to od pokoleń i wypracowali własny system. Ale postarajcie się ich poznać i miejcie oko na ich ciężary. Nie ignorujcie ich, przechodząc obok. Dajcie im do zrozumienia, że jesteście jednym zespołem.

– Ale przecież nie możemy z nimi rozmawiać – zaoponowała Vera W.

– Są różne sposoby komunikowania się. Podczas odpoczynku usiądźcie obok nich i zaproponujcie papierosa. Kiedy wykonują gest, jakby odpalali zapałkę, oznacza to, że potrzebują ognia. Zbudowanie dobrych stosunków z tragarzami już na początku jest szczególnie ważne, ponieważ ostatnie cztery dni marszu do obozu bazowego są bardzo trudne. Spróbujcie zapewnić tragarzy, że będziecie o nich dbać. Jeżeli będziecie miały dobry zespół tragarzy, może się zdarzyć, że dotrzecie od razu do obozu bazowego.

– Chociaż – kontynuował – mówi się, że wędrówka w trakcie monsunu jest bardzo trudna, ja uważam, że to najlepszy czas. Kwiaty i zieleń są niesamowite. Tylko uważajcie na pijawki.

– Jak to pijawki? – Vera W. wyglądała na zaniepokojoną.

– Są wszędzie na pastwiskach, a szczególnie na ścieżkach, którymi bydło prowadzone jest z wiosek rankami i wieczorami. Pijawki są inteligentne. Więcej jest ich o piątej po południu niż w środku dnia; wydaje się, że wiedzą, kiedy bydło ma być prowadzone. Jeśli bliżej przyjrzycie się trawie i krzakom przy tych ścieżkach, zauważycie

ukrywające się tam pijawki, czekające, aż coś będzie przechodzić obok. Nie chodźcie w zarośla, tam na pewno będą na was dybać.

Usiłowałam dodać otuchy reszcie ekipy, która wydawała się nieco zniesmaczona.

– Pijawki – tłumaczyłam – nie są takie straszne. Nie przenoszą chorób, a ich ukąszenia rzadko powodują zakażenie.

Mike mówił dalej:

– Inną niedogodnością marszu podczas monsunu jest to, że chłopi zawsze używają ścieżek jako kanałów irygacyjnych. Nawet kiedy nie pada, główny szlak zamienia się w strumień, ponieważ ktoś go używa do odciągnięcia wody z jednego pola na inne.

– Czy są jakieś lokalne zwyczaje, o których powinnyśmy wiedzieć? – spytała Margi.

– Cóż, bardzo niegrzecznie jest nadepnąć komuś na stopę, więc tego nie róbcie. I nie siadajcie z wyciągniętymi nogami na szlaku. I ostatnia rzecz, choć moim zdaniem najważniejsza dla waszej grupy: bądźcie dobrym, zgranym zespołem. Wiele ekspedycji się nie zgrało, nawet jeżeli udało im się wejść na szczyt. Musicie cały czas trzymać się razem.

– Wszystkie dobrze wiecie – nauczał dalej – że wysokość ma wpływ na temperament i zachowania ludzi. Niektóre wasze towarzyszki będą was tak cholernie irytować, że będziecie miały ochotę przetrącić im karki. Ale jak tylko zejdziecie do obozu bazowego, o wszystkich urazach natychmiast zapomnicie.

– Wielu ludzi bardzo na was liczy – zapewniał Mike. – Tutejsza prasa będzie was obserwować. Nie chcemy, żeby któraś z was zawróciła w połowie drogi, mówiąc: „Cholera, nie mogłam się z nimi dogadać". Powinnyście wszystkie wrócić jako zgodny, szczęśliwy zespół, taki, jaki stanowicie, wyruszając.

Rozejrzałam się po pokoju po zamyślonych twarzach dziewczyn i odmówiłam cichą modlitwę za to, żeby tak się właśnie stało.

Wędrówka do bazy
15–21 sierpnia

Kiedy przepełniony autobus jechał, lekko się chybocząc, do Pokhary, co chwila wydawałyśmy z siebie głośne okrzyki radości. W końcu dojechałyśmy do tego miasta, z którego miałyśmy zacząć marsz do obozu bazowego. Na dachu autobusu pudła były poustawiane po trzy jedno na drugim, a autobus zapełniony był memsahibami, Szerpami oraz wielką ilością ziemniaków, kapusty, paczek o niewiadomej zawartości, a także małymi nepalskimi chłopcami, którzy – jak nam się wydawało – chcieli załapać się na widowisko wyruszania wyprawy. Nasz kierowca – smagły sikh w turbanie koloru fuksji, z kędzierzawą, czarną brodą i wystającym brzuszyskiem – zamiast patrzeć na drogę, co rusz rzucał pożądliwe spojrzenia na Dyannę, która siedziała po jego lewej stronie. Siedem gorących, parnych godzin, cztery przystanki na herbatę, trzy punkty kontrolne i dwie złapane gumy – a byliśmy dopiero w połowie drogi do Pokhary, do której podróż z Katmandu miała trwać pięć godzin.

Kiedy czekałyśmy, aż kolejna opona zostanie napompowana, Vera W. rzucała tęskne spojrzenia na mijające nas z pędem japońskie sedany, a Annie wędrowała bez celu po zakurzonej drodze. Nagle spostrzegła w rowie melioracyjnym dziko rosnące kępy *Cannabis*. Sprawdzając, czy nikt jej czasem nie obserwuje – co jest w Nepalu normą – zaczęła entuzjastycznie zbierać delikatne, lepkie rośliny.

Piro i Irene zauważyły, że Annie wydaje się być czymś bardzo zajęta w rowie, więc poszły sprawdzić, co tam robi. Irene wyszczerzyła w uśmiechu zęby, a Piro wydawała się skonfundowana zainteresowaniem Annie tym przydrożnym zielskiem. Wkrótce wszystkie zaczęłyśmy ją ze śmiechem obserwować.

– To raj dla ćpunów – zauważyła Vera W.

Dojechałyśmy do Pokhary o zmierzchu i z radością wytoczyłyśmy się z autobusu. To miała być nasza ostatnia przejażdżka na wiele miesięcy. Przemierzyłyśmy właśnie 130 kilometrów w dziesięć godzin, ale pokonanie następnych 130 kilometrów na piechotę miało nam zająć dziesięć dni. Odcinek 25 kilometrów pomiędzy obozem bazowym a szczytem miał potrwać przynajmniej sześć tygodni.

Powitałyśmy Joan i Alison – powiedziały nam, że wszystko jest gotowe na podróż, która miała zacząć się nazajutrz wczesnym rankiem. W międzyczasie lokalni tragarze tłoczyli się w autobusie, zrzucając nasze nie takie znowu wytrzymałe pudła z dachu, nie dbając szczególnie o to, jak i gdzie lądują. Lopsang wręczył mi rachunek za ich pracę wynoszący 45 rupii.

– Lopsang, nie stać nas na to, żeby opłacać wszystkie te dodatkowe rachunki. Dziewczyny i Szerpowie sami powinni byli wyładować te pudła – czułam się w obowiązku zaprotestować, by wstrzymać wszystkie dalsze nieprzewidziane wydatki.

– Wszyscy Amerykanie bardzo bogaci. Możecie zapłacić – odparł.

– Memsahib nie takie bogate. Nie stać nas na to.

– Wszystkie ekspedycje mówią, że nie mogą zapłacić, ale Ameryka to bogaty kraj. Dużo pieniędzy – Lopsang wiedział swoje.

– Nie, nie jesteśmy bogate. Tym razem zapłacimy, ale następnym razem już nie – powiedziałam stanowczo, powoli odliczając 45 rupii.

Na kolacji Lopsang był świadkiem, jak większość członkiń zamawiała piwo, które kosztowało 15 rupii – co jest dzienną pensją lokalnego tragarza. Zarumieniłam się, wyobrażając sobie, co ten biedak musiał myśleć: memsahib nie mają pieniędzy dla tragarzy, ale na piwo aż nadto.

Poranek był szary, ale kiedy mgła opadła, góry, które pojawiły się na horyzoncie, wyglądały jak namalowane. Szczyty wydawały się dwuwymiarowe, pomalowane na biało, szaro i czarno; niższe partie gór prowadziły do wyższych szczytów ukrytych w chmurach. Było to bardzo potrzebne nam w tym momencie przypomnienie, że podczas gdy tu, na dole, panuje chaos i upał, gdzieś tam w oddali czekają na nas góry oferujące ochłodę i spokój. Liz opisała ten moment w swoim dzienniku następująco:

Na widok dwustu bosych ludzi, tłoczących się za bramą jak wygłodniałe hordy czekające na jedzenie, zachciało mi się rzygać. Spędzano ich pojedynczo, Szerpowie darli się na nich jak gestapo. Każdy dostał przepaskę na głowę, kawałek plastiku dla osłony przed deszczem, pakunek ważący 33 kilogramów, numer, odcisk palca zamiast podpisu i małą zaliczkę, potem mieli dostać następną. Patrzenie, jak każdy z nich jest obładowywany naszym niepotrzebnym chłamem, wywołuje u mnie mdłości. Są tam kobiety i dzieci, które wyglądają, jakby nie były w stanie unieść nawet 15 kilogramów. Staramy się uspokoić sumienie, mówiąc sobie: „Niosą lżejsze bagaże niż zazwyczaj przy wyprawach i dostają wyższą pensję... Bez nas nie dostaliby przecież 80 tysięcy dolarów dotacji na szpital i w końcu daje im to 10 dni pracy...". Ale przecież to chore,

że ci ludzie dostają jakieś grosze tylko dlatego, że komuś zachciało się wejść na niebezpieczną górę.

Po tym, jak dwieście sztuk bagażu zostało rozdzielonych na dwustu tragarzy, wielu chętnych zostało bez pracy. Niektórzy z nich odbyli długą podróż w nadziei, że zostaną zatrudnieni, i widziałam cierpienie w ich oczach, kiedy Szerpowie ich odprawiali. Podobnie jak Liz nie czułam się dobrze na myśl o tragarzach niosących mój sprzęt, ale po wielu wycieczkach do Nepalu wiedziałam, że ludzie mieszkający na wsiach chcieli dostać tę pracę, która pozwalała im zarobić dużo więcej niż praca w polu.

W Nepalu jest mało dróg, a teren przecina wiele rzek. Na wielu szlakach są wiszące mosty, przez które zwierzęta juczne nie zdołają przejść, więc towary mające trafić do obozów bazowych są przenoszone przez ludzi na plecach. Szybki rozwój gospodarczy Nepalu bynajmniej nie poprawia sytuacji tragarzy: budowa dróg powoduje, że są oni coraz częściej zastępowani przez ciężarówki. Wielu z nich traci środki do życia i jest zmuszonych przeprowadzić się do miasta, gdzie kończą jako bezrobotni.

Kiedy nasz konwój dwustu trzydziestu ludzi – tragarzy, Szerpów, memsahib – wreszcie opuścił Pokharę, było już południe i piekielnie gorąco. Przeszliśmy przez bazar w Pokharze i zakurzone przedmieścia, a następnie trafiliśmy na drogę prowadzącą do Mustang i Tybetu. Ta starodawna ścieżka, której szerokość wynosi od 30 centymetrów do jednego metra, jest jednym z głównych szlaków w tym królestwie i tak samo ważna jak w Stanach Zjednoczonych autostrada międzystanowa numer 80. Odkąd Chińczycy zamknęli granice Tybetu 19 lat wcześniej, nie ma już tak wielu karawan, ale szlak wciąż jest pełen Nepalczyków przemieszczających się pomiędzy wioskami i tragarzy

obładowanych wszelkiego rodzaju artykułami – od mosiężnych ram łóżek do kojców pełnych żywych kurczaków.

Dwie upalne godziny później doszliśmy do miejsca postoju – był to obóz tybetańskich uchodźców mieszczący się na zboczu powyżej wioski Yangdi Khola. Pasang rozstawił składany stolik na herbatę, na nim położył obrus w czerwono-białą kratę i postawił wazon z kwiatami. Usiedliśmy, podziwiając wzgórza otoczone zielenią, a delikatny wiatr osuszał pot na naszych twarzach. Po herbacie Szerpowie ustawili nasze czerwone i zielone namioty. W tym czasie mieszkańcy wioski zebrali się wokół obozowiska. Patrzyli na nas ciemnymi oczami, w których czaiła się uprzejma ciekawość – gapili się na te amerykańskie memsahib w szortach i eleganckich czapkach, popijające herbatkę przy elegancko nakrytym stole.

Kontrast pomiędzy nami i obszarpanym tłumem sprawił, że poczułam się źle. Wiedziałam jednak również, że pomimo tego, iż mamy pieniądze i luksusowe przedmioty, oni posiadają rzeczy, których my nie mamy. Amerykanka, która wyszła za mąż za Nepalczyka, powiedziała mi kiedyś, że chce, aby jej dzieci „wychowały się w Azji, gdzie ważne są silne więzy rodzinne i historia".

– Mithai, mithai! – prosiło jakieś dziecko, wyciągając ręce po cukierki. Przed nami tą drogą podróżowało już wielu turystów.

Po herbacie poszłam nagrać wrażenia z dzisiejszego dnia na dyktafon, którego używałam jako pamiętnika. Usiadłam w cieniu rozłożystego baniana, o którym mówiło się, że był bardzo podobny do tego, pod którym Budda doznał oświecenia. Kiedy wiatr przesuwał na niebie ciężkie chmury monsunowe, olbrzymi jastrząb przeleciał tak blisko, że widziałam jego wlepione we mnie oczy. Nepalskie dzieci też mi się przyglądały. Jakie to dziwne – ta

pani mówi sama do siebie! Jednak już wkrótce śpiewały do dyktafonu i piszczały z uciechy, słysząc potem własne głosy.

Nagle poczułam silne mdłości – czułam się tak, jakbym miała pęknąć od bolesnych gazów, które wypełniały mnie od stóp do głów. Nie bez trudności uciekłam od mojej świty i kucnęłam za krzakiem. Ból minął tak szybko, jak się pojawił, a ja czułam się wyżęta i osłabiona – to uczucie znałam aż za dobrze ze wszystkich pobytów w Azji. Jednak skoro byłyśmy już na szlaku i gotowałyśmy własne jedzenie, uznałam, że szybko wydobrzeję.

Każdego dnia przed kolacją Piro i Annie prowadziły klinikę, więc poszłam do nich na konsultację dotyczącą moich jelit. Wysłuchiwały o przeróżnych dolegliwościach szerokiego przekroju pacjentów, na który składali się zarówno tragarze, jak i miejscowa ludność. Medycyna doraźna była dużym wyzwaniem dla Piro, która specjalizowała się w chirurgii oka i nie miała do czynienia z tyloma różnymi dolegliwościami, odkąd skończyła szkołę medyczną. W ciągu ostatniego roku ćwiczyła się w nastawianiu kości i wyrywaniu zębów, by przygotować się do obowiązków lekarza w górach.

– Nie dostań tylko zapalenia wyrostka! – ostrzegła mnie.

Piro przyjechała do Stanów Zjednoczonych z Węgier jako dziecko. Zaczęła się wspinać już po ukończeniu szkoły medycznej, kiedy zamieszkała na północnym zachodzie kraju. Tam została ekspertką we wspinaczce skałkowej, poznała Joan Firey i zaczęła uprawiać alpinizm. Piro było szczuplutka, niemalże wątła, ale miała w sobie siłę, która pozwalała mi podejrzewać, że zostanie najsilniejszą alpinistką w zespole. Mieszkała sama w Seattle i była bardzo przywiązana do swojego domu oraz prywatności. Christy opisała Piro jako wściekle niezależną; w jakiś sposób udało się jej żyć własnym życiem nawet podczas tej ekspedycji, unikając bliższych

rozmów z innymi i nigdy nie opowiadając się po żadnej ze stron w przypadku niesnasek. Pomimo tego, że była tak oderwana – a czasem może właśnie z tego powodu – wszyscy ją lubili i szanowali.

Piro w końcu uporała się ze wszystkimi pacjentami i poszłyśmy do wspólnego namiotu na przepyszną kolację złożoną ze świeżych ogórków, zupy z kluseczkami, marchewek i rzepy, ryżu, kurczaka, kapusty, galaretki truskawkowej, herbaty oraz kawy.

Kiedy jadłyśmy, Piro opowiedziała nam o swojej pierwszej podczas tej wyprawy operacji.

– Wangel oberwał jakimś spadającym kamieniem. Miał rozciętą głowę, a co gorsza, ugryzł się też przy tym w język. Dyanna i ja przygotowałyśmy miejsce do operacji na pobliskim podwórku, gdzieś pomiędzy dziobiącymi kurami i rozłażącymi się kozami. Klęczałam na podwórzu, zszywanie szło gładko, a ja nagle postanowiłam zmienić kolano i ubabrałam cały sprzęt chirurgiczny w ziemi. Ale Wangel wygląda w porządku.

Słuchałyśmy Piro i deszczu uderzającego o namiot niczym grad. Czułyśmy ciepło i bliskość.

Trekking w Nepalu to najprzyjemniejszy sposób spędzania wolnego czasu. Zwykle zaczynałyśmy dzień o 5.30 rano filiżanką herbaty roznoszoną do namiotów przez naszego roześmianego kucharza, który czatował na zewnątrz pod parasolem. Ostrożnie pijąc herbatę i starając się nie wylać jej na śpiwory, powoli się budziłyśmy. Potem pakowałyśmy się i szybko jadłyśmy śniadanie, by znaleźć się na szlaku już o 6.30. Dzień mijał na marszu przez przepiękny nepalski wiejski krajobraz. Szliśmy zazwyczaj parami i spotykaliśmy się czasem w ciągu dnia w wioskowych herbaciarniach. Zwykle w ciągu od pięciu do ośmiu godzin marszu pokonywaliśmy około 16 kilometrów.

Tragarze i Szerpowie często zatrzymywali się, by zapalić, zjeść coś i się napić, ale część z nich chodziła szybciej niż my i docierali do obozowiska przed nami, więc namioty i herbata były już gotowe na nasze przybycie.

Drugiego ranka Liz, która podobnie jak ja jest rannym ptaszkiem, opuściła wraz ze mną obóz przed śniadaniem. Wkrótce zorientowałam się, że nieustannie opowiadam jej o moich zmartwieniach dotyczących tego, czy mamy wystarczającą ilość jedzenia.

– Przestań się martwić i pozwól Joan się tym zająć – powiedziała. – W końcu to jej zadanie.

– Chciałabym przestać się martwić – odparłam. – Ale dzielimy jedzenie z większą ilością ludzi, niż zakładałyśmy, a do Joan nie dociera, że jest to problem.

– Właściwie bardziej martwi mnie napięcie pomiędzy wami niż brak jedzenia – powiedziała Liz. – Musicie się dogadać.

Jak zwykle Liz myślała o tym, co naprawdę ważne. Stres przy ekspedycji może prowokować ludzi do ekstremalnych zachowań, ale Liz starała się nie opowiadać po żadnej ze stron. Była głosem rozsądku, a ja zgadzałam się z jej zdaniem w większości spraw dotyczących wspinaczki. Pomimo że była najsilniejsza i najbardziej doświadczona, jeśli chodzi o wspinaczkę lodową, nie miała najmniejszego zamiaru niepotrzebnie ryzykować życie, by wejść na Annapurnę. Nie zamierzała także ryzykować utraty swojej pracy nauczycielki. Kiedy dotarłyśmy do Katmandu, powiedziała mi, że musi wracać do pracy w połowie października i że być może będzie musiała wrócić, zanim dotrzemy na szczyt. Miałam nadzieję, że uda nam się wejść na szczyt Annapurny wcześniej; potrzebowałyśmy jej siły i spokoju.

– Nie martw się – ciągnęła – zrobię z Joan remanent jedzenia. Trudno mi uwierzyć, że brakuje nam czegokolwiek. Rzygać mi się chce, gdy patrzę, jak tragarze w pocie czoła niosą nasz sprzęt.

Ścieżka poprowadziła nas na strome wzgórze i dogoniłyśmy rząd wymęczonych tragarzy. Nieśli nasz bagaż w koszach zamocowanych pasami na czołach. Według rozporządzeń rządu Jego Wysokości ekspedycja miała płacić każdemu tragarzowi 1,75 dolara i dwa papierosy dziennie za ciężką pracę polegającą na dźwiganiu 33-kilogramowych ładunków po stromych ścieżkach. Niektórzy tragarze mieli po dwa tobołki – łącznie około 66 kilogramów – ogromne obciążenie dla tych raczej niewysokich mężczyzn.

Zatrzymałyśmy się, by odpocząć, a Gurung, nasz łącznik, podszedł do nas, niosąc około 15 kilogramów ładunku w nowiutkim czerwonym plecaku. To był miły gest z jego strony, ponieważ zazwyczaj łącznicy nie mają obowiązku niesienia czegokolwiek. Liz powiedziała mu, że czuje się winna za każdym razem, kiedy widzi bosego tragarza męczącego się na stromym wzgórzu.

– Och, memsahib, nic się nie martw – odpowiedział. – To jest bardzo dobra praca. Tragarze są bardzo zadowoleni. W innej pracy zarabiają znacznie mniej. 14 rupii dziennie. My płacimy 21. Praca dla ekspedycji jest najlepsza. Jadą z przyjaciółmi, w nocy tańczą i piją, a ich rodziny zostają w domu i pracują na polu.

Liz uważnie słuchała, ale nie była przekonana.

– Zróbmy, co się da, żeby ułatwić im pracę – namawiała mnie.

Zgodziłam się z Liz zarówno ze względu na tragarzy, jak i na nas same. Jedyną możliwością, żeby nasze bagaże trafiły bezpośrednio do obozu bazowego, było podtrzymywanie morale tragarzy.

Tego wieczoru po kolacji zaproponowałam spotkanie, aby omówić potencjalne kłopoty z tragarzami i jedzeniem, a także to, jak

dogadujemy się w grupie. Piro natychmiast gdzieś wsiąkła, Margi głośno jęknęła, a Vera K. ziewnęła. Poddałam się.

Miałam nadzieję, że ten brak entuzjazmu nie będzie normą za każdym razem, kiedy będę chciała zwołać zebranie. Przed wylotem ze Stanów odbyłyśmy kilka spotkań z Karin Carrington, psycholog. Kiedy zaproponowała, że pomoże nam popracować nad dynamiką w grupie, powiedziałam, że bardziej niż terapii potrzebujemy jedzenia i sprzętu. Jednak kilka dziewczyn, przede wszystkim Joan i Vera W., przekonało mnie, że takie spotkanie mogłoby być przydatne.

Zazwyczaj w relacjach z ekspedycji nikt nie wspomina, że wyprawy w dużych grupach często są niezbyt miłym doświadczeniem dla wielu uczestników. Stres oraz niedobór tlenu mogą doprowadzić do depresji i wrogości pomiędzy ludźmi. Środowisko alpinistów miało duże wątpliwości, czy kobietom powiedzie się ta wspinaczka, i jeszcze większe, czy kobiety będą w stanie się ze sobą dogadać na dużych wysokościach.

Pierwsze spotkanie z Karin miałyśmy w maju, po ciężkim dniu wypełnionym pakowaniem. Powoli zaczęłyśmy mówić o naszych lękach i oczekiwaniach. Rozmowa, na początku nieco ostrożna, zaostrzyła się, gdy Joan przyznała, że nie do końca ufa mi jako liderce i że sama chciałaby nią być.

Było to dla mnie nieprzyjemne, ale doprowadziło do ważnej dyskusji o przywództwie. Inne dziewczyny stwierdziły, że choć ufają Joan i podziwiają jej doświadczenie, to jednak chcą, żebym to ja im przewodziła. Chcą, żebym była silną, zdecydowaną liderką, ale żeby ich głos również się liczył. Ucieszyłam się z tego dowodu zaufania, ale byłam trochę zdezorientowana. Czy można być „silną liderką" w grupie dziesięciu silnych kobiet, które chcą mieć wpływ na podejmowanie decyzji?

Spotkałyśmy się jeszcze kilka razy z Karin i pojechałyśmy do Nepalu zdecydowane omawiać nasze konflikty i unikać chowania uraz. Na razie morale było wysokie mimo tego, że nikt nie chciał uczestniczyć w grupowych spotkaniach.

Gorzej było z naszym zdrowiem fizycznym. Pewnego wieczoru kucharz pomylił betadinę – brązowy płyn zawierający jodynę, którego używałyśmy do dezynfekcji wody do kąpieli – z sosem sojowym. Polałyśmy ostry smażony ryż brązowym płynem, a wkrótce po obozie przeszła plaga biegunki. Dręczyły nas również przeziębienia. Cóż, przeziębienia i biegunka podczas marszu to jeszcze nie katastrofa, jednak pod warunkiem, że dolegliwości te ustąpią, nim dojdziemy do obozu bazowego.

Następnego dnia szlak prowadził przez pola ryżowe i często zmieniał się w rów irygacyjny – dokładnie tak, jak mówił Cheney. Na początku starałyśmy się stąpać po kamieniach, żeby nie zamoczyć stóp, ale szybko zalało nas po kostki. Chłodna woda przyniosła jednak ulgę naszym stopom, na których zdążyły się potworzyć pęcherze. Pot kapał mi z czoła, a plecy miałam kompletnie mokre. Kiedy zdjęłam plecak, okazało się, że jego metalowa rama jest tak gorąca, że poparzyła mi palce. Dotarłyśmy do ludnej wioski Chandrikot; słońce w międzyczasie przepędziło mgłę. Annie podbiegła do mnie podekscytowana.

– Patrz, góry! Wreszcie wyraźnie je widać. Chodź, powiesz mi, która to Annapurna I.

Odciągnęła mnie na obrzeże wioski, skąd widoczna była panorama górskiego łańcucha Annapurny. Annapurna to imię indyjskiej bogini plonów. Imię oznacza mniej więcej „pełna obfitości". Nosi je pięć szczytów w okolicy: Annapurna Południowa, którą widać było najlepiej, Annapurna III, mniejszy szczyt znajdujący się niecałe 10 kilometrów na wschód, Annapurny II i IV

– masyw o wysokości 7900 metrów, około 16 kilometrów na północny wschód, no i Annapurna I – najwyższa, będąca naszym celem.

Annapurny są od siebie bardzo oddalone i każda wygląda inaczej, łączy je tylko nazwa. Rok wcześniej pojechałam do Nepalu z przyjacielem, który miał pozwolenie na wejście na drugi szczyt jesienią 1978 roku; chcieliśmy zrobić rekonesans Annapurny I i II. Byłam bardzo zdziwiona, kiedy odkryłam, że aby dostać się z obozu bazowego Annapurny I do Annapurny II przez przełęcz na wysokości 5400 metrów potrzeba około tygodnia marszu.

– Południową ścianę Annapurny I widać zza Annapurny Południowej – wskazałam na niewiarygodnie oddalony biały trójkącik.

Szczyt, majaczący jakieś sześć kilometrów ponad miejscem, w którym się znajdowaliśmy, wydawał się tak nieosiągalny, że już samo patrzenie na niego zdawało się czymś niestosownym. Myślałam o tych wszystkich śmiałkach, którzy rozzłościli bogów swoją bezczelnością i spotkała ich za to kara. Musimy przeprosić się z bogami – i ze sobą nawzajem – zanim dotrzemy na szczyt.

Ścieżka z Chandrikot wiodła następnie w dół, opadając o około 600 metrów. Zaprowadziła nas nad na brzeg kryształowo błękitnej Modi Khola. Większość rzek w Nepalu płynie z Tybetu do Indii, z północy na południe tego malutkiego królestwa. Nasz szlak wiódł na zachód, przez szczyty, potem w dół przez rzeki i przez mosty, po czym z powrotem pod górę. A jak niesamowita była różnorodność tych mostów!

Klasyczny himalajski wiszący most jest zbudowany z dwóch równoległych łańcuchów, plecionej liny lub bluszczu, często długich na 100 i więcej metrów, przewieszonych wysoko nad strumieniem w odległości około metra od siebie. Kawałki liny lub winorośli

długie na około trzy metry przewiesza się między łańcuchami, a na nich kładzione są deski. Trzeba się chwycić dwóch ciężkich lin i ostrożnie przejść po deskach. Za każdym razem pośrodku mostu znajdzie się jakaś złamana deska, a most będzie się kołysał, co powoduje, że dostajesz zawrotu głowy, a rzeka pod tobą ryczy.

Kiedy do Nepalu zaczęła docierać międzynarodowa pomoc, stare mosty zostały w większości wymienione. Solidne drewniane i metalowe konstrukcje przywieziono z Chin, Indii, Wielkiej Brytanii i Nowej Zelandii. Jednak również one, mocniejsze niż te z pnączy winorośli i konopi, padają ofiarą gniewnych wiosennych powodzi.

Jakieś 300 metrów powyżej drewnianego mostu pod Birethanti dostrzegłyśmy kępkę drzew, które obiecywały schronienie przed palącym słońcem. Kiedy do nich doszłyśmy, razem z Annie z ulgą zdjęłyśmy plecaki i wzięłyśmy przykład z kota o tygrysiej maści, który wyciągnął się w cieniu.

Obok nas przeszło kilka kobiet plemienia Gurung, rozmawiając ze sobą hałaśliwie. Przypominały mi dorodne matrony na wyprawie do supermarketu, które zapamiętałam z dzieciństwa na Środkowym Zachodzie, tyle że te miały na sobie powiewające złoto-fioletowe szaty i wielkie złote kolczyki w nosach. Jedna z nich podeszła do mnie i zuchwale pomacała moją łydkę.

– Memsahib bardzo duża – powiedziała do mnie. Mając 176 centymetrów wzrostu, jestem wyższa niż większość Nepalczyków, którzy najwyraźniej uważają, że mój wzrost jest u kobiety niespotykany.

Obok nas przeszły również, wesoło gawędząc, dwie inne kobiety, które były naszymi tragarzami. Około dziesięciu procent naszych tragarzy było kobietami. Z łatwością pracowały razem z mężczyznami, niosąc toboły o takiej samej wadze, wnosząc je

i znosząc stromym szlakiem bez słowa skargi. Stanowiły kontrast w stosunku do naszych Szerpijek, które miały własnych tragarzy do niesienia ich osobistego sprzętu i potrzebowały pomocy na śliskich częściach drogi. Starały się być przydatne, pomagając w praniu, pakowaniu i rozpakowywaniu bagażu, ale tym, co wychodziło im najlepiej, było sprawianie, byśmy czuły się nieswojo. Zastanawiałam się, czy uda się nam przyuczyć parę silnych kobiet tragarzy do pomocy przy wnoszeniu bagaży na górę.

Szybko minęła pora odpoczynku, z powrotem zarzuciłyśmy plecaki na nasze wciąż wilgotne plecy i wyszłyśmy z cienia figowca. Jednak wkrótce dotarłyśmy do herbaciarni, gdzie wytresowana małpka żebrała o monety i wyskubywała wszy z głowy starej kobiety. Alison i Vera W. już tam były, jak zwykle otoczone przez grupę małych dzieci grających w jakąś grę. Gdy obserwowałyśmy ich zabawę, Vera W. zauważyła, że Alison byłaby dobrą matką. Skomplementowałam podejście Alison do dzieci, gdy piłyśmy herbatę.

– Bardzo bym chciała kiedyś mieć własne – westchnęła Alison. – Czekam, aż wszystko się ułoży.

– Ja też – przytaknęłam. Jednak ja miałam 33 lata, a Alison 36; obie zdawałyśmy sobie sprawę aż za dobrze z tego, że wszystko musi się ułożyć bardzo szybko. Byłyśmy blisko granicy wieku, po której musiałybyśmy wybierać pomiędzy rodziną a innymi rzeczami. Mówi się, że trzydzieści kilka lat to najlepszy wiek na wspinaczkę, ale to również czas, kiedy większość kobiet zakłada rodziny. Na tę wyprawę zaproszono wiele kobiet, które miały małe dzieci, i po głębszym zastanowieniu postanowiły nie jechać. My wszystkie albo miałyśmy już starsze dzieci, albo byłyśmy bezdzietne.

Następnego dnia szlak poprowadził nas po kamiennych stopniach, wygładzonych przez stopy niezliczonych tragarzy, którzy chodzili tędy od setek lat z gorących, wilgotnych pól przez las deszczowy na wysokości 1050 metrów aż do chłodnej, wietrznej przełęczy Ghorepani na 2800 metrach. W ciągu marszu trwającego zaledwie kilka godzin widziałyśmy zmiany klimatu i roślinności porównywalne z tymi, jakie można zobaczyć, podróżując z Meksyku na Alaskę.

Las piętra reglowego Himalajów to upiorne miejsce. Kilkusetletnie drzewa były porośnięte mchami i porostami, w których kryły się pijawki. Pot na mojej twarzy wymieszał się z kropelkami wszechobecnej w powietrzu pary i spływał do kałuż, które mijaliśmy. Z przegniłej ściółki wyrastały dzikie orchidee – fioletowe, niebieskie i białe. Vera W. zeszła ze szlaku i radośnie upychała orchidee, rododendrony i inne niezidentyfikowane rośliny do swojej torby kolekcjonera.

Kiedy powoli próbowałam przejść przez śliskie, zwalone drzewo pełniące funkcję mostu, zorientowałam się, że coś jest nie tak. Gdzie podział się mój duży, czarny parasol? Parasole – używane dla ochrony przed deszczem i słońcem, a także jako kij do podpierania się – są w Nepalu niezbędne. Musiałam go zostawić na ostatnim postoju. Rzuciłam plecak i zaczęłam biec wzdłuż szlaku. Wreszcie spotkałam uśmiechniętego tragarza, który trzymał w ręku duży czarny parasol. Gorąco mu podziękowałam za zwrot zguby.

Lodowata ulewa sprawiła, że kiedy dotarłyśmy do obozu na przełęczy Ghorepani – który ustawiono na podmokłym polu pełnym pijawek – byłyśmy zmarznięte, przemoczone i nieszczęśliwe. Lopsang stał pod parasolem, wykrzykując rozkazy do tragarzy, by chronili bagaże przed zamoknięciem. Miał dość szeroki zakres obowiązków i dobrze się z nich wywiązywał.

Pracował około 14 godzin dziennie, zarządzając tragarzami, Szerpami i nami, zajmując się księgowością i targując. Za tę ciężką pracę dostawał, zgodnie z ustaleniami władz nepalskich, zaledwie trzy dolary dziennie.

Lopsang oznajmił, że pięciu tragarzy zdezerterowało podczas deszczu i że postara się znaleźć dla nich zastępstwo. Spojrzałam na drżących, nieszczęśliwych tragarzy i spytałam:

– Jak myślisz, ilu z nich nas opuści, zanim dotrzemy do obozu bazowego?

Wzdrygnął się i trochę łamanym angielskim powiedział:

– Na japońskiej ekspedycji Churen Himal zeszłej wiosny trzystu trzydziestu tragarzy. Duży problem.

– Co masz na myśli?

– Dwa dni przed obozem bazowym musieliśmy iść ścieżką, na której był śnieg – gestem zaznaczył, że chodzi mu o śnieg do pasa. – Większość tragarzy uciekła. Zostało tylko szesnastu. Targaliśmy toboły przez śnieg przez miesiąc. Ciągle tą samą trasą. Bardzo ciężka praca. Potem wszyscy zmęczeni. Nie było szczytu.

Pomyślałam o przełęczy dwa dni drogi za Choyą, przez którą będziemy musieli przejść. Podczas ostatniego grudniowego rekonesansu była pokryta śniegiem. Czy nasi tragarze też uciekną, a my będziemy musiały zmarnować dobrą pogodę na przenoszenie ładunków do obozu bazowego?

Przestałam jednak o tym myśleć, kiedy spojrzałam w dół i zauważyłam armię pijawek zbliżających się w moją stronę. Trzy z nich już były na mojej kostce. Oderwałam je z obrzydzeniem i uciekłam do namiotu, w którym rozgościło się pół tuzina kolejnych.

Irene powróciła z krzaków roztrzęsiona. Kiedy kucała, cztery śliskie pijawki przyczepiły się do jej pupy. Zdołała je oderwać, nim

zaczęły ssać krew, więc nie doznała uszczerbku na zdrowiu – może jedynie na zdrowiu psychicznym. Miała dla nas jedną radę.

– Nie kucajcie zbyt nisko, jeżeli już musicie to robić.

Ja również musiałam wybrać się w krzaki i z zaniepokojeniem zauważyłam, że kiedy tylko kucnęłam, pijawki zaczęły pełznąć w moją stronę. Nie mogłam nie podziwiać ich falistych ruchów. Pijawka mierząca nieco ponad centymetr rozciągnęła się do prawie pięciu centymetrów, wiła się w miejscu dopóty, dopóki nie wyczuła ciepłego obiektu obok, po czym ustawiła falujący koniec na ziemi, kurcząc i następnie wydłużając drugi koniec. Przypominało to nieco sprężynę, którą bawią się dzieci, spuszczając jej obciążony koniec ze schodów. Niewątpliwie mój podziw dla pijawek byłby większy, gdybym to nie ja miała być ich ofiarą. Zdecydowałam, że najlepszą strategią na siusiu będzie odtąd szybkie kucanie na otwartej przestrzeni.

Tragarz niosący dwa toboły – ładunek ważący 60 kilogramów (fot. Vera Kormakova).

Szerpijki biorące udział w wyprawie (z archiwum Autorki).

Piro Kramar (z archiwum Autorki)

Vera Watson (z archiwum Autorki)

Alison Chedwick-Onyszkiewicz (fot. Irene Miller)

Annie Whitehouse (fot. Irene Miller)

Po kolacji przyjęłam zaproszenie pana Gurunga do lokalnego hotelu. Tragarze tańczyli i pili przy ognisku raksi (trunek o ostrym smaku uzyskiwany ze sfermentowanego ryżu). Tancerze zmysłowo poruszali się do rytmu bębnów; ich gwałtowne ruchy bioder przywodziły mi na myśl tańczących w welonach chłopców z Afganistanu.

Reszta obserwowała tancerzy, siedząc wokół ogniska. Ogromny sikh, którego palce były tłuste od resztek ryżu i dalu, entuzjastycznie machał rękoma i klaskał w rytm muzyki. Poza Mingmą i Lakpą, którzy stali w deszczu, pilnując ładunków, nasi Szerpowie zebrali się, by popatrzeć i przyłączyć się do tańca.

Mijając ich po drodze do namiotu, życzyłam im dobrej nocy i podziękowałam za ciężką pracę.

– Jeszcze tylko trzy noce na warcie – odparł Mingma. – Za Choyą nie ma ludzi. Ładunki bezpieczne.

Codzienne wkładanie przemoczonych tenisówek oraz wilgotnych ubrań nie było przyjemne i większość z nas była rano przygnębiona. Zazwyczaj spożywałyśmy owsianki, herbatki i ćapati (rodzaj nepalskiej tortilli) w ciszy. Bardziej rozmowna była jedynie Margi.

– Boże, dość mam już owsianki. Szczególnie z grudami – zaczęła.

Cisza.

– Przynajmniej jest dżem truskawkowy – powiedziała, zabierając słoik dżemu sprzed nosa Very W., która właśnie chciała go sobie nałożyć na ćapati. Wszyscy jęknęli w duchu. Margi była bardzo ekspresywna, a jej maniery przy śniadaniu zaczynały działać nam na nerwy. Była odpowiedzialna za przygotowywanie posiłków obiadowych; dziś stwierdziła, że to ją znacznie opóźni, ale po 15

minutach narzekania wzięła się do pracy i zapakowała wszystkie obiady w błyskawicznym tempie kilku minut.

Gdy wręczyła mi obiad, poprosiłam ją na stronę, mówiąc, że chcę z nią przedyskutować sprawę ilości jedzenia. Chociaż Margi z nas wszystkich liczyła najmniej lat, to była bardzo bystra i zorganizowana. Pilnowała naszych ubywających zapasów ryżu i podzielała moją opinię, że szybko skończy się nam jedzenie. Zanim to jednak przedyskutowałyśmy, uznałam, że pora na kilka osobistych uwag. Jeżeli już teraz Margi wszystkich irytowała, wysoko w górach jej narzekanie mogłoby stać się nie do zniesienia.

– Wiesz, Margi, pracujesz tak samo ciężko jak inni i bardzo pomagasz mi w planowaniu, ale ludzie mniej doceniają twoją pracę przez to, że tak strasznie narzekasz.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, pomyślała przez chwilę i w końcu zgodziła się ze mną.

– Może i tak – powiedziała. Po czym dodała: – Dzięki, że mi to powiedziałaś, postaram się przystopować. I proszę, jeżeli później znowu będę was czymś wkurzać, po prostu powiedzcie mi.

Byłam zadowolona, że nie przeszła do defensywy. Była wystarczająco opanowana, by przyjąć moją krytykę, zrozumiawszy, że mówię to w jej najlepiej pojętym interesie.

Wkrótce wyszłyśmy z lasu i wyłoniła się przed nami rzeka Kali Gandaki. Odwróciłam się do Margi.

– Ta rzeka płynie z lodowca Annapurna i z Mustang, regionu Nepalu, który na północy rozciąga się aż do Tybetu.

Przeszłyśmy przez nowoczesny most zawieszony nad wzburzonym strumieniem. Po drugiej stronie nasz szlak połączył się z północną drogą z Indii, którą szli Maurice Herzog i jego zespół podczas pierwszego wejścia na Annapurnę w 1950 roku. W tym czasie było niewiele map tych terenów, na dodatek pełnych

błędów. Francuzi tygodniami starali się pokonać Wielką Barierę lodowych szczytów sięgających 7600 metrów, a także pobliską Annapurnę I. W kwietniu jako pierwsi przeszli trudną drogę z Choi nad spadzistym wąwozem Miristi Khola do obozu bazowego na północnej stronie Annapurny, którą i my miałyśmy niebawem pokonać. Gdy wreszcie znaleźli szczyt, szybko wspięli się na niego przez lodowiec nazwany przez nich Sierpem. 3 czerwca Maurice Herzog i Louis Lachenal dotarli na szczyt.

Kiedy zaczęli swoje mordercze podejście, nadszedł monsun. Herzog odmroził sobie palce u stóp i rąk (zgubił rękawiczki tuż pod szczytem). Tragarze znieśli go na plecach, majaczącego z bólu, w samym środku monsunu, do obozu bazowego, a później, po stromych, błotnistych szlakach, aż do Indii. Pokonał parujące od ciepła i wilgoci indyjskie równiny pociągiem, a lekarz wyprawy amputował jego zarażone gangreną palce rąk oraz nóg i wyrzucał je z pędzącego pociągu.

Po tamtej szaleńczej wspinaczce było jeszcze dwanaście różnych podejść, z których trzy zakończyły się sukcesem. W 1970 roku ekspedycja brytyjsko-nepalskiej armii, poprowadzona przez Henry'ego Daya, dokonała drugiego wejścia drogą Herzoga. Day napisał do mnie, ostrzegając przed częstymi lawinami na tym szlaku. Dodał również: „Nie mogę powiedzieć, by Sierp był słuszną drogą – szczególnie teraz, kiedy jestem ojcem dwójki dzieci".

W tym samym czasie druga brytyjska ekspedycja, prowadzona przez Chrisa Boningtona, wspięła się na szczyt inną drogą, po urwistej południowej stronie – co było w tamtym czasie najtrudniejszą wspinaczką na takiej wysokości w historii alpinizmu.

W 1976 roku Holendrzy, których liderem był A.A. Verrijn-Stuart, uniknęli niebezpieczeństw Sierpa, wspinając się po stromym, lodowym żebrze na wschodzie.

Chciałyśmy podejść tą samą drogą albo znaleźć inną, wysuniętą jeszcze bardziej na wschód.

Margi i ja przeszłyśmy razem ponad wioską Tatopani, która znana jest z upalnych wiosen. Dołączyłyśmy do Alison, która brała kąpiel w gorącym źródle na skraju miasteczka. Kiedy dotarłyśmy do hotelu, w którym miałyśmy spędzić noc, ujrzałyśmy, że podwórko jest zasypane gazetami i suchymi roślinami. Vera K. dostała grant na badanie nepalskiej roślinności, więc starała się uzbierać i zidentyfikować jak najwięcej gatunków, które rosły w tej okolicy. Była to gigantyczna praca, ale Vera była szczęśliwa.

W międzyczasie Lopsang, Liz i Vera W. próbowali kupić ryż dla tragarzy. Naszemu kucharzowi Szerpowi – a nawet członkiniom ekspedycji – trudno było pojąć, jak ogromne ilości ryżu musiałyśmy wziąć do obozu bazowego. Ja i Margi wyliczyłyśmy to tego ranka. Tragarze spędzą sześć dni w drodze z Choi do obozu bazowego i z powrotem. Powyżej Choi nie było żadnych wiosek, w których można by było kupić jedzenie czy skorzystać z noclegu. Tragarze noszą po 30 kilogramów bagażu, a jedzą przynajmniej kilogram ryżu dziennie. W ciągu sześciu dni dwustu tragarzy spożyje przynajmniej 1400 kilogramów ryżu. Do przeniesienia tej ilości potrzebujemy przynajmniej czterdziestu dodatkowych tragarzy. Ci zjedzą dodatkowe 240 kilogramów, zatem potrzeba kolejnych osiem osób.

Lopsangowi udało się znaleźć tylko pięciu dodatkowych tragarzy, więc kupiłyśmy 150 kilogramów ryżu.

– Bardzo dużo ryżu – zapewnił mnie nasz sirdar. Ryżu było tak naprawdę za mało, ale nie mogłyśmy kupić go więcej, bo nie miałby go kto nieść.

21 sierpnia był naszym ostatnim dniem na bitym szlaku. Około południa rozbiliśmy obóz na równinie Pangbu Khola, tuż nad

wioską Choya. Kiedy większość poszła się kąpać, Liz, Lopsang i ja próbowaliśmy zdobyć więcej jedzenia dla tragarzy w Choi. Nie było ryżu, więc chcieliśmy kupić około 750 kilogramów tsampy (mąki z prażonego jęczmienia). Żeby ją zdobyć, musieliśmy chodzić od domu do domu, w każdym kupując, ile tylko się dało. Siedzieliśmy w zadymionych pokojach na podłogach wokół ognisk, na których matki gotowały ziemniaki, a dzieci je obierały. Z sufitów zwisały wędzące się nad ogniskami żaby, a za kominy służyły dziury w sufitach.

Ojcowie siadali przy ogniskach i targowali się o cenę. Matki głośno protestowały, że ich mężowie chcą sprzedać zbyt wiele, lub narzekały, że cena jest zbyt niska. Po negocjacjach ojciec wyciągał jutowe worki wypełnione tsampą i zaczynał skomplikowany rytuał odliczania – wysypywał zawartość worka na tacę i dłonią nakładał mąkę do miarki. W tym czasie kobieta skandowała – co brzmiało, jakby się modliła – liczby po nepalsku: „Ek-ek-ek..., dui-dui-dui..., tin-tin-tin..." i tak w kółko, aż do odmierzenia wszystkich worków. Procedura wyglądała tak samo w każdym domu.

Liz i ja chodziłyśmy od chaty do chaty, a kiedy wykończone wróciłyśmy do obozu, wciąż nie miałyśmy wystarczająco dużo tsampy. Joan zaoferowała, że następnego dnia dokupi resztę.

O zmierzchu chmury na chwilę się przerzedziły, ukazując lodowy grzbiet prowadzący na Annapurnę. Kiedy zasypiałam, słyszałam Szerpów śpiewających z mieszkańcami wioski – ostatnimi tubylcami na naszej drodze.

Francuska Przełęcz
22–27 sierpnia

Minigma modlił się przed świtem w sąsiednim namiocie. – Om mani padme hum, om mani padme hum.

Dziś mieliśmy zacząć najtrudniejszą część dziesięciodniowej podróży do północnego obozu bazowego Annapurny. Pamiętałam tę drogę z mojego rekonesansu w zeszłym roku. Pierwszego dnia idzie się przez rosnący na niemal pionowym stoku gęsty las, po śliskim błocie, aż do obozu w lesie. Następnego dnia drogę przez las miały zastąpić równie strome trawiaste stoki, prowadzące do Francuskiej Przełęczy na wysokości 4400 metrów, którą po raz pierwszy pokonała ekipa Maurice'a Herzoga w 1950 roku. Później miałyśmy pokonać długie, odsłonięte przejście nad ogromnym kanionem rzeki Miristi Khola, które prowadzi do trzeciego obozu. Lider holenderskiej ekspedycji powiadomił mnie, że na tym przejściu stracili cztery ładunki (nie powiedział, co się stało z niosącymi je tragarzami). Ostatniego dnia droga bardzo stromo opadła o około kilometr, po czym znów prowadziła w górę na podobną wysokość aż do obozu bazowego u stóp północnego lodowca Annapurny.

Na zewnątrz zobaczyłam Lopsanga otoczonego dużą grupą żywo gestykulujących tragarzy.

– Namaste, bara memsahib – powiedział, kiedy mnie zobaczył. – Ci tragarze się boją. Nie chcą iść do obozu bazowego. Chcą wracać

do domu.

Patrząc na ich bose stopy, obszarpane szorty i równie obszarpane koszule, współczułam im. Jeżeli na Francuskiej Przełęczy złapałaby nas pozasezonowa burza, ich ubrania okazałyby się zbyt cienkie.

– Poproś tragarzy, żeby jeszcze dziś zgodzili się zanieść po jednym ładunku do obozu w lesie – zasugerowałam. – Jeżeli dalej będą się bać, mogą wracać do domu.

Jeżeli większość tragarzy by odeszła, bylibyśmy zmuszeni spędzić okres dobrej pogody po monsunie, transportując bagaże, zamiast wspinać się na górę, dokładnie jak ekspedycja na Churen Himal. Lopsang przekonał tragarzy, żeby zostali jeszcze chociaż jeden dzień, lecz mimo to opuszczali zaludniony teren z widoczną niechęcią. Irene i ja trochę poczekałyśmy, upewniając się, że wzięli wszystkie ładunki, po czym podążyłyśmy za ostatnim tragarzem. Idąc, gawędziłyśmy, a teren stawał się coraz bardziej stromy.

– Po tym, jak usłyszałam o twojej wyprawie w zeszłym roku, bałam się, że stracę zimną krew, zanim jeszcze dotrzemy do obozu bazowego – wyznała. – Boję się stromych zboczy w okolicach Francuskiej Przełęczy.

– Daj spokój. Powiedziałam jedynie, że droga do obozu bazowego może sprawiać trudności osobom, które nigdy nie chodziły po górach. Ale ty nie będziesz miała żadnych problemów, gwarantuję.

Szłyśmy wąskim szlakiem pomiędzy urwistymi zboczami aż do brzegów rzeki Tangdung Khola, gdzie zatrzymałyśmy się na obiad. Był to jedyny w okolicy teren wystarczająco płaski i duży, by dało się na nim spokojnie coś zjeść. Było tu również nasze źródło wody na następne dwa dni.

Nad rzeką szlak nagle skierował nas na niemalże pionową, kamienną płytę pokrytą błotem, śliskimi liśćmi i korzeniami, które

pomagały w łapaniu równowagi. Następnie szlak powiódł nas do lasu. Wysoko nad naszymi głowami piął się niezwykle stromy stok porośnięty krzakami rododendronów, drzewami i nieznanymi nam żółtymi, białymi oraz niebieskimi kwiatami. Wąska błotnista ścieżka wiodła przez sam środek tej niesamowitej roślinności. Nasze buty ślizgały się w mazi; bose stopy tragarzy zdawały się dawać większą przyczepność. Kiedy dotarłam do obozu w dżungli, z twarzy spływały mi strużki potu, a ramiona i nogi piekły od wielokrotnych spotkań pierwszego stopnia z parzącymi pokrzywami. Jednak fakt, że wreszcie wspięłam się ponad ostatnią wioskę, podniosło mnie na duchu.

W zeszłym roku nazwałam to miejsce „obozem z widokiem na Dhaulagiri", ponieważ widać stąd było ten górski łańcuch. Dhaulagiri I, o wysokości 8170 metrów, jest najwyższym szczytem w tym masywie i znajduje się zaledwie 25 kilometrów od Annapurny I. Te dwie góry przecina dolina Kali Gandaki, sięgająca zaledwie 3000 metrów – jest to jedna z największych różnic wysokości na całym świecie. Dziś obóz nie mógł się poszczycić tym widokiem z powodu bardzo gęstych chmur. W bezpośrednim sąsiedztwie obozu nie było też wody, musieliśmy po nią schodzić pół godziny do małego źródełka.

Jedzenie dla tragarzy stało się palącym problemem. Poprzedniego dnia udało się nam kupić jedynie 150 kilogramów jedzenia, a potrzebowaliśmy około tony. Joan została w tyle, by dokupić resztę, ale gdy około godziny 16 pojawiła się w obozie, okazało się, że jej wysiłki spełzły na niczym.

– Jest lokalne święto. Nikt dziś nie robi tsampy – wytłumaczyła.

Po podliczeniu naszych zapasów ryżu i tsampy byłam przerażona. Miałyśmy około dwustu wygłodniałych tragarzy i tylko 200 kilogramów jedzenia – co było ilością wystarczającą na jeden dzień.

Przysunęłam swój taboret do paleniska, przy którym Lopsang pożerał ze smakiem tsampę, zanurzając palce aż po knykcie w brązowym cieście i formując je w kulki.

– Nie damy rady z taką ilością jedzenia – powiedziałam do niego. – Jeszcze jeden dzień i nie będziemy mieć czym nakarmić tragarzy. Wrócą do domów i zostanie nam tylko szóstka Szerpów i dziesięć dziewczyn, a do obozu bazowego musimy wnieść dwieście sztuk bagażu. Nie damy rady wspiąć się na Annapurnę.

Lopsang pojął powagę sytuacji. Wcześniej wciąż powtarzał: „Bardzo dużo ryżu!", nie pojmując, ile tak naprawdę potrzebowaliśmy. Gdyby wszyscy tragarze mieli tu zostać następnego dnia, zjedliby wszystko, co nie zbliżyłoby nas w żaden sposób do obozu bazowego. Naprędce obmyśliłam plan. 200 kilogramów ryżu starczy ledwie dla pięćdziesięciu tragarzy. Mogliby iść przez jakiś czas, a w tym czasie kilku tragarzy mogłoby pójść do Choi po więcej ryżu. Reszta przeniosłaby bagaże do Francuskiej Przełęczy, po czym zeszłaby tu na dół na noc. Lopsang zgodził się, że warto spróbować, więc Irene dała głównemu naike (liderowi grupy składającej się z około pięćdziesięciu tragarzy) 3000 rupii na ryż i tsampę. Kiedy on i jego tragarze zaczęli ześlizgiwać się z błotnistego szlaku, zapadała już noc.

Następnego ranka miejsce naszego postoju zmieniło się w istne pandemonium. Przygotowywano jedzenie i toboły dla Alison, Annie i czterdziestu tragarzy, którzy mieli iść prosto do obozu bazowego. Z pudeł wyjęto ciężki sprzęt i linę poręczówkę.

Stu tragarzy, którzy mieli przetransportować nasze ładunki na Francuską Przełęcz, również potrzebowało tego sprzętu. Deszcz lał wszystkim na głowy, a tłum tragarzy biegał w kółko, usiłując złapać jakikolwiek bagaż i iść w drogę, a w tym samym czasie my usiłowałyśmy przygotować dwieście ciężkich pudeł i koszy.

Vera W. i Liz rozdawały racje żywnościowe na cztery dni tragarzom, którzy szli od razu do obozu bazowego. Jednak inni również chcieli dostać swoje porcje na cztery dni i musiałyśmy ich przekonywać, że więcej jedzenia dostaną dopiero wieczorem. Kiedy tragarze odchodzili, Irene odznaczała ich numery identyfikacyjne, Joan rozdawała papierosy, zrobiła kopię listy przedmiotów i pomagała Irene odczytywać numery pudeł. Tłum tragarzy niecierpliwie czekał, a ja zauważyłam, że kilku z nich usiłuje uniknąć zapisania.

– To za dużo jak na jedną osobę. Poproszę kogoś, żeby ci pomógł – zaoferowałam.

Jednak Joan w ciszy dalej robiła wszystko naraz.

– Zajmij się wyłącznie listą – powiedziałam ostro. – Margi, chodź tu i rozdawaj papierosy. Christy, pomóż w odczytywaniu numerów.

Wreszcie wszystko zaczęło iść gładko – generałowie muszą mieć swój wkład w bitwę. Jednak mój żołądek kurczył się z nerwów. Annie doniosła mi, że Lopsang też ma problemy z żołądkiem i bardzo wysokie ciśnienie. Poszłam do jego namiotu zobaczyć, jak się czuje.

– Namaste, Lopsang. Jak się czujesz?

– Ach, bara memsahib. Namaste. Z żołądkiem bardzo źle. Dziękuję.

Więc nie tylko ludzie Zachodu cierpią z powodu stresu. Najwyraźniej problemy dowództwa, pilnowanie Szerpów, tragarzy, memsahib, ryżu i tysiąca szczegółów odcisnęło swoje piętno na żołądkach naszej dwójki.

– W Ameryce bogaci biznesmeni mają wiele zmartwień i muszą podejmować wiele decyzji. Dostają bólów żołądka, które nazywamy wrzodami. Być może sirdar jest jak biznesmen. Pracuje bardzo ciężko.

Lopsang roześmiał się głośno zachwycony porównaniem.

Niecierpliwie czekałam cały dzień na przybycie jedzenia. Ulżyło mi, kiedy o trzeciej po południu główny naike powrócił z Choi z szerokim uśmiechem i tragarzami niosącymi ogromne ilości tsampy oraz ryżu. Wyglądało na to, że jednak nam wystarczy. Jednak musieliśmy zważyć każdy worek, by się upewnić, a ja pomyślałam sobie, że ten dzień będzie nazywał się Dniem Pathi. Pathi jest równe trzem dziennym racjom tsampy lub czterem ryżu (dwanaście pathi tsampy waży 24 kilogramów, osiem pathi ryżu waży 28 kilogramów). Naike kupił sto pathi tsampy i sześćdziesiąt pathi ryżu. Dwanaście pathi składa się na muri. Więc w zasadzie kupił trzy muri ryżu i pięć muri tsampy – zaledwie tyle, by starczyło do obozu bazowego. Mimo wszystkich tych muri i pathi odchodziło coraz więcej tragarzy. Chcieli wracać na dół, gdzie było sucho i ciepło.

Rano, kiedy wspinałyśmy się na stromy szlak prowadzący z naszego obozu w stronę Francuskiej Przełęczy, masyw Dhaulagiri wyjrzał zza chmur i wyglądał, jakby był na wyciągnięcie ręki. Błotnistą ścieżkę obrastała niezwykła obfitość kwiatów w żywych kolorach. Zawsze w marzeniach chciałam chodzić po chmurach, a dziś miałam wrażenie, jakbym mogła po prostu odepchnąć się od ścieżki, wskoczyć na najbliższą chmurę i polecieć na niej na szczyt Dhaulagiri.

Joan szła tuż za mną, gdy powoli wdrapywałam się na trawiaste wzgórze ponad obozem w lesie. Przeprowadziła remanent, który wykazał, że w ciągu siedmiu dni marszu spożyłyśmy ponad połowę ryżu i innych surowców, które miały wystarczyć na trzy miesiące. To oznaczało, że musiałyśmy posłać tragarzy po jeszcze więcej drogiego lokalnego jedzenia.

– Musisz lepiej pilnować, ile jemy – stwierdziłam z niecierpliwością. – Jeżeli zapasy nam się skończą, nie będziemy

w stanie wejść na górę.

– Myślałam, że będzie to robić kucharz Pasang. Nie miałam pojęcia, że będziemy zmuszone żywić tak wiele dodatkowych osób – tłumaczyła Joan wyraźnie zraniona. – Poza tym nigdy nie byłam dobra w skomplikowanych obliczeniach.

Ileż razy słyszałam kobiety lamentujące nad swą ignorancją w kwestiach arytmetyki wykraczających poza cztery proste działania! Tradycyjne wychowanie ogranicza nas w bardzo wielu dziedzinach, a stwierdzenie, że „dziewczyny nie znają się na matmie", jest najlepszym tego przykładem. Obawa przed matematyką trzyma kobiety z dala od wielu ścieżek kariery, a teraz nawet zagroziła naszej wspinaczce.

Popatrzyłam na Joan z większym zrozumieniem.

– Jeżeli nie czujesz się z tym dobrze, mogę wyznaczyć kogoś, żeby zajął się jedzeniem – powiedziałam.

– Nie, nie, w porządku – zaprotestowała stanowczo, ale nie wyglądała na szczęśliwą.

Puściłam Joan przodem i szłam dalej sama, myśląc o niej. Była niezwykłą kobietą. Urodziła trójkę dzieci, każde w odstępie sześciu lat, a przez cały ten czas się wspinała. Powiedziała mi, że wzięła udział w wycieczce alpinistycznej na górę Rainer, na wysokości 2800 metrów, kiedy była w ósmym miesiącu ciąży. Carla, jej pierwsza córka, była na Sawtooth, kiedy miała zaledwie trzy tygodnie („Nie chciałam przegapić corocznej wspinaczki z okazji Dnia Niepodległości" – tłumaczyła Joan). W tamtych czasach, kiedy popularne było karmienie butelką, Joan karmiła swoje dzieci piersią, żeby łatwiej było brać je ze sobą na wspinaczki.

– Ale trochę bałam się nieść dziecko, jednocześnie się wspinając. Więc wspinałam się pierwsza, a za mną szedł mój mąż, z którego pleców zwisały w powietrzu małe stópki – opowiadała.

Kilkakrotnie wspinałam się razem z Joan na postrzępione pasmo North Cascades i bardzo szanowałam jej siłę, samowystarczalność oraz umiejętność odnajdywania drogi. Gdybym nie była liderką wyprawy, jestem pewna, że już od dawna byłybyśmy przyjaciółkami.

Joan drażniła mnie, bo miała wiele cech, które ja chciałam jako liderka posiadać – była naturalnym przywódcą, pełna charyzmy i zdecydowana. Nie zgadzałyśmy się dosłownie w każdej kwestii i obydwie bałyśmy się, że wokół nas stworzą się frakcje, przez co jedność grupy legnie w gruzach. Przed wyjazdem do Nepalu długo omawiałyśmy naszą sytuację. W końcu obiecała, że będzie wspierać moje decyzje, mimo to atmosfera między nami wciąż była napięta. Chociaż tutaj, na szlaku, załatwienie kwestii jedzenia było niezbędne, nasze stosunki powodowały, że nie chciałam interweniować dopóty, dopóki nie było to absolutnie konieczne. Martwiłam się, że nie załatwiłam tego najlepiej, a Joan i tak wyglądała na zranioną.

Przez resztę dnia szłam samotnie do czasu, gdy nie dołączyłam do grupy tragarzy jedzących obiad. Kiedy dzieliliśmy się jedzeniem, gawędzili wesoło, najwyraźniej nieświadomi opadającej na nas zimnej mgły. Czy byliby równie zadowoleni, gdyby byli zmuszeni spać na odsłoniętej Francuskiej Przełęczy? Tuż pod przełęczą zauważyłam chaty pasterzy, którzy wyprowadzali swoje stada w góry na okres letni. Ten widok sprawił, że wpadłam na pomysł, jak podnieść ducha tragarzy. Kiedy tylko dotarłam do obozu, znalazłam Lopsanga.

– Dziś tragarze będą głodni i zziębnięci. Musimy im dać ciepłe ubrania i barana do zjedzenia.

Lopsang miał wątpliwości co do dawania dobrych ubrań i mięsa tragarzom z niskiej kasty.

– Nie można dawać tragarzom ubrań, bo każdy zażąda identycznego przydziału. A nie mamy setki takich samych – zaoponował.

Mieliśmy ze sobą wystarczającą ilość wełnianych spodni, koszul, swetrów i czapek, żeby odziać trzydziestu tragarzy od stóp do głów. Teraz, kiedy było ich prawie stu, mogliśmy tylko częściowo odziać każdego.

– Lepiej dać każdemu z nich koszulę, sweter albo spodnie niż zupełnie nic – powiedziałam.

– Dobrze, bara memsahib – Lopsang nie wyglądał na przekonanego. – Szerpowie też potrzebują mięsa.

– Oczywiście. Szerpowie i członkinie wyprawy mogą wziąć dwa udźce baranie. Resztę rozdaj tragarzom.

Wielki baran z przepięknymi zakręconymi rogami został przywleczony do naszego obozu. Po długiej dyskusji o zaletach biednego zwierzęcia wszyscy zgodzili się co do ceny, a baran został zabrany na ścięcie.

Później znalazłam Verę W. i spytałam ją, czy nie zechciałaby przejąć na siebie obowiązku zakupów lokalnego jedzenia.

– Pewnie – zgodziła się. – Ale co z Joan?

– Joan twierdzi, że nie radzi sobie z obliczeniami – powiedziałam. – Obawiam się, że jeżeli ilości jedzenia nie będą skrupulatnie pilnowane, może nam się ono szybko skończyć.

Poszłyśmy powiadomić kucharza Pasanga o zmianach. Wskazując na okrwawione truchło barana, natychmiast stwierdził:

– Memsahib, pokaż mi, jak mam dzielić.

Vera W. nagle wydała się być zaniepokojona swoimi nowymi obowiązkami, ale zostawiłam ją tam, omawiającą anatomię barana z Pasangiem.

W międzyczasie Joan i Irene rozdawały tragarzom ubrania. Nie udało się nam wszystkich kompletnie wyposażyć, ale tragarze wydawali się dosyć zadowoleni z tego, co dostali, paradując dookoła w nowych strojach. Jeden z nich miał na sobie parę wełnianych portek, które ściągnął paskiem tuż pod pachami; inny sweter, który sięgał mu do kolan; jeszcze inny jaskrawo czerwone skarpetki, rękawiczki i czapkę, a także szorty, T-shirt i plastikowe sandały.

Tej nocy deszcz rytmicznie uderzał o dachy namiotów, ale za to poranek był spokojny. Vera W. wcześnie wyszła na zewnątrz i zaraz krzyknęła:

– O mój Boże! Widać Annapurnę, jej zachodnią stronę – Fang. Widać Dhaulagiri, lodowiec. Widać Nilgiri!

Rzęsisty deszcz rozprawił się z kurzem unoszącym się wcześniej w powietrzu, sprawiając, że po raz pierwszy można było zobaczyć lodowe szczyty. Przełęcz wyglądała pięknie – porastające ją kwiaty otwierały pąki, witając wczesne słońce, a ich płatki błyszczały od kropelek rosy. Szliśmy na zachód, wzdłuż grzbietu, przez kwiaty po kolana; z obu stron po kilkaset metrów w dół opadały strome himalajskie wąwozy.

Himalaje są młodym łańcuchem górskim, wciąż prącym w górę pod ciśnieniem kolizji płyty kontynentu Azji i Indii. Tanya Atwater, moja przyjaciółka geofizyczka, kiedyś mi to wyjaśniła:

– Indie pędzą na łeb na szyję ku Chinom, popychając Himalaje w górę. Chiny zaś poruszają się na wschód, w stronę Pacyfiku, by usunąć im się z drogi, co powoduje liczne trzęsienia ziemi w Chinach.

Kiedy szłyśmy na Annapurnę, Tanya prowadziła ekspedycję oceanograficzną, badając rozszczepienie, które pojawiło się na środku Atlantyku w efekcie rozpychania się Afryki i Ameryki.

By przeprowadzić badania, Tanya razem ze studentką ostatniego roku zeszły łodzią podwodną niemal trzy kilometry poniżej poziomu morza – to był pierwszy raz, kiedy kobieta przeprowadziła tak skomplikowaną podwodną misję badawczą. Tanya i jej studentka miały koszulki, na których było napisane: „Miejsce kobiet jest na dole". Miałam zatem nadzieję, że tego lata kobiety będą zarówno „szczytować", jak i „dołować".

Vera K. czuła się jak u siebie w domu na tym stromym terenie, otoczonym łagodnymi ukwieconymi łąkami.

– Widziałam ten gatunek mchu na Alasce – powiedziała podekscytowana, kiedy przechodziłam obok, gdy Vera klęczała i uważnie przyglądała się jakimś dla mnie zupełnie nieciekawie wyglądającym roślinkom. – Ale nie wiedziałam, że występuje on również w Azji. Może napiszę o tym rozprawę.

Spojrzałam na roślinę z pewnym zainteresowaniem.

Irene, którą spotkałam chwilę później, nie miała równie dobrego dnia.

– Jako jedyna tutaj nie wspinam się dobrze. Może powinnam zrezygnować? – martwiła się, kiedy usiadłam obok niej na występie kamiennym z widokiem na strome zbocza.

Jak zwykle starałam się ją pocieszyć:

– Irene, to śmieszne, co mówisz. Jesteś tutaj jedną z najsilniejszych osób, a oprócz tego jedną z najciężej pracujących. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, zajmując się księgowością, sprzętem i płatnościami dla tragarzy. Poza tym oprócz mnie jesteś jedyną osobą, która wcześniej była w Nepalu. Potrzeba ci więcej pewności siebie.

Irene była w Nepalu w 1961 roku ze swoim byłym mężem, który był członkiem ekspedycji sir Edmunda Hillary'ego na Makalu. Hillary nie chciał kobiet w swoim obozie. Kilka żon himalaistów,

które przyjechały do Nepalu, żeby towarzyszyć mężom do obozu bazowego, zagnano w ciągu kilku dni na wysokość 5800 metrów, po czym odesłano do Katmandu. Bardzo szybkie podejście musiało u nich spowodować problemy wysokościowe; w zapisie ekspedycji wspomniano tylko, że nie mogły się one przystosować do dużych wysokości.

Później, w trakcie tej samej ekspedycji, Irene zgłosiła się jako pomoc meteorologiczna dla jednego z alpinistów, Barry'ego Bishopa. Miała wtedy 26 lat, była u szczytu możliwości po niezwykle trudnych wspinaczkach w Peru, Wyoming i Kalifornii. Chciała ustanowić światowy kobiecy rekord wysokościowy. Kiedy Hillary się w tym zorientował, powiedział Bishopowi, że wyrzuci go z ekspedycji, jeżeli jego towarzyszka postawi stopę powyżej 5800 metrów. Więc Irene pomagała Barry'emu tylko poniżej tej wysokości.

– Wtedy nikt nawet nie próbował traktować kobiet w równy sposób – powiedziała mi. – Od tamtego czasu przeszłam spondylodezę, pracuję na pełen etat i zajmuję się rodziną – słowem, nie jestem już tak dobra we wspinaczce. Poza tym mam 43 lata. Jestem za stara na to, żeby się tak wysoko wspinać. Mogłoby mi się udać, gdybym miała 26 lat – dodała.

– Nie dowiesz się dopóty, dopóki nie spróbujesz – powiedziałam. – Na razie świetnie ci idzie. Masz szansę wejść na szczyt.

Kiedy rozmawiałyśmy, do wąwozu zakradła się wszechobecna mgła i nasza widoczność ograniczała się teraz do półtora metra w każdym kierunku. Tuż obok naszego wąskiego szlaku znajdowała się przepaść, a tragarz, który niósł podwójny ciężar – 66 kilogramów, poślizgnął się i skręcił nogę w kostce. Na szczęście Piro była tuż obok i pomogła zabandażować nogę. Próbowałyśmy

przejąć od niego część bagażu, ale uparł się, by wszystko zostawić jemu.

Później nasz marsz spowolnił wartki strumień pełen śliskich głazów. W grudniu byłby to zaledwie spokojny strumyczek, ale teraz panowała pora monsunowa. Włożyłam trapery do plecaka, podwinęłam dżinsy, złapałam linę, którą zostawiła tu poprzednia grupa, i włożyłam stopy w lodowatą wodę, szukając miejsca, w którym bym się nie zapadła w dno. Przekroczyłam strumień nie bez trudności i zostałam, by pomóc tragarzom. Wielu z nich z gracją przebiegło przez strumień, w pogardzie mając linę zabezpieczającą, ale reszta męczyła się ze swymi ciężkimi bagażami. Margi zawróciła i spędziła godzinę, stojąc po kostki w lodowatej wodzie i pomagając przejść tragarzom.

Przejście wydawało się trwać w nieskończoność – w głąb wąwozu, po kamieniach na górę, znów w dół i ponownie w górę. W końcu z mgły zaczęły wyłaniać się namioty. Czekało w nich dziesięciu naszych tragarzy dodatkowych, którzy poszli przodem, by zbudować most nad Miristi Khola (to miejsce nazwaliśmy „obozem tragarzy dodatkowych"). Byli to ciężko pracujący, ale niedoświadczeni we wspinaczce Szerpowie, którzy zostali zatrudnieni, by pomóc nam dźwigać bagaże do obozów I i II. Na tej wyprawie zdobywali umiejętności, dzięki którym staną się lepiej opłacanymi tragarzami pracującymi na dużych wysokościach.

Joan dotarła ostatnia, poruszając się bardzo powoli. Tego dnia dostała silnego bólu klatki piersiowej i wysokiej gorączki. Piro zdiagnozowała zapalenie opłucnej i zaleciła kilka tygodni odpoczynku, ale od obozu bazowego dzielił nas tylko jeden dzień marszu i Joan niewzruszona upierała się, że dokończy marsz razem z resztą.

Następnego dnia zeszliśmy około 1000 metrów do Miristi Khola. Po minięciu ostro nachylonego zbocza pokrytego kwitnącą łąką trafiłam na znajome kamienne płyty. Podczas zeszłorocznego rekonesansu również tu byłam podczas gęstej mgły i również stąpałam po tych samych, pokrytych lodem płytach. Usiadłam na nich. Spoglądając przez lewe ramię, zauważyłam, że znajdowałam się na samym brzegu pionowego urwiska, opadającego jakieś 50 metrów w dół. Moją jedyną myślą było teraz, że najadłabym się wstydu, gdybym jako liderka ekspedycji cofnęła się z miejsca, które pokonałam podczas wyprawy rekonesansowej.

W końcu doszliśmy do kolczastych krzaków otaczających skarpy Miristi Khola. Wąwóz Miristi Khola jest fantastycznym miejscem – pionowe kamienne ściany przedzielone ryczącą dziką rzeką. Sześć dni wcześniej, nad Tatopani, widzieliśmy ujście rzeki znajdującej się trzy kilometry poniżej. Idąc z Taopani do Choi, wybraliśmy okrężną drogę – odchodząc od rzeki w górę przez Francuską Przełęcz i z powrotem w dół. Była to mimo wszystko najprostsza droga – Miristi Khola płynęła przez nieprzebyte kaniony i wąwozy pomiędzy miejscem, w którym się znajdowaliśmy, a Tatopani.

Ścieżka prowadziła przez cierniste krzewy do zbudowanego przez nas prowizorycznego mostu, który składał się z kłód i trawiastej darni rozrzuconej pomiędzy dwoma dużymi głazami ułożonymi na wąskim odcinku pienistej rzeki. Tragarze, którzy poszli przodem, wykonali kawał dobrej roboty, budując most, ale zażądali wysokiej ceny: tygodniowej pensji dla każdego za coś, co wymagało jednego dnia pracy.

Kiedy ostrożnie przechodziłam przez spienioną rzekę, myślałam o podejściu niektórych Nepalczyków.

– Dlaczego bogaci Amerykanie, którzy przyjeżdżają się tu wspinać, nie mieliby płacić za ten przywilej?

W istocie, dlaczego nie? Jeżeli byli na tyle sprytni, żeby namówić nas na wydanie setek dolarów na most, pewnie zasługiwali na te pieniądze.

Siedziałyśmy na brzegu rzeki z Verą W., jedząc lunch, kiedy usłyszałyśmy natarczywe dzwonienie po drugiej stronie rzeki.

– To dzwonek Pinchona – powiedziała Vera W. Pinchon był dużym futrzastym szczeniakiem o ogromnych łapach; należał do pasterza, który właśnie zgłosił się do pracy jako tragarz.

– Tutaj piesku! Tutaj Pinchon! Biedak nie może przejść – Vera była podekscytowana i już miała zawrócić, by wziąć szczeniaka na ręce, kiedy ten ostrożnie przeszedł przez niestabilny most. Vera oddała mu połowę swojego obiadu.

– Och, moje biedactwo – rozczulała się nad szczeniakiem Vera. – Pan cię zostawił? – Vera karmiła Pinchona i robiła wokół niego zamieszanie do czasu, gdy jego pan nie dołączył do nas.

– Dlaczego tak się martwisz o tego szczeniaka, kiedy wokół nas jest tylu głodnych tragarzy? – spytałam, wskazując na grupkę ludzi, którzy akurat wracali po przeniesieniu bagaży z obozu bazowego i wyglądali na zziębniętych.

– Myślenie o tragarzach jest ponad moje siły – przyznała. – Poza tym uwielbiam Pinchona. Przypomina mi psa, którego miałam w Chinach jako dziecko.

Vera W. urodziła się w Chinach w społeczności rosyjskich imigrantów; mieszkała w Brazylii i Kanadzie, aż w końcu w 1962 roku osiadła w Stanach Zjednoczonych. Na początku chciała zostać aktorką, ale krótko po przyjeździe do Stanów dostała pracę jako programistka komputerów w IBM w północnej części stanu Nowy Jork. Nauczyła się wspinaczki skałkowej w pobliskich górach

Shawangunks i była w tym bardzo dobra, doceniana za styl i gracje, z jaką się wspinała. Oprócz samotnego wejścia na Aconcaguę Vera wspięła się również na górę Robson w Kanadzie, trudne szczyty w Afganistanie, Pakistanie i Boliwii, dokonała również kilku pierwszych wejść na półwyspie Kenai na Alasce. W swoją wspinaczkę i w ogóle we wszystko, co robiła, wnosiła pasję, artyzm i dobry smak. Na spotkaniu w jej domu przekąski składały się z sałatki z krewetek i awokado, dwóch rodzajów kiszu, kremowej zupy z homara, smażonego kurczaka z orzechami pinii, sufletu Grand Marnier, czerwonych malin i kremu – a Vera i tak narzekała:

– Och, jestem okropną kucharką! Ta zupa jest za słona. Zepsułam kurczaka.

Wędrówka przez zimne, wichrowe przełęcze (z archiwum Autorki).

Tragarze wchodzą na wzgórze niedaleko Francuskiej Przełęczy; w tle Dhaulagiri (fot. Arlene Blum).

Zawsze podejrzewałam, że wychowała się w środowisku, w którym kobiety traktowano jako jednostki niekompetentne w większości życiowych spraw. Ukrywała swoje możliwości pod płaszczykiem wiecznej samokrytyki, ale gdyby nie jej wysiłki i determinacja, American Alpine Club mógł nie zaakceptować naszej ekspedycji i być może nigdy nie dotarłybyśmy do Nepalu. Vera również doskonale poradziła sobie z organizowaniem wolontariuszy do zbierania funduszy. Zaprojektowała pomysłową ulotkę, pisała artykuły do czasopism i setki listów, wniosła dużo energii i entuzjazmu w całe przedsięwzięcie. Jednak kiedy tylko ktoś pochwalił ją za doskonałą pracę, mówiła:

– Och nie, nie mam tak poważnych obowiązków jak wy. Zbieranie funduszy nie jest takie istotne.

Oczywiście wszyscy ją przekonywali, że jest inaczej. Zastanawiałam się wielokrotnie, czy w głębi swego serca wie,

że doskonale sobie ze wszystkim radzi, a jedynie przed ludźmi odgrywa wyuczoną rolę nieudacznika...

Tutaj, w Nepalu, Vera W. była naprawdę nieszczęśliwa, że przydzielono jej tak mało obowiązków. Teraz wprawdzie dostała ważne zadanie – odpowiedzialność za aprowizację – ale wciąż miała wątpliwości co do swoich sił.

– Boje się, że sobie nie poradzę – powiedziała mi, kiedy w mżawce wędrowałyśmy między kamiennymi kopcami. – Bardzo się także martwię o zdrowie Joan.

Kiedy szłyśmy, wąski dotąd kanion nagle się rozciągnął, odsłaniając przed nami płaski teren, a pośrodku niego jezioro polodowcowe. Na przeciwległym końcu jeziora źródło rzeki Miristi Khola buchało niczym gejzer z samego serca lodowca. Zatrzymałyśmy się, żeby popatrzeć na ten widok, a wówczas z mgły wyłoniła się dziwaczna procesja, jakby żywcem wyjęta z „Siódmej pieczęci" Ingmara Bergmana. Na jej czele maszerowała Irene, która niosła zwyczajowy bagaż tragarza na linie zamocowanej w tradycyjny nepalski sposób na czole. Za nią szło dwóch tragarzy. Uroczyście przemaszerowali obok nas bez słowa i zniknęli we mgle. Zarówno ja, jak i Vera W. po raz kolejny byłyśmy pod wrażeniem siły fizycznej Irene. Irene powiedziała mi później, że chociaż ciężar był do zniesienia, rozbolała ją od tego szyja. Nic dziwnego: Nepalczycy zaczynają nosić takie ciężary jako dzieci.

– Wczoraj szłam z Gurungiem. Uważa, że ja i Irene – jako starsze – mamy spore szanse na dostanie się na szczyt – powiedziała mi Vera W., kiedy w końcu ruszyłyśmy. – Powiedział mi coś bardzo miłego – że chce wysłać raport do Ministerstwa Turystyki, w którym napisze: „Vera Watson wspięła się na szczyt północnej części Annapurny I". Cóż za miły młody człowiek!

Zwierzyła się również, że jej marzeniem jest dokonać pierwszego podejścia na środkowy szczyt Annapurny ze swoją dobrą przyjaciółką Alison. Góra ma w zasadzie trzy szczyty: najwyższy, na zachodzie, był naszym celem; wschodni został zdobyty przez Hiszpanów w 1974 roku, natomiast na środkowy szczyt nikt się jeszcze nie wspiął. To była kusząca perspektywa.

– Najpierw skupmy się na wspinaczce na główny szczyt. To będzie wystarczająco trudne, a być może niemożliwe, jeżeli każdy będzie robił co innego – ostrzegłam ją. – Ale jak ktoś już wejdzie na główny szczyt, można pomyśleć o środkowym.

Morenowa dolina ciągnęła się w nieskończoność. Kiedy już porzuciłyśmy nadzieję, że kiedykolwiek dojdziemy do obozu bazowego, we mgle ukazało się skupisko pomarańczowych i zielonych namiotów – przez następne dwa miesiące miał to być nasz dom. Grupa, która dotarła tam pierwsza, ustawiła namioty na płaskiej części moreny, a pobliski strumień kusił możliwością kąpieli, gdy tylko zaświeci słońce. Na skraju obozowiska minęłyśmy symboliczny cmentarz – stertę kamieni ustawionych na wielkim granitowym bloku, na którym wymalowano imiona siedmiu wspinaczy, którzy zginęli po tej stronie Annapurny.

W obozie bazowym panowały ciemność i zimno, ale przywitano nas tam ciepło. Pasang powitał nas tradycyjną gorącą herbatą, a Annie i Alison opowiedziały o swoich dotychczasowych wrażeniach z podróży. W międzyczasie tragarze, którzy nam towarzyszyli, porzucali swoje bagaże i pospiesznie wracali w dół doliny, zostawiając nas sam na sam z Annapurną.

Obóz bazowy i obóz I
28 sierpnia–2 września

Po ulewnej nocy poranek był spokojny i przejrzysty. Wyciągnęłam się wygodnie i rozpięłam sweter – pierwsze promienie słoneczne właśnie dosięgły wzgórza, na którym się usadowiłam, jakieś 100 metrów nad obozem. Wspięłam się tam o świcie, żeby mieć dobry widok na Annapurnę; chciałam sobie spokojnie posiedzieć i popatrzeć na górę, zanim dzień zacznie się na dobre.

Lodowy szczyt majaczący na wysokości około 4 kilometrów ponad obozem wydawał się nieznośnie odległy. Na lewo od głównego szczytu znajdowały się niższe środkowe i wschodnie szczyty Annapurny, a także inne szczyty Wielkiej Bariery. Jedynym załamaniem w tej imponującej ścianie kamienistych gór okrążających Annapurnę I był głęboki wąwóz Miristi Khola, który przekroczyłyśmy.

Obóz bazowy był rozłożony na płaskiej morenie tuż obok północnego lodowca Annapurny – niesamowitego pustego pola lodowego. Lodowiec, wznoszący się na około 700 metrów na północnej stronie góry, nieustannie trzeszczał i mruczał, a raz na jakiś czas z hukiem zapadała się ogromna wieża jego lodu. Był to klasyczny lodowiec „nie do przejścia", z wielkim labiryntem szczelin, które nieustannie zmieniały położenie, w miarę jak powoli posuwał się w dół góry. Ulżyło mi, że nie musiałyśmy przez niego

przechodzić. Po lewej stronie znajdowały się kamienne płyty, na które można było wejść, by dotrzeć na szczyt, gdzie planowałyśmy rozbić obóz numer jeden.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że wspinaczka na trudne stoki to tylko część wyzwań, które na nas czekały. To, czy ekspedycja zakończy się sukcesem, czy przetrwamy w tej nieprzyjaznej krainie lodu i kamienia, zależało od naszego sprzętu, racji żywnościowych i planowania. Na razie udało się nam przetransportować cztery tony zapasów do obozu bazowego ze stratą zaledwie jednego masztu namiotowego – wielkie osiągnięcie, zważywszy na to, że większość pudeł było pakowana w Palo Alto w Kalifornii, przetransportowana przez morze do Bangkoku, potem samolotem do Katmandu, autobusem do Pokhary i w końcu dwanaście dni na plecach tragarzy w deszczach monsunowych.

By wspiąć się na szczyt, musiałyśmy skonstruować logistyczną piramidę jedzenia i sprzętu. Od tego, w jaki sposób rozdzielimy nasz sprzęt w obozie bazowym i pięciu innych, które miałyśmy rozbić na Annapurnie, zależało nasze powodzenie. Do kilku niżej położonych obozów musiałyśmy dostarczyć ogromne ilości jedzenia i sprzętu dla grup, które miały iść przodem i zaopatrzyć obozy znajdujące się wyżej. Taktyka ta, zwana oblężniczą, jest bardzo popularna przy dużych ekspedycjach w Himalajach.

Było bardzo ważne, by właściwe przedmioty znalazły się we właściwych obozach we właściwym czasie. Najmniejszy błąd logistyczny mógł mieć ogromne konsekwencje. Amerykańska wyprawa na Mount Everest z okazji 200-lecia niepodległości USA w 1976 roku używała maszynek do gotowania zarówno na benzynę, jak i na wkłady propanowe. Podczas drugiego podejścia w obozie IV mieliśmy wiele maszynek na wkłady, ale żadnych wkładów do nich, a także dużą ilość benzyny, ale żadnych maszynek

benzynowych. Po miesiącach planowania i ciężkiej pracy ten mały błąd mógł zakończyć całą wyprawę, ponieważ bez możliwości gotowania jedzenia i topienia śniegu na wodę wspinacze musieliby zrezygnować z próby wejścia na szczyt. I wówczas niewiarygodnie silny Szerpa w trzy godziny przeszedł z obozu II, znajdującego się na wysokości 6550 metrów, do obozu IV na wysokości 7450 metrów, przynosząc maszynkę benzynową.

Podczas wyprawy na Everest zatrudniliśmy czterdziestu Szerpów do dźwigania bagaży dla dziesięciu osób; przy naszej obecnej wyprawie, w której brała udział podobna liczba wspinających się, zatrudnionych zostało zaledwie sześciu Szerpów i czterech tragarzy dodatkowych (do pomocy w przenoszeniu szczególnie ciężkich ładunków). Zatem większość pracy, jaką miałyśmy tutaj do zrobienia, przypominała pracę muła: żmudna droga z ciężkimi bagażami pomiędzy obozami, w tę i z powrotem, dzień po dniu. Każda z nas musiała wspinać się wielokrotnie na niższe partie góry, zanim mogłyśmy dokonać próby wejścia na szczyt.

Ta ogromna rotacja ludzi i zapasów była kontrastem do niewielkich ekspedycji z niedużą ilością zapasów, które zawsze wolałam w przypadku nieco mniejszych gór niż Annapurna. Na początku lat 30. XX wieku dwójka legendarnych wspinaczy i pisarzy, Eric Shipton i Bill Tilman, oznaczyła wiele nieodkrytych terenów w Himalajach i wspięła się na szereg szczytów w sposób prosty i ekonomiczny. Dziś wspinacze korzystają z ich alpejskiego stylu wspinaczki w Himalajach: dwójka wspinaczy jest w stanie wejść na szczyt w przeciągu kilku dni, unikając obozów i niosąc całe jedzenie oraz sprzęt ze sobą na górę. Korzyści tego bezpośredniego podejścia to uproszczony system logistyczny, mniej ludzi zaangażowanych w wyprawę, jedzenia i sprzętu. Jednak ryzyko jest dużo większe. Jeżeli pogoda się pogorszy, jeden ze wspinaczy

zachoruje lub zostanie ranny, to możliwości przeczekania złej pogody lub ewakuacji są bardzo niewielkie.

Przy planowaniu naszej taktyki na Annapurnie rozpatrywałyśmy sposób alpejski, ale zdecydowałyśmy, że rozważniej będzie postępować zgodnie z tradycyjną dla dużych ekspedycji taktyką oblężniczą, zanim przejdziemy do bardziej niebezpiecznej czy wymagającej większych umiejętności wspinaczki. Jednak nawet tak drobiazgowe planowanie i ciężka praca nie są w stanie zapewnić sukcesu. Na najwyższych szczytach świata burze i lawiny mogą w mgnieniu oka zmieść sprzęt, obozowiska i ludzi. Byłyśmy małą grupą ludzi, a nasza wola przetrwania była niczym w obliczu tej ogromnej góry i sił natury, które tu rządziły.

Promienie słoneczne przesuwały się w dół wzgórza, oświetlając teraz dziesięć czerwonych namiotów, dużą zieloną stołówkę i namioty służące jako magazyny jedzenia i sprzętu. Ludzie zaczynali się budzić, a ja uznałam, że pora wracać i rozdzielić obowiązki na pierwszy dzień. Wiedziałam, że wszyscy chcą zacząć się już wspinać, ale najpierw musiałyśmy spędzić kilka dni, reorganizując sześć ton jedzenia i sprzętu. Każda z nas miała swoje obowiązki. Vera W., Annie i Joan były odpowiedzialne za jedzenie, Liz, Alison i Margi za sprzęt do wspinaczki, Vera K. za kamerę i radio, Irene za tragarzy i pieniądze, Piro zaś za tlen i sprzęt medyczny. Moim zadaniem było zrobienie efektywnego planu logistycznego i dopilnowanie, by Szerpowie i członkinie ekspedycji wywiązywały się ze swoich obowiązków. Naciskanie na to, żeby nieprzyjemna część pracy została wykonana przed rozpoczęciem wspinaczki, może i nie zostało dobrze przyjęte, ale musiałam to zarządzić jako odpowiedzialna liderka ekspedycji.

Zbierając się do powrotu do obozu, zdałam sobie sprawę ze stopnia alienacji, w jaką popadłam jako liderka ekspedycji. Kiedy

ludzie pytają mnie, dlaczego się wspinam, często odpowiadam, że wspinaczka daje mi możliwość bezpośredniego przebywania z ludźmi – wówczas mam okazję lepiej poznać zarówno moich towarzyszy, jak i siebie samą. Do udziału w poprzednich ekspedycjach często motywowała mnie chęć zawierania nowych przyjaźni i wzmacniania starych. Jednak jako liderka obecnej wyprawy często musiałam tłumić moją naturalną chęć bycia lubianą. W tej wspinaczce najważniejsze dla mnie było powodzenie ekspedycji, a kwestia przyjaźni schodziła na dalszy plan.

Popatrzyłam jeszcze raz w górę. Bogini Zbiorów miała niezachęcającą renomę. Odmówiłam cichą modlitwę:

– Boże, proszę, chroń nas. Proszę, nie pozwól spaść na nas lawinom. Modlę się o to bardziej niż o cokolwiek innego, pozwól, abyśmy wróciły żywe, razem i w harmonii.

Moje buty do biegania nie były zbyt przyczepne, więc ześlizgnęłam się ze wzgórza wśród kwiatów sięgających mi do kolan, otwierających kielichy w porannym słońcu – liściaste fioletowe pąki, małe czerwone oraz wielkie białe i żółte kwiaty. Przypomniałam sobie, że muszę zapytać Verę W., jak się nazywają. Potem ukwiecone strome wzgórze ustąpiło miejsca szaremu żwirowi z plamami zielonej trawy, poprzetykanymi szarotkami i oto byłam z powrotem w obozie.

Kiedy mijałam kamienne schronienie, które służyło nam za kuchnię, podbiegł do mnie Lopsang.

– Duży problem, bara memsahib – oznajmił, zaczynając swą poranną litanię. – Tragarze dodatkowi bardzo źli. Mówią, że nie zapłaciłaś wystarczająco za most. Mówią, że wrzucą most z powrotem do rzeki.

Mowa była o prymitywnym moście z kłód, za który już i tak zapłaciłyśmy za dużo. Kiedy rozwiązywałam ten problem, zaczepiła

mnie Liz, pytając, czy ona i Alison mogą pójść i przygotować obóz I. Wzięłam głęboki oddech, przygotowując się na stratę kilku punktów popularności.

– Mañana, Liz – powiedziałam, wskazując na chaotyczną kupę sprzętu i jedzenia walającą się po całym obozie. – Najpierw musimy uporać się z tym.

Po przydzieleniu obowiązków szybko połknęłam śniadanie, pragnąc wykąpać się po raz pierwszy od tygodnia, zanim z wąwozu Miristu Khola nadejdzie mgła. Po 10.30 w obozie bazowym było za zimno i zbyt ciemno na kąpiel. Nasze warunki były spartańskie według każdego standardu poza himalajskim. Za kuchnią weszłam do strumienia głębokiego na stopę i zanurzyłam się w lodowatej wodzie. Szok termiczny był tak duży, że straciłam oddech, ale i tak kontakt z wodą był dla mojej oblepionej brudem skóry jak balsam. Wkrótce wyciągnęłam się na ciepłym kamieniu, żeby wyschnąć, z czystymi włosami i w lepszym humorze.

Szerpowie i tragarze pracowali, nie zwracając uwagi ani na mnie, ani na inne kąpiące się uczestniczki ekspedycji. Kiedy w 1972 roku pierwszy raz przyjechałam do Azji, nie wiedziałam za bardzo, jak się zachować w „sytuacjach toaletowych", ale wkrótce przekonałam się, że w krajach, w których mężczyźni kąpią się w strumieniach i załatwiają w krzakach, kobiety z zagranicy, robiąc to samo, również nie zwracają na siebie uwagi.

Tragarze wykopali dwa doły, które pełniły teraz funkcję, którą do tej pory pełniły krzaki. Zanim wróciłam do namiotu, by pracować nad planem logistycznym, podeszłam, by zobaczyć nasze nowe wychodki. Około 30 centymetrów za krawędzią dołu zaczynała się kilkudziesięciometrowa przepaść, a pod nią lodowiec. Kiedy stałam tam, rozmyślając, jak może się skończyć potknięcie podczas nocnej wizyty w wychodku, z lodowca zeszła nagła lawina

lodu i kamieni. Zamarłam, dopóki nie zorientowałam się, że nasz obóz był poza jej zasięgiem. Annapurna nieustannie zapewniała nam szereg atrakcji, nawet przy wizycie w wychodku.

Kiedy wróciłam do namiotu, zwinęłam się w kulkę, słuchając Vivaldiego na kasecie, i zaczęłam rozmyślać o najważniejszym z problemów: modyfikacji planu dostaw żywności. W jaki sposób mamy zanieść sprzęt do obozu położonego najwyżej, żeby na szczyt mogły wspiąć się trzy osoby? Założyłam, że potrzebne będzie 90 kilogramów żywności, tlenu, paliwa i rzeczy osobistych. Alpinistki i Szerpowie na tych wysokościach mogą nieść jakieś 15 kilogramów. To oznaczało, że trasę pomiędzy obozem IV i V trzeba będzie pokonać sześć razy.

Postanowiłam zacząć od końca, czyli ile sprzętu potrzebne będzie w obozie IV, by starczyło na te sześć wypraw do obozu V i tak dalej. Założyłam, że podczas każdego z przejść tej trasy dzień lub dwa wypadną z powodu złej pogody lub czyjejś niedyspozycji, przez co transport mógłby się opóźnić. Według moich ostatecznych obliczeń, żeby zanieść 90 kilogramów ładunku (ilość potrzebna do wspięcia się na szczyt) do obozu V, musiałybyśmy zatargać przynajmniej tonę sprzętu do obozu II.

To wszystko przypominało mi nieco brytyjską rymowankę dla dzieci: „This is the house that Jack built". Zrobiłam kopie szczegółowego planu i rozdałam wszystkim, aby upewnić się co do słuszności moich założeń i wysłuchać ewentualnych sugestii oraz uwag. Poza tym dziewczyny musiały znać plan, żeby dalej wspinać się bez przeszkód w razie, gdyby coś mi się stało.

Kiedy podchodziłam do namiotu, w którym mieściły się zapasy, Vera W. i Annie robiły remanent jedzenia, strasznie przy tym chichocząc. Vera W. jadła maluteńki kawałek miętowego ciasta, a Annie miała na ustach resztki czekolady i wyglądała

na niewiarygodnie z siebie zadowoloną. Najwyraźniej traktowały obowiązki testowania i kontroli jakości niezwykle poważnie. Rzuciłam się w ich stronę, by pomóc im sprawdzić, który batonik jest najlepszy, ale Vera W. i Annie w pełni kontrolowały sytuację. A Joan, która teoretycznie chorowała na zapalenie opłucnej i płuc, czuła się już na tyle dobrze, by służyć im w tych czynnościach pomocą.

Sprzęt radiowy był całkiem inną sprawą. Przyniosłyśmy ze sobą radia – były niezbędne, jeżeli chodzi o kontakt pomiędzy obozami i wspinającymi się na górę. Każde ważyło około kilograma, a użytkownicy musieli być w zasięgu wzroku, by radio zadziałało. Podczas marszu miałyśmy do dyspozycji cztery radia, ale dwa z nich zdążyły się już zepsuć. Vera K. usiłowała je naprawić, więc poszłam do niej zobaczyć, jak jej idzie. Kiedy ostrożnie wspięłam się w stronę jej namiotu, znalazłam ją pomiędzy setkami suszonych roślin, stosami gazet i sprzętu, którego używała do rozpłaszczania znalezionych roślin. Zastanawiałam się, gdzie właściwie ona i Irene śpią, ale Vera K., nie zważając na nic, dłubała właśnie przy radiu i wkrótce udało jej się je naprawić.

W namiocie z zapasami Liz, Alison i Margi rozdawały Szerpom sprzęt. Był to skomplikowany proces.

– Chewang zażądał zielonej kamizelki, żeby pasowała do zielonej kurtki – powiedziała ze śmiechem Liz, kiedy jadłyśmy obiad. – W końcu ustaliliśmy, że kucharz Pemba weźmie pomarańczową kamizelkę, odda swoją żółtą Lakpie, który zieloną przekaże Chewangowi. Kiedy już to ustaliliśmy, wpadł Ang, oznajmiając, że zamiast ocieplanej kamizelki woli bluzę z długimi rękawami. Jednak żadnych swetrów już nie było, więc musiałyśmy przekonać jednego z gońców, żeby zamienił swój sweter na coś innego. I tak w koło Macieju.

– Bardzo są konkretni, jeżeli chodzi o kolory wyposażenia – zauważyła Alison. – Pewne kolory najwyraźniej są dla nich ważniejsze niż inne.

Następne zadanie Liz i Alison było równie skomplikowane. Miały rozplątać mierzącą ponad kilometr cienką czerwoną nylonową linkę, która podczas transportu przeobraziła się w półtora metra sześciennego poplątanego czerwonego spaghetti. Rozciągnęły linkę przez cały obóz i z pomocą Szerpów usiłowały ją rozplątać. Trwało to aż do zmierzchu, kiedy wszyscy zmuszeni byli przerwać pracę.

Przepyszna kolacja była więc jak najbardziej zasłużona – dostaliśmy łososia w cieście, smażoną kapustę (miałam nadzieję, że bez dodatków w postaci ameby), francuską zupę cebulową i sernik. Liz przeczytała nam opublikowany w niemieckiej gazecie artykuł o naszej ekspedycji, zatytułowany „Co na to powiedzą ich mężowie?". Wyjątkowo nas ten tytuł rozbawił, choć rzeczywiście prawie każda z nas zostawiła w domu męża lub partnera. Szerpowie zdążyli już jasno dać do zrozumienia, że w głowie im się nie mieści, jak mogłyśmy zostawić nasze rodziny tak daleko, by wspinać się na jakąś tam górę. Wciąż wypytywali nas o dzieci i dziwili się, gdy któraś z nas powiedziała, że ich nie ma. Nie mogli uwierzyć, że kobieta po ukończeniu dwudziestu lat może nie mieć dzieci.

Tego wieczoru szczególnie zatęskniłyśmy za rodzinami i przyjaciółmi, ponieważ goniec Kaji wyruszał następnego ranka, by dostarczyć napisane przez nas listy oraz przygotowane przez Verę W. zamówienia co do zapasów. Miał wrócić za dziesięć dni – z listami do nas, które zdążyły dotrzeć do Katmandu w ciągu ostatniego miesiąca.

Alison napisała wiele długich listów do swojego męża, Janusza, biorącego akurat udział w ekspedycji, której celem było wejście

na niedaleki szczyt Himal Chuli. W 1975 roku Alison i Janusz dotarli na Gaszerbrum III (7924 metrów), który był wtedy najwyższym niezdobytym szczytem na świecie. Alison była na większych wysokościach niż którakolwiek z nas, chociaż nie wyglądała na szczególnie silną – była szczupła, niemalże krucha. Powiedziała nam, że jako dziecko była chorowita. Cierpiała na przewlekły nieżyt oskrzeli – jej rodzice przenieśli się z miasta do wsi w południowo-zachodniej Anglii, gdzie było świeże powietrze. Zajęli się wtedy gospodarstwem.

– Mieli nadzieję, że dzięki wiejskiemu powietrzu będę duża i silna, a nie drobna i słaba – wyjaśniła nam Alison.

Kiedy podrosła, rodzice Alison wysłali ją do szkoły z internatem, ponieważ uważali, że nie starczy jej sił, by codziennie jeździć autobusem i pociągiem do najbliższej szkoły.

– W szkole byłam zawsze w bardzo słabej formie i nienawidziłam wszystkich sportów – wspominała z rozbawieniem Alison. – Kiedy mieliśmy gimnastykę, chowałam się za pianinem, żebym nie musiała skakać przez kozła. Nie znosiłam wspinać się po linie i na drabinkach, ale wychowanie fizyczne w szkole nie było na szczęście zbyt poważnie traktowane – to była tylko forma rozrywki.

Wiele razy dziwiło mnie, ilu wspinaczy było kiedyś niewysportowanych. Bobowi Cormackowi, który w 1976 roku wspiął się na Mount Everest, powiedziano, kiedy miał 13 lat, że jego płuca są tak słabe, iż nigdy nie będzie mógł wykonywać męczących ćwiczeń fizycznych, a wielu alpinistów, których poznałam, nie przyjęto do wojska ze względu na różne fizyczne ułomności.

Spytałam Alison, jak to się stało, że zaczęła się wspinać.

– To był czysty przypadek. Wychowałam się na wsi, więc uniwersytety w Londynie wydawały mi się ciasne i klaustrofobiczne. Byłam zatem zachwycona, kiedy moi przyjaciele alpiniści zaprosili mnie na weekend do Walii. Uzbroiłam się w pożyczony anorak i wojskowe buciory, a do autobusu wsiadłam, trzymając pod pachą szkicowniki. W pewnym momencie obwiązali mnie liną i wciągnęli na pokryte śniegiem wzgórze. Podobało mi się. Poza tym był to świetny sposób na ucieczkę z Londynu bez przepłacania.

– Potem – kontynuowała opowieść – pojechałam do Polski na stypendium na Akademii Sztuk Pięknych i tam poznałam Janusza. Pobraliśmy się w Kornwalii w 1971 roku. To było prawdziwe wesele alpinistów: mieliśmy na sobie stroje do wspinaczki, wyszliśmy pod łukiem zrobionym z czekanów i ubezpieczaliśmy się nawzajem na trawniku przy kościele. Od razu po weselu zostaliśmy zaproszeni na ekspedycję do Hindukuszu, w której wzięły udział trzy kobiety. Jedną z nich była Wanda Rutkiewicz. Byliśmy zaskoczeni, że kobiety radziły sobie równie dobrze, a nawet czasem lepiej niż mężczyźni. Na dużych wysokościach różnice w sile fizycznej się wyrównywały. Pomyślałyśmy więc z Wandą, że skoro kobiety są w stanie wspiąć się na wysokość 7500 tysiąca metrów, to dlaczego nie miałyby dać rady wspiąć się i na osiem?

– Resztę historii znasz – dodała. – Próbowałyśmy z Wandą wejść na Annapurnę w 1975 roku z wami, Amerykanami, ale nie dostaliśmy pozwolenia. Więc wspięliśmy się na Gaszerbrum III; na szczyt dotarło dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

I wówczas Alison wróciła do kwestii, która męczyła ją od samego początku.

– Żeby ta ekspedycja miała jakiekolwiek znaczenie, na szczyt musimy wspiąć się same, bez Szerpów – powiedziała.

– Mam nadzieję, że będzie to możliwe – odparłam.

Jednak od ambicjonalnych aspektów wspinaczki ważniejsze było dla mnie jej bezpieczeństwo.

Dzień spędzony na organizowaniu sprzętu był owocny, więc rano powiedziałam Liz i Alison, że mogą pójść i przygotować wszystko na przejście reszty grupy do obozu I.

– No już, pospieszcie się! – poganiałam je. – Jeżeli dotrzecie tam przed nadejściem mgły, będziecie mogły zobaczyć północną ścianę. Chcę wiedzieć, jakie w tym roku jest ryzyko wystąpienia lawin. Zwracajcie uwagę na ślady lawin pod lodowymi żlebami.

Alison wzięła miskę wody z kuchni i ostrożnie umyła twarz oraz zęby. Potem wyczyściła wszystkie obiektywy aparatu fotograficznego i zaczęła powoli oraz sumiennie pakować sprzęt. Obserwowałam ją z niecierpliwością i myślałam, jak bardzo się od siebie różnimy. Ja chaotycznie wrzuciłabym rzeczy do plecaka i od razu ruszyłabym w drogę. Pomimo skrupulatności Alison zarówno ona, jak i Liz były gotowe do drogi o 9.30 – miały ze sobą wielkie plecaki i szeroki uśmiech na twarzach. Wszystkie byłyśmy szczęśliwe, że wspinaczka wreszcie się rozpocznie. Za Alison i Liz posłałam Lakpę Norbu. Był na tej górze rok wcześniej z Holendrami i wiedział, gdzie dokładnie znajdował się holenderski pierwszy obóz, który postanowiłyśmy zaadaptować na własny. Lakpa z natury był cichy i uczynny. Miał 20 lat i 175 centymetrów wzrostu – to czyniło go najmłodszym i najwyższym z Szerpów. Wyglądał bardzo elegancko w niebieskim norweskim ocieplanym stroju, który Holendrzy podarowali mu w zeszłym roku.

Z szóstką Szerpów współpracowało nam się całkiem nieźle – szczególnie że z dnia na dzień byłam w stanie coraz lepiej się z nimi

komunikować i poznawałam ich sposób widzenia świata. Najbardziej lubiłam Chewanga, z którym miałam okazję wspinać się na Mount Everest w 1976 roku. Z całej grupy to on był najbardziej doświadczony – pracował przy dziesięciu dużych ekspedycjach. Dwa razy był na Annapurnie i sześć razy na Evereście. Chewang towarzyszył Dyannie i Marie, naszej ekipie filmowej, a one opisały go jako miłego, życzliwego i zawsze chętnego do pomocy. Jako jedyny miał brodę, co mogło znaczyć, że pochodził z innego plemienia niż reszta Szerpów.

Szerpowie podczas wspinaczki mają przy sobie nieduże bagaże, przywiązane sznurkami do szyi. Chewang natomiast miał tyle bagaży, że wypychały mu koszulę.

– Co w nich trzymasz? – spytałam go kiedyś.

– Czasem ryż, czasem lekarstwa. Lamowie modlą się, duchy góry słuchają. Nie ma niebezpieczeństwa – wyjaśnił.

Po każdej ekspedycji Chewang chował paczki z ryżem oraz ziołami i trzymał je aż do następnej wyprawy.

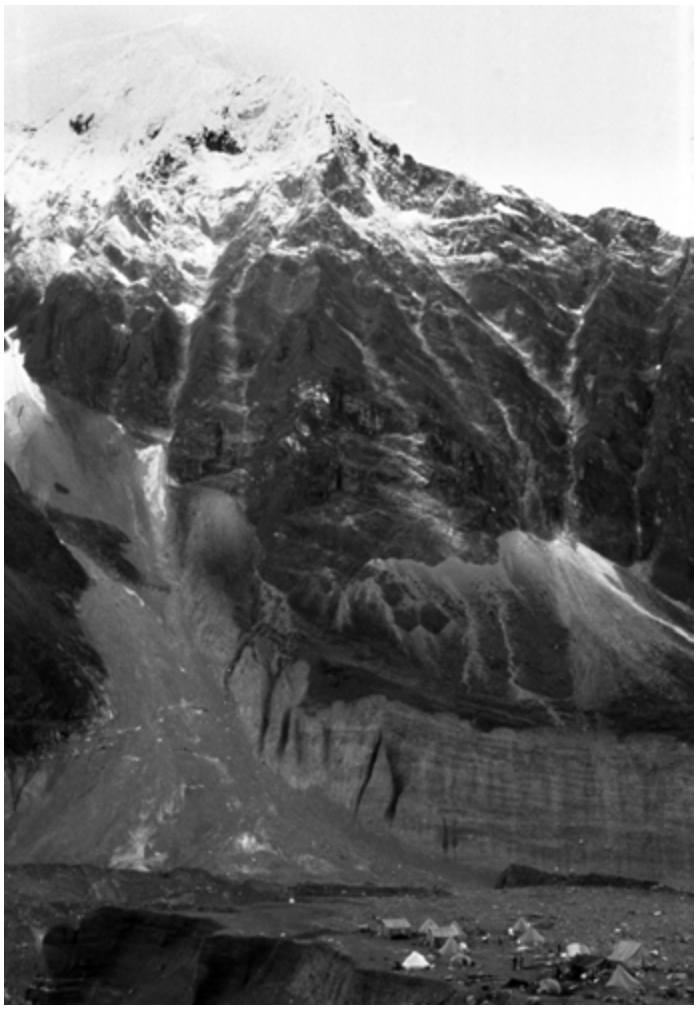

Północny obóz bazowy na Annapurnie na wysokości ok. 4 570 metrów. Trzy kilometry nad nami wierzchołek góry (fot. Liz Klobusicky).

Dyanna, Marie i Christy pozują w ocieplanej bieliźnie od jednego ze sponsorów wyprawy (z archiwum Autorki).

Arlene omawia w bazie logistykę z Christy i Joan (fot. Vera Kormakova).

Wniebowzięte Liz i Alison – tuż po rozbiciu obozu I (fot. Arlene Blum).

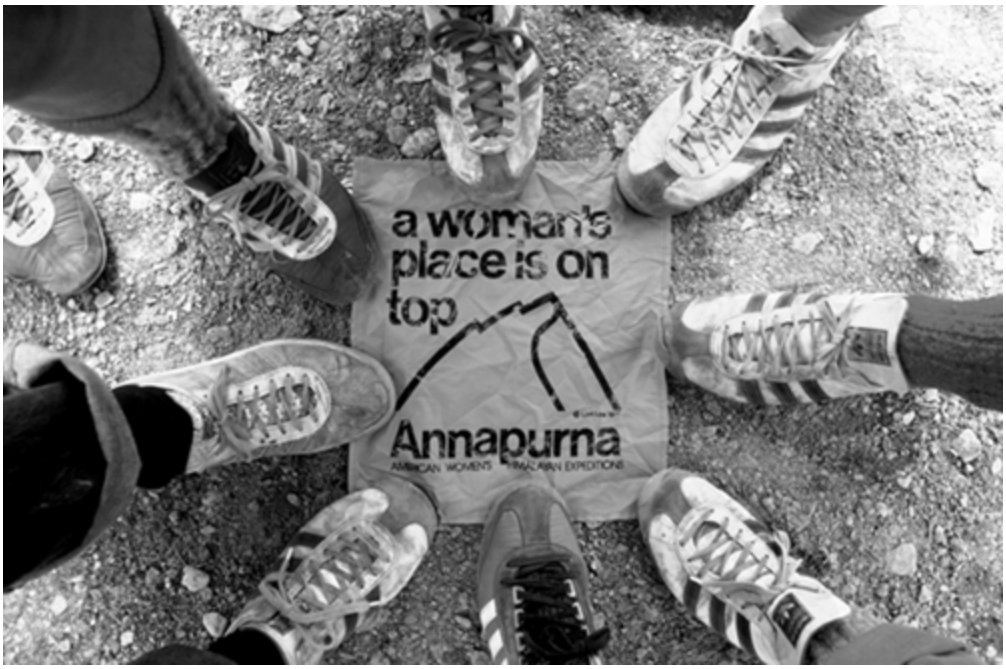

Uczestniczki wyprawy pozują z butami od sponsora wyprawy (z archiwum Autorki).

Joan Firey (fot. Irene Miller)

Irene Miller (fot. Marie Ashton)

Mingma Tsering, który był szwagrem Lopsanga, miał mniejsze doświadczenie we wspinaczce niż Chewang, ale sprawiał wrażenie równie silnego i pobożnego. Każdego ranka i wieczoru z ich wspólnego namiotu dały się słyszeć wznoszone modły. Czasem nie byłam w stanie zrozumieć niektórych rzeczy, które robił Mingma – kiedy na przykład był podekscytowany, często wydawał z siebie jęki, chrząknięcia i inne dziwne odgłosy; często również nosił mały ręczniczek zawinięty wokół głowy. Uczył się angielskiego, z dużym skupieniem czytając stare numery „Timesa" i „Newsweeka".

Ang Pemba był dyżurnym komediantem. Kiedy w obozie bazowym robiliśmy sobie grupowe zdjęcie, zrobił tak głupią minę, że wszyscy zaczęli się śmiać – fotografia wyszła świetnie. Nie

miałam jednak pewności co do jego doświadczenia we wspinaczce. Według jego zapewnień dotarł do najwyżej położonego obozu na Annapurnie z Hiszpanami w 1973 roku. Jednak kiedy poznałam lidera hiszpańskiej ekspedycji, ten powiedział mi, że wszyscy Szerpowie zdezerterowali już z niżej położonych obozów i żaden z nich nie dotarł do najwyższego.

Nie miałam również pewności co do Wangela, bliskiego przyjaciela Lopsanga. Nie miał zbyt dużego doświadczenia w górach i sprawiał wrażenie podburzającego resztę Szerpów do buntu przeciw nam. Był on jednakże przezabawny i kiedy tylko puszczałam kasetę z muzyką rockową, zaczynał pląsać po całym obozie.

Yeshi Tenzing, nasz 26-letni kucharz, był jednym z najbardziej dojrzałych i sympatycznych Szerpów. Dobrze się kiedyś wspinał – dopóki nie zwaliła się na niego lawina, która zabiła czterech jego rodaków i lidera francuskiej ekspedycji na Mount Everest w 1974 roku. Yeshi przeżył, ale wykazał się rozsądkiem – zrezygnował z niebezpiecznego zawodu i podjął się gorzej płatnej, ale bezpiecznej pracy kucharza. Annie w dalszym ciągu spędzała z Yeshim bardzo dużo czasu.

Lopsang tęsknie spoglądał na Lakpę, Alison i Liz, kiedy odchodzili, by przygotować obóz I. Wykonał kawał dobrej roboty, doprowadzając nas wszystkich razem ze sprzętem do obozu bazowego, pomyślałam więc, że przydałby mu się dzień wolny. Jednak wyglądało na to, że nie czuje się zbyt dobrze, odpoczywając. Zauważyłam, że miał nieco trudności z dowodzeniem. Pomimo tego, że Wangel i Mingma byli „jego ludźmi", nie był zbyt lubiany wśród reszty Szerpów.

Lopsang zwierzył mi się, że ma nadzieję, iż sam również zdoła wejść na Annapurnę. Szerpowie ostrzą sobie zęby na poszczególne

szczyty ze względu na prestiż – kiedy Szerpa staje się sławny, otwierają się przed nim lepsze możliwości i propozycje pracy. A Lopsang zdecydowanie zasługiwał na to, by dać mu szansę dotarcia na szczyt po tym wszystkim, co dla nas zrobił.

Kiedy Szerpowie wspinają się na szczyt, nie potrzebują tlenu, bo większość z nich mieszkała na wysokości przynajmniej 2600 metrów przez całe życie. Od dziecka dźwigają ciężary po stromych stokach. Ich organizm wykorzystuje tlen w powietrzu dużo bardziej efektywnie niż nasz, więc lepiej funkcjonują na dużych wysokościach. Właściwie nawet struktura hemoglobiny w ich krwi różni się od naszej. Regularnie wnoszą ciężary na południową przełęcz pod Everestem, która znajduje się na wysokości 7920 metrów, i nie potrzebują do tego tlenu. Europejczycy natomiast często korzystają z tlenu już na wysokości 7600 metrów. Szczyt, który był naszym celem, znajdował się na wysokości 8078 metrów. Szerpa jest zatem mniejszym obciążeniem logistycznym niż dodatkowy członek ekspedycji, który potrzebowałby tlenu.

Tego popołudnia Christy i ja próbowałyśmy zdecydować, co wziąć do obozu I w pierwszej kolejności, kiedy nagle radio zatrzeszczało i dało się słyszeć głos Liz.

LIZ (OBÓZ I): Tu Liz i Alison w obozie I. Powtarzam. Jesteśmy w obozie I. Słyszycie nas? Odbiór.

– Hurra! – krzyknęłam, a Christy wydała z siebie nieprawdopodobne chrząknięcie, które poszło echem po całym obozie – brzmiało jak chrumknięcie wieprza z Iowa.

Alison potwierdziła informację.

ALISON (OBÓZ I): Obóz został ustawiony o 14.30 28 sierpnia. Wysokościomierz wskazuje 5030 metrów.

ARLENE (BAZA): Jak wyglądają warunki na ścieżce?

LIZ (OBÓZ I): Droga jest czysta, idzie się cztery i pół godziny – z przerwami na zaczepienie lin w trzech stromych miejscach. Teren obozu jest jednak nierówny i nieprzyjemny. Lodowiec musiał zmienić pozycję, odkąd byli tu Holendrzy. Nie ma śladu po ich obozie. Spędziłyśmy wiele godzin, przesuwając lód i kamienie – mamy jedną platformę, która ledwie starczy na jeden namiot. Na tej wysokości praca jest cholernie ciężka. Wrócimy do was, jak tylko ustawimy drugą platformę. Bez odbioru.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że Christy zniknęła. Poszłam do jej namiotu, żeby zapytać, czy chce wrócić do pracy, i zobaczyłam, że jest bliska łez.

– Co się stało, Christy?

Na początku nie odpowiedziała. Potem wykrztusiła:

– Chcę wspiąć się na tę górę tak bardzo, że aż mnie ściska w środku. I nic z tym nie mogę zrobić. Zostaw mnie samą, przejdzie mi.

Christy wychowała się na farmie w stanie Iowa i zaczęła się wspinać dopiero cztery lata temu, kiedy była 34-letnią gospodynią domową w Kansas City. Kiedy się rozwiodła, zbudowała przyczepę, zabrała do niej swoją nastoletnią córkę i pojechała na zachód, żeby się wspinać. Znalazła pracę jako masażystka w Squaw Valley, a w wolnym czasie starała się jak najwięcej jeździć na nartach i wspinać. Kiedy usłyszała o naszej ekspedycji, przeniosła się razem z przyczepą na moje podwórko i spędziła wiele miesięcy, pomagając nam. Nigdy jednak nie wspinała się na wysokie góry, więc nie mogła pójść z nami jako członkini grupy atakującej szczyt. Została więc kierowniczką obozu bazowego, w którym teraz źle się czuła. Zastanawiałam się, jak ją pocieszyć.

– Och, Christy – zaczęłam – nie masz jeszcze wystarczającego doświadczenia, żeby wspiąć się na tak wysoką górę jak Annapurna.

Ale będziesz mogła pójść z nami do obozu I i II. Być może będziesz nam nawet potrzebna do pomocy we wnoszeniu ciężarów do obozu III.

Christy uśmiechnęła się, ale nadal była nieszczęśliwa – to, że nie mogła się z nami wspinać, nie było jej jedynym problemem.

– Mam już dosyć matkowania wszystkim – powiedziała. – Wszyscy proszą mnie o pomoc, kiedy czegoś potrzebują, i oczekują, że zajmę się ich bałaganem.

– Wiem, że ci ciężko – powiedziałam współczująco. Ja też czasem czułam się jak mamuśka, którą wcale być nie chciałam.

– Ale są też przecież plusy zarządzania bazą. Masz pewność, że przeżyjesz, i nie jesteś odpowiedzialna za bezpieczeństwo innych ludzi. Czasem myślę, że chciałabym brać udział w tej ekspedycji, nie biorąc na siebie tej odpowiedzialności.

29 sierpnia – trzy dni po tym, jak dotarłyśmy do obozu bazowego – obudziłam się i znalazłam Lopsanga czatującego pod moim namiotem.

– Bara memsahib, mamy duży problem. Tragarze dodatkowi chcą „pierzastych" śpiworów. Jeżeli ich nie dostaną, wracają do Katmandu.

Najwyraźniej żadem poranek nie mógł zacząć się bez jakiegoś problemu. Dzień wcześniej problemem były Szerpijki, nieszczęśliwe, że muszą opuszczać obóz. Chciały zostać i prać nasze ubrania, mimo że nie zostały do tego zatrudnione. Kilka dni wcześniej tragarze, którzy postawili most, odgrażali się, że go zburzą – był to efekt nieporozumienia dotyczącego terminu ich zapłaty.

Wstałam i wyszłam z namiotu, tłumacząc Lopsangowi, że już rozdaliśmy tragarzom dodatkowym cały sprzęt, który wyznaczył im Cheney, i nie mamy więcej „pierzastych" śpiworów. Po bardzo trudnej rozmowie i długim wymachiwaniu rękami tragarze zostali

uspokojeni wydaniem im dodatkowego sprzętu i obietnicą, że dostaną puchowe śpiwory po wspinaczce. Najwyraźniej nauczyli się targowania, które stało się już tradycją w przypadku Szerpów w ich relacjach z zagranicznymi turystami.

Nasze ostrożne odkładanie sprzętu na późniejszy użytek dla Szerpów i tragarzy najwyraźniej było przez nich odbierane jako bezsensowne ciułanie. Na pewno musiało im się wydawać, że jesteśmy bardzo zamożne – miałyśmy przecież kilka ton sprzętu. Nasze zapewnienia o ograniczonych zapasach musiały dla nich brzmieć jak idiotyzm, kłamstwo albo jedno i drugie. Z drugiej strony kiedy już się na coś umówiliśmy, nie zwracałyśmy uwagi na to, że się gromadzą albo strajkują, żeby wyłudzić więcej sprzętu. Często miałam wrażenie, że gdyby nie nasz zdecydowany opór, większość personelu po prostu złapałaby, co tylko się da, i zwiała.

Weszłam do stołówki, gdy wszyscy kończyli już śniadanie. Naleśniki były zimne i grudkowate, syrop stwardniały, a jajek nie było już wcale. Mieszając letnie mleko z proszkiem kakaowym, opowiedziałam wszystkim, nie bez satysfakcji, jak powstrzymałam zapędy naszych tragarzy. Ku mojej konsternacji jedyną reakcją moich współtowarzyszek było oburzenie, że w ogóle coś im dałam.

– Nie zasługują na to! Jeszcze nic nie wnieśli do obozu I.

Ostrożnie podniosłam do ust ciężki naleśnik i już-już miałam ugryźć kawałek, kiedy nagle pojawił się Lopsang.

– Duży problem, bara memsahib. Bagaże Szerpów są zbyt ciężkie. Szerpowie nie mogą nosić 30 kilogramów do obozu I. Tyle mogą nieść tragarze. Szerpowie mogą nieść tylko 25 kilogramów. Trzeba przepakować rzeczy.

Zakrztusiłam się naleśnikiem. To był jeden z tych poranków, kiedy w ogóle nie powinnam była wyczołgiwać się ze śpiwora. Czy Lopsang zdawał sobie sprawę z tego, ile pracy wymaga

zredukowanie każdego ładunku o pięć kilogramów? Musiałybyśmy otworzyć każde pudło, przepakować je, znaleźć nowe pudło na te pięć kilogramów rzeczy, a potem jeszcze zrobić nowy spis rzeczy znajdujących się w każdym pudle. To oznaczało kolejny dzień spędzony w obozie na planowaniu.

– Szerpowie są bardzo silni – powiedziałam. – Mogą nieść po 30 kilogramów.

Spojrzałam z nadzieją na Lopsanga.

– Tylko to jedno, bara memsahib. Spraw, żeby bagaże miały po 25 kilogramów, i wszyscy będą szczęśliwi – Lopsang był nieugięty. Może była to kwestia statusu: Szerpowie nie chcieli nosić tego samego co tragarze.

Margi i Marie spojrzały na mój wyraz twarzy i natychmiast zgłosiły się do przepakowywania pudeł. Lopsang wyszedł, a ja próbowałam uspokoić ściśnięty żołądek ciepłym mlekiem. Christy i Annie obserwowały mnie zaniepokojone.

– Może weźmiesz wolny dzień i pójdziesz dziś na górę, Arlene? – zasugerowała Christy. – Mogłabyś rozejrzeć się po obozie I i odpocząć.

– Dobrze by ci zrobiło – włączyła się Annie.

Zrobiło mi się miło, że tak się o mnie troszczą, i zgodziłam się z nimi. Już wyobrażanie sobie samotnej drogi do obozu I było przyjemnością – mogłam się odprężyć i nie myśleć o niczym. Kłopoty w obozie bazowym mogły poczekać. Poszłam do namiotu-magazynu i szybko się spakowałam. Miałam nadzieję, że uda mi się uciec, zanim pojawi się kolejny problem. Nie zdążyłam. Kiedy zapinałam plecak, podszedł do mnie Lopsang z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Bara memsahib, jeszcze jedno. Szerpijki opuszczają dziś obóz. Chcą 250 rupii napiwku.

– Lopsang, zapłaciłyśmy Szerpijkom za sześć tygodni pracy pomimo tego, że pracowały tylko trzy. Wystarczy.

– Lepiej zapłacić, memsahib. Będą bardzo niezadowolone, jeśli nie zapłacicie. Będą kłopoty.

– Proszę, wytłumacz, że zapłaciłyśmy im już za sześć tygodni i że nie miałyśmy zamiaru wynajmować kobiet do robienia prania. Powiedz im, że chciałyśmy nauczyć je wspinaczki i że bardzo nam przykro.

Lopsang wyszedł, kręcąc głową.

– Kusi mnie, żeby zapłacić Szerpijkom – powiedziałam Alison, która również była w magazynie. – Jedna z nich jest szwagierką Lopsanga. Podejrzewam, że może mu uprzykrzyć życie.

Alison nie zgodziła się ze mną.

– Arlene, to jest skandal! – powiedziała. – Nie powinnaś dawać się tak wykorzystywać. Jeżeli zapłacisz, nigdy nie będą cię szanować, będą tylko żądać więcej i więcej. To się musi skończyć. Jest w końcu jakaś granica.

Wyszłam z namiotu i dałam Szerpijkom wełniane skarpety oraz ciepłą bieliznę. Nie wiedziałam, ile z tego, co powiedziałam, przekazał im Lopsang, więc poprosiłam Gurunga, żeby powtórzył im, jak bardzo nam przykro, że nie możemy im więcej zapłacić, i żeby wyjaśnił nieporozumienie dotyczące ich tu obecności. Szerpijki wyglądały bardzo poważnie, kiedy przyjmowały prezenty i słuchały wyjaśnień.

Kilka minut później złapałam plecak i ruszyłam w stronę obozu I, podążając za Annie i kilkoma Szerpami. Szerpijki siedziały na skraju obozu ze spakowanym sprzętem. Kiedy je mijałam, uśmiechnęłam się i powiedziałam:

– Namaste. Życzę wam miłej podróży do Katmandu. Przykro mi, że nie mogłyśmy wam więcej zapłacić.

Wymamrotały coś po nepalsku; nie brzmiało to zbyt przyjaźnie. Kiedy je minęłam, mamrotanie stało się głośniejsze. Podejrzewałam, że mnie wyklinają. Nagle poczułam ostry ból pod prawą łopatką. Jedna z Szerpijek rzuciła we mnie kamieniem.

Miałam ułamek sekundy na podjęcie decyzji. W obozie było cicho, jak makiem zasiał. Kilku tragarzy i Szerpów widziało, jak kobieta rzuciła we mnie kamieniem. Ten wrogi gest sprawił, że zrobiło mi się słabo i zaczęły mi drżeć kolana. W pierwszym odruchu chciałam to zignorować, ale bałam się, że jeżeli nie zareaguję, stracę szacunek Szerpów, a wraz z nim kontrolę nad nimi.

Przez chwilę rozważałam odrzucenie kamienia, ale wiedziałam, że chybię i zrobię z siebie idiotkę. Miałam niezbyt poręczny plecak, więc idąc możliwie jak najbardziej stabilnym krokiem, podeszłam do najbliżej stojącej Szerpijki i pacnęłam ją dość lekko w ramię. Kiedy odwróciłam się i zaczęłam odchodzić, mając nadzieję, że wyglądam władczo, usłyszałam odgłos kamieni uderzających o żwir. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Szerpowie zatrudnieni przy kuchni powstrzymują kobiety przed obrzuceniem mnie większą ilością kamieni.

Kiedy tylko zniknęłam wszystkim sprzed oczu, usiadłam i zaszlochałam. Wydawało mi się, że to bardzo zły początek wspinaczki na Annapurnę. Pierwszy raz w moim dorosłym życiu kogoś uderzyłam. I dlaczego ta sytuacja musiała dotyczyć akurat Szerpijek? Ironia losu. Chciałyśmy im pomóc, nauczyć je wspinaczki, otworzyć przed nimi nowe możliwości. Zamiast tego opuszczały obóz z poczuciem, że zostały oszukane, zresztą miałyśmy podobne odczucia. Nasze sposoby widzenia świata zbyt się od siebie różniły. Prawdopodobnie byłyśmy naiwne, usiłując wprowadzać tak wielkie zmiany w ich życiu. Biorąc pod uwagę, z jaką niechęcią spotkał się pomysł kobiecej ekspedycji w naszym społeczeństwie,

naprawdę byłyśmy naiwnymi marzycielkami, sądząc, że uda nam się zmienić sytuację kobiet w całkiem innej kulturze.

Chciałam siedzieć na tej skale przez cały dzień, ale przyszła do mnie Vera W. i namówiła do dalszej wspinaczki do obozu I. Szłyśmy po zboczach porośniętych trawą i kwiatami, potem jakieś 200 metrów w dół, po stromym żwirowym stoku aż do moreny. Poruszałam się powoli, zaczynając odczuwać brak tlenu. Wciąż byłam bardzo nieszczęśliwa z powodu incydentu z Szerpijkami. Vera poszła przodem, a ja znów usiadłam na stromym kamienistym zboczu.

Wkrótce na horyzoncie ujrzałam Lopsanga i zastanawiałam się, jak mnie przywita po porannym wydarzeniu. Byłam zbyt smutna i zmęczona, by stawić czoło kolejnym konfrontacjom. Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, że się uśmiecha i daje mi cukierka.

– Lepiej zapomnieć – powiedział. – Teraz wszystko w porządku. Zapomnij. Bądź szczęśliwa.

Resztę drogi pokonałam z Lopsangiem. W pewnym momencie musieliśmy przejść po gładkiej skale przez kamienisty wąwóz. Na każde trzy kroki w górę ześlizgiwaliśmy się o dwa w dół. Dotarliśmy na kamienną przełęcz, ciężko dysząc. Później przeszliśmy pod kilkoma oblodzonymi blokami skalnymi, od czasu do czasu robiąc uniki przed spadającym lodem i kamieniami.

Obozowisko, które Liz i Alison ułożyły z lodu oraz kamieni dzień wcześniej, wyglądało na zimne i opuszczone; powierzchnie pomiędzy namiotami były kamieniste i wyboiste. Mimo to obóz wyglądał na zabezpieczony przed lawinami i wiatrem. Szerpowie postanowili dodatkowo zabezpieczyć go poprzez modlitwę do górskich bogów i obsypywanie granic obozu ryżem pobłogosławionym wcześniej przez lamę. Annie, Vera W. i ja obserwowałyśmy ich z boku.

Zaczął padać deszcz i chlupocząc po kałużach, poczłapaliśmy z Lopsangiem z powrotem do obozu bazowego. Tłumaczył mi, że zanim będziemy mogły zacząć się bezpiecznie wspinać, powinnyśmy odprawić ceremonię, w trakcie której wzniesiemy w górę flagi i złożymy bogom góry dary w postaci jedzenia i picia. Jednak w kalendarzu tybetańskim był to niefortunny czas na szycie flag modlitewnych. Musiałybyśmy czekać do września, kiedy zostałyby uszyte w fabryce flag modlitewnych w Katmandu, a potem czekać przynajmniej dwanaście dni, zanim dostarczyłby je nam tu goniec. W tym czasie nikt nie mógłby przejść do obozu II. Był on najbardziej narażony na lawiny, więc spanie tam, zanim nie dogadamy się z bogami, było bardzo niebezpieczne.

Na szczęście propozycja Lopsanga zbiegła się w czasie z grafikiem, który sama ułożyłam. Pora monsunowa zazwyczaj kończy się w połowie września. Miałyśmy zatem dwa tygodnie na ustawienie obozu II i przeniesienie tam całego sprzętu. Potem miały dotrzeć flagi, po zawieszeniu których mogłybyśmy oficjalnie zamieszkać w obozie. Stamtąd miałyśmy zacząć najtrudniejszą część wspinaczki na stromym, zagrożonym lawinami środkowym odcinku.

– Może być, Lopsang – powiedziałam. – To niezły plan. Dwa tygodnie spędzimy, przenosząc bagaże, a potem odprawimy ceremonię dla bogów góry.

– Tak, bara memsahib. Potem może trzy tygodnie na szczyt Annapurny. Wszyscy szczęśliwi.

Obóz II
3–8 września

Na początku dwóch czekających nas ciężkich tygodni przenoszenia tobołów do obozu I i II Lopsang wydawał się być w niezłym nastroju. W obozie I wszyscy byli przeszczęśliwi. Wieczorami czułyśmy się wykończone, ale dobrze nam szło i panowała pełna harmonia. Zadowolone, że w końcu zaczęłyśmy wspinaczkę, mogłyśmy odpocząć od stresu i napięcia panującego w bazie, cieszył nas stały, dzienny rytm ciężkiej fizycznej pracy. Wieczorami wszyscy zbieraliśmy się w stołówce na opowiadanie historii i śpiewy – te chwile były pełne ciepła i bliskości. Zbierałyśmy wtedy siły i zacieśniałyśmy więzi.

Dni wypełnione ciężką pracą i wieczorne zabawy były dla mnie miłą odmianą po chaosie w obozie bazowym. Wiedziałam, że żadne plany i sprzęt nie będą miały znaczenia, jeżeli grupa nie zdoła działać razem. Tylko jedna trzecia wszystkich ekspedycji na ośmiotysięczniki kończy się sukcesem. Niektóre porażki z pewnością są efektem złej pogody lub pecha, ale wiele wypraw nie odniosło sukcesu przez alpinistów, którzy nie pokonali własnych demonów i słabości.

Kursowanie z tobołami pomiędzy obozem bazowym a obozami I i II było okazją do zgrania zespołu i ustalenia, jak będziemy się wspinać. Joan czuła się lepiej, ale ciągle była zbyt słaba, by się wspinać, więc podzieliłyśmy się na trzy grupy – każda liczyła

po trzy osoby: Vera W., Piro i Annie, Alison, Liz i Margi oraz Irene, Vera K. i ja. Podczas tych długich, nużących dni coraz lepiej poznawałam Irene i Verę K.

Pewnego razu, gdy jadłyśmy obiad, Irene opowiedziała nam historię o swoim upadku podczas wspinaczki w Peru.

– Schodziłam po stromej oblodzonej górze, wokół dłoni miałam owiniętą linę – wspominała. – Nagle lina puściła, a ja spadłam ze ścieżki, jakieś 7 metrów w dół. Na szczęście zaplątałam się w linę. Gdyby nie to, spadłabym kilkaset metrów w dół. No i tak wisiałam tam jak kupa nieszczęścia, zastanawiając się, jak się z tego wyplątać. Cichutko zawołałam: „Pomocy!". Jednak nikt nie mógł się do mnie dostać. Sama musiałam się rozplątać i wrócić na oblodzony szlak. Teraz, za każdym razem, kiedy schodzę po oblodzonym stromym zboczu, przypominam to sobie i się boję.

To wyszeptane cichutko: „Pomocy!" było bardzo w stylu Irene. Podobnie zresztą jak to, że określiła się jako „kupa nieszczęścia", kompletnie zapominając o swojej sile i pomysłowości potrzebnej do wyplątania się z liny. Kiedy przenosiłyśmy bagaże z Irene i Verą K. z „jedynki" do „dwójki", widziałam, jak kompetentnie i skutecznie rozmawiała z tragarzami oraz Szerpami, jak bez trudu dźwigała najcięższe toboły – jednocześnie usiłowała nam wmówić, że nie jest pewna, czy da sobie radę.

Pod wieloma względami Vera K. była kompletnym przeciwieństwem Irene. Ona również była kompetentna i zorganizowana, ale nigdy w siebie nie wątpiła – a w zasadzie w ogóle niewiele o sobie mówiła. Kiedy razem wspinałyśmy się na porośnięte trawą i kwiatami stoki, co rusz musiałam przystawać i czekać, aż zbierze rośliny. Uderzyło mnie, jak doskonałą dodatkową motywacją dla wspinacza jest badanie roślinności

na dużych wysokościach. Pewnego dnia zapytałam ją, co było pierwsze: zainteresowanie botaniką czy wspinaczką.

– Nie jestem pewna – odparła. – Interesowałam się roślinnością już jako dziecko, ale jednocześnie odkąd pamiętam, chciałam się wspinać. Nie zajmowałam się jednak żadną z tych rzeczy dopóty, dopóki nie skończyłam 16 lat i poszłam na uniwersytet w Pradze. Wtedy zaczęłam wspinać się w Karpatach. W tym samym czasie zaczęłam też kolekcjonować rośliny. Dorastałam w przekonaniu, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że kobiety w Stanach wciąż walczą o równe prawa.

Vera K. zazwyczaj niechętnie o sobie opowiadała. Korzystając z tego, że się rozgadała, postanowiłam zaryzykować i spytałam, jak to się stało, że pojechała do Meksyku.

– No cóż – powiedziała. – Robiono nam problemy z wyjazdem z Czechosłowacji na wyprawy górskie, więc w 1967 roku z przyjaciółkami wymyśliłyśmy plan ucieczki. Wyszłyśmy z Czechosłowacji i przeszłyśmy Europę na piechotę. Potem złapałyśmy statek do Nowego Jorku. Znowu zaczęłyśmy marsz – tym razem przez Stany Zjednoczone i Meksyk. Aż dotarłyśmy na olimpiadę w mieście Meksyku.

Vera K. opowiedziała to wszystko bardzo rzeczowym tonem. Chociaż sama sporo podróżowałam, ta historia sprawiła, że szczęka mi opadła. Vera i jej przyjaciółki przez prawie cały rok codziennie pokonywały ponad 40 kilometrów. Poprosiłam, żeby opowiedziała coś więcej o tej niezwykłej podróży.

– Daj spokój, Arlene – powiedziała, wpatrując się w jakąś pokrytą puszkiem roślinkę. – Nie chcę o tym mówić. Zresztą to nieważne.

Zbaraniałam.

– W takim razie co jest ważne, Vera?

– Moja praca. Usiłuję być poważną osobą i bardzo ciężko pracuję. Nie chcę, żeby mnie postrzegano jako jakąś trzpiotkę.

Zapewniłam ją, że na pewno nic takiego się nie stanie. Jednym z wielu osiągnięć Very K. była niezwykle trudna wspinaczka na górę Dickey na Alasce zeszłego lata.

– Och, to było cudowne – uśmiechnęła się na samo wspomnienie. – Pojechaliśmy tam pod koniec maja i spędziliśmy miesiąc, wspinając się na kamienną ścianę o wysokości 1520 metrów. Ta wspinaczka była całkiem inna niż dotychczasowe – czułam się jak ptak żyjący na ścianie.

– Myśleliśmy, że zajmie nam to siedemnaście dni, ale pogoda była fatalna, więc ostatecznie zajęło nam to osiem dni więcej. W pewnym momencie musieliśmy spędzić trzy dni w namiocie, walcząc ze śniegiem i z wiatrem, który próbował zdmuchnąć nas z góry. Z powodu tych nadprogramowych dni skończyło nam się jedzenie. Ale to nie miało znaczenia. Było wspaniale.

W pewnym sensie ta rozmowa skonsternowała mnie jeszcze bardziej. Nie miałam pojęcia, kim jest kobieta ukrywająca się za dużymi przyciemnionymi okularami. Wiedziałam, że bardzo ciężko pracuje, ale też umie odpoczywać: od czasu do czasu spędzała cały dzień, leżąc w śpiworze, czytając kryminały i zajadając się czekoladkami. Wiedziałam też, że Irene, podobnie jak ja, lubiła z nią współpracować.

Wszystkie trzy wyruszyłyśmy do obozu I jako jedna grupa, zaś Liz, Alison i Margi zostały jeszcze jeden dzień w bazie – miały do nas dołączyć nazajutrz. Tych kilka dodatkowych dni względnego odpoczynku sprawiło, że teraz było mi łatwiej dźwigać bagaż ważący 23 kilogramy; dwa dni wcześniej miałam trudności z bagażem ważącym 10 kilogramów. Piro, Annie i Vera W. już wyruszyły, więc kiedy dotarłyśmy do obozu I, zastałyśmy go

w dużo lepszym stanie. Piro, Annie i Wera W. z pomocą Anga i Lakpy wyrównały teren, przytwierdziły nasze namioty i zbudowały kuchnię polową, ustawiając wokół pudła ze sprzętem. Zlokalizowały również źródełko wody wypływającej ze stopionego śniegu – dzięki temu nie musiałyśmy marnować cennej benzyny na topienie śniegu ogniem. Jeżeli chodzi o zapasy wody, miałyśmy szczęście. Obok bazy był potok, a tutaj źródełko.

Kiedy odłożyłyśmy plecaki i z wdzięcznością przyjęłyśmy herbatę, którą zrobił dla nas Yeshi, Vera W., Annie i Piro podniecone zbiegły z lodowca. Prawie udało im się dotrzeć do dawnego holenderskiego obozu II, który znajdował się na wysokości 5630 metrów. Po drodze założyły liny tam, gdzie było stromo i przy lodowych szczelinach. Liny te miały nas asekurować podczas wycieczek pomiędzy obozem I i II przez następnych kilka miesięcy. Jednak niecałe 20 metrów przed obozem II pojawiła się przeszkoda w postaci gigantycznej szczeliny lodowej, której nie mogły pokonać, ponieważ zużyły już cały zapas liny, jaki ze sobą wzięły.

– To było takie frustrujące – poskarżyła się Vera W. – Obóz II był w zasięgu ręki, ale niebezpieczeństwo było zbyt duże. Kusiło mnie, żeby mimo wszystko spróbować, ale się powstrzymałam.

– Chcesz pójść z nami jutro? – spytałam.

Miała na to ochotę, ale rozważnie zdecydowała się poświęcić następny dzień na odpoczynek z Piro i Annie, tak jak to wcześniej ustaliły. Zapytałyśmy je, czy obóz II wygląda bezpiecznie.

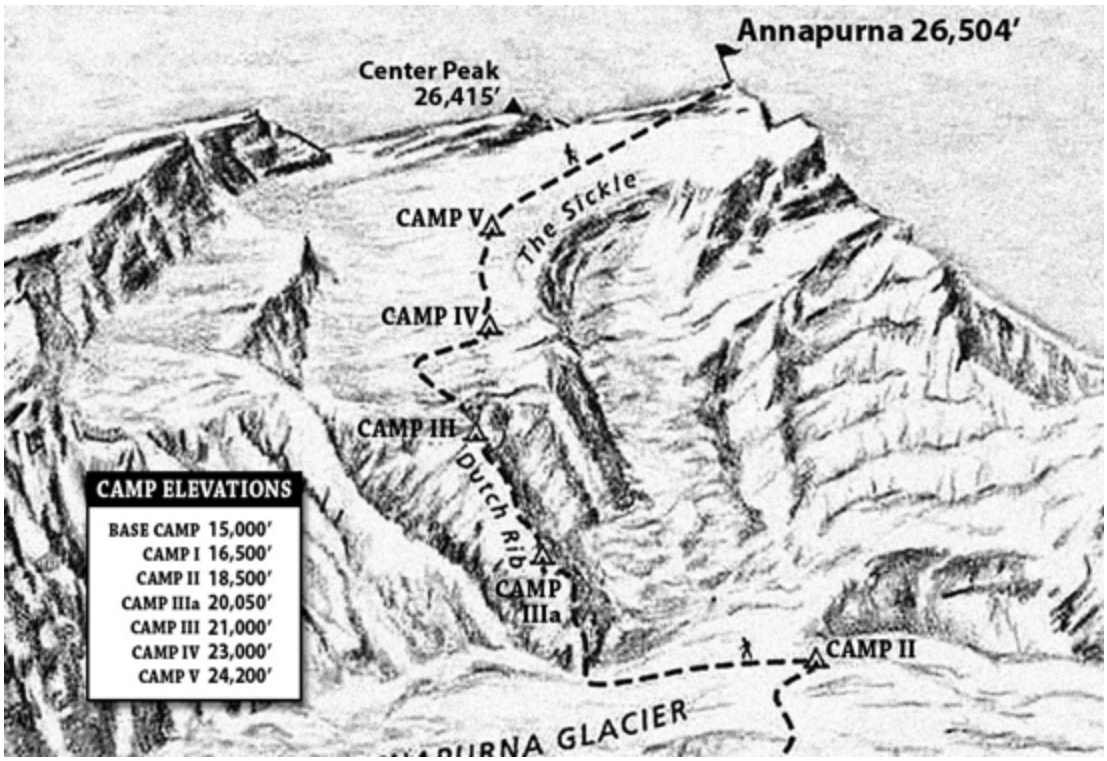

Planowana droga na szczyt. Szkic Annapurny © copyright Dee Molanaar

Droga, którą alpinistki pokonywały przez 10 dni, nosząc bagaże, rozbijając i zaopatrując obozy na dużych wysokościach (z archiwum Autorki).

Alison i Margi związane liną oraz w uprzężach na wypadek wpadnięcia w szczelinę lodową – prawie w obozie II (fot. Arlene Blum).

– No wiesz, nic tutaj nie jest tak całkiem bezpieczne – powiedziała Piro. – Ale chyba jest względnie bezpiecznie jak na tę górę. Obóz osłania pionowa grań lodowa, wysoka na 10 metrów – jest tuż nad miejscem na namioty.

– Jest takie miejsce – mówiła dalej Piro – na prawo od obozowiska, które jest przepiękne. To dostojny żleb, wyżłobiony

tak, jakby był ozdobiony koronkami. Powinnyśmy go jakoś odpowiednio nazwać, na przykład Kościół Chrystusa.

Nie chciałam jej mówić, że jakiś mniej uduchowiony (lub może bardziej wygłodniały) wspinacz nazwał już to miejsce Kalafiorową Granią.

Jeśli chodzi o entuzjazm Piro, przeszkadzała mi tylko jedna rzecz – jej stosunek do Szerpów.

– Mam nadzieję, że ci cholerni Szerpowie nie będą leźć za nami na samą górę – rzekła raz z wyraźną obawą w głosie. – Ostatnio schodziłam sobie po takim małym lodowym wyżłobieniu, tuż pod obozem II. Stopnie były dość śliskie, więc szłam powolutku. Na co ten, jak mu tam, Lakpa, podbiegł do mnie i podał mi rękę. Myślał, że mam jakieś kłopoty. Powiedziałam mu: „Cholera jasna! Po co to zrobiłeś?". Byłam wściekła. Nie potrzebowałam jego pomocy. Co, może następnym razem położy mi swoją kurtkę pod nogi, żebym się czasem nie poślizgnęła?

Wszystkich pozostałych rozbawił sarkastyczny ton Piro – mnie natomiast zmartwił. Żeby ekspedycja zakończyła się sukcesem, bardzo ważne było, by dziewczyny zachowały dobre relacje z Szerpami. Ulżyło mi, kiedy zauważyłam, że ten incydent przeminął bez echa – na razie Szerpowie byli przyjaźnie nastawieni i skłonni do pomocy. Jednak nie wszystkim odpowiadała ich obecność. Ukopywanie sobie ścieżki w dziewiczym śniegu było poniekąd przywilejem wspinających się, więc nie zdziwiłam się, że niektórzy byli wściekli, iż Szerpowie ukopali większość drogi do obozu II. Przypomniałam Piro, że Szerpowie często pomagają przy prowadzeniu wyprawy.

– Mają dużo szybsze tempo niż my – dodałam – a poza tym lepiej znają drogę, bo byli tu już wcześniej. Później, kiedy już się

zaaklimatyzujemy, będziemy miały mnóstwo okazji, żeby same prowadzić wyprawę przez nierozkopany śnieg.

Na razie ten drażliwy temat poszedł w zapomnienie i wszystkie byłyśmy zadowolone z tego, że wreszcie znalazłyśmy się na górze.

Następnego ranka obudziłam się i zobaczyłam, że w nocy spadł śnieg – to sprawiło, że obóz był kompletnie odmieniony. Powietrze było zimne i czyste, zaś niebo bardzo jasne, w kolorze bladego błękitu. Opuściłam obozowisko o godzinie 7 i ruszyłam do obozu II. Moje buciory skrzypiały na śniegu. Za sobą zostawiałam ślad, który skrzył się niczym diamentowy dywan. Bryły lodu i szczeliny tworzyły niesamowite wzory, a kiedy słońce zaczęło na nie świecić, zaczynały się przesuwać i zmieniać. W tym pięknym biało-niebieskim otoczeniu czułam się bardzo spokojna; cudownie było skupić uwagę na Annapurnie, a cały organizacyjny bałagan zostawić daleko za sobą.

Irene i Vera K. prędko mnie dogoniły i razem szłyśmy teraz drogą wyznaczoną przez grupę poprzedniego dnia. Jedynymi dźwiękami były nasze oddechy i szuranie butów. Pierwszą przeszkodą nad obozem I okazał się labirynt stromych szczelin lodowych.

Zarówno szczeliny, jak i lodowe bryły – seraki – formują się poprzez ruch lodowców, które bardzo powoli przesuwają się w dół góry. Kiedy lodowiec napotyka na swojej drodze strome zbocze lub nierówny teren, rozpada się i podobnie jak woda tworzy wodospady, szczeliny i bryły. O takich szczelinach mówi się często, że są „bez dna" – te tutaj zdecydowanie na takie wyglądały. Przypomniałam sobie jednak pewien tekst z dziedziny geologii, w którym napisano, bez krztyny romantyzmu, że szczeliny w lodzie rzadko są głębsze niż 30 metrów, ponieważ głębiej ściany są ściskane przez nagromadzony śnieg i lód.

Akurat te szczeliny były bardzo szerokie, więc łatwo było uniknąć upadku – względnie bezpieczne było nawet wędrowanie w ich okolicy bez liny. Szczeliny mogą być jednak zdradliwe, jeżeli są przykryte skorupą śniegu, wtedy widoczne było zaledwie malutkie pęknięcie na pokrywie śnieżnej. Rzadko się zdarza, by ktoś wpadł w taką szczelinę, mimo to na lodowcu zawsze rozsądnie jest asekurować się liną. W ciągu 15 lat lodowej wspinaczki raz zdarzyło mi się w taką dziurę wpaść, choć byłam bardzo ostrożna. Za każdym razem, kiedy to sobie przypominam, mam dreszcze. Dobrze, że byłam wtedy związana liną.

Miało to miejsce w 1967 roku, na wysokości 5800 metrów, tuż pod szczytem góry Pisco w Peru. Śnieg był głęboki i miękki, a zbocze łagodne, więc na butach do wspinaczki mieliśmy dodatkowo stuptuty, ale za to żadnych raków. Tuż pod szczytem przeskoczyłam przez szerokie na metr pęknięcie w lodzie. Mój czekan nie zaczepił się o miękki, sypki śnieg po drugiej stronie i czując, że zaczynam się ześlizgiwać, desperacko próbowałam się czegoś przytrzymać. Spadłam jakieś 5 metrów w dół, lina zatrzymała mnie gwałtownym szarpnięciem. Rozejrzałam się i zauważyłam, że znajduję się w ogromnej lodowej jaskini o bardzo gładkich ścianach. Próbowałam oprzeć się stopami o ścianę, ale śniegowce miały gładkie podeszwy i żadnej przyczepności. Zaczynałam już panikować i tracić oddech, ponieważ gdzieś słyszałam, że wspinacz wiszący, obwiązany w pasie, może oddychać tylko przez kilka minut. Krzyknęłam, ale jedyną odpowiedzią był mój własny gwałtowny oddech.

Z kieszeni wygrzebałam taśmę oraz urządzenie zaciskowe i wpięłam je w linę.

Przewiązałam pasem linę wokół talii i stopy. Mogłam teraz stanąć, odciążyć talię i głęboko odetchnąć. Przez moment nawet

zaczęłam podziwiać wspaniały lodowy amfiteatr, który był moim więzieniem. Na pionowych, niebieskozielonych, opadających w ciemność ścianach pobłyskiwały pode mną kropelki wody. Jednak nagle zdałam sobie sprawę, że jestem zziębnięta i przemoczona, więc zaczęłam przesuwać urządzenie zaciskowe po linie. W ciągu kilku minut byłam już na granicy ciemności – głębi szczeliny i światła – powierzchni. Przeciągnięcie się przez granicę szczeliny było najtrudniejsze, ponieważ lina wryła się głęboko w śnieg. Miotałam się, próbując się wydostać, ale stopy nie znajdowały żadnego oparcia. Moi przyjaciele zaczęli ciągnąć linę. Czułam się jak ryba złapana na wędkę – młóciłam nogami i rękoma, prześlizgiwałam się, aż w końcu udało mi się wydostać. Zgrabiałe z zimna ręce wyglądały jak szpony. Leżałam na stoku, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, posiniaczona i roztrzęsiona, gwałtownie łykając powietrze, ale przede wszystkim szczęśliwa, że żyję.

Odwróciłam wzrok od szczelin lodowych Annapurny i wspomnienie tamtego wypadku przestało mnie dręczyć. Szłam dalej w górę, mrużąc oczy w ostrym słonecznym blasku. Nagle ścieżka stała się bardzo stroma, więc dla bezpieczeństwa zaczęłyśmy rąbać w niej lodowe stopnie. Potem weszłyśmy na skalny występ. Kiedy wdrapałyśmy się na tę skałę, znalazłyśmy się na wysokości 5330 metrów. Tu postanowiłyśmy zatrzymać się na obiad. Zdjęłam swój plecak i bardzo ostrożnie go odłożyłam. Przedmioty na stromym stoku często poddają się sile grawitacji i ześlizgują w dół.

Ang Pemba i Lakpa wkrótce nas znaleźli i poczęstowali się moim batonikiem marcepanowym. Był przepyszny. Natomiast przywiezione ze Stanów batony z czekoladą i nugatem tutaj były niesmaczne – być może dlatego, że podczas długiej podróży

wielokrotnie się rozpuszczały i zmieniały kształt. Albo po prostu na dużej wysokości zrobiłyśmy się wybredne.

– No już, pospieszmy się! – poganiałam resztę, ponieważ bardzo chciałam się znaleźć na szczycie zbocza i popatrzeć na okolicę, zanim nadejdzie nieunikniona mgła. Lodowe wzniesienia znajdujące się nad skałą były pokryte cieniutką warstwą śniegu, przez którą droga zrobiła się bardzo śliska. Starałam się iść szybko, ale ślizgałam się na pokrytym śniegiem lodzie i nagle poczułam, że braknie mi powietrza – mój organizm najwyraźniej jeszcze nie przyzwyczaił się do przebywania na takiej wysokości. Jednak ogólnie jakoś sobie radziłyśmy – rąbałyśmy i kopałyśmy w śniegu stopnie, a także poprawiałyśmy zamocowania lin z poprzedniego dnia. Irene wytrwale pracowała nad przetarciem szlaku w śniegu po kolana – dźwigając jednocześnie ogromny plecak. Kiedy w końcu dotarłyśmy do miejsca, z którego poprzedniego dnia Annie, Piro i Vera W. musiały zawrócić, Irene była wykończona, a mgła już zdążyła spowić Annapurnę.

Miałyśmy ze sobą 100 metrów żółtej liny do zabezpieczenia ostatniego kawałka drogi do obozu II. Gdy zaczęłyśmy ją rozwijać, okazało się, że jest mocno splątana. Pierwsze pięć minut procesu rozwijania było w sumie miłą odmianą od wspinania się na strome podejście z koszmarnie ciężkimi bagażami na plecach, ale wkrótce sztywne, zgrabiałe dłonie dały nam się we znaki. A Mingma, który próbował nam pomóc, przypominał raczej niegrzecznego kotka bawiącego się kłębkiem włóczki.

Kiedy już rozplątałyśmy żółtą linę, przeszłyśmy przez teren pokryty lodowymi szczelinami i znalazłyśmy miejsce, na którym Holendrzy rozbili swój obóz rok wcześniej. Była to płaszczyzna o średnicy około 10 metrów. Stroma ściana lodu, o której

wspomniała Piro, rzeczywiście wyglądała, jakby mogła ochronić nas przed lawinami. Zobaczyłam jakiś wystający ze śniegu przedmiot.

– Patrzcie! Pozostałość po Holendrach – wykrzyknęłam.

– Masz na myśli kości? – Vera K. miała dosyć wisielcze poczucie humoru.

Zaczęłyśmy kopać i znalazłyśmy metalowe drabiny, które służyły za mosty nad pęknięciami w lodowcu, kołki do stawiania namiotów, plastikowe torebki, a także – chyba najlepsze ze znalezisk – torbę holenderskiej czekolady. Ustawiłyśmy platformę w mokrym, głębokim śniegu, a na niej czerwoniutki namiot. Lopsang obsypał cały teren obozowiska święconym ryżem, ale ostrzegł nas, że on nie wystarczy, żeby zapewnić bezpieczeństwo. Bezpiecznie osiedlić się w obozie II mogłyśmy dopiero po ceremonii z flagami, która miała odbyć się w obozie bazowym. Po spożyciu drugiego obiadu wsadziłyśmy bagaże do czerwonego namiotu i uważnie go zapięłyśmy. To była tylko pierwsza partia rzeczy, które musiałyśmy przenieść do obozu II – czekało na nas jeszcze kilkaset bagaży. W obozie miało stanąć siedem namiotów. Miał on nam służyć za punkt startowy do wspinaczki na wyższe partie góry.

Kiedy wracałyśmy na dół, spadł śnieg z deszczem, więc do obozu I dotarłyśmy przemoczone i zmarznięte. Irene zeszła ostatnia.

– Jestem skonana – powiedziała.

– Tak, teraz, kiedy wreszcie mamy okazję się wspinać, łatwo dać się ponieść i przeholować z wysiłkiem – stwierdziłam. – Może następnym razem weźmy mniejsze bagaże.

Na dużych wysokościach każdy aklimatyzuje się w innym tempie. Nie wiadomo dokładnie, jak działa ten proces fizjologiczny, ale jest jasne, że jego częścią jest wzmożona produkcja czerwonych krwinek i zmiany w procesach chemicznych, które sprawiają,

że organizm zużywa tlen bardziej efektywnie. Gwałtowna zmiana wysokości, z poziomu morza na 6000 metrów, może spowodować omdlenie, a nawet śmierć. Mniej gwałtowna zmiana też może wywołać szereg objawów, między innymi uczucie zmęczenia, utratę apetytu, bóle i zawroty głowy, mdłości oraz problemy ze snem i z racjonalnym myśleniem.

Niektórzy ludzie, nawet ci najsilniejsi i najzdrowsi, mają wewnętrzne granice wysokościowe, powyżej których zwyczajnie nie są w stanie funkcjonować. Jednak przy prawidłowej aklimatyzacji większość ludzi może miesiącami żyć i pracować na wysokości około 5500 metrów. Ci, którzy przebywają przez dłuższy czas powyżej tej granicy, zazwyczaj zaczynają chudnąć, tracić sprawność fizyczną, a także mogą doświadczyć pewnego ograniczenia aktywności umysłowej. Górnicy w Peru, którzy pracują na wysokości 5800 metrów, aklimatyzują się, codziennie wchodząc pieszo na tę wysokość z domów leżących co najmniej trzy kilometry niżej – codzienny pobyt w domu, na dużo niższej wysokości, chroni ich przed stałym oddziaływaniem czynników wysokościowych.

Zasadą jest codzienne przenoszenie się o około 300 metrów w górę, by organizm stopniowo przywykł do nowej wysokości. Kiedy tylko miałyśmy taką możliwość, przemieszczałyśmy się jeszcze wolnej i na razie żadna z nas nie miała objawów choroby wysokościowej. Przypisywałam to wielu czynnikom – powolnemu przemieszczaniu się w górę, grafikowi, który po dwóch dniach pracy przewidywał jeden dzień odpoczynku, a także temu, że pomiędzy nami nie było niezdrowej rywalizacji. Na innych ekspedycjach byłam świadkiem, jak członkowie brali na siebie największe ciężary i chcieli je zanieść do wyznaczonego miejsca jak najszybciej, żeby tylko sprawić, by to ich wybrano do ataku na szczyt. Taka brawura często kończyła się tym, że delikwent dostawał choroby

wysokościowej. W rzeczywistości nie miało to żadnego znaczenia, czy ciężary zostały wniesione w cztery godziny czy w sześć albo że ktoś niesie trochę lżejszy ładunek niż zazwyczaj. Najważniejsza była troska o zdrowie i nieprzemęczanie się, żeby nie tracić sił i chęci do wspinaczki na samą górę.

Następnego ranka, kiedy tym razem to Annie, Piro i Vera W. wnosiły toboły to obozu II, szczyty masywu Annapurny były dobrze widoczne, pokryte lodem i – co ciekawe – nieośnieżone. Zostałam w obozie I, przyglądając się górze, której szczyt znajdował się trzy kilometry ponad moją głową. Tego ranka w końcu zaczęłyśmy zastanawiać się, którą drogę wybrać do wspinaczki na Annapurnę. Była to miła odmiana po dyskusjach na temat sałatki owocowej z rumem i kłótniach z tragarzami o to, czy zburzą most nad Miristi Khola, czy nie.

Przez lornetkę uważnie obejrzałam wybraną przez nas trasę. Droga do obozu II była względnie bezpieczna i prosta, ale już wyżej była tylko stroma ściana, na której często zdarzały się lawiny. Po lewej stronie od trasy francuskiej ekspedycji Herzoga widoczne było kamienno-lodowe żebro, na które w zeszłym roku wspięli się Holendrzy. Ta trasa wyglądała bezpieczniej, ale była dużo trudniejsza od francuskiej. Musiałybyśmy wspiąć się na niemalże pionową ścianę lodowego żebra, po czym posuwać się po wąziutkiej grani. Jeszcze dalej na lewo znajdowała się trasa, którą kilka lat temu obrali Hiszpanie przy wchodzeniu na wschodni szczyt Annapurny. Rozważałyśmy skorzystanie z tej drogi na początku wspinaczki, a potem trawersowanie głównego grzbietu. Był to całkiem nowy wariant, ale wydawał się dłuższy i bardziej niebezpieczny niż przeprawa przez żebro trasą Holendrów.

Lopsang siedział obok mnie, na przemian patrzyliśmy przez lornetkę. Powiedziałam mu, że wydaje mi się, iż trasa holenderska

jest najlepsza, ponieważ wygląda na to, że jest najlepiej osłoniona przed lawinami. Lopsang miał jednak wątpliwości.

– Holenderska droga jest bardzo stroma – powiedział. – Potraficie się wspinać na stromy lód?

– Owszem – odparłam. – Po to tu przyjechałyśmy.

– Szerpowie są tutaj po to, żeby dźwigać bagaże dla memsahib – powiedział Lopsang. – Nie umiemy prowadzić po stromym lodzie. Wy musicie prowadzić. Holenderska droga bardzo trudna.

– No tak, poprowadzimy. Myślę, że lepiej będzie przejść stromą, ale bezpieczną ścieżką, niż zacząć wspinać się na którąś z łatwiejszych, ale bardziej niebezpiecznych.

Często różnica pomiędzy czymś niebezpiecznym i skomplikowanym jest bardzo subtelna. Wspinaczka na wiszącą kamienną ścianę w dolinie Yosemite jest niezwykle trudna, ale kamień jest stabilny, a pogoda zazwyczaj dobra, więc dla doświadczonych wspinaczy, którzy wiedzą, co robią, ryzyko jest względnie małe. Natomiast przeprawa przez płaski lodowiec jest prosta, ale może być bardzo niebezpieczna, jeżeli nad lodowcem są niestabilne bryły lodu.

Szerpowie dali już do zrozumienia, że woleliby iść drogą francuską lub hiszpańską, które nie wymagały zbyt dużych umiejętności wspinaczkowych. Jednak na tamtych trasach ryzyko wystąpienia lawin było zbyt duże. Ja wolałam bardziej strome podejście wybrane przez Holendrów – kiedy już znajdziemy się na żebrze, powinnyśmy być względnie bezpieczne od lawin.

W czasie mojej rozmowy z Lopsangiem słońce zaczęło mocno grzać. Gorąco było naszym wrogiem na ośnieżonych zboczach, ponieważ sprawiało, że śnieg robił się mokry – przez co idąc, traciłyśmy dużo energii. Kiedy dzień wcześniej wspinałam się do obozu II, miałam na sobie gogle narciarskie, czoło przewiązane

bandaną, wielki biały kapelusz z opadającym rondem, długą bawełnianą koszulę i rękawiczki z jednym palcem sięgające mi aż do łokci. Irene również próbowała całkowicie się zakryć, ale i tak dostała poparzeń słonecznych na rękach – miała odsłoniętą skórę pomiędzy rękawiczkami i końcami rękawów.

Jeżeli chodzi o pogodę, to można być pewnym tylko jednej rzeczy – że często będzie się zmieniać. W południe słońce schowało się za chmurą, temperatura gwałtownie spadła i zaczęło lać. Pomimo deszczu dziewczyny, które przybywały do obozu I zarówno z góry, jak i z dołu, wydawały się być radosne. Z obozu bazowego przyszły Liz, Margi, Alison, Christy i Dyanna – kompletnie przemoczone, ale za to szeroko się uśmiechając spod niebieskich kapturków. Wkrótce potem Piro, Annie i Vera W. w podskokach zbiegły z obozu II, szczęśliwe, że udało im się zatargać tam bagaże w mniej niż sześć godzin.

Piro ze śmiechem powiedziała nam, że druga wycieczka do obozu II wydawała się już dużo prostsza.

– Za pierwszy razem miałyśmy przy sobie tylko bagaże osobiste. Kiedy tylko nadarzała się okazja i jak nikt nie patrzył, wyrzucałyśmy sweter, raka czy coś innego za najbliższy kamień, bo plecaki wydawały się takie ciężkie! W końcu wylądowałyśmy w obozie z prawie pustymi plecakami, a i tak byłyśmy wykończone. Ale dziś miałyśmy plecaki ważące 18 kilogramów i czułyśmy się świetnie. Dobrze się zaaklimatyzowałyśmy.

Wszystkie stłoczyłyśmy się w stołówce. Byłyśmy szczęśliwe, że jesteśmy razem i że wreszcie rozpoczęła się prawdziwa wspinaczka.

– Tutaj jest jakoś inaczej – powiedziała Dyanna. – Pogoda jest dużo lepsza niż w bazie, gdzie ciągle była mgła.

Dyanna była najbardziej podekscytowana tym, że jest na górze. Nigdy wcześniej nie znalazła się wyżej niż 3600 metrów i była teraz bardzo dumna, słusznie zresztą, bo dziś wspięła się na 5000.

– Może zapiszę się na lekcje wspinaczki, jak wrócę do domu – powiedziała radośnie.

– Mogłam ci dać dzisiaj lekcję o upadkach – powiedziała na to Annie, robiąc komiczną minę. Wszyscy zaczęli ryczeć ze śmiechu, więc spytałam, o co chodzi.

– Cóż – zaczęła Annie – tuż przed obozem II zauważyłam jakieś dwa kijki wetknięte na oznaczenie czegoś. Spojrzałam na nie (były to bambusowe kołki z zawiązanymi na nich długimi czerwonymi flagami). Sprawdziłam, co zaznaczono tymi kijkami, i powiedziałam: „O, szczelina w lodzie". Tuż przed nią zauważyłam ślady stóp, więc poszłam nimi. Czułam się tak, jakbym spacerowała po skorupkach jajek – powiedziała, demonstrując swój bardzo ostrożny i powolny krok. – I nagle łubu-du – ku uciesze gawiedzi zademonstrowała również swój upadek w szczelinę.

– No właśnie – ciągnęła opowieść Annie. – Na początku też wydawało mi się to komiczne. Pomyślałam sobie: „No popatrzcie państwo, wpadłam w szczelinę". Ale kiedy po chwili spróbowałam się stamtąd wydostać, okazało się, że im bardziej się wiercę, tym głębiej się zapadam. Jednak największym błędem było to, że spojrzałam w dół. Było strasznie głęboko.

– Byłaś przypięta do Piro i Very W.? – spytałam.

– No nie, ale do obozu zostało zaledwie 100 metrów, a ja byłam przypięta do poręczówki, więc byłam bezpieczna – powiedziała to z lekkością, jak gdyby naprawdę upadek w szczelinę nie zrobił na niej wrażenia.

– Doprawdy? – spytała Alison z dezaprobatą w głosie. – Upadek w dużą szczelinę lodową bez zabezpieczenia może skończyć się

tragicznie.

– No cóż. W końcu oparłam się nogami o ścianę szczeliny i zaczęłam wciągać się na linie przy pomocy rąk i nóg – radość Annie pozostała niezmącona.

– Niebezpiecznie jest tak iść bez zabezpieczenia – powiedziała Liz.

– No przecież nic się nie stało. A poza tym wszystkie szczeliny są dość szerokie i dobrze widoczne. Tamta była przecież oznaczona. Wszyscy przekroczyli ją bez problemu. Ja widocznie byłam tą jedną osobą, o którą było za dużo.

Na Annie ta przygoda nie zrobiła większego wrażenia, a jej urok osobisty sprawił, że wszyscy się tylko śmialiśmy. Nie miałam żadnych podstaw, żeby ją pouczać, ponieważ ja, Vera K. i Irene również szłyśmy tamtędy bez zabezpieczenia. Co prawda Alison i Liz miały rację, mówiąc, że bezpieczniej jest z asekuracją, ale wspinaczka bez niej jest dużo wygodniejsza. Bez asekuracji każdy mógł iść własnym tempem, przystając i odpoczywając, kiedy tylko miał ochotę. Wydawało się, że z poręczówkami na każdym kawałku drogi, gdzie pojawiały się szczeliny, było na tyle bezpiecznie, że można było sobie odpuścić obwiązywanie się liną, ale upadek Annie był dowodem na to, że musiałyśmy zachować ostrożność.

Po obiedzie Christy i Dyanna wróciły do obozu bazowego, a reszta stłoczyła się w jednym namiocie. Dziewczyny do niższego obozu zeszły niechętnie, a Margi wytłumaczyła nam dlaczego.

– Ludzie w bazie są znudzeni i przygnębieni – powiedziała. – Tutaj jest dużo lepiej niż tam na dole, we mgle.

– Czekanie na te ich flagi robi się już denerwujące – powiedziałam. – Jeżeli przeniesiemy się wyżej i zwolnimy tutaj miejsce dla dziewczyn z bazy, morale na pewno się podniesie.

Kolejnym powodem niedobrej atmosfery w obozie bazowym była choroba Joan. Cierpiała już prawie dwa tygodnie. Piro

przepisała jej kurację antybiotykami i kazała przestać palić, ale mimo to Joan nie wracała do zdrowia tak szybko, jak się spodziewałyśmy.

– Jeżeli jej się nie polepszy – stwierdziła Margi – będziemy musiały wezwać po nią helikopter.

Słuchałam Margi zaniepokojona. Z raportów radiowych z bazy nie wynikało jasno, że Joan wciąż była tak strasznie chora.

– Jeżeli będzie to konieczne, oczywiście wezwiemy helikopter – zgodziłam się.

Zdrowie Joan nie było jedynym powodem do zmartwienia – miałam świadomość, jak bardzo interesują się nami media, a z doświadczenia wiedziałam, że kładą nacisk raczej na kobiece słabości niż siłę. Relacja z ewakuacji jednej z uczestniczek helikopterem może zdobyć więcej rozgłosu niż wiadomość, że dotarłyśmy na szczyt.

– Kiedy dwa lata temu na Mount Everеście dostałam dyzenterii – powiedziałam – mówili o tym w krajowej telewizji, w wiadomościach o szóstej. Wszyscy mężczyźni na tej wyprawie też się prędzej czy później pochorowali, ale o tym już nie mówili. Do tej pory podchodzą do mnie nieznajomi i mówią, jak bardzo współczują mi tej dyzenterii.

Starsze członkinie naszej grupy wiele razy były w sytuacji, w której odmówiono im możliwości wspinaczki tylko ze względu na płeć, więc też były dosyć uwrażliwione na to, jak ludzie nas postrzegają. Młodsze nie doświadczyły jeszcze dyskryminacji tak mocno, więc nie przejmowały się tym.

– Nie martw się – poradziła mi Annie. – Zapomnij o reszcie świata. Teraz musimy się martwić tylko o Annapurnę.

Wiedziałam, że ma rację. Tutaj, w ciepłej atmosferze, jaka jak dotąd przeważała w naszej grupie, świat zewnętrzny wydawał się

bardzo odległy.

– Dobra – stwierdziłam – masz rację, zapomnijmy o tym. Skupmy się lepiej na górze.

W tym momencie jednak Annie skupiała się na stercie małych przedmiotów, które rozłożyła na podłodze namiotu. Organizowała podręczny zestaw naprawczy z obozu I, w którym znajdowały się: taśma klejąca, gumki recepturki, wykałaczki, klej, agrafki, lina, przetyczki, metalowe obręcze i płócienny materiał.

– To cud, że udało nam się przenieść tutaj wszystkie te rzeczy – powiedziała, podnosząc głowę.

– Jak to? – spytała Liz. Annie zaczęła opowiadać kolejną barwną historię.

– Cóż – zaczęła – wyniesienie tych rzeczy ze sklepu było trudniejszym zadaniem niż przewiezienie ich do Nepalu. Najpierw dwie godziny zabrało mi szukanie tego wszystkiego, a potem dziewczyna przy kasie wbiła złą cenę. Już zdążyłam wpisać tę kwotę do jedynego czeku ekspedycyjnego, jaki przy sobie miałam, a ona nie pozwoliła mi po prostu przekreślić tej liczby i napisać właściwej obok. Musiałam wypisać czek na nowo. No i się okazało, że nie przyjmą mojego osobistego czeku. Mieli też podejrzenia co do autentyczności mojego kalifornijskiego prawa jazdy, ponieważ niechcący je uprałam i napisy trochę się starły. Pokazałam im zatem międzynarodowe prawo jazdy, ale takiego wcześniej nie widzieli i mu nie ufali. W końcu się okazało, że jakiś idiota, który biegał w kółko z moim czekiem i prawem jazdy, zgubił je gdzieś, po czym oznajmił, że nie przyjmą czeku, ponieważ nie miałam przy sobie żadnego dowodu tożsamości. W końcu Margi musiała tam pójść, żeby za wszystko zapłacić i uratować moje prawo jazdy. Po tym doświadczeniu nepalscy celnicy wydawali mi się mili i dobrze zorganizowani.

– Tak, odbieranie prawa jazdy Annie było jednym z dwóch jak dotąd naprawdę upiornych momentów tej ekspedycji – roześmiała się Margi i zaczęła opowiadać o swoich przygodach. – Przeżyłam chwilę grozy podczas marszu do bazy. Schodziłam sama ze stromego, błotnistego wzgórza, kiedy nagle poślizgnęłam się i – bum! – upadłam w tył i wylądowałam na swoim plecaku. Byłam na krawędzi przepaści głębokiej na jakieś 7 metrów i trzymałam się tylko malutkiego krzaczka. Widziałam, jak pijawki pełzną ku mnie z każdej strony, ale nie mogłam się ruszyć. Gdybym to zrobiła, wpadłabym w przepaść. Uratowała mnie Vera W. – przyszła i wyciągnęła przy pomocy swojej parasolki, zanim pijawki zdążyły pożreć mnie żywcem.

Opowieść Margi sprawiła, że wszystkie oddałyśmy się ulubionej rozrywce: tak jak rybacy opowiadają historie o rybach, a piloci o lotach, w których brali udział, tak alpiniści opowiadają o chwilach, kiedy otarli się o śmierć. Wydawało się, że większość z tych historii przebiegała według schematu: gdyby wspinaczka trwała dalej, doszłoby do tragicznego wypadku, którego uniknięto, zatrzymując się w ostatnim dosłownie momencie.

– To niesamowite, że nawet przy wielu upadkach z dużej wysokości na lodzie nie dochodzi do żadnych obrażeń – powiedziałam.

Margi zgodziła się ze mną.

– Myślę, że groźniejsze wypadki zdarzały mi się na rowerze niż podczas wspinaczek, a zaliczyłam kilka niezłych upadków – powiedziała.

Margi wspinała się głównie w Kalifornii, gdzie dość rzadko dochodzi do tragicznych wypadków.

Liz wspinała się przede wszystkim w europejskich Alpach, które są bardziej niebezpieczne. Kamienie często są tam zmurszałe,

a pogoda zmienia się gwałtownie.

Dzieje się tak, mimo że technicznie Alpy są raczej łatwe[2] – większość wypadków zdarza się tam niedoświadczonym, źle wyposażonym wspinaczom, którzy chcą się przejść w słoneczku po lodowcu i nagle zaskakuje ich burza, na którą w ogóle nie byli przygotowani. Czasem jednak tragiczne wypadki zdarzają się w Alpach także osobom z doświadczeniem we wspinaczce, które mimo to popełniają błędy lub po prostu mają pecha. Liz opowiedziała nam dwie historie, które wyjaśniały, dlaczego tak się wściekła na Annie za wędrowanie przez szczeliny poza tym bez żadnej asekuracji.

– Zeszłego lata – wspominała Liz – wspinałam się z hiszpańską grupą, której członkowie byli związani liną, ale poza tym bez żadnej asekuracji. Nagle usłyszałam wrzask, od którego mało mi nie popękały bębenki. Jeden z alpinistów poślizgnął się i pociągnął za sobą resztę. Nie mieli żadnych szans. Zrobiło mi się niedobrze, ale postanowiliśmy iść dalej.

– Tydzień później, kiedy już ukończyliśmy długą wspinaczkę po pionowej ścianie i właśnie schodziliśmy w dół po żlebie, nagle mój przyjaciel wrzasnął: „Kamień!". Natychmiast usunęłam się w bok, a jakieś 2 metry od mojej głowy przeleciał nie kamień, a plecak wraz z jego właścicielem.

Zapadło milczenie. Wiedziałyśmy, że wspinaczki w Alpach bywają niebezpieczne, ale mimo to góry te były bardziej przewidywalne niż lawiny Annapurny. Jeżeli Alpy są bardziej niebezpieczne niż góry w Stanach, to Himalaje powinnyśmy traktować z jeszcze większą rozwagą. Chociaż nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że jeden na dziesięciu himalaistów nie wraca do domu. Była nas dziesiątka. Nie do pomyślenia dla nas było, by któraś miała zginąć.

Założyłyśmy więc, że nic podobnego nam się nie przydarzy. Planowałyśmy wszystko bardzo rozważnie i próbowałyśmy uniknąć najdrobniejszych choćby błędów.

Lodowaty deszcz bębnił o namiot, ale w środku było ciepło i przytulnie. Kiedy zawinięta w śpiwór gawędziłam z przyjaciółkami, po raz pierwszy poczułam, że bycie liderem nie jest aż takie złe. Do tej pory często czułam się, jakbym miała na kurtce wyszytą szkarłatną literę „L", która w pewnym sensie odgradzała mnie od innych. Teraz byłam bardzo szczęśliwa, że jestem częścią tej grupy. Chociaż Annapurna wydawała się ogromna i lodowata, to dzielenie się doświadczeniami i wzajemne zrozumienie jednoczyło nas – czułam, że stałyśmy się grupą, która mogła podołać temu wyzwaniu.

Annapurna – góra o złej reputacji. Do 1978 roku z dziewięćdziesięciu wspinaczy, którzy usiłowali wejść na szczyt, udało się to zaledwie ośmiu. Dziewięć osób zginęło (z archiwum Autorki).

Bogowie gór
10–12 września

Kiedyś na Mount Evereście musiałam przejść przez zdradliwy płat starego lodu. Był ze mną Norbu – Szerpa. Wrzasnął do mnie: „Poczekaj, memsahib!". Zaczął grzebać w plecaku. Myślałam, że szuka śrub lodowych, żeby założyć przelot, ale myliłam się. W końcu znalazł to, czego szukał – poświęcony ryż. Pomodlił się, przerzucił ryż przez ramię i powiedział, że teraz możemy bezpiecznie przejść.

– A śruby lodowe? – spytałam go.

– Nie trzeba, memsahib. Bogowie gór są zadowoleni.

Pomimo tego, że Szerpowie znają współczesne metody wspinaczki i nowoczesny sprzęt, wciąż wierzą, że ich przetrwanie w górach zależy głównie od kaprysów losu lub dobrej woli górskich bogów. Na najcięższe wspinaczki przygotowują się, nie tylko doskonaląc umiejętności, ale także modląc się i składając dary bogom. Wreszcie nadszedł czas obdarowania tych, które zamieszkiwały stoki Annapurny.

Tego dnia, kiedy miała się odbyć ceremonia z flagami, Szerpowie wstali o świcie i pomiędzy obozem a źródłem zbudowali wysoki na ponad metr, prostokątny kamienny ołtarz. Dzień wcześniej z brzegów Miristi Khola nanieśli brzozowych witek. Tuż po śniadaniu ułożyli witki na ołtarzu i podpalili je. Patrzyłyśmy, jak Chewang skrupulatnie rozciąga sznur z jaskrawymi chorągiewkami,

prowadzący od ołtarza do trzech dużych kłód leżących w odległości około 14 metrów – na każdym sznurze znajdowały się tuziny czerwonych, niebieskich, zielonych i białych flag modlitewnych. Pasang stał w pobliżu ogniska, zapamiętale się modląc, a reszta Szerpów z entuzjazmem obsypywała wszystkich poświęconym ryżem. Pasang modlił się przez jakieś 15 minut. Wtedy reszta podniosła kłody i flagi znalazły się w powietrzu – wyglądały jak szprychy roweru. Dokładnie w tym momencie zza chmur wyszło słońce i szczyt Annpurny stał się widoczny. Dobry omen! Najwyraźniej bogowie gór byli zadowoleni z ceremonii.

Szerpowie zwilżyli rogi flag rumem i masłem, po czym obsypali je poświęconą tsampą. Potem ceremonialnie polali rumem i rozpuszczonym masłem nasze dłonie, obsypali nas ryżem, cukrem oraz poświęconą tsampą, radośnie śmiejąc się, kiedy to wszystko znalazło się na naszych włosach i spadało po plecach. Do końca nie byłam pewna, czy robią to, żeby zjednać sobie bogów gór, czy też może dla zabawy. Zlizałyśmy rum i masło z rąk oraz wyskubałyśmy tsampę z włosów. Dziewczyny i Szerpowie głośno śmiali się w cieplutkim słońcu, a Annapurna łaskawie spoglądała na nas z góry.

Lopsang wygłosił przemowę, w której namawiał Szerpów do sumiennego wykonywania obowiązków i ciężkiej pracy. Życzył im także, żeby wspięli się na górę. Potem ja powiedziałam do zebranych kilka słów.

– Do tej pory wszyscy świetnie się wspinali. Udało nam się dotrzeć na górę z całym sprzętem. Rozbiliśmy i wyposażyliśmy obozy I i II. Być może wszyscy razem już za miesiąc dotrzemy na szczyt Annapurny. Mam nadzieję, że każdy, kto chce wspiąć się na szczyt, dostanie taką szansę, i że himalaistki oraz Szerpowie będą wspinać się ramię w ramię, w pełnej zgodzie, aż na sam szczyt

Annapurny. Mam też nadzieję, że wszyscy szczęśliwie wrócą do domów.

Spojrzałam na szczyt góry wystający z chmur i zaczęłam się zastanawiać, czy moje nadzieje się spełnią i czy każdy, kto zechce zdobyć szczyt, rzeczywiście będzie miał taką możliwość.

Na większości zwykłych wypraw każdy, kto chce wejść na szczyt, zazwyczaj dostaje taką szansę. Jednak w Himalajach tak nie jest, bo zapasy na wyższych obozach wystarczają tylko dla kilku osób. Przetrzeć szlak można tylko raz; potem trzeba dziesiątków marszów tylko po to, żeby przenieść zapasy. Często zaledwie dwie osoby mogą wejść na szczyt – ale to, czy im się powiedzie, zależy od wysiłków całej grupy. Większość uczestników wyprawy z reguły jest w stanie wspiąć się na szczyt, ale wybór tych, którzy dostąpią tego zaszczytu, zależy od wielu okoliczności i odbywa się w ostatniej chwili.

Sytuacja taka powoduje oczywiście konflikty. Ludzie zaczynają ze sobą rywalizować i dzielą się na frakcje – czasem przegrana frakcja poddaje się i wraca do domu. Wiele ekspedycji zostało poważnie osłabionych przez gorycz wywołaną decyzjami ich liderów. Musiałam zacząć się zastanawiać, jak poradzić sobie z tymi nieuniknionymi problemami, ponieważ miałyśmy już wkrótce zacząć atakować najtrudniejsze odcinki Annapurny.

Wszyscy mieli już dość pakowania, przepakowywania i noszenia tobołów dzień po dniu; każda z nas chciała także poprowadzić dalszą wspinaczkę. Do tej pory zmieniałyśmy się w naszych trójkowych grupach przy prowadzeniu i dźwiganiu – wszystkie miałyśmy równe prawa i jeżeli tego byśmy się trzymały, każda z nas miałaby szansę w pewnym momencie poprowadzić grupę. Jednak po stromym, trudnym lodowym żebrze znajdującym się nad obozem II trzeba było przejść jak najszybciej i jak najbezpieczniej.

Miałam już wytypowane cztery najlepsze lodowe himalaistki i dwóch Szerpów – wierzyłam, że oni najlepiej poradzą sobie z tym żebrem. Przy takim rozwiązaniu w najniebezpieczniejszych miejscach w tym samym czasie znajdowałoby się jedynie kilka osób. To ułatwiłoby znacznie logistykę, a dopuszczenie Szerpów do prowadzenia zwiększyłoby ich poczucie przynależności do grupy.

Jednak nie oczekiwałam, by ten plan miał się spodobać reszcie grupy. Wyznaczenie najlepszych do prowadzenia podzieliłoby zespół na dwie frakcje i byłoby bolesne dla tych, które nie zostały wybrane.

Uważałam też, że uwzględnienie Szerpów w grupie prowadzącej i obietnica tego, że znajdzie się dla nich miejsce na szczycie, było zarówno sprawiedliwe, jak i konieczne dla zachowania ich lojalności. Jednak duża część grupy nie zgodziła się ze mną, a w ciągu ostatnich kilku dni i tak już doszło do wielu nieporozumień oraz frustracji, przez co atmosfera stawała się napięta. Dochodziło również do spięć na linii dziewczyny – Szerpowie.

Dotarło do mnie, że pojawił się taki problem, kiedy do stołówki, w której Irene i ja omawiałyśmy kwestie logistyczne, wpadły wściekłe Liz i Alison.

– Trzeba coś zrobić z tymi Szerpami – stwierdziła Liz. – To skandal, co się u nich wyrabia. Zostałyśmy tu oddelegowane, żeby z tobą o tym porozmawiać.

– Co się dzieje? – spytałam najspokojniejszym głosem, na jaki mnie było stać. Sformułowanie „oddelegowane" zaniepokoiło mnie, bo to znaczyło, że problem – cokolwiek by to było – dotyczył wielu osób.

– Ci cholerni Szerpowie! – wykrzyknęła Alison. – Nie warto ich tu trzymać. Niosą dokładnie takie same ciężary jak my, a nam

przeniesienie ich zajmuje połowę czasu. Nie przemęczają się za bardzo. Lopsang powiedział, że będą nosić po 18 kilogramów, ale noszą raczej po 12.

– A jak to tłumaczą? – spytałam.

– Mówią, że wczoraj nieśli cięższe bagaże niż zwykle, co jest nieprawdą – odparła Liz. – Wczoraj powyciągali bagaże z pudeł, więc ja i Piro musiałyśmy je targać za nich.

– Robią awanturę o pudła, które ważą głupie półtora kilograma – dodała Alison. – A przecież oni szybciej przyzwyczajają się do wysokości i powinni funkcjonować lepiej niż my. Poza tym w końcu im płacimy – i to całkiem ładną sumkę. Powinnyśmy im przypomnieć o tym całym sprzęcie, który od nas dostali, żeby nie zapomnieli, jak bardzo opłaca im się ta wyprawa.

– No cóż, nie brzmi to najlepiej – zgodziłam się. – Wiem, że mi łatwiej zachować spokój, bo mnie przy tym nie było, ale gdybyście tylko zdołały zapanować nad gniewem, może dałoby się rozwiązać tę kwestię. Spróbujcie to potraktować jak praktyczny problem i nie podchodzić do niego emocjonalnie.

– Ale to właśnie jest praktyczny problem! – Alison obstawała przy swoim. – Jeżeli nie wypełniają swoich obowiązków, nie możemy sobie pozwolić, żeby krążyli tutaj jak jakieś pasożyty. Powinnyśmy ich wylać.

– Daj spokój, Alison. Dobrze wiesz, iż często się zdarza, że himalaiści noszą tyle samo co Szerpowie, a nawet więcej. Na holenderskiej ekspedycji Szerpowie nosili po 15 kilogramów, a wspinacze nawet do 25 na niższych partiach góry. Na wyższych partiach Szerpowie nosili tyle samo albo nawet więcej niż wspinacze.

– Bardziej by się opłacało mieć dodatkową szóstkę alpinistek niż tych sześciu Szerpów – upierała się Alison. – Od początku

powtarzałam, że są nam niepotrzebni, a to tylko dowód na to, że miałam rację.

– A poza tym robią się coraz okropniejsi – dodała Liz. – Ciągle pokazują nas sobie palcami i chichoczą. Wiem, że wygłaszają jakieś obrzydliwe komentarze.

Z powodu mojego statusu „dowodzącej bary memsahib" Szerpowie oszczędzili mi chamskich przytyków, więc byłam zaskoczona.

– Skąd to wiecie? – spytałam.

– Po pierwsze, cały czas rysują na śniegu falliczne kształty – odparła Liz. – A kiedy Vera W. poprosiła ich, żeby przestali, stwierdzili, że to... yeti rysuje na śniegu, a nie oni!

Wszystkie się roześmiałyśmy, rozładowując nieco napiętą atmosferę.

– Ale przecież falliczne symbole są dla hinduistów święte – odparłam.

– Ale Szerpowie są buddystami – zripostowała szybko Alison, co wywołało kolejne salwy śmiechu.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek miały zdobyć ich lojalność – stwierdziła Liz.

– Okazywali lojalność na innych ekspedycjach – odparłam.

– No tak – zgodziła się Liz – ale to co innego. Tam byli mężczyźni, więc to była bardziej męska solidarność, a nie sądzę, żeby podobnie było z kobietami. Żarty i chichoty z dnia na dzień robią się coraz gorsze, a w obozie I zaczyna się tworzyć wroga atmosfera.

– Ale na Holenderskim Żebrze będziemy pracować razem. Nas będzie dwójka i ich będzie dwóch. Będziemy mieć wspólny problem. Może sytuacja się polepszy, gdy bardziej będziemy współpracować – zasugerowałam.

Alison zaoponowała.

– Nie potrzebujemy żadnych Szerpów do pomocy przy prowadzeniu nad obozem II. Nie zasłużyli sobie na to.

– Nie sądzę, żeby sytuacja się poprawiła, kiedy zaczniemy się wspinać coraz wyżej, a oni będą nosić bagaże na niższych partiach. Muszą mieć poczucie, że są częścią zespołu – nalegałam.

– I o to właśnie chodzi. Oni nie są częścią zespołu. Zatrudniłyśmy ich – Alison była nieugięta.

– Wszyscy już mają dość noszenia cały czas bagaży. Jeżeli chcemy, żeby Szerpowie z nami współpracowali, musimy pozwolić im wziąć udział we wspinaczce ciekawszej od noszenia tobołów – nalegałam ponownie.

– Jeżeli Szerpowie pomogą nam w prowadzeniu, ta wyprawa straci swoje znaczenie – nie będzie kobiecą wspinaczką – Alison użyła swego głównego argumentu.

– Nie zgadzam się z tobą – stwierdziłam. – W większości ekspedycji w Himalajach, które odniosły sukces, brali udział Szerpowie. Nam, kobietom, udało się to wszystko zorganizować, same podejmowałyśmy wszystkie decyzje, a także odwaliłyśmy większość roboty. Pozwolenie Szerpom na wspinanie się z nami nie umniejszy tego w żadnym stopniu.

Miałyśmy różne zdania, ale dobrze wiedziałam, co czuje Alison. Chciała, żeby ta wspinaczka była całkowicie kobiecym osiągnięciem, czym innym niż jej wejście na Gaszerbrum III, gdzie towarzyszyli jej mężczyźni. Dość już jednak miałam w kółko tej samej kłótni i ulżyło mi, kiedy usłyszałam dochodzący spoza namiotu wrzask Marie i Dyanne:

– Przyszedł Kaji z pocztą!

Wszyscy wybiegli i zaczęli grzebać w wielkiej stercie listów. Kaji, goniec, pokonał trasę z bazy do Katmandu i z powrotem w ciągu zaledwie dziesięciu dni.

Poszłam do swojego namiotu z pęczkiem otrzymanych listów, także od mojego chłopaka Johna Percivala. Zachowałam go na sam koniec, na początku przeczytałam słowa od rodziny i przyjaciół. Później wzięłam do ręki list od niego i zaczęłam usilnie wpatrywać się w kopertę, licząc, że jakimś sposobem uda mi się zobaczyć przez papier, co też mi napisał. W końcu go otworzyłam. John napisał, że bardzo mu na mnie zależy i że wspiera mnie w stu procentach. Chciał, żebym była silna, pewna siebie i zawierzyła swemu instynktowi. Bardzo potrzebowałam tych słów.

Poszłam na spacer wokół obozu bazowego. Deszcz był zimny. Wspięłam się kilkaset metrów ponad obóz i znalazłam w kompletnej ciszy. Przez mgłę nie widziałam nawet namiotów. List Johna dodał mi sił, więc postanowiłam za wszelką cenę przekonać resztę grupy do mojego planu przejścia po Holenderskim Żebrze. Rozważałam możliwość przedstawienia planu na spotkaniu grupy, ale odrzuciłam ten pomysł z obawy, że ambicja i wrogość w stosunku do Szerpów nie pozwoli im przystać na moją propozycję. Zdecydowałam się na podejście lobbystyczne – postanowiłam porozmawiać z każdą z dziewczyn indywidualnie, zdobyć ich wsparcie, a dopiero potem zorganizować spotkanie.

Po ceremonii, na której uczestnicy wyprawy prosili górskich bogów o ochronę i błogosławieństwo (fot. Arlene Blum).

Miałam nadzieję, że Margi i Annie, dwie najmłodsze członkinie, poprą mój plan. Kiedy zatrzymałam się przy ich namiocie, by wyłuszczyć im sprawę, już mnie, jak się okazało, oczekiwały.

– Krążą plotki, że zmieniłaś plany. Czy to prawda, że drogę mają przecierać głównie Szerpowie? – spytała Annie, kiedy tylko wczołgałam się do ich namiotu.

– Oczywiście, że nie – zapewniłam je. – Ale prowadzić powinni tylko najlepsi wspinacze lodowi. Wy dwie nie macie w tym dużego doświadczenia, więc proszę was, żebyście na razie trzymały się dźwigania ciężarów.

Obydwie posmutniały.

– Cóż, nie wiedziałam, że w Himalajach jest tak niewiele okazji do prawdziwej wspinaczki. Na razie tylko się miotamy i dźwigamy ciężary – powiedziała Margi. – Powinnam była zostać w domu

i wspinać się w Kalifornii. Tam przynajmniej rzeczywiście mogłabym zdobywać szczyty.

Powiedziałam im, że mam nadzieję, iż jeszcze będą miały okazję przecierać szlak i że dostaną się do grupy atakującej szczyt.

– No, wiem, wiem – Annie spróbowała się uśmiechnąć. – Dobrze się w końcu tu bawię i cieszę się, że przyjechałam.

– Jestem rozczarowana – przyznała z kolei Margi – ale rozumiem twoją decyzję. Musimy myśleć o tym, co jest najlepsze dla całego zespołu, nie tylko dla nas.

Byłam pod dużym wrażeniem altruistycznego i dojrzałego podejścia najmłodszych dziewczyn.

Z Verą W. było jednak trudniej.

– Chcę wejść na tę górę sama! – powiedziała ze złością. – Dwa lata pracowałam, żeby dostać tę szansę, a Szerpowie głównie burczą i narzekają. Nie zasługują na to, żeby się tam wspinać – ja na to zasługuję.

Vera W. była bardziej stanowcza, niż się spodziewałam.

– Oni są niemożliwi! – ciągnęła. – Wczoraj był mój pierwszy dzień odpoczynku – dźwigałam ciężary przez cztery dni pod rząd. Lopsang zauważył, że sobie siedzę oraz odpoczywam, i stwierdził: „Wy też musicie nosić bagaże albo zatrudnić więcej Szerpów". To skandaliczne! Nosimy tyle samo co Szerpowie pomimo tego, że oni są od nas silniejsi. Później usiadłyśmy sobie i łyknęłyśmy szkockiej, żeby się rozgrzać, na co Lopsang oznajmił: „Jak będziecie pić szkocką, to nie wejdziecie na górę". To nie jego sprawa, co pijemy!

To prawda, Vera W. pracowała bardzo ciężko na to, żeby ta wyprawa w ogóle się odbyła, a ja przypomniałam sobie, że to ze względu na wiek prawdopodobnie jej ostatnia szansa na wspinaczkę w Himalajach. Mnie byłoby dużo łatwiej zrezygnować z możliwości prowadzenia, a nawet wejścia na szczyt.

Bycie liderką było wystarczająco satysfakcjonujące, a poza tym nie miałam wątpliwości, że jeszcze tu wrócę. Powiedziałam jej, że będzie miała okazję poprowadzić grupę później, tam, gdzie nie będzie to wymagało doświadczenia w technicznej wspinaczce lodowej.

Od Very K. natomiast dowiedziałam się, co myślą o tym wszystkim Szerpowie. Mówiła niskim, konspiracyjnym szeptem.

– Rozmawiałam z Szerpami. Usiłowałam dowiedzieć się, czemu się tak dąsają. Po pierwsze, uważają, że Lopsang źle ich traktuje. Męczą ich jego nieustające wykłady o obowiązkowości i nie szanują go. Po drugie, też chcą się wspinać i wejść na szczyt. Myślę, że będą zadowoleni z możliwości przetarcia szlaku.

Chodziłam od namiotu do namiotu i każdemu po kolei wyłuszczałam mój plan. Reakcje wahały się pomiędzy łagodną akceptacją Margi i Annie a wściekłością Very W. Jednak nikt nie kwestionował mojego prawa do podjęcia ostatecznej decyzji w tej sprawie.

Tego samego dnia, którego odbyła się ceremonia z flagami, wieczorem urządziłyśmy imprezę dla Margi, Annie, Marie i Joan – wszystkie miały urodziny w tym tygodniu. Margi obchodziła 21. urodziny, Joan 50. Na ceremonię rozpięcia flag kupiliśmy całą owcę i na urodzinowe przyjęcie dostałyśmy smażoną owczą wątróbkę. Smakowała nawet tym z dziewcząt, które na co dzień gardziły wątróbką – była bardzo świeża. Najlepsza jednak była sałatka – najbardziej pożądane i niemalże niemożliwe do zdobycia jedzenie na każdej górskiej ekspedycji. Zawdzięczaliśmy ją Joan, która przywiozła ze sobą cztery różne rodzaje nasion i zasadziła je w plastikowych butelkach po wodzie, w zimne noce ogrzewając w swoim śpiworze. Chwile, w których dzieliła się z nami roślinami, są do dziś zdecydowanie najlepszymi wspomnieniami z wyprawy

pod względem kulinarnym. Co więcej, Joan prawie wyleczyła się ze swojego zapalenia płuc, co jeszcze bardziej podniosło nas na duchu.

Do kolacji piłyśmy skondensowane wino, które wyprodukowała dla nas Margaret Young – doskonała himalaistka, która wzięła udział w kobiecej ekspedycji na McKinleya, a także częsta towarzyszka Very W. i Annie. Niedawno zdarzył się jej wypadek podczas jazdy konnej, w wyniku którego została sparaliżowana. Wzięła jednak udział w naszej ekspedycji, projektując dla nas szable śnieżne i saperki z linką, które wbija się w śnieg dla asekuracji, a także robiąc to wspaniałe wino. Na deser Pasang zdołał upiec tort urodzinowy ze świeczkami. Ja zapewniłam piszczałki i butelkę szampana; nie pomyślałam jednak, że otworzenie szampana na wysokości 4200 metrów może stanowić problem – większość zawartości butelki wylądowała na suficie namiotu, momentalnie zamarzając. Odśpiewałyśmy „Sto lat", pohałasowałyśmy piszczałkami i opowiadałyśmy sobie historyjki. W międzyczasie w namiocie zrobiło się ciepło, szampan stopniał i zaczął kapać nam na głowy.

W końcu nadszedł czas na przedstawienie planu wspinaczki całej grupie. Wzięłam głęboki wdech i zaczęłam mówić.

– Na razie przecierać szlak powinny jedynie osoby z największym doświadczeniem w lodowej wspinaczce. Jednego dnia poprowadzą Liz i Alison, następnego Vera K. i Piro. Reszta zajmie się noszeniem bagaży pomiędzy I i II obozem. Ang i Lakpa będą pomagać prowadzącym. Uważam, że to najszybszy i najbezpieczniejszy sposób.

Mówiłam dalej, wyjaśniając, że jeśli Szerpowie zgodzą się pracować przez więcej dni pod rząd niż dotychczas, będzie można wnieść na górę mniejszą ilość jedzenia, w związku z czym proces

logistyczny będzie mniej skomplikowany. Spodziewałam się protestów, ale kiedy skończyłam mówić, zapadła martwa cisza. Wiedziałam, że niektórzy czuli się pokrzywdzeni tym, że nie zostali wyznaczeni do prowadzenia, ale nie padło nawet słowo sprzeciwu. Jednak z drugiej strony nikt nie wyraził też swojego poparcia. Czy to możliwe, że moje niedemokratyczne zachowanie spowodowało jeszcze większe zniechęcenie? Najwyraźniej tak było, ponieważ tej nocy, kiedy zdmuchnęłam świeczkę w namiocie, słyszałam, jak ktoś mówi: „Arlene obchodzą tylko stosunki z Szerpami. Nie obchodzi jej danie kobietom szansy na wspinaczkę". Zasypiałam, zastanawiając się, czy podjęłam właściwą decyzję i czy czasem przepchnięcie tego planu nie odbyło się zbyt dużym kosztem.

Dzień po ceremonii rozwieszenia flag Liz, Alison, Vera K. i Piro zaczęły się przygotowywać do wyjścia do obozu I, by stamtąd zacząć wspinać się na bardzo trudne Holenderskie Żebro. Przy śniadaniu nastroje były napięte. Nikt nie wydawał się zadowolony z przydzielonej mu roli – ani grupa wyznaczona do przecierania szlaku, ani te pominięte. Moja taktyka nie spodobała się wielu osobom.

Dyskusję zaczęła zwykle małomówna Piro.

– Myślę, że powinnyśmy porozmawiać o sposobie podejmowania decyzji w tej grupie.

Trajkotanie o dżemie ustało jak nożem uciął. Wszystkie trzynaście kobiet zebranych przy stole nagle zaczęło bardzo uważnie słuchać, a ja poczułam suchość w ustach.

– Myślę, że ta decyzja nie została podjęta w sposób demokratyczny, a także że powinnyśmy wymyślić wspólny plan, tak żeby każda z nas miała szansę poprowadzenia grupy – natychmiast stwierdziła Vera W.

Margi nie zgodziła się z nimi.

– Nie. Jeżeli ten plan jest najlepszy dla całości ekspedycji, powinnyśmy przynajmniej go wypróbować.

Vera W. miała jednak wątpliwości.

– Jeżeli wejdę na szczyt na linie zaczepionej przez kogoś innego, nie będę miała poczucia, że weszłam na górę o własnych siłach. Sama chcę poprowadzić grupę.

– Też jestem rozczarowana tym, że nie będę mogła teraz prowadzić – powiedziała Margi. – Ale pamiętajcie, że przeniesienie wszystkich potrzebnych rzeczy do dwójki jest równie ważne. Nie możemy wszystkie zachowywać się jak primadonny. Nie możemy też zawsze prowadzić. Po tym wszystkim wrócimy do domu i możemy się wspinać na bardzo trudne góry, gdziekolwiek zechcemy. Czy nie możemy po prostu cieszyć się teraz z pracy wykonywanej na rzecz całej ekspedycji?

– Nie, ponieważ wiele z nas nie jest zadowolonych ze sposobu, w jaki została podjęta ta decyzja – odparła Joan.

I jak to często miało miejsce, Vera K. nagle wyskoczyła z bardzo rozsądnym argumentem sformułowanym w bardzo nierozsądny sposób.

– Dla większości z nas jest to jedyna szansa, żeby wspiąć się na taką górę. Więc spróbujmy może dobrze się bawić, zamiast bez przerwy się kłócić o takie głupstwa. – Na dźwięk słowa „głupstwa" wszyscy się skulili.

Zabolała mnie ta krytyka, chociaż wiedziałam, że była zasłużona. Zostałam przyłapana na prowadzeniu lobbingu i cała grupa wściekła się na metody, które zastosowałam, by przeprowadzić swój plan. Sprawdziło się powiedzenie, że piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami. Niektórzy stali za mną murem, inni zwrócili się przeciwko mnie. Biłam się z myślami – martwiłam się, że rozbiłam grupę na obozy i odebrałam jej całą radość ze wspinaczki,

a jednocześnie było mi przykro, że moje intencje zostały źle odebrane. Mimo wszystko udało mi się dość spokojnie powiedzieć:

– Cóż, owszem, w ciągu ostatnich kilku dni popełniłam błędy. Ale to doświadczenie nauczyło nas, żeby następnym razem decyzje podejmować otwarcie. Od dzisiaj, kiedy trzeba będzie podjąć jakąś decyzję, będę starać się doprowadzić do porozumienia z wami w każdym z obozów. Te decyzje będą przekazywane do innych w formie komunikatów przez radio.

– Nigdy nie dojdziemy do porozumienia – przerwała mi Annie. – Podobno to ty jesteś liderką i to ty masz decydować o tym, co robimy.

Słyszałam te słowa już po raz któryś. Jako liderka miałam podejmować decyzje, jednocześnie biorąc pod uwagę zdanie każdej osoby z zespołu. Było to możliwe, ale niezwykle trudne. W tym przypadku moja decyzja została zaakceptowana – jednak za bardzo wysoką cenę. Ich gniew i brak wsparcia zabolały mnie. A napięcie i złe nastroje, które zapanowały w grupie, były jeszcze gorsze.

W ciągu całej rozmowy Irene nic nie mówiła, ale zauważyłam, że w jej oczach zaczęły szklić się łzy. Margi również to spostrzegła.

– Mam już serdecznie dosyć tych kłótni na temat tego, kto będzie prowadził – powiedziała twardo. – Myślę, że plan Arlene jest dobry. Powinnyśmy chociaż spróbować – jeżeli nam nie wyjdzie, zawsze możemy zrobić coś innego. Irene, czy chciałabyś coś dodać?

Wszyscy zwrócili się w stronę Irene, która bezskutecznie próbowała powstrzymać drżenie głosu.

– Myślę, że większość z nas zapomniała, jak wielką odpowiedzialność dźwiga na barkach Arlene, i myślę, że powinnyśmy bardziej ją wspierać. Nie tylko my wywieramy na nią presję. Na Arlene spadają baty z każdego kierunku, każdego dnia, o każdej godzinie. Stale chcą czegoś od niej Szerpowie, łącznik

i kucharze, a do tego wszystkiego my też bez przerwy się na coś użalamy.

Po policzku Irene popłynęła łza.

– Jest mi naprawdę przykro i już nie wiem, co robić. Rezygnuję – powiedziała, wprawiając wszystkich w osłupienie. Rozległy się protesty. Wszystkie lubiłyśmy Irene i żadna z nas nie chciała, żeby wracała teraz do domu.

– Nie możesz odejść, Irene, niedobrze by się stało, gdyby jedyna niezrzędząca osoba w tej grupie zrezygnowała – powiedziała Vera K., wszystkich rozbawiając.

– Irene, musisz pójść do obozu I. Tam jest dużo lepsza atmosfera – zasugerowała Vera W.

– Byłoby smutno bez ciebie – Christy usiadła obok Irene i objęła ją. – Chciałabym, żebyś została. Co możemy zrobić, żeby cię z nami zatrzymać?

– Okazywać więcej wsparcia i mniej krytykować. Czuję, że cokolwiek zrobię, to i tak wszyscy będą niezadowoleni.

– Ależ to nieprawda!

– Irene, to bzdura!

– Zawaliłam ze sprzętem. Przywiozłam zbyt wiele raków, za dużo ciężkiego sprzętu – po policzkach Irene spływały łzy.

– Poradziłaś sobie ze sprzętem lepiej niż ktokolwiek na jakiejkolwiek ekspedycji – oznajmiła Margi.

– Nikt w tej grupie nie życzy nikomu źle – stwierdziła Alison.

– Szczególnie tobie – dodała Vera W. – Wykonałaś i dalej wykonujesz kawał dobrej roboty.

Decyzja podjęta przez Irene i Verę K., by przywieźć więcej raków i sprzętu do wspinaczki, nie podobała się kilku dziewczynom. Ta krytyka, mimo że nie była zbyt ostra, najwyraźniej bardzo zraniła Irene.

Wszystkie zaczęły teraz mówić, jedna przez drugą, starając się dodać Irene otuchy, a ja bałam się po prostu odezwać. Byłam rozemocjonowana i przestraszyłam się, że jak coś powiem, zacznie mi się łamać głos. Tak silne wsparcie Irene sprawiło, że chciało mi się płakać ze wzruszenia, a normalnie nie płaczę z byle powodu. Jednak grupa wyraźnie dała do zrozumienia, że potrzebuje silnej liderki, a ja uważałam, że taka na pewno by się nie rozpłakała. Nadludzkim wysiłkiem wstrzymując emocje, powiedziałam:

– To dobry przykład problemów, które powstają na dużych wysokościach. Im wyżej się znajdujemy, tym bardziej myślimy o własnych uczuciach, a mniej o uczuciach innych. Wszystkie powinnyśmy uważać, by nikogo nie zranić.

Później zaczęłyśmy rozmawiać o swoich odczuciach. Christy nie podobało się, że wszyscy traktują ją jak matkę; Margi i Annie z kolei uważały, że Christy rozstawia je po kątach; Vera W. była bardzo rozczarowana, że nie została wytypowana do grupy prowadzącej. Zważywszy na to, że przebywałyśmy ze sobą już od pięciu tygodni, skarg i zażaleń naprawdę nie było tak znowu dużo. Lider holenderskiej ekspedycji powiedział mi kiedyś, że gdyby nie udało im się w porę wejść na szczyt, nagromadzone napięcie zmusiłoby ich do zaniechania dalszych prób. Zastanawiałam się, czy przy tym spotkaniu spuściłyśmy wystarczająco dużo pary, by wytrzymać ze sobą przez dłuższy czas i wdrapać się na szczyt.

Siedziałyśmy tak przy stole przez wiele godzin, omawiając wszystkie nasze niesnaski, małe i duże – a owsianka stygła. Kiedy zbliżała się pora obiadu, Vera K. coraz bardziej się niecierpliwiła.

– Dobra, skończmy z tym paplaniem, chodźmy do obozu I i zacznijmy się wreszcie wspinać. Te psychologiczne brednie to tylko strata czasu – powiedziała.

Rozejrzałam się, obserwując reakcje dziewczyn na najnowszy atak słownej biegunki Very K., i zauważyłam, że nie ma Piro, która przecież zaczęła całą tę rozmowę. Najwyraźniej wyszła wkrótce po tym, jak Irene zaczęła płakać. Piro nie radziła sobie zbyt dobrze w trudnych emocjonalnie sytuacjach.

Christy, która siedziała obok Irene, obejmując ją, spytała:

– To co, zostaniesz z nami?

– Zostanę. Już mi lepiej – odparła Irene. – Chociaż wciąż czasem sobie myślę, że nie jestem wystarczająco dobra, żeby tu być. I strasznie boję się lawin.

– Wszystkie się ich boimy – co do tego była pełna zgoda i dziewczyny zaczęły dzielić się z resztą grupy swoimi lękami. Kiedy tylko jedna z nas przyznała, że boi się lawin i własnych demonów, które ścigały ją po górach, nagle cała reszta poczuła, że też może podzielić się swoimi wątpliwościami. Wszystkie poczułyśmy, że uwalniamy się od pewnego ciężaru, i bardzo nam ulżyło.

Zdjęcie grupowe w obozie bazowym. Od lewej stoją: Margi Rusmore, Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Christy Tews, Piro Kramar, Irene Beardsley Millller, Joan Firey, Annie Whitehouse i Marie Ashton. Siedzą: Dyanna Taylor, Vera Watson, Vera Kormakova, Liz Klobusicky i Arlene Blum (z archiwum Autorki).

Trzy godziny po tym, jak zaczęłyśmy jeść, przyszedł Pasang, żeby sprzątnąć ze stołu. Kiedy zbierał talerze, oznajmił, co następuje:

– Szerpowie nie wybierają się dziś do obozu I. Robili wczoraj pranie. Ubrania ciągle mokre. Musicie poczekać jeszcze jeden dzień, aż ubrania wyschną, dopiero potem możemy iść do „jedynki".

Niewiarygodne! Cała ta awantura o to, czy Szerpowie powinni prowadzić, czy też nie, a tu proszę: Szerpowie w ogóle niczym się nie przejmowali, a ubrania mają mokre, bo urządzili sobie pranie. I w ogóle nie zamierzali się dzisiaj nigdzie wybierać. Cały stół zaczął rechotać. Nawet Irene wydawała się rozbawiona.

– Cóż, na chwilę przynajmniej mamy Szerpów z głowy – stwierdziłam.

Liz oznajmiła:

– Spróbujmy zapomnieć o problemach ostatnich dni. Na razie przecież wszystko idzie fantastycznie. Do „dwójki" doszłyśmy przy pełnej współpracy i nie było żadnych poważnych konfliktów. Nawet jeżeli w ogóle nie zaczniemy się wspinać, według mnie już odniosłyśmy wielki sukces.

Wszyscy zgodzili się z Liz, a ja rozejrzałam się po zebranych kobietach – uśmiechniętych, zrelaksowanych i grzejących się we wzajemnym cieple. Coś mi mówiło, że właśnie rozwiązałyśmy największy konflikt podczas tej ekspedycji. No i nauczyłam się czegoś nowego o przywództwie: gdybym zorganizowała otwarte spotkanie, mój plan prawdopodobnie by przeszedł, i to dużo mniejszym kosztem. Wierzyłam w jego skuteczność, ale zabrakło mi

pewności siebie, by powiedzieć o tym wszystkim na spotkaniu, bez wcześniejszego urabiania z osobna każdej z uczestniczek.

Dobrze się stało, że dziewczyny nie chowały urazy i nie poszły wdrapywać się na górę pełne złości oraz niechęci. Warto było poświęcić trochę czasu na emocjonalną konfrontację, dzięki której każda mogła wyrazić swoje smutki, złości i lęki. Przypomniałyśmy sobie, jak bardzo nam na sobie zależy, i nasz śmiech był teraz oznaką oczyszczonej atmosfery.

Poprzedniego ranka Szerpowie poczynili już przygotowania do trudnej wspinaczki – pomodlili się i przeprowadzili ceremonię. Naszym duchowym przygotowaniem była dzisiejsza długa rozmowa. Zespół ponownie się zjednoczył – byłyśmy gotowe na atak na Holenderskie Żebro.

Holenderskie Żebro
13–17 września

Zaniepokojona powiedziałam: – Cholera, wygląda niebezpiecznie Aż żałuję, że przyszliśmy tu na zwiady. Będę się teraz martwić cały rok...

Był grudzień 1977 roku, a ja wypowiedziałam te słowa, przyglądając się holenderskiej drodze. Stałam w miejscu, gdzie później znalazł się obóz I. Było to podczas rekonesansu przed wyprawą na Annapurnę. To, co wtedy zobaczyłam, nie wyglądało zachęcająco.

– Cieszę się, że to nie ja będę się tam wspinać – powiedział mi ze współczuciem mój towarzysz Richard Isherwood. – Annapurna wygląda na trudniejszą niż Mount Everest.

To były mocne słowa – w dodatku padły z ust weterana, który miał za sobą wiele lat doświadczenia w Himalajach i mieszkał na stałe w Nepalu.

– Szkoda, że nie wybrałaś prostszej góry – dodał.

– Nie ma czegoś takiego jak łatwy ośmiotysięcznik – odpowiedziałam. Jednak tak naprawdę zaczęłam wtedy mieć wątpliwości. Może powinnyśmy zacząć się starać o pozwolenie na wejście na inną górę? Na Makalu wspinaczka była bezpieczniejsza, ale za to góra była wyższa, wymagała większych zapasów tlenu i bardziej skomplikowanego systemu logistycznego. Zdecydowałyśmy się na Annapurnę, ponieważ był to „niski”

ośmiotysięcznik i mogłyśmy dostać na niego pozwolenie. Reszta względnie niskich ośmiotysięczników znajdowała się w muzułmańskim Pakistanie; jako kobieca wyprawa mogłyśmy napotkać tam nieprzyjemności. Niektóre z ośmiotysięczników były z kolei niedostępne ze względów politycznych – jak Gosainthan w Tybecie czy Czo Oju na granicy tybetańsko-nepalskiej.

Dwie poprzednie ekspedycje, które wspinały się na Annapurnę od północnej strony, stwierdziły, że wspinaczka była względnie prosta. Jednak fotografia zrobiona podczas pierwszej wyprawy Herzoga w 1950 roku ukazywała całkiem inną górę niż ta, którą miałam teraz przed oczami. Dwadzieścia osiem lat ruchów lodowcowych i górskich burz zmieniło wygląd północnego zbocza, a droga, którą wspinali się Francuzi w 1950 roku, teraz wyglądała dużo mniej bezpiecznie. Wtedy podjęłam decyzję o przejściu bezpieczniejszą, choć bardziej skomplikowaną drogą, którą szli Holendrzy w 1977 roku.

Przez lornetkę dokładnie obejrzałam sobie drogę mieszczącą się między obozami II i III. Pomyślałam o trzech trudnościach. Po pierwsze, żeby dotrzeć do Holenderskiego Żebra, musiałyśmy przejść pod ogromnym, zwieszającym się ze zbocza lodowcem, Sierpem. Chociaż technicznie był to spacerek po parku, ten teren był tak naprawdę niezwykle niebezpieczny, ponieważ z Sierpa co rusz opadały tony lodu.

Drugim problemem było strome 300-metrowe podejście po śniegu i lodzie, które musiałyśmy pokonać, żeby dostać się z podstawy Żebra na jego grań. Kolejnym problemem była sama grań, przypominająca ostrze o falistej powierzchni, na której musiałybyśmy utrzymać równowagę przez półtora kilometra marszu.

– Jeżeli uda się nam pokonać Żebro, prawdopodobnie wejdziemy na sam szczyt – spekulowałam. – Ale to prawda, Annapurna wygląda na trudniejszą do zdobycia niż Everest.

– Weź ze sobą jakieś ekspertki w lodowej wspinaczce – poradził mi Richard. – Na ten lśniący lód będzie się cholernie ciężko wspinać na takiej wysokości.

– Z daleka zawsze wydaje się, że podejście jest bardziej strome, niż jest w istocie.

Richard podał mi lornetkę.

– Widzisz te niebieskozielone prążkowania na tamtej wielkiej szczelinie? – spytał. – Te prążki oznaczają, że jest to pionowa ściana lodu.

– Wiem – westchnęłam. – Cóż, może znajdziemy jakąś inną drogę albo w przyszłym roku będzie łatwiej...

No i proszę: znalazłyśmy się tu rok później, a Holenderskie Żebro błyszczało w słońcu i wyglądało równie groźnie jak w zeszłym roku. Prowadzące – Liz, Alison, Piro i Vera K. – wstały o godzinie 2 w środku nocy i przy pomocy Chewanga i Lakpy wykuły szlak pod Sierpem prowadzący aż do podstawy Żebra. Teraz były z powrotem w obozie II i odpoczywały w słoneczku, omawiając szczegóły dotyczące Żebra. Ja i Margi dopiero dotarłyśmy do „dwójki", niosąc bagaże z obozu I. Dołączyłyśmy do nich spragnione wieści o ich porannych postępach.

– W końcu udało się nam zobaczyć Żebro z bliska – powiedziała Vera K. – I nie wygląda ono dobrze. Jest tam bardzo stromo, a wspinaczka ciężka.

– Najbardziej martwi mnie niebezpieczeństwo lawiny na przejściu do podstawy Żebra – dodała Alison. – Przejście pod Sierpem zajęło nam godzinę, a ja cały czas cholernie obawiałam się lawin.

– A co z innymi drogami? – spytałam. – Udało wam się wybadać, czy któraś z nich się nadaje?

Piro stwierdziła, że droga na grań Żebra z drugiej strony wydawała jej się łatwiejsza. Jednak żeby tam dotrzeć, trzeba było przejść przez nieosłonięty przed lawinami wąwóz, który Holendrzy nazwali Torem Bobslejowym, jeszcze bardziej niebezpieczny niż przejście pod Sierpem. Szerpowie woleli iść zdecydowanie prostszą drogą Hiszpanów, która znajdowała się bardziej na wschód, ale tam też zagrożenie lawinowe było ogromne.

Po raz kolejny utwierdziłam się w przekonaniu, że Holenderskie Żebro jest najlepszą opcją.

– Ale nie myślcie sobie – ostrzegłam dziewczyny. – Tu też będzie ciężko. Wszystkie zdajecie sobie sprawę z zagrożenia na przejściu do dolnej części Żebra. Dalej chcecie spróbować?

Odpowiedź była jednogłośna. Pewnie, że tak.

Byłam przekonana, że nasze najlepsze himalaistki przedrą się w końcu przez Żebro, ale martwiłam się, że zajmie im to strasznie dużo czasu. Rok wcześniej droga z obozu II do obozu III zajęła Holendrom dwa tygodnie. Był 16 września, dni zaczynały być coraz krótsze i zimniejsze. W październiku nad szczytem miały zacząć się wietrzne prądy, które sprawią, że wspinaczka będzie absolutnie niemożliwa. Jeżeli się nie pospieszymy, może się okazać, że jest za późno.

Kiedy dotarłyśmy z Margi do „jedynki", po uprzednim zostawieniu bagaży w „dwójce", dowiedziałyśmy się, że wielka góra śniegu zsunęła się dziś o trzeciej po południu tuż po prawej stronie Holenderskiego Żebra. Ścieżka udeptana tego dnia przez naszą szóstkę została zasypana przez tony lodu i śniegu. Naszą pierwszą reakcją było przerażenie. Miałyśmy jednak nadzieję, że istnieje jakiś schemat, według którego osuwają się lawiny; jeżeli występują one

tylko późnym popołudniem, możemy zachować bezpieczeństwo, wspinając się wczesnym rankiem i nie ruszając się z obozu w dniach po burzach.

Taktyka ta sprawdziła się na Mount Evereście w 1976 roku. Wszystkie tamtejsze tragiczne wypadki związane z lawinami zdarzały się na lodospadzie Khumbu – wielkiej kupie lodowych bloków u podstawy góry. Wszystkie wydarzyły się popołudniami. (Na przykład szóstka Szerpów, którzy zginęli w trakcie japońskiej ekspedycji w 1970 roku, odpoczywała pod serakiem o drugiej po południu, kiedy nagle zawalił się na nich lodospad). Zminimalizowaliśmy zagrożenie, wspinając się tylko wczesnym rankiem, kiedy lód był kompletnie zamrożony, i chroniąc się w obozie, kiedy tylko słońce zaczynało wychodzić ponad górskie granie parę godzin później. Byłam zdeterminowana, żeby wspiąć się na Annapurnę mimo jej złej sławy jako miejsca skrajnie zagrożonego lawinami. Jednak na razie wyglądało na to, że taktyka z Everestu nie sprawdza się na Annapurnie, ponieważ słyszeliśmy huk spadających lawin o każdej porze, w dzień i w nocy. Po jakimś czasie nikt już nie zwracał uwagi na te odgłosy, chyba że były bardzo głośne i bliskie.

Pomimo obaw wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani na myśl, że już kolejnego ranka odbędzie się podejście na Holenderskie Żebro. Podekscytowanie, które narastało w obozie I, sięgnęło szczytu o szóstej rano, kiedy z bazy dotarła wiadomość, że przyszła poczta z Katmandu oraz że Japończycy wspinają się na Nilgiri, po drugiej stronie doliny, i przyjdą do nas na obiad do obozu bazowego następnego dnia. Margi i Annie postanowiły zejść wieczorem na dół, by odebrać listy i spotkać się z Japończykami.

– Może poczekacie do jutra? Przynajmniej będzie jasno i będziecie widziały drogę – zasugerowałam, kiedy wrzucały swoje rzeczy

do plecaka Margi.

– Cała zabawa polega na tym, żeby iść właśnie teraz – odpowiedziały.

Lopsang był wysoce zaniepokojony dziwacznym zachowaniem obu młodych dam.

– Macie światło? – zapytał z troską.

– Jest pełnia księżyca.

Annie i Margi zaczęły schodzić z obozu I tuż przed zachodem słońca. Były radosne i rozchichotane. Kiedy odchodziły, uśmiechnęłam się do nich i pomachałam na pożegnanie.

Później Annie opisała to wydarzenie w dzienniku:

Szczyty wysnuwające się z mgły, która opadła na dolinę, były pomarańczowe. Zachód słońca był przepiękny. Niebo miało kolor głębokiego błękitu, a na zachodzie widoczna była Wenus. Szybko zsunęłyśmy się jakieś sto metrów w dół po wyboistym lodowcu i założyłyśmy na głowę opaski z latarkami, a na siebie ciepłe ubrania. Natychmiast zapadła ciemność i jedynym źródłem światła były nasze latarki. Slalom przez skalne występy był bardzo emocjonujący, a mgła strasznie gęsta. Nasze światełka były praktycznie bezużyteczne i odbijały się od cząsteczek wody w powietrzu. Wiedziałyśmy, że ciężko nam będzie znaleźć właściwą drogę. Szlak jest trudny nawet w świetle dnia, więc postanowiłyśmy, że przewodnikiem będzie nam szum rzeki. Nasze pole widzenia ograniczało się do niecałego metra. Z mroku co rusz wyłaniały się nieduże lodowe jeziorka i inne rzeczy, na które wcześniej nie zwracałyśmy uwagi. W pewnym momencie dotarłyśmy do jakiegoś dziwnego, starego, opuszczonego obozu. Wydawało nam się, że minęła wieczność, odkąd zaczęłyśmy się tu kręcić, aż w końcu zauważyłyśmy buddyjskie oznaczenie szlaku. Wiedziałyśmy, że znalazłyśmy właściwą drogę. Potem już bez

większych trudności odnalazłyśmy skalny występ, wąwóz, a w końcu porośnięte trawą wzgórze prowadzące bo bazy. Kiedy następnego dnia wracałyśmy na górę, byłam zdumiona, że nasza trasa szła z góry na dół w prostej linii. Żadnego cofania się ani wałęsania na boki. Ja i Margi zdecydowanie fantastycznie razem współpracujemy, ale to wszystko było niesamowite, zważywszy na to, jak wiele rzeczy mogło pójść nie tak.

Tej nocy obudziłam się o trzeciej i wyszłam z namiotu. Szczyty wokół nas były oświetlone przez niezliczone gwiazdy i księżyc w pełni, było niemal tak jasno, jak w dzień. Surowe piękno tego widoku napełniło mnie z początku bojaźnią, ale po chwili serce wypełnił spokój.

Dziewczyny z obozu II obudziły się mniej więcej o tej samej porze i zaczęły się przygotowywać do ataku na Holenderskie Żebro. Miały nadzieję, że jeżeli zaczną się bardzo wcześnie wspinać i wrócą, zanim zrobi się ciepło, ryzyko wystąpienia lawiny nie będzie aż tak duże. O szóstej rano wyszłam na zewnątrz i wkrótce dostrzegłam dwie małe kropeczki stojące pod lodowym zboczem o nachyleniu około 60 stopni, otoczone ogromnymi, wiszącymi soplami i bryłami lodowymi ważącymi po kilka ton. Pierwsza z alpinistek wsunęła się pod najbardziej stromą część Żebra i zatrzymała tam na bardzo długi czas. Obserwowałam z niecierpliwością obie, w myślach zagrzewając je do działania. W końcu maleńkie figurki zaczęły poruszać się w górę – powoli i spokojnie.

– Hurra! Wspinają się na Żebro! – wrzasnęłam, stawiając cały obóz na nogi. Obserwowałyśmy je przez lornetki. Kropeczki pokonały już jedną trzecią trasy na ścianie. Potem chmura przesłoniła nam widok.

Dzień był gorący i już w południe słychać było huk spadających lawin. Niecierpliwie czekałyśmy na wieści, które miały przyjść przez radio o godzinie 14. Miałyśmy nadzieję, że wieści będą dobre i dziewczyny na Holenderskim Żebrze są całe i zdrowe. Postanowiłam skorzystać z tego, że jest ciepło, i się umyć. Wzięłam z kuchni wiaderko gorącej wody oraz gąbkę i zaczęłam się szorować. Zmyłam z siebie całą sadzę, krem z filtrem przeciwsłonecznym, piach i brud, które nagromadziły się w ciągu ostatnich dni. Po raz pierwszy od tygodni obejrzałam dokładniej swoje ciało i z zachwytem zauważyłam, że bardzo schudłam. Wszystkie traciłyśmy na wadze, przede wszystkim zanikały nasze biusty. Pomyślałam, że kiedy wejdziemy wyżej, prawdopodobnie schudnę jeszcze bardziej, bo na dużych wysokościach nie ma się apetytu. Najczęściej powtarzanym dowcipem na wyprawie był ten o zorganizowaniu „podniebnego obozu dla grubasów", w którym bogaci sponsorzy mogliby gubić zbędne kilogramy na wysokości 6000 metrów w Himalajach, jednocześnie dając nam zarobić na spłacenie długów zaciągniętych przez ekspedycję. Piękne otoczenie, gwarantowane zakwaterowanie...

Moje rozmyślania przerwał głos w radiu.

Ścieżka przez ostrą grań Holenderskiego Żebra. Trasa przypomina ogon smoka i wije się ponad kilometr (fot. Arlene Blum).

Sypki śnieg i gzymsy śnieżne na Holenderskim Żebrze (z archiwum Autorki).

VERA K. (OBÓZ II): Fantastyczny dzień! Rzucaliśmy dziś monetą o to, kto ma prowadzić, i wypadło na mnie oraz Piro. Piro wzięła na siebie dolne partie – które są prawie pionowe. Trzeba je przejść na czubkach raków (używając ich jedynie do wspinaczki po stromym lodzie). Ja prowadziłam drugą część, po ośnieżonym zboczu o nachyleniu 55 stopni – bardzo wymagające podejście. Potem Chewang poprowadził po śniegu i skałach. Wygląda na to, że jesteśmy już w połowie drogi na grań Żebra.

ARLENE (OBÓZ I): Jak bardzo niebezpieczny jest teren pod Żebrem?

VERA K.: Przez 45 minut nie było żadnej osłony przed lawinami. Kiedy tylko przeszłyśmy ten odcinek, spadła lawina, przysypując nasze ślady. Nie wyglądało to dobrze, ale kiedy zaczęłyśmy się wspinać, nie myślałyśmy już o tym. Chciałyśmy zostać tam dłużej i chciałyśmy jeszcze się powspinać, ale zdecydowałyśmy, że lepiej

wrócić, zanim ryzyko wystąpienia lawiny zwiększy się przez upał. Bez odbioru.

Te wiadomości podniosły mnie na duchu. W końcu zaczęłyśmy się wspinać na najbardziej strome podejścia i prawdopodobnie droga będzie możliwa do przejścia w ciągu następnych dwóch dni.

Później Piro przetłumaczyła dla nas opis tego wydarzenia ze swojego węgierskiego dziennika:

Vera K. i ja docieramy do ośnieżonego Żebra. Śnieg jest cholernie głęboki – musimy co krok pochylać się, by go odgarnąć – w pewnym momencie muszę nawet podnosić nogę pod udem rękoma. Oddycham jak osoba chora na serce, ale nie czuję się zmęczona. O rany, to się dzieje naprawdę – nie mogę uwierzyć, że wspinam się na Annapurnę. Za każdym razem, kiedy się odwrócę, widzę szczyt majaczący dwa kilometry ponad moją głową. Jestem tu całkiem sama; jest tak fantastycznie, że wydaję okrzyk dzikiej radości. Wbijam dwa haki i wciągam Verę K. Vera prowadzi przez następne 50 metrów, po czym znów przychodzi kolej na mnie. Zatrzymuję się w połowie drogi. Jestem na stromej skale, pokrytej lodem i śniegiem, a nie mam już haków. Lakpa ma je wszystkie – ale opala się 150 metrów pod lodowcem, Bóg z nim. Zaczynam wrzeszczeć i gestykulować – na górę wchodzi dwóch Szerpów. Lakpa asekuruje Chewanga, który przejmuje prowadzenie tuż pod zielonymi soplami. Ani razu nie użył śruby czy haka. Około południa decydujemy się wrócić, by zostawić coś na jutro dla Alison i Liz.

Tego wieczoru świętowaliśmy przy kolacji. Szerpowie byli wniebowzięci.

– Memsahib – mówił Chewang – bardzo dobrze się wspinacie. Na Holenderskim Żebrze taki stromy lód. Szerpa Chewang też

świetnie się wspina. Razem damy radę wejść na Annapurnę. Bardzo dobrze.

Kiedy po kolacji szłam do namiotu, kilka płatków śniegu opadło mi na twarz. Powietrze było ostre i ciężkie, a wysokościomierz wskazywał coraz większą wysokość. Nagle w moją radość z sukcesu wkradł się niepokój, czy aby nie zbliża się burza.

Zaczęłam czytać „Ptaki ciernistych krzewów" – liczącą sobie 600 stron cegłę, która zabrała mnie na stepy Australii. O tym, że znajduję się na zimnej Annapurnie, przypominały mi dopiero dźwięki indyjskiej muzyki filmowej dobiegające z namiotu Lopsanga po lewej i rosyjskie pieśni ludowe z Radia Moskwa dopływające z namiotu Wangela po prawej stronie. W nocy, kiedy nie mogłam się oderwać od lektury, zaczął coraz mocnej padać śnieg, zbierając się na dachach namiotów. Nie słyszałam jak pada, ale mniej więcej co pół godziny woda z dachu kapała mi na twarz, więc musiałam machać rękami i zrzucać śnieg. O trzeciej nad ranem, kiedy odłożyłam książkę, usłyszałam głośny łomot. Okazało się, że maszt podtrzymujący namiot stołówkowy złamał się pod naporem świeżego śniegu. Szerpowie natychmiast poszli go naprawiać, strasznie przy tym hałasując. Ja postanowiłam zostać w miłym i przytulnym śpiworku, starając się jak najdłużej pozostać w ciepłej Australii.

Kiedy już zaczęłam zasypiać, nagle pomyślałam o nafcie. Dwa tygodnie temu zamówiłyśmy 40 litrów, ale nic jeszcze nie dotarło. Bez nafty nie będziemy mogły topić śniegu na wodę w obozie II, a bez wody nie mogłyśmy dalej się wspinać. Nagle zorientowałam się, że kiedy posłałyśmy po naftę, nie dałyśmy gońcowi pojemników. Sklepikarz we wsi pewnie żadnych nie miał – to dlatego nafta jeszcze nie dotarła. W tej chwili paliłyśmy drewno w obozie I, a w obozie II zużywałyśmy resztki nafty. Jeżeli jej

zabraknie, będziemy musiały zawrócić. Zdecydowałam więc, że jutro z samego rana wyślę pojemniki na dół. Trzecia nad ranem często jest godziną, o której wpada się na najlepsze pomysły.

Rano, kiedy Pemba przyniósł nam herbatę, okazało się, że śnieg przestał padać, ale niebo było nadal szare i zachmurzone. Po skontaktowaniu się przez radio z bazą Annie i ja rozpoczęłyśmy mozolny marsz z ciężarami do obozu II. Ciężko się szło w świeżym śniegu, a w pewnym momencie musiałyśmy iść po lodowej krawędzi, która miała raptem kilkanaście centymetrów szerokości; z jej obu stron ziała przepaść. Gdybyśmy się poślizgnęły, spadłybyśmy w lodowy lej o głębokości dobrych kilkudziesięciu metrów. Drepcząc kroczkami po tym lodowym ostrzu, w końcu doszłyśmy do bardzo śliskiego głazu pokrytego świeżym śniegiem. Na szczycie skały zatrzymałyśmy się, żeby coś przekąsić. W tym momencie zebrały się nad nami czarne, posępne chmury, a wokół zrobiło się ciemno i złowieszczo.

– Chyba zbiera się na burzę – stwierdziłam niepocieszona.

Annie przytaknęła:

– Tutaj jest zupełnie inaczej niż w obozie bazowym. Ciężko sobie wyobrazić, że zaledwie kilka godzin marszu w dół rosną trawa i kwiatki oraz płynie strumyczek. Cieszę się, że zeszłam tam przedwczoraj.

– Jak się udał obiad z Japończykami? – spytałam. Nie rozmawiałam z Annie, odkąd ona i Margi powróciły ze swojej spontanicznej wycieczki do bazy.

– Super. Dobrze było porozmawiać z kimś nowym.

– Ja też się cieszę, że mamy sąsiadów. Może dostarczą rozrywki ludziom siedzącym w obozie bazowym i nie umrzemy wszyscy z nudów.

– Tu, na górze, w samym sercu wydarzeń, jest dużo lepiej – oznajmiła Annie. – Biedna Christy ma już serdecznie dosyć siedzenia na dole. A mnie było jej trochę szkoda, kiedy Japończycy przyszli na lunch.

– Co się stało? – spytałam.

– Była tak podekscytowana ich przyjściem, że trzy razy zmieniała bluzkę. Założyła nawet stanik – opowiedziała mi ze śmiechem Annie. – Po obiedzie śpiewaliśmy piosenki i graliśmy w różne gry. Pojedynek sumo był ostatnią kroplą goryczy. W sumo chodzi o to, żeby wywalić przeciwnika z ringu. Christy walczyła przeciw Mitsui – dowódcy japońskiej ekspedycji, który jest raczej niewielkim człowiekiem. Stanęli naprzeciw siebie, po czym Christy po prostu podeszła, podniosła go w górę, zaniosła na krawędź ringu i postawiła na ziemi. Wszyscy, nie wyłączając samej Christy, byli zdumieni, jak szybko się to stało, ale ona powiedziała mi później, że popełniła fatalny błąd. Poczuła się, jakby znowu była małą dziewczynką, która była lepsza od chłopców – to nie było dozwolone.

– Później, kiedy gdzieś mijała Mitsuę, ten odskoczył, jakby Christy miała mu odgryźć głowę. Następnego dnia, kiedy japoński łącznik wrócił do naszego obozu, oznajmił, że Japończycy stwierdzili, że Christy tak naprawdę jest mężczyzną w kobiecym ciele. Było jej bardzo przykro. Jest kobietą w stu procentach i to, że jest silniejsza od niektórych mężczyzn, nie daje nikomu prawa, by twierdzić, że jest inaczej.

Wyobrażałam sobie, jak Christy musiała się czuć. Kobiety, które są silniejsze, mądrzejsze, wyższe lub po prostu w jakiejś dziedzinie lepsze od mężczyzn, muszą za to zapłacić. Podczas naszej ekspedycji nie byłyśmy oceniane za bycie lepszymi ani gorszymi od mężczyzn – nie było tych wszystkich głupich uwag na temat tego, czy aby nie

wnosimy zbyt mało sprzętu albo zbyt wolno. Mogłyśmy być sobą i robić różne rzeczy we własnym tempie.

Po jedzeniu wróciłyśmy do wspinaczki. Na głowy spadały nam duże, ciężkie płaty śniegu. Irene i Vera W. dzień wcześniej przyniosły bagaże do obozu II i zostały tam w nadziei, że będą mogły poprowadzić grupę – w obozie była więc prawie cała ekipa. Była to dobra okazja, żeby zrobić spotkanie. Wszystkie stłoczyłyśmy się na obiad i zebranie. Liz, Alison, Irene i Vera W. były wykończone. Miały zamiar wstać dziś o 2.30 w nocy, ale za zewnątrz hulała taka śnieżyca, że wróciły do śpiworów spać. O 3.45 Vera K. znowu je obudziła.

– Na zewnątrz jest ładnie – oznajmiła. – Obudźcie się.

Wywlokły się z łóżek z wyrzutami sumienia, że prawdopodobnie przespały ładny dzień, i zaczęły się teraz uwijać, żeby to nadrobić.

– Miałam złe przeczucia – powiedziała Liz, która wcześniej nakłaniała dziewczyny do powrotu do namiotów. – Ledwie wysokościomierz pokazał, że weszłyśmy na około 30 metrów, a powietrze stało się niepokojąco cieplutkie – niemalże wiosenne.

Kiedy dziewczyny doszły na Żebro, znów zebrały się chmury i zaczęło śnieżyć. Szykowały się do wspinaczki na zawieszonej uprzednio linie, kiedy lekka zadymka zmieniła się w burzę śnieżną z prawdziwego zdarzenia. Zawróciły i w samym środku zamieci zaczęły zbiegać przez teren lawinowy, mając jedynie nadzieję, że nie zaskoczy ich lawina.

– Dwie godziny po naszym powrocie – powiedziała Liz, trzęsąc się lekko – lawina spadła dokładnie w tym miejscu, przez które przebiegałyśmy w zamieci.

– Nie powinnyśmy jutro wspinać się w tym śniegu – Alison wyglądała na zmęczoną, spiętą i zmartwioną.

Vera K. nie zgodziła się z nią:

– Myślę, że lawiny są raczej losowe. Taka lawina może spaść bez względu na to, czy ostatnio padał śnieg, czy nie.

Vera K. była raczej fatalistką.

– Jeżeli jutro będzie dobra pogoda, powinnyśmy zacząć się po prostu wspinać – powiedziała. Mimo tego, że od trzech dni z rzędu wstawała o drugiej nad ranem, miała pełno energii. Irene miała rację, mówiąc, że Vera K. jest jak elektrownia.

– Prawie wszyscy, którzy zginęli na Annapurnie, zostali pogrzebani przez lawinę podczas zamieci lub tuż po niej – oznajmiłam. – Teren powyżej obozu II jest niebezpieczny i nie powinnyśmy tam chodzić dzień po zamieci. Jedzenia starczy nam na sześć tygodni, a zapasów mamy tyle, że możemy tu czekać przez wiele dni.

– Ale kilka dni temu lawina spadła rano. Lawina może spaść o każdej porze – upierała się Vera K.

– To prawda, ale podczas zamieci śnieżnych jest ich więcej. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby wspinaczka była jak najbezpieczniejsza – stwierdziłam. – A co z Szerpami? Są pomocni?

– Jednak dobrze się stało, że są z nami – powiedziała Piro. – Na początku martwiłam się, jak to będzie. Wiesz, że lubię być niezależna, a Szerpowie najchętniej pomagaliby nawet przy wycieraniu nosa. Podczas marszu przeszkadzało mi to. Obawiałam się też, że sami będą chcieli wytyczać drogę, ale wczoraj Chewang bardzo nam pomógł. Dobrze nam się współpracuje.

– Nocami gramy z nimi w karty – ciągnęła Liz. – Gramy w makao, ale Szerpowie przechrzcili tę grę na Annapurna. Więc teraz za każdym razem, kiedy ktoś ma w ręku ostatnią kartę, musi powiedzieć „Annapurna", a jeżeli tego nie zrobisz i ktoś cię na tym

przyłapie, musisz wziąć karne dodatkowe pięć kart. Szerpowie szybko się uczą i teraz cały czas wygrywają.

Nie powiedziałam tego na głos, ale byłam zachwycona, że dziewczyny się z nimi dogadują. Najwyraźniej lojalność i solidarność rozwijała się dokładnie tak, jak to przewidziałam.

Liz zaczęła opowiadać o kuchni serwowanej w obozie II. Poprzedniej nocy Vera W. ugotowała zupę grzybową i kurczaka z groszkiem w sosie ziołowo-śmietankowym.

– A jaki deser! – zachwycała się Liz. – Ciasto czekoladowe z kremem. Nazwałyśmy je „torcik Annapurna".

– Ale kiedy Yeshi strzepywał śnieg z brezentu – mówiła dalej Vera W. – strzepnął go prosto na torcik. Powiedział wtedy: „Ach, lawina na Annapurnie". Ciekawe, czy zapeszył.

Po obiedzie Vera K. tłumaczyła nam z czeskiego świńskie historyjki. Czasem jej tłumaczenie było niezłe, a historyjki przezabawne, ale czasem w ogóle nie mogłyśmy zrozumieć, co ją tak bawi. W międzyczasie napadało sporo śniegu. Spytałam rezydentki obozu II, czy zamierzają wrócić, jeżeli jutro znów będzie burza.

– Bardzo nam się tu podoba, wolimy zostać – Liz wypowiedziała się w imieniu grupy. – No, chyba że zrobi się bardzo niebezpiecznie.

Annie i ja musiałyśmy już wracać do obozu I, ale Annie uciekła, żeby pogawędzić z Yeshim. Wystawiłam głowę z namiotu i zawołałam ją.

– Może ruszysz pierwsza, Arlene? Za kilka minut do ciebie dołączę – krzyknęła.

To był niezły pomysł. Nasze ślady przysypywał śnieg; wyruszając przed Annie, zostawiłabym świeże ślady, dzięki którym ona łatwo znalazłaby drogę. Brnęłam wzdłuż zaznaczającej drogę liny, idąc w śniegu po kolana, śnieżyca ograniczała moje pole widzenia. Skała,

po której szłam, pokryta była lodem i marsz był bardzo trudny. Powoli kierowałam się w dół, a za chwilę dogoniła mnie Annie.

– Dobrze, że jesteś – powiedziałam. – Moje gogle zaparowały i nic nie widzę.

Annie przejęła prowadzenie, a śnieg był coraz cięższy i spadał coraz gwałtowniej. Zaczęło wiać i nagle znalazłyśmy się w samym środku burzy śnieżnej. Wcześniej oznaczyłyśmy drogę kijkami rozstawianymi mniej więcej co sto metrów, żeby były widoczne w środku burzy. Jednak ta zadymka była tak gwałtowna, że w ogóle ich teraz nie widziałyśmy.

Gdy zeszłyśmy z lodowca, zauważyłyśmy, że światło wokół nas jest jakieś dziwnie – niebo było szare i całkowicie jednolite. Zaczęłyśmy bardzo ostrożnie iść w kierunku, który wydawał nam się właściwy. W przytłaczającej bieli starałyśmy się wypatrzyć kolejny kijek. Starałam się nie myśleć o tym, że byłyśmy kompletnie przemoczone i nie miałyśmy przy sobie zbyt wielu ciepłych ubrań. Jeżeli nie uda się nam znaleźć drogi do obozu I lub II, będziemy musiały przez całą noc się ruszać, żeby nie zamarznąć, co byłoby jednak bardzo trudne ze względu na otaczające nas szczeliny lodowe. Zaczęłam rozważać możliwość całonocnego biegania w miejscu – w środku śnieżycy, w przemoczonych ubraniach – kiedy nagle zobaczyłyśmy majaczące daleko oznaczenie.

– Dzięki Bogu! – westchnęłam.

Ruszyłyśmy w tamtą stronę, wypatrując kolejnego kijka. Przeszłyśmy kilka kroków i w mroku dojrzałyśmy – choć z trudem – kolejne oznaczenie. Za każdym razem, kiedy docierałyśmy do któregoś z kijków, starałyśmy się wypatrzeć następny.

Nagle zorientowałam się, że stoję, mając po lewej stronie, zaledwie kilkanaście centymetrów ode mnie, ogromną szczelinę lodową o głębokości 100 czy więcej metrów. Szybko odeszłam kilka

kroków w prawo, ale okazało się, że tam też jest szczelina. W tym śniegu zupełnie nie było widać szczelin, nawet jeżeli znajdowały się zaledwie półtora metra od ciebie. Lodowiec, po którym chodziło się łatwo i przyjemnie w świetle dnia, przy tej pogodzie stał się przerażającym labiryntem.

Do obozu dotarłyśmy o zmroku, Pemba powitał nas uśmiechem i dwoma kubkami parującej herbaty. Wypiłyśmy ją z wdzięcznością. Miałyśmy szczęście – równie dobrze wciąż mogłyśmy błądzić po lodowcu, zamiast siedzieć w ciepłej i przytulnej stołówce. Śnieg padał coraz mocniej, a my coraz bardziej martwiłyśmy się o grupę w obozie II. Z niecierpliwością czekałyśmy na następny kontakt radiowy.

O godzinie 18 przyszedł komunikat, że ciężki śnieg leży na dachach namiotów, a dziewczyny martwią się, że na obóz II spadnie lawina. Annie wyjęła mi z ręki radio i powiedziała:

– Jest taka piosenka, którą śpiewa się w Wyoming, a która świetnie pasuje na tę okazję.

Zaczęła śpiewać:

– Wsadź se tę robotę w dupę, nie chcę tak harować już. Wsadź se tę robotę w dupę, spadam stąd za siedem mórz. Bez odbioru.

Burza rozszalała się bez ostrzeżenia (fot. Wera Watson).

Burza
18–21 września

IRENE (OBÓZ II): Napadało 60 centymetrów śniegu i...

Transmisja została przerwana przez zakłócenia. Nie zrozumiałam, co mówiła Irene, ale byłam zaniepokojona tym, jak spięty miała głos.

ARLENE (OBÓZ I): Irene, powtórz proszę. Czy jest zagrożenie lawinowe w obozie II?

IRENE: Tak. Od czwartej rano wieje silny wiatr i lecą na nas odpryski lawin. Jeden z namiotów zapadł się, a resztę musimy odkopywać co kilka minut.

ARLENE: Pogoda prawdopodobnie się pogorszy – barometr szaleje. Kiedy możecie zejść na dół?

IRENE: Na razie jest zbyt niebezpiecznie – musielibyśmy przejść przez tereny narażone na lawiny.

Już miałam im powiedzieć, że chcę, żeby wrócili w tej chwili, kiedy transmisja ponownie została przerwana przez trzaski i buczenie. Niecierpliwie nasłuchiwałam. Kiedy ponownie nawiązałam połączenie z Irene, jej głos był bardzo niespokojny.

IRENE: Tuż za obozem przetoczyła się wielka lawina. Muszę znowu odkopać namiot. Skontaktujcie się z nami jeszcze o ósmej. Bez odbioru.

To, że Irene tak gwałtownie przerwała, sprawiło, że strasznie się zaniepokoiłam. Siedem osób z dziewięciu, które straciły życie

na Annapurnie, zginęło przygniecionych lawiną w okolicy obozu II. Ja chciałam, żeby wszyscy z obozu II natychmiast do nas zeszli, ale ostateczna decyzja należała do nich. Nie mogłam ich zmusić, żeby narażali się na ryzyko schodzenia na dół po niebezpiecznym terenie.

Skontaktowałam się z bazą, by zapytać, jaka u nich pogoda: wiał porywisty wiatr i padał śnieg. Christy ostrzegła mnie także, że kilka lawin przetoczyło się pomiędzy bazą a obozem I. Rozbijałyśmy obozowiska tak, żeby zagrożenie było jak najmniejsze, i na razie lawiny spadały pomiędzy obozami lub powyżej nich. Dziewczyny będą bezpieczniejsze, jeżeli zostaną w obozie II. Jednak burza robiła się coraz gorsza; zalegało coraz więcej śniegu, a każda kolejna lawina była coraz większa – nie było gwarancji, że obozy bezpiecznie przetrwają. Najbezpieczniejszy był obóz bazowy, ale dojście do niego już nie.

Kiedy Annie i ja odkopywałyśmy namioty, z chmur wciąż spadały duże, mokre płatki śniegu. Kiedy tylko skończyłyśmy odkopywać ostatni, pierwszy znów był częściowo przykryty śniegiem. Wiedziałam, że w obozie II jest jeszcze gorzej. O ósmej rano zadzwoniłam do Irene.

ARLENE: Obóz I do obozu II. Co się tam u was dzieje?

IRENE: Jemy bekon, placki ziemniaczane i mrożone truskawki. Lawin jest coraz więcej.

ARLENE: Śniadanie! A co z powrotem?

IRENE: Uznaliśmy, że bezpieczniej jest zostać tutaj, niż ryzykować, schodząc.

ARLENE: Nie zgadzam się. Przy zejściu będziecie narażeni na przygniecenie przez lawinę najwyżej przez godzinę. Jeżeli burza potrwa dłużej, zejście zrobi się jeszcze bardziej niebezpieczne – a nie będziecie mogli zostać na miejscu. Czy są jakieś zniszczenia?

IRENE: Nieduże. Ale lawiny coraz bardziej się zbliżają. Co kilka minut obozowiskiem targają bardzo silne wiatry i odpryski lawin.

ARLENE: Burza ma potrwać jeszcze jeden dzień. Chcę, żebyście zeszli jak najszybciej.

IRENE: OK. Zaczniemy się pakować i jeżeli opady nie ustąpią, zejdziemy na dół. Skontaktujemy się z wami za godzinę i wtedy przekażemy naszą decyzję. Bez odbioru.

Kiedy znowu zaczęłyśmy odkopywać namioty, byłam zła, że przez burzę musiałyśmy przystopować i dużo będzie nas kosztować nadrobienie straconego czasu. Nawet jeżeli grupa w obozie II będzie mogła tam zostać, trzeba będzie znów wydeptywać ścieżkę w głębokim śniegu i wykopać poręczówki. Jeżeli zejdą na dół, będą musiały zabezpieczyć obozowisko przed śniegiem. Później będziemy musiały odkopać namioty i wymyślić nowy plan. Jeżeli wszyscy bezpiecznie zejdą, a burze ustaną, będziemy mogły się dalej wspinać, ale ta zadymka nieco podcięła nam skrzydła.

Noc spędzoną w obozie II Alison opisała w liście do swojego męża:

Spałam krótko. Wokół nas z hukiem spadały lawiny. Około drugiej nad ranem zatrzęsło namiotem – myślałam, że to Yeshi strzepuje śnieg, ale kiedy chciałam wyjrzeć z namiotu, był on tak głęboko zasypany śniegiem, że ledwie udało mi się rozpiąć suwak. Nikogo nie było w pobliżu, więc pomyślałam, że to musiała być lawina. Później wyszłam odkopać namiot. Piro robiła dokładnie to samo, kiedy zupełnie znikąd uderzył w nas huragan. Pochyliłam się i oparłam na łopacie, żeby nie dać się zmieść. W powietrzu latało pełno płatków śniegu, więc ledwo mogłam oddychać – to było straszne przeżycie. Nie słyszałam żadnego huku, więc dopiero później zorientowałam się, że wietrzysko musiało być efektem siły

uderzenia innej lawiny. Piro była przekonana, że mnie zmiotło, kiedy zniknęło jej sprzed oczu światło mojej latarki.

O dziewiątej rano radio ponownie zatrzeszczało.

IRENE: Tu obóz II. Ciągle pada, złożyłyśmy namioty i idziemy na dół.

ARLENE: To dobrze. Ulżyło mi.

IRENE: Mnie ulży, kiedy już do was dotrzemy.

ARLENE: Droga prowadząca w dół nie jest taka zła. Przez większość czasu powinniście być w stanie wypatrzyć kijki. Kiedy wczoraj schodziłyśmy, problemy zaczęły się dopiero, kiedy weszłyśmy na lodowiec. Nic nie widziałyśmy, więc musiałyśmy przysłuchiwać się dźwiękom lodowego strumyczka i podążać za nimi. Zobaczyłyśmy drogę dopiero po pięciu minutach. Poproszę Szerpów, żeby zaczęli wydeptywać dla was ścieżkę tu z dołu. Jak wrócicie, będzie dużo herbaty i ciepłej zupy. Uważajcie na siebie. Bez odbioru.

Dołożyłam wysiłków, żeby mój głos przez radio brzmiał zdecydowanie, ale wiedziałam równie dobrze jak one, że zejście będzie bardzo ciężkie. Nam ledwo udało się tutaj trafić, a dziś zamieć była dużo bardziej gwałtowna. Samo brnięcie przez świeży śnieg jest wycieńczające. Strome kamienne podejście będzie śliskie i zdradliwe. A do tego śnieg przykrył szczeliny lodowe – zejście byłoby trudne nawet przy dobrej pogodzie. W tej zawierusze ludzie związani liną w odległości dziesięciu metrów od siebie ledwo się widzą. A szczelina jest niewidoczna do momentu, kiedy ktoś na niej nie stanie. Jeszcze gorsza była myśl o śniegu niepostrzeżenie zbierającym się na stromych ścianach, który w każdej chwili mógł spaść w formie ogromnej lawiny, grzebiącej pod sobą alpinistki.

Kiedy dziewczyny wrócą – uważałam, żeby nawet w myślach używać słowa „kiedy", a nie „jeżeli" – my będziemy musiały

przenieść się do bazy, żeby zwolnić im miejsce w „jedynce". Normalnie byłby to dwugodzinny spacerek. Jednak wieści Christy o lawinach oznaczały, że żadne partie góry nie są dziś bezpieczne. Połączyłam się z obozem bazowym, żeby przekazać im ostatnie informacje.

ARLENE (OBÓZ I): Jak wygląda zejście z obozu I do obozu bazowego?

CHRISTY (BAZA): O Chryste! Wygląda okropnie. 25 procent szans na to, że spadną ci na głowę kamienie, i 50 procent szans, że będzie to śnieg.

ARLENE: Co Joan myśli o naszym powrocie?

Słowa Christy potwierdziły moje obawy, ale może trochę panikowała. W końcu pierwszy raz była na wysokiej górze.

JOAN: To nie jest dobry pomysł. Po drodze pomiędzy obozem I i bazą przetoczyła się właśnie ogromna sypka lawina. Podłoże jest niestabilne, a kamienie śliskie. Proponuję, żebyście w miarę możliwości zostały na górze.

ARLENE: Dobra. W takim razie zostaniemy. Ale będzie tu dziś strasznie tłoczno. Bez odbioru.

Poprzedniej nocy jeden z dużych namiotów zawalił się i podarł, więc do dyspozycji były tylko dwa duże i dwa małe namioty. Na szesnaście osób. W dodatku będziemy musieli nieźle zasuwać, żeby utrzymać je bez szwanku. Jednak z tymi lawinami na górze i na dole byliśmy tu uziemieni. Musieliśmy się jakoś pomieścić.

Znowu zaczęło wiać, a śnieg walił mocniej niż do tej pory. Strząsanie śniegu z namiotów już nie pomagało, musiałyśmy co kilka minut wychodzić na zewnątrz, żeby odwalić go łopatami i poprawiać linki, aby nie zerwał ich wiatr. Za każdym razem, kiedy wychodziłam z namiotu, spoglądałam z nadzieją w stronę obozu II, ale widziałam tylko połacie bieli. Burza zagłuszała wszystkie

dźwięki poza hukiem lawin. Za każdym razem, kiedy którąś słyszałam, wytężałam słuch, żeby zorientować się, z której strony dochodzi dźwięk. Niektóre dochodziły z dołu albo ze szczytów okrążających dolinę, ale sporo było ich też ze strony obozu II. Dziewczyny schodzące na dół miały ze sobą radio, ale w tej śnieżycy nie mogły się zatrzymać, by go użyć. Pozostało nam więc tylko czekać, aż przyjdą – dopiero wtedy dowiemy się, czy nic im się nie stało. Czas ciągnął się niemiłosiernie, a my nerwowo wsłuchiwałyśmy się w ryczący wiatr i huk lawin.

Poprosiłam Chewanga i Mingmę, żeby zaczęli wykopywać szlak z obozu I, co ułatwi schodzenie dziewczynom. Zaskakująco szybko się zgodzili, przyczepili do poręczówek i poszli w sam środek zamieci. Po kilku minutach straciłyśmy ich z oczu.

W końcu tuż przed południem usłyszałyśmy dobiegające z góry pokrzykiwania, a z zamieci zaczęły wyłaniać się jakieś rozmazane postaci. Doliczyłam się dziesięciu. Wszyscy dotarli. Dzięki Bogu! Powoli odpinali się od poręczówki, rzucili plecaki na ziemię i wchodzili do namiotu na gorącą herbatę i zupę. Alison została na zewnątrz, by zwinąć linę. Za nic mając padający śnieg, zwijała linę powoli i dokładnie. Dołączyła do nas w stołówce dopiero, kiedy uporała się ze zwojami.

Dziewczyny poczuły się na siłach omówić sytuację dopiero po wielu kubkach słodkiej herbaty z mlekiem. Oznajmiłam, że wszyscy będziemy dziś musieli jakoś się tu ścisnąć ze względu na ogromne zagrożenie lawinami na niższej partii góry.

– O, ja na pewno nie – oznajmiła Piro. – Skoro już przeszłam taki kawał, zamierzam zejść na sam dół, jeżeli tam jest lepiej. Dzisiaj nocuję w bazie.

Alison i Liz zgodziły się z nią, oznajmiając, że wycieczka na dół to pryszcz w porównaniu z tym, co dzisiaj przeszły. Więc wzięły

ze sobą Lopsanga, Chewanga i Lakpę, obwiązały się liną i ruszyły w dalszą drogę. Znowu zaczęłam się martwić, ale po raz kolejny dzisiejszego dnia mogłam jedynie czekać na wieści. Dwie godziny później nawiązały z nami kontakt z bazy, zawiadamiając, że są bezpieczne, ale że nie ma tam luksusów, których się spodziewały. Śnieg, który był nawet cięższy i bardziej wilgotny niż na górze, zawalił kilka namiotów i wszystko było kompletnie mokre.

W śnieżycach tak ostrych jak ta woda w namiocie może być równie nieprzyjemna jak wiatr i zimno. My miałyśmy na sobie kurtki puchowe, ponieważ są lżejsze i mniej masywne niż syntetyczne, ale kiedy taka kurtka się zamoczy, traci swoje właściwości ocieplające i staje się bezużyteczna. A w czasie burzy nie ma jej jak wysuszyć. Pilnowanie, żeby namiot był suchy, jest niezwykle ważne, ale jednocześnie bardzo trudne, zwłaszcza kiedy trzeba wychodzić co kilka minut, żeby odkopać go ze śniegu. Po wielu wycieczkach w tę i z powrotem moje ubranie było kompletnie przemoczone. Za każdym razem, kiedy wchodziłam do namiotu, musiałam otrzepywać się ze śniegu. Jednak potem, kiedy przeciskałam się przez wejście, śnieg zbierał mi się na karku i plecach – a jego połowa lądowała w namiocie. Stałam więc w wejściu z miotełką, ostrożnie otrzepywałam ubranie i wywalałam śnieg. Mimo to za każdym razem trochę zostawało go w namiocie. A teraz wilgoć zbierała się na ścianach i kapała na podłogę.

W stołówce, gdzie wszyscy zeszliśmy się na kolację, było trochę bardziej sucho. W tej burzy Yeshi nie miał szans wykazać się inwencją kulinarną, więc wszyscy zaczęliśmy rozmawiać o tym, co zjemy po powrocie do Katmandu – na wspinaczkach himalajskich to już tradycja.

– Kiedy tylko wrócę, zjem całe ciasto rabarbarowe – powiedziała Annie.

– Szarlotka jest lepsza – skontrowała Margi. – Zjem trzy duże kawałki.

Roześmiałam się. Myśl o pożarciu tyle ciasta, żeby aż dostać bólu brzucha, była wspaniała. To, że jeszcze kilka godzin temu martwiłyśmy się jedynie o to, czy przetrwamy, wydało mi się niesamowite – teraz ważniejszymi sprawami były szarlotka i ciasto rabarbarowe. Tego wieczoru bez końca rozmawiałyśmy o jedzeniu, być może był to temat zastępczy. Nikomu nie chciało się gadać o zamieci ani o tym, co zrobimy, kiedy już się skończy. Czułam, że grupa nie jest zachwycona tym, jak bardzo się cofnęłyśmy. Byłam jednak pewna, że kiedy tylko się przejaśni, wszyscy będą mieli mnóstwo energii i zechcą natychmiast wracać na górę. Taką miałam nadzieję.

Odkopywanie namiotów podczas śnieżycy w obozie II (fot. Irene Miller).

Impreza z okazji 21. urodzin Margi i 50. urodzin Joan (fot. Arlene Blum).

Następnego dnia ludzie w obydwu obozach odpoczywali. Mimo tego, że zamieć osłabła, obudziłam się zaniepokojona. Przez te wszystkie opóźnienia nasz plan logistyczny mogłyśmy spisać na straty. Dzisiaj będę musiała przedstawić grupie nowy plan. Cztery kobiety wytypowane do prowadzenia na razie nie poprowadziły zbyt dużo – nie spieszyło im się również do ustąpienia ze swych funkcji. Zważywszy na to, ile szkód spowodował poprzedni pomysł, nie miałam najmniejszej ochoty na drugą rundę.

Przy każdym podejściu na Annapurnę szczyt zdobywały zaledwie dwie osoby. Pamiętałam o tym, kiedy zapraszałam dziewczyny na wspinaczkę – i mówiłam im, że taki rezultat i tak będzie triumfem dla całej ekipy. Wtedy wszyscy na to przystali. Jednak teraz, w górach, to już była inna sprawa. Byłam tym bardzo

rozczarowana, ale nie zaskoczona. Chciałam, żeby duch współpracy stłumił nasze osobiste ambicje – ale było to zbyt duże oczekiwanie. Samo dotarcie tutaj wymagało ogromnego samozaparcia, a nawet pewnej dozy agresywności. I oto teraz, kiedy cel był tak bliski, nie mogłyśmy całkiem wyzbyć się ducha walki i rywalizacji, bez którego pewnie byśmy tu nie dotarły.

Od siódmej rano usiłowałam się skontaktować z obozem bazowym, żeby poprosić dziewczyny o pomoc w przygotowaniu nowego planu.

ARLENE: Tu obóz I do bazy.

Żadnej odpowiedzi.

ARLENE: Tu obóz I do bazy. Obóz I do bazy. Proszę, odezwijcie się. Musimy z wami porozmawiać.

Cisza.

ARLENE: Obóz I do bazy. Znalazłyśmy w obozie I dwanaście skrzynek holenderskiej czekolady. Zamierzamy zjeść je wszystkie. Jeżeli chcecie załapać się na czekoladę, odezwijcie się.

Wciąż głucha cisza. Może po prostu nie były na nasłuchu.

Próbowałam jeszcze wiele razy przez kilka godzin. Zaczęłam się martwić, że coś się stało. W końcu, kiedy wyprowadzałyśmy się z obozu bazowego, przetoczyła się nad nim mała lawina. Może po tych wszystkich opadach spadła jeszcze większa? Vera W. poszła, żeby wyjrzeć za wzgórze, i doniosła, że obóz bazowy wciąż stoi. Najwyraźniej zepsuło im się radio. Albo po prostu nie mieli ochoty z nami gadać.

Tu, w obozie I, po śniadaniu, zebrałyśmy się wszystkie, żeby przedyskutować logistykę. Postanowiłyśmy wymyślić wstępny plan bez udziału dziewczyn z bazy. Zaczęłam przemowę od tego, że tym razem chciałam, abyśmy zdecydowały demokratycznie, żeby uniknąć takich sporów jak ostatnio. Wszystkie na to przystały.

Została – oznajmiłam – jeszcze cała masa bagaży do przeniesienia z obozu bazowego do „dwójki". Z racji tego, że przez śnieżycę zmarnowałyśmy tyle czasu i energii, musiałyśmy zacząć pracować jeszcze ciężej niż do tej pory. Jeżeli następnego dnia pogoda będzie stabilna, część osób będzie musiała pójść, żeby odkopać obóz II. Pojutrze zaś obydwie Very miały pracować nad ścieżką do obozu III – po nich miały pójść Liz i Alison, które przejęłyby prowadzenie.

Po krótkiej dyskusji plan został przyjęty, rozwiały się moje poranne troski. Następnego dnia miałyśmy zacząć naprawianie szkód.

Po obiedzie Vera W., Mingma i Ang zgłosili się do odkopania namiotu, który dwa dni temu zapadł się pod ciężarem śniegu. Kopanie w ciężkim śniegu było wyczerpujące. Z początku Szerpowie nie byli zachwyceni perspektywą ciężkiej pracy w wolny dzień, ale potem Mingma wyciągnął butelkę nepalskiego rumu, którą ktoś zostawił w namiocie. Zaczął radośnie podskakiwać, po czym odegrał przezabawną pantomimiczną scenkę rodzajową – wykonując gesty sugerujące kopanie, a następnie prostując się, trzymał obydwie ręce na plecach, co miało oznaczać ból w krzyżu. Po czym radośnie wyciągnął butelkę rumu, która magicznie usunęła jego fikcyjny ból pleców. Kiedy wykonywał tę pantomimę, chrząkał, jęczał i wydawał z siebie dziwaczne dźwięki.

Po uratowaniu namiotu wszyscy zebraliśmy się w kuchni, a Mingma podzielił się z nami rumem. Wkrótce zaczęliśmy śmiać się i dowcipkować. Vera K. wyciągnęła lusterko i zaczęła z uwagą przyglądać się swojej twarzy. Jak zwykle pokryta była grubą warstwą podkładu, którego Vera używała zamiast kremu z filtrem przeciwsłonecznym.

– Daj mi to na chwilę – powiedziałam, przejmując lusterko. Zobaczyłam tam nieznajomą twarz – szczupłą, spaloną słońcem

i o wystających kościach policzkowych. Zaczęłam się zastanawiać, czy John w ogóle mnie pozna, kiedy wrócę.

– Nie chcę oglądać zmarszczek, których na pewno mi przybyło – powiedziała Vera W. Jednak nie mogła się oprzeć. – No dobra, może tylko rzucę okiem.

Podałam jej lusterko, a Vera spojrzała na swoją twarz po raz pierwszy od wielu tygodni.

– O rany – poskarżyła się. – Wyglądam strasznie staro.

– Nieprawda. Opalenizna ci służy. Wyglądasz pięknie. – W istocie wyglądała ślicznie w bardzo klasyczny sposób. Wszystkie wyglądałyśmy coraz lepiej, im wyżej się wspinałyśmy – byłyśmy szczupłe, opalone i zdrowe. W przeciwieństwie do wielu mężczyzn, którzy po kilku tygodniach na dużej wysokości zaczynają wyglądać na zabiedzonych.

Jednak nie wszystkie miałyśmy na to podobny pogląd. Annie patrząc w lusterko, zrobiła minę:

– Wyglądam jak fafuła z czerwonym nosem – roześmiała się.

Później Margi wzięła lusterko i zaczęła dokonywać ponurych oględzin swoich krótkich blond włosów.

– Fuj! Wyglądają jak siano – wykrzywiła się.

– Są świetne! – powiedziała Annie ze śmiechem. – Mogłabyś uchodzić za brytyjską gwiazdę rocka.

– Ale fatalnie śpiewam.

– No to co? To tak samo jak większość z nich.

Szerpowie wzięli od nas lusterko i zaczęli robić miny. Wszyscy wydurniali się i przepychali do lusterka po drugiej stronie namiotu. Nagle namiotem zatrząsł gwałtowny grzmot lawiny w dolinie. Wszystkim natychmiast przeszła ochota do żartów. Yeshi, który był Szerpą na francuskiej ekspedycji na Everest w 1974 roku, kiedy

zginęło sześć osób, opowiedział nam teraz o tym tragicznym wydarzeniu.

Był właśnie w obozie II i robił herbatę przed namiotem, w którym znajdowali się lider ekspedycji i kilku Szerpów, kiedy nagle:

– Łubu-du! Wielka lawina. Wszystko pod śniegiem. Namiot zakopany. Barasahib leży pod śniegiem. Mówię do niego: „Barasahib, nie umieraj, jeszcze nie skończyliśmy". Ale barasahib powiedział: „Yeshi, to moja ostatnia godzina". Powiedział coś jeszcze charczącym głosem i umarł. Yeshi został sam. Przyjaciół zabrał śnieg. Pozostali Szerpowie i alpiniści zaczęli kopać. Odkopałem najlepszego przyjaciela, pięciu Szerpów, barasahib. Wszyscy martwi.

Po wysłuchaniu tej historii wszyscy zrozumieli, dlaczego Yeshi postanowił zostać kucharzem.

– Nigdy już nie będę się wspinał – oznajmił.

Ja zaś nie przestawałam się zamartwiać o to, co też się stało z obozem bazowym. Ponowiłam próbę kontaktu.

ARLENE (OBÓZ I): Tu obóz I do obozu bazowego. Obóz I do obozu bazowego. Tuzin pęt kiełbasy dla osoby, która podejdzie do radia. Słyszycie mnie?

I nagle usłyszałam odpowiedź:

– Tu Lopsang. Tu Lopsang. Odbiór.

Jednak nie była to odpowiedź z bazy – to tylko Lopsang w naszym obozie bawił się drugim odbiornikiem. Coraz bardziej martwiłam się o dziewczyny w obozie bazowym. Około szóstej przyszło mi do głowy, żeby przełączyć się na inny kanał.

ARLENE: Tu obóz I do obozu bazowego na kanale drugim. Słyszycie mnie?

Zadziałało!

CHRISTY (BAZA): Tak, słyszymy cię. Gdzie się podziewaliście cały dzień?

ARLENE: Gdzie wy się podziewałyście? Próbuję się z wami skontaktować od rana – byłyście na złym kanale, dlatego nie mogłyśmy się skontaktować. Mamy dużo do omówienia.

CHRISTY: Czy możesz zaczekać kilka minut? Chcę najpierw skończyć kolację. Skontaktuję się z tobą za 30 minut. Bez odbioru.

Byłam zaskoczona tym nonszalanckim podejściem, więc nie zdążyłam zareagować. Zresztą Christy przerwała połączenie, zanim zdążyłam zaprotestować. Kiedy już się ze mną skontaktowała, wyłuszczyłam jej nasz plan na następne kilka dni. Dziewczyny oznajmiły, że potrzebują jeszcze jednego dnia odpoczynku, ale zgodziły się, że jeżeli nie będzie śnieżycy, powinniśmy pójść odkopać obóz II. Potem Christy powiedziała, że w końcu dotarli tragarze z zapasami z Choi – przynieśli 180 kilogramów kartofli, cebuli, kabaczków i ogórków. Zapytałam ją, czy przynieśli również 40 litrów nafty, której desperacko potrzebowałyśmy. Odparła, że druga grupa tragarzy przyniosła naftę – ale tylko pięć litrów. Przynieśli również cytryny i 25 kilogramów cukru. Przynajmniej będziemy mogły zrobić duże ilości lemoniady.

Następnego dnia ruszyłyśmy do obozu II. Lodowiec, z którego prawie stoczyłyśmy się z Annie w zadymce, zmienił od tego czasu swoje położenie. Środowisko wysokogórskie zawsze jest zależne od pogody: kiedy świeci słońce, jest cieplutko i jasno, ale kiedy tylko schowa się ono za chmurą, temperatura spada o kilkadziesiąt stopni i w ciągu kilku minut zaczyna śnieżyć. W tej chwili było niemożliwie gorąco, a słońce świeciło dość mocno. W świeżym śniegu światło odbijało się tak ostro, że oczy bolały mnie, pomimo że miałam na sobie przyciemnione gogle – w dodatku założone na okulary przeciwsłoneczne. Dźwigając bagaże, szłam ścieżką

wydeptaną przez Verę K. i Annie. Światło i upał osłabiały nas, więc zatrzymałyśmy się, by odpocząć i zjeść trochę śniegu dla ochłody. Vera W. zwierzyła mi się ze swoich obaw.

– Wiesz, wydaje mi się, że moje przenoszenie bagaży nie ma takiego wielkiego znaczenia dla całej ekspedycji. Szerpowie mogą udźwignąć więcej niż ja i iść szybciej.

Usiłowałam wytłumaczyć Verze, że jej pomoc w zbieraniu funduszy i organizacji wyprawy była nieoceniona. A to, że nie mogła udźwignąć tyle co Szerpa, nie miało znaczenia.

– Jeżeli będziesz nosić tyle, ile zdołasz udźwignąć, i starczy ci sił, żeby spróbować wspiąć się na szczyt, wszystko będzie w porządku – powiedziałam.

– Wydaje mi się, że byłabym bardziej pomocna, gdybym została w Palo Alto i zbierała fundusze – Vera W. wyglądała na przybitą. – Nie sądzę, żebym znalazła się w grupie atakującej szczyt.

– Ale za to pomagałaś przez całą drogę. I teraz też pomagasz. Nie przejmuj się tak, Vera.

– Jak mam się nie przejmować? – powiedziała, po czym zamilkła na moment. – Wiesz, miałam bardzo dziwny sen podczas jednej z burzowych nocy. Śniło mi się, że ktoś wszedł na szczyt, ale czaiło się jakieś niebezpieczeństwo. Nie chciałaś ryzykować drugiego podejścia. We śnie usiłowałam cię przekonać. I nagle łup! – miałam namiot na twarzy. Maszt się złamał. To było okropne.

– Oj, Vera – westchnęłam. – Do szczytu jeszcze daleko. Kto wie, co się wydarzy?

Ja także byłam wyczerpana. Dźwiganie ciężarów przez głęboki śnieg w tym upale wymagało niewiarygodnego wysiłku. To była moja piąta wyprawa do obozu II. Zaaklimatyzowałam się już, więc powinno być łatwiej, ale na razie był to najtrudniejszy marsz

ze wszystkich – niedobrze, że czułam takie osłabienie po miesiącu spędzonym na dużej wysokości.

W końcu dotarłyśmy do obozu II, gdzie spędziłyśmy wiele godzin, odkopując namioty – przy użyciu łopat, garnków, butów i dłoni. Były w zaskakująco dobrym stanie. Niezniszczone, ale za to przemoczone. Jeden z masztów pękł, ale Irene i Vera W. złożyły go z powrotem przy pomocy kawałków metalu i okrągłych metalowych zacisków ze skrzynki z narzędziami. Zastanawiałam się, czy znajdziemy jeszcze jakieś pozostałości po poprzedniej ekspedycji. Pomyślałam o holenderskiej czekoladzie i zaczęłam zapamiętale kopać. Mingma również kopał z dużym entuzjazmem – być może miał nadzieję, że znajdzie więcej rumu. Znaleźliśmy jedynie zużyte butle tlenowe, kotwy i czekany – ale nic do jedzenia.

Kiedy odkopaliśmy obozowisko, zrobiło się nieco chłodniej i poczułam, że wracają mi siły. Irene i ja zdecydowałyśmy się na wykopanie ścieżki nad obozem II, żeby ułatwić drogę grupie, która miała wyruszyć następnego dnia. Kiedy próbowałyśmy przekopać się przez warstwę grubości około 80 centymetrów świeżego, sypkiego śniegu, znajdując się na wysokości 5800 metrów, czułam się, jakbym biegła w maratonie, mając przy kostkach stóp przywiązane ciężarki. Irene poszła przodem, sapiąc niczym bardzo powolna, ale wytrwała lokomotywa. Kiedy ruszyłam w jej ślady, zdałam sobie sprawę, że nie damy rady odkopywać w ten sposób obozów i wykopywać ścieżek wiele razy. Jeżeli burze będą się zdarzały częściej, nigdy nie wejdziemy na szczyt. Czytałam o ekspedycjach w Himalajach, podczas których każdego dnia spadało po 60 centymetrów śniegu. Codziennie alpiniści przekopywali się przez śnieg po uda, poruszając się przez to bardzo wolno. W takich latach niewielu wyprawom udawało się

wspiąć na jakikolwiek szczyt – a jeżeli w tym roku miało być podobnie, też nie miałyśmy szans.

Kiedy przechodziłam nad pokrytą śniegiem szczeliną lodową, nagle usłyszałam upiorne odgłosy pękania lodu i natychmiast przystanęłam. Kilkanaście centymetrów od mojej lewej stopy wstrząśnięta przez moje przejście obok bryła śniegu oderwała się od lodowej pokrywy i stoczyła po wzgórzu, nabierając z wolna coraz większej masy i prędkości, po czym wpadła w lodową szczelinę. Kiedy dotarłyśmy tutaj trzy tygodnie temu, góra była nagim lodem. Od tamtej pory napadało mnóstwo śniegu. Obawiałam się, że przez następne kilka tygodni prawdopodobieństwo zejścia lawin będzie bardzo duże. Szłam dalej, uważając, żeby stopy stawiać tak, by nie doszło do kolejnego oderwania się śniegu. Tego popołudnia nadeszła mgła, a wraz z nią niepokój. Nie wiedziałyśmy, czy zbliżałyśmy się już do terenów zagrożonych lawiną tuż pod Sierpem, czy jeszcze nie.

– Zawróćmy, Irene! – wrzasnęłam w stronę ginącego we mgle końca czerwonej liny. – Nie podoba mi się to.

Irene zgodziła się ze mną. Kiedy wracałyśmy, powiedziała:

– Nie chcę ponownie wchodzić tak wysoko w takiej zadymce. Teresa ma tylko trzynaście lat i potrzebuje matki. W przyszłym tygodniu wolę nosić bagaże z „jedynki" do „dwójki" i poważnie się zastanowić, czy chcę się narażać na lawiny spadające z Sierpa. Może niech ktoś zastąpi mnie przy prowadzeniu.

Zgodziłam się, żeby wróciła na dół. Zostało jeszcze dużo bagaży do transportu i ktoś, kto sobie tego nie życzy, nie powinien prowadzić. Tak naprawdę najbardziej chciałam, żebyśmy wszystkie miały możliwość przeczekania jeszcze tygodnia przed przekroczeniem terenu pod Sierpem. Jednak był już 21 września i za niecały miesiąc na szczytach miały zacząć hulać wichry. Jeżeli

chciałyśmy wejść na Annapurnę, musiałyśmy zacząć robić to bardzo szybko.

Lawiny
22–27 września

Lawina! – wielka chmura przetoczyła się w dół Toru Bobslejowego, wylewając się poza krawędzie żlebu. Spadając, robiła się coraz większa i większa – zmierzała prosto w naszą stronę. Jeszcze nie słyszałyśmy huku ani nie czułyśmy powiewu wiatru, ale wystarczyło jedno spojrzenie na chmurę, żeby wszyscy rozpierzchli się do swoich namiotów i zabarykadowali w nich. Kucaliśmy, próbując odegnać czarne myśli. W ciągu ostatnich pięciu dni zeszło bardzo dużo lawin spowodowanych burzą śnieżną. Do tej pory wydawało się, że obozowiska są bezpieczne, ale ta lawina była większa i przemieszczała się szybciej niż inne.

W końcu usłyszałyśmy ryk, a ogromna masa kawałków lodu zatrzęsła obozowiskiem. Spadały na nas kule lodu, ale szczęśliwie chroniły nas namioty. Alison przykucnęła przy ścianie namiotu z otwartym scyzorykiem w ręku – gdyby zaczęło nas zasypywać, scyzoryk mógł być pomocny w szybkiej ucieczce. Przez minutę, która wydawała się wiecznością, czekałyśmy, aż bębnienie się skończy.

Cisza. Lawina zatrzymała się nad nami. Ostrożnie wyczołgałyśmy się z namiotów i zobaczyłyśmy, że jedynym śladem tego, że w okolicy przetoczyła się lawina, jest kilkucentymetrowa warstwa kulek zlodowaciałego śniegu na ziemi.

– Wygląda na to, że zatrzymała się nad Żebrem – powiedziała Margi, kiedy zauważyła nową szramę na Torze Bobslejowym. – Skoro nas ominęła, to jestem prawie pewna, że obóz jest bezpieczny.

Alison jednak zdawała się mieć wątpliwości. Powoli złożyła ostrze scyzoryka.

– No, mamy całkiem ładniutkie małe obozowisko – radośnie stwierdziła Vera W., kiedy wyczołgała się z namiotu.

– O czym ty mówisz? – spytałam, nie wierząc w to, co słyszę.

– Mówię oczywiście o obozie IIIa – oznajmiła.

No tak, przypomniałam sobie, że ona i Vera K. właśnie rozbiły obóz IIIa na szczycie Holenderskiego Żebra. Wróciły na kilka minut przed lawiną. Obóz IIIa miał być tymczasowy. Stamtąd miałyśmy przejść po grani do właściwego obozu III, oddalonego o dwa kilometry. Po rozbiciu obozu III obóz IIIa miał być zlikwidowany, a bagaże przenoszone bezpośrednio z obozu II do III. Na razie jednak prowadzący mieli zostać w obozie IIIa i pracować nad ścieżką do obozu III bez konieczności codziennego schodzenia do dwójki.

– Nie mogę się doczekać, by się tam przenieść – stwierdziła Vera K., wychodząc ze swojego namiotu.

Obie Very były w tak dobrym nastroju, że żadna lawina nie wydawała się im straszna.

– Dobrze, że nie zeszłyście 20 minut później – zauważyła Annie z nieco większą dozą realizmu. – Rumowisko zasypało wasze ślady. Mogło was przygnieść.

Kiedy reszta powoli dochodziła do siebie, Very opowiedziały nam o tym, jak im minął dzień.

– Na grani próbowałam się zaczepić czekanem, ale nie było się o co zaprzeć – powiedziała Vera W., wykonując przy tych ruchy,

które miały naśladować pływanie. – Nie mogłam się podciągnąć na czekanie, więc musiałam nieustannie kopać nogami i się przedzierać. Prowadziłam aż do seraka, gdzie znalazłyśmy taką miłą platformę. Tam postanowiłyśmy rozbić obóz IIIa.

– Przejście do obozu IIIa jest dosyć trudne – powiedziała Vera K.

Zmieniłyśmy temat rozmowy na to, kto będzie teraz prowadził. Każda miała na to ochotę, a ponieważ wyglądało na to, że najtrudniejsze wejścia zostały pokonane, stwierdziłam, że wszystko mi jedno, kto będzie prowadzić. Te z nas, które jeszcze nie prowadziły na Żebrze, ciągnęły losy – wygrały Margi i Liz. Annie i ja miałyśmy dźwigać za nimi bagaże.

Rano powietrze było przejrzyste, a szczyty błyszczące. Spacer był przyjemny do momentu, w którym natknęłam się na rumowisko zeszłodniowej lawiny. Jednak odprężyłam się podczas przedzierania się przez „gruzy". W końcu cały ten śnieg spadł poprzedniego dnia, dzisiaj powinno być bezpiecznie. Ścieżka prowadziła tuż pod rumowiskiem po prawej stronie Holenderskiego Żebra, na którym ostatnio żadnych lawin nie było. Przeszłam najszybciej, jak mogłam, i dołączyłam do Liz, Margi oraz Annie, które stały pod ścianą, w miejscu, gdzie zostawiłyśmy raki, liny i uprzęże. Poniżej Żebra nie potrzebowałyśmy tego sprzętu, więc schowałyśmy go w kryjówce u stóp ściany. Zostawianie rzeczy w kryjówkach może być niebezpieczne, szczególnie na tak kapryśnej górze jak Annapurna. Ta jednak znajdowała się tuż obok ściany Żebra, więc założyłyśmy, że nie spadną na nią lawiny z Sierpa.

Spędziłam kilka minut, zakładając uprząż i jumary, zapinając raki tak, żeby pasowały idealnie. Potem zarzuciłam plecak, pilnując, żeby rozłożył się równo na ramionach, nie przesuwał oraz żebym nie straciła równowagi, i zaczęłam powoli iść za Liz w stronę Holenderskiego Żebra. Po miesiącach oczekiwania wreszcie stałam

w cieniu tej wielkiej lodowej ściany. Ostrożnie przypięłam zacisk do żółtej polipropylenowej liny, którą umocowała tu Piro, kiedy wytyczała ścieżkę, i zaczęłam się wspinać na lodowe wzgórze o nachyleniu 65 stopni. Piro wyrżnęła w lodzie malutkie schodki, w które można była wsadzać czubki raków – były pomocne, ale mimo to musiałam podciągać się na obydwu ramionach. Potem zapierałam się na czubkach raków, przesuwałam zacisk wyżej i ponownie się podciągałam. Prawy biceps bolał mnie od ciągłego napięcia. Byłam teraz bardzo zadowolona z ćwiczeń wzmacniających ramiona, które robiłam przed wyjazdem.

Kąt nachylenia lekko się zmniejszył, więc odprężyłam się i zaczęłam cieszyć wspinaczką. Im wyżej, tym piękniejszy był widok na ogromne szczyty. W końcu zatrzymałam się na niedużej platformie – na przeszkodzie stanęły mi długie na trzy metry sople. Następna część drogi prowadziła przez szeroki na nieco ponad pół metra rozstęp pomiędzy soplami i ścianą lodu. Poruszałam się bardzo ostrożnie, starając się nie dotykać sopli – ze strachu, że pękną i podrą liny.

Potem ostrożnie przeszłam przez skomplikowane lodowe przejście, bardzo powoli stawiając raki, tak, żeby kruchy lód nie popękał. Byłam pełna podziwu, jak sprawnie prowadziła Annie dzień wcześniej. Opisała to w swoim pamiętniku:

Po podejściu na ostatni fragment drogi, który był pionową ścianą lodu, wreszcie zobaczyłam, co mnie czeka: bryła lodu o nachyleniu 60 lub 70 stopni. Jezu Chryste! Nigdy wcześniej nie wspinałam się na coś takiego, nie mówiąc już o prowadzeniu. Usiłowałam zachowywać się jak najspokojniej, przygotowując śruby i poprawiając liny oraz resztę sprzętu.
Zaczęłam się wspinać, a w głowie miałam tylko wskazówki ze „Wspinaczki lodowej" Chouinarda. Na bryle lodu znalazłam

około metra sypkiego śniegu. Nie mogłam znaleźć bezpiecznego miejsca na wbicie śruby lodowej, więc szłam dalej bez użycia kotwy. Tuż przede mną wyrosła nagle ogromna bryła lodu, która okazała się jeszcze bardziej stroma. Próbowałam kilka razy, aż w końcu, z bardzo niepewnej pozycji, udało mi się zamocować śrubę lodową. Myśl o zabezpieczeniu była cudownie krzepiąca, szłam więc dalej, aż dotarłam do pokrytego lodem wąwozu, który dodatkowo był przysypany śniegiem. Poręczówka albo – jak ją nazywają Szerpowie – „lina ludzka" ściągała mnie w dół, więc wyszło na to, że robiłam jeden krok do przodu i zsuwałam się o dwa w tył. W śniegu zakopałam saperkę, do której przymocowani mieliśmy być ja, Mingma i Vera K., prowadząca tuż pod granią Żebra. Vera pomyślała, że tam może być nawis, więc umocowała kolejną kotwę i przywiązała nas do niej. Potem Mingma prowadził aż do grani – na tyle, na ile pozwoliła mu dojść długość liny. W przeszłości wiele razy zastanawiałam się, jak to jest się wspinać na 6100 metrów wysokości. To niesamowite, że właśnie teraz miałam okazję się o tym przekonać.

Tuż pod „drogą Annie" szłam pochyłym szlakiem wyznaczonym przez Verę K. Wkrótce wyszłam z cienia ściany Żebra i znalazłam się w pełnym słońcu na grani, skąd widoczna była niezwykła, pełna panorama – jak okiem sięgnąć, szczyty, czapy lodowe i seraki. Na zachód Kalafiorowa Grań, przemieszczające się lodowce, nieprawdopodobne kształty – ocean ogromnych, zamrożonych fal. Jak zwykle piękno gór zagłuszyło mój wewnętrzny, pełen wątpliwości i strachu głos oraz wypełniło mnie szczęściem. To było moje miejsce na ziemi.

Przewlokłam się przez ostatnie 100 metrów po grani w gorącym słońcu i zrzuciłam plecak w obozie IIIa. Kiedy Margi topiła śnieg na wodę na herbatę, Liz oprowadziła nas po obozie – co było

prostym zadaniem, ponieważ mierzył zaledwie 5 metrów kwadratowych. Po jednej stronie namiotu znajdował się teren, na którym można było zbierać śnieg do przetopienia na wodę; po drugiej zaś toaleta. Natomiast po obydwu stronach obozu ziały głębokie na kilkaset metrów przepaście, pod którymi znajdowały się lodowce. Za namiotem widoczna była mierząca jakieś trzydzieści metrów ściana lodu – ta, która tak przeraziła mnie podczas zeszłorocznego rekonesansu. Jednak z miejsca, w którym stałam, zauważyłam, że Liz mogła ją obejść, przekraczając teren znajdujący się daleko po lewej stronie, potem idąc przez krótsze i łagodniejsze przejście.

Zostawiłyśmy Annie, Liz i Margi, które miały spędzić noc w nowym obozie, i zaczęłyśmy schodzić na dół. Nigdy nie lubiłam zjeżdżania na linie – co jest typową metodą schodzenia ze stromego wzgórza. Pomimo że wymaga mniej wysiłku i umiejętności niż wspinaczka, jest bardziej niebezpieczne. Cały ciężar ciała trzyma się głównie na linie przywiązanej do kotwy, z kolei sam wspinacz przyczepiony jest do liny jedynie prostym urządzeniem. Kotwa może się obluzować, a urządzenie zepsuć. Wolę czuć, że moje ciało ma bezpośredni kontakt z podłożem, i mieć większą kontrolę nad własnym bezpieczeństwem.

Tego dnia, podczas zejścia z Żebra, postanowiłam wypróbować nowe urządzenie do zjeżdżania. Najpierw umocowałam je na linie do góry nogami, ale Annie cierpliwie pokazała mi, jak to zrobić właściwie. Szybko złapałam, o co chodzi, i już wkrótce beztrosko zjeżdżałam sobie ze stromych lodowych ścian, na które wejście kosztowało mnie tyle wysiłku. Zamiast schodzić tą samą drogą, którą wyznaczyła Annie, zjechałyśmy w dół lodowego wąwozu, zawieszone na jednej czerwonej linie. Ważę więcej niż reszta, a urządzenie nie spowolniło mnie wystarczająco, więc owinęłam się

liną, żeby uzyskać większy opór podczas zjeżdżania pomiędzy zwisającymi kruchymi soplami – bardzo ostrożnie, żeby ich czasem nie dotknąć. Wylądowałam na szerokiej na jakieś pięć centymetrów „półce" lodowej za soplami i ostrożnie przesunęłam się na nieco większy występ, żeby tu poczekać na Annie.

Dalej droga poszła dość gładko. U stóp lodowej ściany ja i Annie schowałyśmy raki, urządzenia do zjeżdżania i jumary z powrotem do kryjówki. Pełne energii pokonałyśmy teren zagrożony lawiną w piętnaście minut. Hurra, w końcu wspięłam się na Holenderskie Żebro!

Następnego ranka obserwowałam wspinaczkę Liz i Margi na prążkowaną ścianę lodową, tuż nad obozem IIIa. Ściana wyglądała, jakby niemalże wisiała nad nimi, a dziewczyny były otoczone przez lodowe bryły.

Liz, która wcześniej wspinała się na najtrudniejsze ściany lodowe w Alpach, opisała to jako najbardziej ekstremalną lodową wspinaczkę, jaką kiedykolwiek przeżyła:

Rozpoczęłam przejście przez sypki śnieg do szczeliny brzeżnej. Śnieg spadał w przepaść, a droga była śliska i niebezpieczna. Pierwszy fragment był na razie najtrudniejszym momentem wspinaczki. Było to podejście o nachyleniu 60 czy 70 stopni i ogólnie gówniane.
Mocno zaparłam się stopami – młotek do rozbijania lodu trzymałam w prawej dłoni, którą niezależnie podtrzymywałam się na wzgórzu, a w lewej dłoni miałam dłuto – miałam nadzieję, że lód wytrzyma... Nie czułam się wystarczająco bezpiecznie, żeby wbijać się czubkami raków. Serce mi waliło, a płuca miałam rozpalone. W końcu udało mi się wbić pierwszą porządną śrubę. Gdy pokonałam już dwie trzecie drogi na górę, znalazłam się na terenie, gdzie był ubity śnieg – mogłam wbić tam rynnę śnieżną i chwilę

odpocząć. Najgorsze było już za mną. Po tym, jak zdobyłam lodową ścianę, przyszła kolej na Margi, Mingmę i Ang Pembę na przecieranie szlaku. Pracowali w głębokim śniegu dopóty, dopóki nie dotarliśmy na grań.

Tego wieczoru Margi doczłapała do obozu II zmęczona i przemoczona. Zeszła do nas z obozu IIIa. Powiedziała, że cały dzień kaszle krwią. Zdecydowała się więc odpocząć i przekazała pałeczkę Alison. Zatem to Liz i Alison – przyjaciółki, które świetnie ze sobą współpracowały – miały kontynuować wyznaczanie szlaku na najtrudniejszej części góry.

Zdjęcie zrobione teleobiektywem – cztery alpinistki na Holenderskim Żebrze (fot. Irene Miller).

Himalaistki opuszczają obóz II i wśród schodzących lawin idą do obozu I (fot. Irene Miller).

Irene i Vera W. w obozie II z przerażeniem obserwują lawinę, która zmierza prosto w stronę ekipy filmowej w obozie I (fot. Arlene Blum, Copyright © National Geographic Society, 1979).

Vera W., Alison i Annie również miały za sobą dzień pełen wrażeń, przenosząc bagaże do obozu IIIa. Annie opisała to w swoim dzienniku:

Właśnie przechodziłam przez rumowisko, które pozostawiła za sobą lawina, kiedy nagle zobaczyłam, chociaż nie słyszałam huku, ogromną chmurę śniegu i lodu spadającą z prawej strony Sierpa. Wyglądało na to, że trzy osoby, które były przede mną, stały dokładnie na jej drodze. Odwróciłam się i zaczęłam biec, od czasu do czasu oglądając się na lawinę. Biegłam tak szybko, jak tylko mogłam, z plecakiem na ramionach, i tak się zasapałam, że musiałam zwolnić do szybkiego marszu. Kiedy tylko znalazłam się poza zasięgiem lawiny, rozejrzałam się, czy nie widać gdzieś reszty. Widziałam jedynie chmurę śniegu znajdującą się tam, gdzie ostatni raz ich widziałam. Uklęknęłam, a oddech miałam ciężki i przyspieszony. Nie wiedziałam, co robić. Czy powinnam ich szukać? A jeśli spadnie kolejna lawina? Czy powinnam pobiec do obozu II po pomoc? A co, jeśli zapomnę, w którym dokładnie miejscu zeszła lawina? Cholera! Co robić?
Wtedy zobaczyłam postać przyczepioną do poręczówki jakieś 70 metrów nade mną. Nie mogłam dostrzec, kto to był, ale postać wydawała się nieruchoma – nie przemieszczała się ani w górę, ani w dół. Nie dawała też żadnych znaków. Wstałam, mój oddech się wyrównał. Skierowałam się do miejsca, gdzie przeszła lawina. Idąc, ujrzałam dwie postaci, które powoli wyłaniały się z miejsca osuwiska. Poczułam ulgę nie do opisania. To była Alison z Verą W. Okazało się, że zdążyły zbiec ze zbocza w stronę Żebra i tym samym uchronić się przed lawiną – to dlatego ich nie widziałam. Na linie zaś bezpiecznie wisiała sobie Vera K.

Vera K. mówi o sobie, że jest fatalistką. Dzięki temu nie martwi się przesadnie o lawiny. Cóż, ja się nimi nie martwię, kiedy ich nie ma,

ale gdy nadchodzą, przerażają mnie totalnie.

Lawiny spadały dniami i nocami – przejęły władzę nad naszym życiem tutaj. Metoda porannej wspinaczki, z której korzystaliśmy na Evereście, na Annapurnie się nie sprawdzała. Nie miałyśmy też stuprocentowej pewności, czy nasze obozowiska były bezpieczne. Tej nocy zerwałam się o drugiej nad ranem, obudzona przez najgłośniejszy jak dotąd huk. Nasze namioty trzęsły się przez kilka minut, szargane wiatrem i fruwającymi w powietrzu odłamkami – trwało to znacznie dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Potem ze strachu pół nocy nie mogłam zmrużyć oka. Od czasu do czasu przysypiałam, śniłam o lawinach i budziłam się tylko po to, żeby zorientować się, że koszmar wcale się nie skończył. Odkąd mój przyjaciel John Henry Hall i jego trzech towarzyszy zginęło na Górze Świętego Eliasza, bardzo boję się lawin. Była w tym jakaś ironia, że szłam na szczególnie ważną dla mnie górę, która była jednym z najczęściej nawiedzanych przez lawiny miejsc na świecie.

Tego ranka byłam wykończona i bardziej niechętna do przekroczenia rumowiska niż kiedykolwiek wcześniej. Jednak trzeba było zanieść bagaże do obozu IIIa, a dziś była moja kolej. Piro i Irene przenosiły się do obozu IIIa, żeby przejąć prowadzenie od Liz i Alison, a ja i Vera K. niosłyśmy bagaże. Kiedy zaczęłam powoli i rytmicznie wchodzić na górę, lęk powoli mijał. Byłam już 100 metrów od stóp ściany, kiedy Irene krzyknęła do mnie:

– Przez kryjówkę przetoczyła się lawina. Wszystko przepadło!

Poczułam ucisk w sercu. Miałyśmy tam dwanaście par raków, jumarów, urządzeń do zjeżdżania i całą resztę sprzętu, bez którego nie mogłyśmy kontynuować wspinaczki. Kiedy chciałam podbiec do miejsca, w którym znajdowała się kryjówka, Irene znowu wrzasnęła.

– Lawina! Uciekaj!

Usłyszałam znajomy ryk dobiegający z bardzo bliska. Odwróciłam się więc i zaczęłam biec po ścieżce – adrenalina dała mi potężnego kopa. Wkrótce jednak byłam kompletnie zmachana i musiałam się na chwilę zatrzymać. Przykucnęłam, wbiłam czekan w ziemię, żeby nie dać się zmieść, i czekałam, w myślach powtarzając sobie instrukcje na temat tego, co robić, gdy uderzy w ciebie lawina.

Ofiara lawiny powinna spróbować utrzymać się nad powierzchnią śniegu, pływając w nim. Jeżeli jednak ją śnieg przysypie, powinna wyciągnąć rękę jak najwyżej, zanim śnieg się zatrzyma. Drugie ramię i ręka powinny znajdować się w wyciągniętej pozycji tuż nad twarzą i klatką piersiową, tak żeby stworzyć dość miejsca na zaczerpnięcie oddechu. W celu oszczędzania tlenu ofiara powinna zrelaksować się i nie walczyć z uczuciem utraty świadomości.

(„Podręcznik lawinowy", R.I. Perla i M. Martinelli Jr,
„Podręcznik Rolniczy" 489, Ministerstwo Rolnictwa USA).

Na szczęście lawina zatrzymała się tuż nad nami, a ja nie miałam okazji przekonać się, czy te wskazówki są coś warte.

Mozolnie zaczęłyśmy wlec się z powrotem przez rumowisko do miejsca, w którym była nasza kryjówka – w jej miejscu znajdowała się teraz ogromna dziura. Wyglądało to tak, jakby ogromna eksplozja zniszczyła całe lodowe zbocze. Cały sprzęt, który tam zostawiłyśmy, bezpowrotnie przepadł. Poprzedniej nocy oderwał się wielki lodowy blok ze skały wiszącej nad tym terenem – spadł jakieś 170 metrów w dół i wybił dziurę w lodzie wielkości 15 na 15 metrów. Powierzchnia śniegu zmieniła się w trąbę powietrzną odłamków lodu, która przeszła przez nasz oddalony o półtora kilometra w bok i jakieś 300 metrów w dół obóz, a także bryznęła na obóz III a, który znajdował się 250 metrów wyżej.

Strata sprzętu oznaczała, że tego dnia już nie mogłyśmy wspinać się na górę, a przez jakiś czas myślałam nawet, że będzie to koniec całej wspinaczki. Zanim ja i Vera K. zeszłyśmy na dół, spędziłyśmy kilka minut, grzebiąc w kryjówce, żeby sprawdzić, czy coś da się uratować. Zdołałyśmy wygrzebać zaledwie kilka lżejszych przedmiotów – jeden kask, kilka poduch piankowych i parę kijków. Kiedy zaczęłyśmy schodzić na dół, nadal wstrząśnięte po przejściu lawiny, zastanawiałam się, czy na pewno musimy odpuścić sobie dalszą wspinaczkę. Wtedy Vera K. przypomniała mi o 20 dodatkowych parach raków, które zabrały wraz z Irene, wbrew naszym narzekaniom na zbyt ciężki bagaż. Wychwalałam Verę K. za jej przezorność, jednak w środku nie byłam zachwycona: bez tych cholernych raków mogłybyśmy teraz z godnością wrócić do domów, z dala od lawin Annapurny. W tej chwili nic by mnie bardziej nie ucieszyło. Tę wewnętrzną walkę wygrało jednak poczucie obowiązku, zaczęłam więc obmyślać plan przyniesienia raków i ponowienia wspinaczki tak szybko, jak to tylko możliwe.

W obozie II nikt nie chciał słyszeć o przerwaniu wspinaczki. Ang Pemba natychmiast został wysłany na dół po raki. Byłam właśnie w swoim namiocie, pracując nad planem logistycznym, dzięki któremu miałyśmy nadrobić stracony czas, kiedy nagle usłyszałam wrzask Piro:

– O mój Boże! Spójrzcie tylko na tę lawinę!

Wyskoczyłam z namiotu i moim oczom ukazała się największa lawina, jaką w życiu widziałam – spadała przez dolinę ze szczytu położonego na wysokości 7000 metrów. Chmura ciągnęła za sobą długi na trzy kilometry ogon i robiła się coraz większa. Na początku pomyślałam, że to piękny widok, ale nagle zorientowałam się, że lawina jest tak ogromna, że może przejść przez cały lodowiec i zmieść obóz I. Wszyscy pobiegliśmy na najbardziej wysunięty

fragment tarasu, a tam z przerażeniem spostrzegliśmy, że Dyanna i Marie filmują coś na lodowcu – towarzyszyli im Joan, Christy i dwójka tragarzy. Wyglądali jak sześć malutkich punkcików – i stali dokładnie na drodze gigantycznej, spienionej masy śniegu. W przeciągu kilku sekund lawina przemieściła się przez lodowiec, zmiatając przy okazji czarne punkciki i obóz I.

Przez kilka koszmarnych minut nie widziałyśmy nic poza białą chmurą. Kiedy śnieg w końcu się uspokoił, zobaczyłyśmy, że punkciki zaczynają wstawać i poruszać się w chaotyczny sposób – trochę jak mrówki, którym ktoś nastąpił na mrowisko. Naliczyłyśmy sześć postaci – wzięłyśmy więc głęboki oddech i poczułyśmy niewypowiedzianą ulgę.

Christy opisała to wydarzenie w swoim pamiętniku:

Ogromny kawał oderwał się z rumowiska po drugiej stronie doliny z głośnym trzaskiem. Na początku byłyśmy zachwycone. Dyanna zaczęła filmować mknącą, rosnącą lawinę. Nagle zorientowałam się, że oberwie się i nam. Co prawda teraz byliśmy oddaleni o dobrych parę kilometrów, ale to cholerstwo mknęło szybko jak diabli. Mój Boże! Zaczęłam szukać jakiegoś obniżenia terenu. Nie mogłam nic takiego znaleźć, więc wbiłam czekan w powierzchnię lodowca. Marie krzyczy: „Christy, co mamy robić?". „Padnijcie!". To były moje ostatnie do nich słowa, bo za chwilę ryk wiatru uciszył wszystko. Pierwsze uderzenie poderwało mnie leżącą płasko na lodowcu i uniosło o jakieś siedem metrów w powietrze. Potem nadeszły tony śniegu i lodu, popychane przez wiatr pędzący z prędkością 130 kilometrów na godzinę. Jakimś cudem na głowie dalej miałam czapkę, więc ściągnęłam ją, żeby zakryć sobie nią twarz i móc swobodniej oddychać. Każdy dosłownie kawałek odkrytej skóry był obtarty przez lód i bolał jak cholera, ale starałam się spokojnie oddychać. Kiedy wiatr zwolnił do około 30 kilometrów

na godzinę, spojrzałam na dziewiczą biel. Moje gogle były „zagipsowane" zarówno od przodu, jak i od tyłu. Zdjęłam je, ale zadymka wciąż trwała.
Kiedy w końcu się uspokoiło, poszłam zobaczyć, jak tam z resztą. Z Joan było wszystko w porządku. Pemba i Kaji zostali zasypani przez około 30 centymetrów śniegu, ale przeżyli. Marie przerażona strasznie wrzeszczała, więc miałam pewność, że żyje i ma się dobrze. Dyanny nie było słychać i ciężko było ją znaleźć. Zdmuchnęło ją do szczeliny lodowej. Gdyby spadła o pół metra bardziej w prawo albo w lewo, wpadłaby w sam środek szczeliny – a dna nie było widać. Jednak na całe szczęście wylądowała na śniegowym mostku, osuwając się tylko o dwa metry. Potęga tej góry absolutnie mnie przytłacza.

Po ich powrocie do obozu I Christy doniosła nam przez radio, że obozowisko jest zdemolowane: namiot stołówkowy się podarł, inne namioty są całe, ale zasypane śniegiem. Z obozu bazowego dotarły wieści, że chmura lawinowa i wiatr dotarły aż na sam dół, ale nie spowodowały żadnych szkód.

Przez te kilka chwil, kiedy ogromna lawina zdołała przykryć lodowiec, zniknęły wszystkie moje ambicje. Z całą mocą poczułam, jak niepewna jest nasza sytuacja i jak kruche jest samo nasze istnienie w obliczu tej nieprawdopodobnej siły. Powinnyśmy zostać czy wrócić? Pogoda była idealna i po latach planowania oraz walki byłyśmy zaledwie kilka tygodni drogi od szczytu. Jednak szczelina lodowa, która powstała w miejscu naszej kryjówki, była tak ogromna, a lawiny tak bezwzględne... Wielka góra. Mali ludzie. Nie byłam już pewna, czy powinnyśmy się tam pchać.

Zastanawiałam się, gdzie popełniłyśmy błąd. Rozstawiłyśmy przecież obozowiska w miejscach, które wcześniej zawsze były zabezpieczone od lawin. Jednak w tym roku było inaczej. Dzień

po ceremonii z flagami przez wąwóz, z którego czerpaliśmy wodę, przetoczyła się lawina, która mogła stworzyć zagrożenie dla obozu bazowego – była to pierwsza taka lawina w historii Annapurny. Pasang wybiegł wtedy lawinie naprzeciw i rzucił na ścieżkę poświęcony ryż. Lawina się zatrzymała, ale przedtem śnieg zatamował źródło naszej wody. Wyruszyliśmy z bazy, zachwyceni umiejętnością Pasanga zatrzymywania lawin, ale też wstrząśnięci tym historycznym wydarzeniem. Potem przeszła lawina lodowa, która zniszczyła naszą kryjówkę, kolejna, która uderzyła w obóz I (co też było historycznym ewenementem), a na drodze do obozu III lawiny występowały co rusz.

Tego popołudnia co kilka minut słyszałyśmy huk spadającej lawiny. Do tej pory jakoś mi się udawało ignorować ten dźwięk, ale po dzisiejszej katastrofie podskakiwałam za każdym razem, kiedy słyszałam ten znajomy ryk, i chciałam sprawdzać, czy nie zbliża się do naszego obozu. O godzinie 18 z bazy przyszły tragiczne nowiny: trójka Japończyków zginęła przygnieciona lawiną na Dhaulagiri, po drugiej stronie doliny. To podniosło miesięczną statystykę śmierci z powodu lawin w Nepalu do sześciu wspinaczy. Zazwyczaj ginie mniej osób w ciągu całego sezonu.

Zagrożenie lawinowe było tak ogromne, że naprawdę musiałyśmy poważnie się zastanowić nad możliwością powrotu do domu. Zdecydowałam się zrobić ankietę na ten temat wśród dziewczyn i wczołgałam się do niebieskiego, dużego namiotu, w którym Vera K. czytała kryminał, Annie pisała dziennik, a Piro sprawdzała sprzęt medyczny.

– Te lawiny są coraz gorsze. Jak myślicie, będziemy bezpieczne, zostając tutaj? – spytałam.

Każda z nich koncentrowała się na swoim zajęciu i żadna nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Dwa razy dziennie dzieją się tutaj rzeczy, które wcale nie powinny mieć miejsca. Czuję, że to znak, iż powinnyśmy wracać, zanim ktoś umrze.

Cisza. W końcu Annie powiedziała:

– Nie chce mi się o tym gadać. Jedyne, czego pragnę, to wspiąć się na tę górę.

Nikt nic już nie dodał.

Nie rozumiałam, dlaczego nikt nie chce nawet rozważyć możliwości powrotu. Później Alison mi to wyjaśniła:

– Nie chcemy o tym rozmawiać, bo jeżeli się przyznamy, jak bardzo się martwimy, i będziemy o tym dyskutować, niechybnie dojdziemy do wniosku, że powinnyśmy się poddać. Pracowałyśmy na to tyle lat i nikt nie chce wracać teraz do domu. Więc zachowujemy się, jakby tematu nie było.

Poszłam do kolejnego namiotu. Irene i Margi bardziej otwarcie mówiły o swoich obawach.

– Wspinam się od dwudziestu lat – zaczęła Irene – i nigdy w życiu nie byłam na tak kapryśnej górze. Lawiny są zupełnie nie do przewidzenia. Czasem wydaje mi się, że brnięcie dalej jest zwyczajnie wariackie.

Zgodziłam się.

– Na Everéście – powiedziałam – też było dużo lawin, ale poranki były bezpieczne. Tutaj tak nie jest. Żadna pora nie jest bezpieczna. Lawiny spadają o ósmej rano, o piątej po południu, w południe, o trzeciej nad ranem – o każdej porze. Dzisiejsza zsunęła się z 7000 na 4900 metrów w ciągu kilku sekund.

– Jeżeli z Sierpa spadnie równie duża lawina, może uderzyć w nas tutaj, w obozie II – zauważyła Margi. – Nie jestem pewna, czy chcę zostać w obozie – tu jest niebezpiecznie.

– Strasznie mnie to przygnębia – powiedziałam im. – Czuję się, jakbyśmy wykonały dobrze każde postawione przed nami zadanie – poza wyborem góry. Wiem, że mamy wystarczające umiejętności, żeby się na nią wspiąć. Najtrudniejszą część mamy za sobą, ale nie wiem, czy możemy tu zostać przez następne trzy tygodnie i ciągle łazić po tych wzgórzach dzień po dniu – ktoś może tu w końcu umrzeć.

Irene podzielała moje zdanie, mimo to wykazała się uporem, który – zdaje się – przeważał w grupie.

– Annapurna nigdy nie wydawała mi się dobrym pomysłem, właśnie ze względu na zagrożenie lawinowe. Też wolałabym wdrapywać się na inny szczyt, ale jesteśmy już tutaj. Będziemy musiały sobie jakoś poradzić.

I tak właśnie było. Nasze pragnienie osiągnięcia szczytu było tak wielkie, że przyćmiło wszelkie wątpliwości – wspinaczka trwała dalej, nawet w trakcie tych rozmów: 650 metrów nad naszymi głowami Liz i Alison właśnie się zadomowiały na Żebrze – zmęczone i spalone słońcem. Obserwowały piekło lawinowe dziejące się na dole i mierzyły się z własnymi problemami. Liz napisała w swoim dzienniku tak:

Ali właśnie prowadziła na łagodnym podejściu, kiedy nagle zobaczyłyśmy, że cała dolina wypełnia się śniegiem – to była największa lawina, jaką w życiu widziałam. Obserwowałam ją z przerażeniem i byłam pewna, że obóz I zostanie zniszczony. Kiedy zorientowałyśmy się, że wszyscy wyszli z tego cało, odetchnęłyśmy w ulgą i podjęłyśmy wspinaczkę.
Kiedy dotarłam na grań Żebra, czekała mnie przykra niespodzianka – co dwa metry znajdował się tu nowy nawis, a pod każdym z nich – ogromna jama. To sprawiało, że na każdy jeden krok do przodu cofałam się o dwa. Grzebałam czekanem w miękkim śniegu, mając

nadzieję, że pod spodem znajdę jego bardziej ubitą warstwę. To była wyczerpująca i straszna robota. Usiłowałam zejść z wąskiej grani, ale wtedy dotarłam do przepaści. Kiedy już myślałam, że to koniec, jamy robiły się coraz większe, liczniejsze i mniej stabilne.
Zaczęłam wpadać w panikę – stok był miękki i niebezpieczny, a po każdej stronie przepaść głęboka na jakieś 300 metrów. Próbowałam znaleźć dobre miejsce na wbicie kotwy, ale śnieg pomiędzy jamami nie był zbyt wytrzymały. Nie mogłam zawrócić. W końcu – zaledwie z jedną kotwą i trzema rynnami śnieżnymi – dotarłam na grań, przymocowałam tam wszystko, co miałam, i zjechałam na dół do Alison.

Później dostaliśmy komunikat przez radio, że Liz, Alison, Mingma i Ang dotarli na szczyt Żebra i na wysokości 6400 metrów rozbili obóz III. Najcięższy odcinek na Annapurnie został pokonany!

Wziąwszy pod uwagę niebywałe zagrożenie lawinowe, byłam bardzo zaskoczona, że nikt nie chciał wrócić. Nikt też nie wykręcał się od wspinaczki. Nie próbowałyśmy silić się na heroizm – wszystkie utyskiwałyśmy, mówiłyśmy o tym, że się boimy, i byłyśmy potwornie zmęczone. Niektóre z nas postanowiły o lawinach nie wspominać wcale. Jednak kontynuowałyśmy wspinaczkę. Nie wiem, czy to, że zostałyśmy, było głupie czy chwalebne. Na pewno jednak było heroiczne.

Strajk Szerpów
28 września–2 października

Wangel krzyczał, wymachując rękami: – To najgorsza ekspedycja, na jakiej kiedykolwiek byłem.

– O co chodzi? – spytałam.

– Sprzęt jest bardzo niedobry. Jedzenie bardzo niedobre. Członkinie niedobre. Mówicie, żebyśmy zostawili śpiwory w obozie IIIa. Śpiwory należą do Szerpów. Nie możecie mówić Szerpom, co mają robić.

Zadziwiła mnie siła wybuchu Wangela; w ciągu ostatnich tygodni stosunki pomiędzy dziewczynami a Szerpami znacznie się przecież poprawiły. Wcześniej spotykałam się z codzienną śpiewką „mały problem, memsahib", ale ostatnio wydawało mi się, że wszystko jest w porządku i możemy się wreszcie skupić na wspinaczce.

Ten nawrót niezadowolenia zaczął się kilka godzin wcześniej, w obozie IIIa. Wniosłam bagaż na górę i dołączyłam do Liz, Alison, Chewanga i Mingmy. Skończyli właśnie trwającą wiele dni pracę nad Żebrem i schodzili do obozu II, żeby odpocząć. Kiedy dotarłam do obozu IIIa, powitał mnie widok Szerpów upychających śpiwory do plecaków, żeby zabrać się do obozu II. Alison i Liz patrzyły na to wszystko z niepokojem. Planowałyśmy zostawić większość sprzętu potrzebnego na dużych wysokościach – również puchowe śpiwory – w obozach mieszczących się wyżej, żeby uniknąć dodatkowej

roboty w postaci targania bagaży pomiędzy obozami. W obozach I i II mieliśmy korzystać ze śpiworów z włókna syntetycznego.

Alison przypomniała o tym Szerpom i próbowała, bezskutecznie, namówić ich, żeby zostawili śpiwory w obozie IIIa.

– Nie, memsahib, w obozie II chcemy spać w naszych puchowych śpiworach. Zaniesiemy je na dół, a potem z powrotem na górę. Żaden problem.

– Ale jeżeli za każdym razem będziecie taszczyć śpiwory, będziecie mieli mniej miejsca na inne rzeczy i wspinaczka zajmie nam więcej czasu – argumentowała Liz, ale i to nie poskutkowało.

– Kiedy dawałyśmy wam puchowe śpiwory, powiedziałyśmy, że będziemy ich używać tylko w najwyższych obozach, a wy się zgodziliście – Alison mówiła coraz ostrzej, a wymiana zdań stawała się coraz gorętsza. Ja się nie odzywałam, ponieważ przeprowadziłam z Szerpami podobną dyskusję poprzedniego dnia.

Wangel, który przyszedł na górę tylko na jeden dzień i którego śpiwór ciągle był w obozie II, stanął po stronie Mingmy oraz Chewanga i bardzo głośno to manifestował.

– Zostawimy tu śpiwory, jeżeli wy zapewnicie nam puchowe śpiwory w każdym obozie. Szerpowie nie chcą spać w obozie II w nylonowych śpiworach.

– My śpimy w śpiworach z włókna syntetycznego – powiedziała mu Liz. – Są bardzo ciepłe.

– Nic mnie to nie obchodzi! – Wangel był wściekły. – Puchowy śpiwór należy do Szerpy i znosimy je na dół.

Szerpowie odeszli w stronę obozu II z gniewnym tupotem. Kiedy dotarłyśmy tam z Liz i Alison, znalazłyśmy Chewanga przed swoim namiotem z posępnym wyrazem twarzy.

Podbiegła do nas Vera W.:

– Szerpowie wrócili z IIIa strasznie rozzłoszczeni. Rzucili na ziemię swoje czekany i zaczęli tupać. Co się dzieje?

Poszłam do zakątka obozu, w którym Wangel przemawiał do reszty Szerpów – oczy mu błyszczały i wymachiwał ramionami. To właśnie wtedy powiedział, że to najgorsza ekspedycja, w jakiej kiedykolwiek brał udział.

– Byłem na dwunastu wyprawach – utyskiwał – i żadna nie była taka jak ta!

Przypomniałam sobie, że tak naprawdę był tylko na trzech, i uśmiechnęłam się. Przyszło mi do głowy, że niechęć Szerpów do zostawienia śpiworów na górze prawdopodobnie wynika z obawy, że będziemy musieli szybko się ewakuować, a oni będą zmuszeni zostawić tu cenne śpiwory na zawsze. Przeprosiłam za scenę w obozie IIIa.

– Dobrze, jeżeli nalegacie, możecie sobie nosić śpiwory z góry na dół. A jeśli chodzi o wasze obiekcje dotyczące jedzenia i sprzętu, to chciałam tylko powiedzieć, że wszyscy jedzą to samo i korzystają z tego samego sprzętu. Jedno i drugie jest bardzo dobrej jakości.

Byłam wykończona po całym dniu dźwigania i poszłam do namiotu, żeby zdjąć buty. Myślałam, że Szerpowie wkrótce się uspokoją. Skargi na jedzenie i sprzęt nie są niczym nowym i zazwyczaj oznaczają, że Szerpowie chcą więcej pieniędzy. Wtedy jednak moje myśli w większym stopniu zaprzątał ciężki śnieg, który zaczynał przykrywać obóz. Piro i Irene były w maleńkim namiocie w obozie IIIa z bardzo niewielkimi zapasami. Jutro miały się przenieść do obozu III i większość ich jedzenia była właśnie tam. Jeżeli nie przestanie padać, nie będą mogły ani zejść na dół przez zagrożone lawinami zbocze, ani wejść wyżej. Co oznaczałoby, że utkną na kilka dni w obozie IIIa – aż do ustąpienia zadymki.

Annie przerwała mi te rozmyślania.

– Lepiej idź tam jak najszybciej – powiedziała. – Szerpowie pakują się do wyjazdu.

Brzmiało to poważnie, więc pomimo zmęczenia wyszłam z powrotem na śnieżycę.

Vera W. mówiła właśnie do Anga:

– Mówicie, że jesteśmy złymi ludźmi. Dlaczego tak uważacie?

Jej pytanie usłyszał Wangel i odciął się:

– Wy cały czas mówicie, że Szerpowie są źli. Dlaczego tak uważacie?

Vera W. była zaskoczona.

– Nieprawda – zaprzeczyła. – Nigdy nie powiedziałam, że jesteście źli.

Jednak Wangel obstawał przy swoim.

– Słyszałem. Przed chwilą powiedziałaś, że jesteśmy źli.

Ta wymiana zdań wynikała z bariery językowej – Wangel usłyszał kilka wypowiedzianych przez Verę słów i źle ją zrozumiał. Ten problem dotyczy zresztą nie tylko Szerpów, ale także międzynarodowych ekspedycji złożonych ze wspinaczy z różnych części Europy, w których mówi się różnymi językami – pomimo wspólnej kultury jakoś nie mogą się czasem zrozumieć. Jeżeli zaś chodzi o Szerpów i alpinistów, do bariery językowej dochodzi jeszcze różnica kultur i oczekiwań.

Powiedziałam więc:

– Jeśli sobie pójdziecie, będzie bardzo źle. Niedobrze dla ekspedycji – wspinaczka zajmie nam bardzo dużo czasu. Niedobrze dla was – nie dostaniecie dobrej rekomendacji, jeżeli porzucicie nas w tej śnieżycy.

Szerpowie wciąż wyglądali na rozeźlonych i spoglądali na nas z wrogością. Stojąc w ciężkim, wilgotnym śniegu, usiłowałam

zachować spokój, ale już zaczęłam się zastanawiać, czy uda się nam wspiąć na górę bez ich pomocy. Na pewno byłoby nam dużo ciężej. Plan zakładał ich pomoc w noszeniu ciężarów. Nie mogli sobie tak po prostu pójść.

Jednak odeszli. Pięciu Szerpów odmaszerowało, ze złością pokrzykując przez ramię:

– Do zobaczenia w Katmandu!

Został jedynie kucharz Yeshi; podejrzewałam, że głównie z powodu Annie.

Połączyłam się przez radio z obozem I, żeby ich ostrzec.

ARLENE (OBÓZ II): Tu obóz II do obozu I. Pięciu wściekłych Szerpów schodzi właśnie na dół. Dajcie mi Lopsanga.

LOPSANG (OBÓZ I): Tu Lopsang. Porozmawiam z tymi Szerpami przez radio. Wyjaśnię im, że muszą zostać i wykonywać obowiązki w obozie II.

ARLENE (OBÓZ II): Za późno. Szerpowie już sobie poszli. Będziesz musiał z nimi pogadać, kiedy zejdą na dół. Mówią, że idą do Katmandu. Nie czuj się źle. To nie twoja wina. Jesteś dobrym sirdarem.

LOPSANG (OBÓZ I): Jeżeli ci Szerpowie zejdą do obozu I, są złymi Szerpami. Natychmiast odeślę ich do obozu II. Bez odbioru.

Nie byłam przekonana, czy Lopsangowi uda się zawrócić Szerpów. Godzinę później Christy skontaktowała się z nami, powiadamiając, że Szerpowie przemaszerowali przez obóz z przekleństwami na ustach.

– Ang i Wangel są przywódcami tego buntu – powiedziała. – Obrzucili mnie inwektywami w płynnym angielskim. Lopsang usiłował z nimi rozmawiać, ale przekonał ich jedynie, żeby przeczekali do jutra w bazie. Napili się herbaty i poszli do obozu bazowego po ciemku.

Lopsang zawiódł. To oznaczało, że jutro musiałam pójść do obozu bazowego i spróbować ich przekonać, żeby zostali. Tego wieczoru zaczęłam narzekać przy kolacji.

– A nie myślałaś o tym, żeby dać im odejść? – zasugerowała Alison. – Jestem pewna, że udałoby się nam bez nich.

– Nie są znowu aż tacy pomocni – zgodziła się z nią Liz. – Tego dnia, kiedy Wangel i Lopsang mieli pomagać nam na Żebrze, Lopsang wyznaczył jedną dobrą ścieżkę, ale Wangel nie zrobił nic – chyba był zbyt przerażony. W końcu Lopsang oznajmił nam: „Jestem starym człowiekiem. Więcej nie dam rady. Musimy wracać". Ale jestem pewna, że krył w ten sposób Wangela. Spytałam Wangela, czy nie mógłby chociaż przynieść drugą linę na miejsce, w którym skończył Lopsang, ale nie był w stanie zrobić nawet tego. Lopsang odwalił kawał dobrej roboty, ale czekanie, aż ta dwójka się ogarnie, zajęło więcej czasu, niż gdybyśmy wspinały się same.

– Tak, tamtego dnia Szerpowie nas spowolnili – Alison poparła Liz. – Następnego dnia Ang i Mingma prowadzili przez pół drogi. Ale tamta wspinaczka nie była aż tak trudna jak pierwszego dnia.

– Prawdopodobnie udałoby nam się wspiąć na szczyt bez Szerpów – snułam głośno rozważania. – Sprawdźmy może, czy nasz plan zadziała bez nich.

Tak więc razem z Alison ułożyłyśmy nowy plan i wyliczyłyśmy, że mogłybyśmy same wspiąć się na górę, ale potrzebowałyśmy dodatkowego tygodnia. Alison była wniebowzięta:

– Pomyśl tylko: już nie będziemy się musiały użerać z tymi upartymi Szerpami!

– Ale ten dodatkowy tydzień może oznaczać, że nie uda nam się wejść na szczyt – ostrzegłam ją. – Jeżeli przyjdzie jeszcze jedna burza albo zaczną wiać zimowe wiatry, może nam się nie udać.

Po raz kolejny przypomniałam Alison, że Szerpowie zapewniają nieco szybsze tempo i większe bezpieczeństwo na najwyższych partiach góry. W końcu przyznała mi rację – powinnam następnego dnia zejść na dół i przekonać Szerpów, by zostali.

– Ale nie przejmuj się, jeśli ci się nie uda – dodała. – Bez nich też sobie poradzimy.

W międzyczasie skontaktowałyśmy się z Piro i Irene, żeby dowiedzieć się, jak radzą sobie z zadymką w obozie IIIa. Zapytałyśmy je, co sądzą o pomyśle wspinaczki bez Szerpów.

PIRO (OBÓZ IIIA): Nie mamy nic przeciwko wspinaniu się bez nich. Ale wygląda na to, że na razie nigdzie się nie wybieramy. Śnieg zbiera się w wąwozach po obydwu stronach obozu. Lawiny rozbijają się kilkadziesiąt metrów od nas co kilka minut. Myślę, że będziemy uziemione przez kilka dobrych dni. Bez odbioru z obozu IIIa.

Śnieg padał przez całą noc; wielokrotnie musiałam wychodzić na zewnątrz i odkopywać namiot. Demony nocy hulały w najlepsze, a ja martwiłam się o Piro i Irene, które były uziemione w malutkim obozowisku na grani. Na górze były bezpieczne, ale schodzenie na dół po śniegu byłoby bardzo ryzykowne. Gdybyśmy znowu zostały zmuszone do opuszczenia obozu II, byłyby bardzo daleko i całkiem same. W końcu nadeszła pora na poranny kontakt radiowy.

PIRO (OBÓZ IIIA): Napadało śniegu na jakieś 30 centymetrów, lawiny spadają z każdej strony, ale jesteśmy w dobrym humorze.

ARLENE (OBÓZ II): Potrzebujecie czegoś tam na górze?

PIRO: Tak. Raków i tamponów. Raki Irene źle leżą na bucie, więc możecie przysłać nową parę. Poza tym obydwie nagle dostałyśmy okresu, a nie mamy wystarczającej ilości tamponów. W dodatku mamy ze sobą tylko jedną książkę, którą wzięła Irene. To gramatyka

hiszpańskiego i nie jest zbyt ciekawa. Bawimy się w „Co to za kompozytor?" i opowiadamy sobie dowcipy, ale opowiedziałyśmy już wszystkie, które znamy. Znacie jakieś?

CHRISTY (OBÓZ I): Znam kawał, który sprawi, że zapomnicie o całej tej śnieżycy, obiecuję.

PIRO (OBOZ IIIA): Dawaj, Christy. Jesteśmy gotowe.

CHRISTY: No więc książę miał się żenić. Poprosił swojego ojca, króla, o rady dotyczące nocy poślubnej. Król powiedział mu: „Powinieneś zaprowadzić małżonkę do komnaty małżeńskiej, stanąć przed nią, ukłonić się w pas i powiedzieć »Szanuję twój honor«. Wtedy ona dygnie i odpowie: »Spełnię twą prośbę«. Wtedy powinieneś wyjść na chwilę, napić się wina i wrócić. Powiedzieć raz jeszcze: »Szanuję twój honor«. Ona weźmie cię za rękę i powie: »Spełnię twą prośbę«. No i tak masz robić przez całą noc. Wchodzisz... i wychodzisz. Wchodzisz... Wychodzisz...". Dzień dobry wszystkim – bez odbioru z obozu I.

Z niższych obozów dobiegły nas jęki, a z wyższych – histeryczny śmiech. Co było dowodem na to, jaki wpływ wysokość może mieć na poczucie humoru.

Do obozu przyszła Vera K. i zaoferowała, że pójdzie ze mną na dół, by pomóc w pertraktacjach z Szerpami. Wyglądało na to, że ma z nimi dobre stosunki, więc przystałam na jej propozycję. Wrzuciłyśmy kilka rzeczy do plecaków, a resztę do wodoodpornych toreb – na wypadek, gdyby śnieżyca się pogorszyła i trzeba było opuścić obóz. Bałam się, że Szerpowie mogą rozpocząć drogę powrotną do Katmandu bardzo wcześnie, więc wyszłyśmy przed śniadaniem.

Vera K. pierwsza obwiązała się liną, ponieważ była lżejsza – mnie łatwiej było ją przytrzymać, gdyby wpadła do szczeliny lodowej. A to było całkiem prawdopodobne w tej śnieżycy – widoczność

ograniczała się do niecałego metra, a ścieżka, którą ostatnio wydeptałyśmy, była kompletnie zasypana.

– Czy możesz przypiąć sobie radio do swetra na wypadek, gdybym wpadła w szczelinę i trzeba było wzywać pomoc? – spytała Vera K.

– Jasne – odpowiedziałam.

Włożyłam radio do kieszeni wełnianej koszuli. Nie było to zbyt wygodne – kiedy szłam, antena właziła mi do nosa.

Vera K. maszerowała bardzo sprawnie. Ja szłam za nią, w każdej dłoni ściskając pęk kijków. Chciałam wyraźniej zaznaczyć szlak, na wypadek, gdyby zadymka zmusiła resztę do zejścia na dół. Moje gogle były tak zaparowane, że ledwo co widziałam. Głęboki śnieg pokrywający lód był śliski, a antena radiowa co rusz wchodząca mi do nosa wcale nie poprawiała mi nastroju. Czułam się jak nieszczęśliwy pies wleczony na smyczy.

Kiedy przeszłyśmy przez lodowiec, przez kamienną ścianę tuż pod naszymi nosami przetoczyła się lawina, grożąc zasypaniem ścieżki pomiędzy obozem bazowym a obozem I. Potem nagle śnieg przestał padać i zza chmur wyszło słońce. Natychmiast zrobiło nam się za gorąco, więc zatrzymałyśmy się, żeby ściągnąć parę ciuchów i założyć okulary przeciwsłoneczne.

– Zjedzmy jakieś śniadanie i ogarnijmy się, żeby być w dobrej formie, kiedy spotkamy Szerpów – zaproponowałam.

Napiłyśmy się mrożonej herbaty z butelek po wodzie, zjadłyśmy trochę miętowego ciasta i zastanawiałyśmy się, czy kiedy dotrzemy do obozu bazowego, Szerpowie tam jeszcze będą.

– Nie byłabym zaskoczona, gdyby okazało się, że już sobie poszli – powiedziała Vera K. – Ale według Annie oni tak naprawdę nie chcą odejść. Założyła się ze mną o stek, że to taki wybieg, żeby wyciągnąć więcej kasy.

– O stek? Skąd ty weźmiesz stek?

– Stek wołowy po wycieczce.

Kiedy skończyłyśmy jeść, Vera K. zasugerowała, żebym poszła przodem i wyglądała tak „przywódczo", jak to tylko możliwe, gdy będziemy wchodzić do obozu bazowego. Kiedy znalazłyśmy się w zasięgu wzroku z bazy, wypatrywałam jakiegokolwiek znaku obecności Szerpów i nagle zdałam sobie sprawę, że bardzo chcę, aby jednak zostali z nami. Zdecydowałam, że zrobię, co w mojej mocy, żeby ich do tego przekonać – ze względu na bezpieczeństwo ekspedycji.

Kiedy dotarłyśmy do obozu bazowego około południa, Szerpowie wciąż jeszcze tam byli. Było cicho, ale atmosfera była napięta. Joan wyszła, powitała nas i powiedziała, że tego ranka na spotkaniu Szerpowie zażądali większej ilości sprzętu i prawa do głosu w decyzjach dotyczących wspinaczki. Jednak nie miałyśmy więcej sprzętu, więc powiedzieli, że pieniądze też mogą być. Więc było to aż tak proste – jeżeli zapłacimy im więcej pieniędzy, dalej będą się z nami wspinać.

Ulżyło mi, że Szerpowie nas nie opuścili, i gotowa byłam zapłacić im więcej. Ich dzienna stawka – 2,50 dolara – była wysoka jak na tutejsze standardy, ale dla nas była bardzo mała. Zwłaszcza że wykonywali tak niebezpieczną pracę. I tak planowałyśmy dać im duży napiwek na koniec wycieczki. Niemniej nie podobały mi się ich metody, którymi próbowali zdobyć więcej pieniędzy przed czasem.

Zaraz po przyjściu odnalazłam naszego łącznika, Gurunga – chciałam usłyszeć jego wersję dzisiejszego targowania się.

– Namaste, panie Gurung. Co z Szerpami?

– Zeszłego wieczoru zeszli tu całkiem po ciemku, strasznie wściekli. Stwierdzili, że w tej chwili wracają do Katmandu.

Zaproponowałem im, żeby najpierw coś zjedli, i powiedziałem kucharzowi, żeby przygotował im coś specjalnego. Po jedzeniu byli w trochę lepszych nastrojach. Potem powiedziałem im, żeby poczekali jeszcze, aż dzisiaj zejdziecie ty i Lopsang.

Margi i Liz narzekają na upór Szerpów w obozie I (fot. Alison Chadwick).

Pochwaliłam Gurunga za jego wyczucie sytuacji i uspokojenie Szerpów. Razem poszliśmy do zadymionego namiotu kuchennego, gdzie Lopsang i reszta Szerpów spożywali posiłek. Wszyscy zachowywali się bardzo poważnie, więc wyglądało na to, że szykują się trudne negocjacje.

W trakcie obierania, smarowania masłem i spożywania małych ziemniaczków Lopsang wyliczył żądania Szerpów:

– Mówią, że potrzebują po jeszcze jednym swetrze, wełnianej koszuli, parze rękawic i butów, jumarów, ręczników, mydła i dziesięć

papierosów dziennie. Inaczej nie będą się wspinać.

– Ale przecież koszule i swetry rozdałyśmy im w Katmandu. Macie porządne buty. A papierosy wydałyśmy im już na okres całej wspinaczki – tak jak radziłeś. Nie wiem, co powiedzieć w kwestii ręczników i mydła...

– Szerpowie nie przynieśli koszul i swetrów z Katmandu. Dobra ekspedycja daje swetry i koszule dwa razy – raz w Katmandu, raz w bazie. Ale jeżeli zapłacicie więcej pieniędzy, wszyscy będą szczęśliwi. Szerpowie zapomną o wszystkim i będą się wspinać.

Wspinaczka na dużych wysokościach to w Nepalu ściśle kontrolowany przemysł. Według reguł rządu Jego Wysokości himalaiści i Szerpowie muszą mieć sprzęt oraz pożywienie tej samej jakości. Mimo to problem nie znika, ponieważ Szerpowie zawsze mogą wymienić jakąś ekspedycję, która dała im lepszy sprzęt i w większych ilościach. Nasi opowiedzieli nam teraz o Japończykach, którzy dali im aparaty Polaroid, radia tranzystorowe i elektroniczne zegarki na rękę. Mieli nadzieje, że od każdej następnej ekspedycji dostaną przynajmniej tyle samo, jak nie więcej.

W zasadzie Szerpowie mieli więcej nowych osobistych rzeczy niż my, bo dziewczyny przywiozły większość ubrań z domu. Nasze swetry nie były tak ciepłe, jak te, które dałyśmy Szerpom. Jednak jedynie Gurung wziął swój sweter do obozu bazowego; reszta albo je sprzedała, albo zostawiła, oczekując jeszcze jednego swetra. Wzruszyłam ramionami. Niech i tak będzie. Zaczęłam wyliczać koszta: dziesięć dolarów za wełniany sweter, kolejne dziesięć za bawełnianą koszulę, po dolarze za mydło i ręcznik. Nikt się nie wykłócał. Wyszło mi około 100 dolarów – co było równowartością czterdziestu dni pracy każdego z Szerpów.

– Dobra. Zapłacimy każdemu z was 1293 rupie. A teraz wracajcie do obozu II i zacznijcie wnosić toboły.

Jednak Szerpowie mieli jeszcze jedno zastrzeżenie.

– Mężczyźni to mężczyźni, a kobiety to kobiety. W pierwszej grupie idącej na szczyt powinni być z wami mężczyźni. Nie chcemy, żebyście wy, kobiety, znikały gdzieś na górze – powiedział Lopsang i brzmiało to niezwykle paternalistycznie.

– Nie. Pierwsza grupa musi składać się z samych kobiet – odparłam stanowczo. – W końcu to kobieca ekspedycja. W drugiej mogą być Szerpowie.

– Ale może być śnieg po pas. Czy kobiety będą mogły się wspinać w śniegu po pas? – pytał Chewang.

– Jeżeli spadnie taki śnieg, pierwsza grupa może nie zdobyć szczytu. Druga, w której znajdą się Szerpowie, będzie mogła pójść ścieżką, którą wytyczyła pierwsza grupa – będzie im wtedy łatwiej wejść na szczyt.

Pozostawiliśmy tę kwestię otwartą, ponieważ właśnie w tym momencie kucharz wniósł kolejny wielki garnek gotowanych kartofli. Świeże ziemniaki doprawione chilli i solą były przysmakiem po miesiącu diety wysokościowej.

Następnego popołudnia zapłaciłyśmy Szerpom, którzy zawiesili strajk. Byli szczęśliwi, ale ja nie byłam zadowolona, że byłyśmy zmuszone nagrodzić ich po tym, jak opuścili nas w samym środku śnieżnej zamieci. Takie zachowanie Szerpów na ekspedycjach było coraz bardziej powszechne, ale ja nie mogłam się z tym pogodzić.

Kiedy Szerpowie wpadli do stołówki, w której siedziałam z Verą K. i Gurungiem, Pasang właśnie podawał przepyszną potrawkę z tuńczyka. Szerpowie jeden po drugim wygłaszali długie, nudne przemowy o pracowaniu bez wytchnienia aż do momentu wejścia na szczyt.

Stwierdziłam po prostu, że przykro mi, iż doszło do tylu nieporozumień, i że mam nadzieję, iż już się to nie powtórzy. Przemowy się ciągnęły, a nasza kolacja stygła. Robiłam się coraz bardziej głodna. Szerpowie co rusz powtarzali, że powinnam się nie krępować i jeść, a oni będą mówić dalej, ale nie czułam się komfortowo, jedząc, kiedy tyle osób gapiło się na mnie.

Życie jest jednak nieprzewidywalne. Jednego dnia wspinamy się na lodowe podejście o nachyleniu 60 stopni na wysokości 6100 metrów, podczas gdy lawiny lecą z każdej strony, a następnego siedzimy w bazie – dwie kobiety otoczone przez samych mężczyzn – i jemy sobie świeże warzywa oraz rozmawiamy o warunkach pracy.

Na górze zadymka szalała w najlepsze. Annie, Margi, Liz, Alison i Vera K. musiały opuścić obóz II i zejść do „jedynki" ze względu na zagrożenie lawinowe. Irene i Piro ciągle w obozie IIIa – teraz były od nas kompletnie odizolowane. Jednak dopóki opowiadałyśmy im przez radio dowcipy, dopóty nie upadały na duchu. Żarty były coraz głupsze, ale im to chyba nie przeszkadzało.

CHRISTY (OBÓZ I): Mam dowcip dla Piro. Dlaczego polskie psy mają płaskie nosy?

PIRO (OBÓZ IIIA): Nie wiem. Dlaczego?

CHRISTY: Bo spłaszczyły je sobie, próbując gonić nieruchome samochody.

ARLENE (BAZA): Ten jest jeszcze gorszy niż wczorajszy. I uważaj, bo Alison może pomyśleć, że jesteś uprzedzona do Polaków.

CHRISTY: Uprzedzona? Ja po prostu bardzo chciałabym się wspinać i zaczyna mi odbijać szajba! Odbiór.

Myśląc o Christy, uśmiechnęłam się. Ja też chciałabym się wspinać. Część najlepszych alpinistek na świecie pochodzi z Polski. Wanda Rutkiewicz i jej rodacy nie tylko wspięli się na Gaszerbrum

II i III, ale też cieszący się złą sławą Trollryggen w Norwegii, północną ścianę Eigeru, północną ścianę Matterhorn (w środku zimy), a także na wiele innych bardzo trudnych gór na całym świecie.

ARLENE (BAZA): Jak się przedstawia sytuacja z jedzeniem?

PIRO (OBÓZ IIIA): Dużo batoników i jedzenia w proszku. Ale poza tym prawie nic. Mamy jedną gorącą kolację z tuńczykiem, ale oszczędzamy ją. Dziś na śniadanie zjadłyśmy po batoniku Mounds, na obiad po Almond Joy, a na kolację po Milky Wayu. Ale wszystko jest w porządku. Tylko nie przestawajcie opowiadać kawałów. Bez odbioru.

Po dniu odpoczynku Szerpowie byli gotowi do dalszej wspinaczki. Tuż przed wyjściem z obozu poszli pomodlić się przy ołtarzyku, który zbudowali podczas ceremonii z flagami. Flagi wyblakły, ale wciąż powiewały na wietrze – prosiły górskich bogów o miłosierdzie dla wspinaczy. Odmówili modlitwy, spalili gałęzie jałowca i posypali ziemię poświęconym ryżem, po czym uroczyście odmaszerowali w stronę góry. Po południu byli już w obozie II, gotowi na ponowne podjęcie wspinaczki. Obserwowałam ich marsz na górę i nagle zauważyłam wyłaniającą się z mgły postać zmierzającą w stronę obozu bazowego.

Była to Liz Klobusicky. Wcześniej powiedziała mi, że 15 października musi być w Niemczech, by zdążyć do pracy w szkole. Musiała więc już wracać. Nie chciałam, żeby odchodziła. Liz była jedną z najsilniejszych i najbardziej rozważnych alpinistek w zespole. Po całej tej pracy, którą wykonała na Żebrze, należała jej się szansa.

– Jeżeli zostaniesz, będziesz miała duże szanse, żeby wejść na szczyt – powiedziałam jej.

– Gdybym wiedziała to na pewno, prawdopodobnie wykręciłabym się jakoś i mogła zostać tydzień dłużej. Ale nie ma na to żadnej gwarancji. Jeżeli nie wrócę na czas, mogę stracić pracę – powiedziała ze smutkiem.

– Czyli ta cała praca na Żebrze się dla ciebie nie liczy?

– Nie. Znasz Niemców – dla nich liczy się tylko efekt, wejście na szczyt. Ale szczerze mówiąc, nie żałuję tak bardzo. Nicko ciągle mi pisze, żebym na siebie uważała i wróciła w jednym kawałku. A wiesz dobrze, że zostając tu, podjęłabym ogromne ryzyko. Pomyśleć tylko, że zobaczę Nicko już za dwa tygodnie...

Zapewniłam Liz, że ją rozumiem. I w istocie tak było. Myśl o powrocie do domu, do Johna, była o wiele milsza niż marznięcie w obozie IV.

– Mam gulę w gardle, kiedy tylko pomyślę o następnych dwóch tygodniach – powiedziała Liz. – Jestem przerażona, boję się o was wszystkie.

– Ja też. Nigdy w życiu nie spotkałam się z takimi warunkami na jakiejkolwiek górze. Myślisz, że lawiny mają coś wspólnego ze strajkiem Szerpów?

– Wątpię. Nie wspominali nic o lawinach, prawda?

– Nie. Dzień przed strajkiem Lopsang powiedział nawet: „Jutro będzie zła pogoda. Szerpowie będą odpoczywać". Ciekawe, czy Szerpowie wiedzieli, że będzie burza. Może uznali, że mogą sobie równie dobrze odpocząć w obozie bazowym, a przy tym zarobić trochę pieniędzy.

– To ciekawa teoria – roześmiała się Liz. – Szerpowie mają nosa do pogody. Strajk nie spowolnił wspinaczki, a oprócz tego dostali to, czego chcieli. Ale założę się, że zrobili to po części dlatego, że jesteśmy kobietami. Wygląda na to, że rozkazy od mężczyzn nie brzydzą ich aż tak, jak te wydawane przez nas.

– Chyba nie są przyzwyczajeni do pracy dla kobiet – powiedziałam. – Nigdy się nie dowiemy, czy pozwolili sobie na strajk ze względu na to, że jesteśmy kobietami, czy był to tylko wybieg, żeby zdobyć więcej pieniędzy, czy też naprawdę byli wściekli.

Jednak wieczorem tego samego dnia, kiedy Piro zadzwoniła z obozu III, stało się jasne, że problem z Szerpami nie został rozwiązany do końca.

PIRO (OBÓZ IIIA): Dzisiaj ja i Irene wykopałyśmy szlak z obozu IIIa do obozu III i jutro chciałyśmy iść na górę, żeby poprowadzić po stromym lodzie. W końcu po to siedzimy tu już od pięciu dni. A teraz Ang i Mingma wmaszerowali tu po naszej ścieżce, zainstalowali się w trójce i oznajmili, że sami będą jutro prowadzić. Jesteśmy wściekłe. Odbiór.

Siedząc w obozie bazowym, nie mogłam nic z tym zrobić. Najwyraźniej Szerpowie zapomnieli dodać, że będą się wspinać sami, ignorując nasz wcześniej ustalony plan. Poszłyśmy spytać Lopsanga, jak poradzić sobie z nieposłuszeństwem Szerpów.

– Ci cholerni Szerpowie – wycedził. – Powiem im, że mają wykonywać swoje obowiązki.

Wiedziałam, że to nic nie da. Szerpowie przestali go słuchać. Być może dlatego, że tak się od nich różnił: uczył się w Indiach i był kiedyś oficerem. Sposób, w jaki postępował z podwładnymi, był skuteczny w wojsku, ale Szerpów tylko podburzał. Wydawało się, że już go nie lubią ani nie szanują. Na utratę kontroli nad Szerpami Lopsang reagował wysokim ciśnieniem, wrzodami i bezsennością. Powiedział nam, że kończy ze wspinaczką. Będzie już tylko prowadził grupy trekkingowe i odprowadzał ekspedycje wspinaczkowe do obozu bazowego.

Lubiłyśmy Lopsanga, więc starałyśmy się go pocieszyć:

– Nie przejmuj się – mówiłyśmy. – Odwaliłeś kawał dobrej roboty przy przenoszeniu bagaży do bazy. Odpocznij sobie, wkrótce odzyskasz siły.

Lopsang uśmiechnął się blado i powiedział, że chciałby resztę czasu spędzić w obozie bazowym. Przystałam na to, chociaż nie byłam zbyt zadowolona z perspektywy samotnego użerania się z pięcioma zbuntowanymi Szerpami.

Następnego dnia, kiedy Liz miała wracać, odprowadziłam ją kilkaset metrów i raz jeszcze podziękowałam za pomoc.

– Nie ryzykuj, jeżeli nie będziesz do tego zmuszona – powiedziała na pożegnanie, po czym odwróciła się i zeszła ze wzgórza.

Liz wracała tego dnia do prawdziwego świata. Wkrótce będzie patrzeć na drzewa, zwierzęta w wioskach, a po drodze być może spotka kogoś z naszej ekipy wracającego z dołu z zaopatrzeniem do bazy. Ja zaś wracałam do lodu, śniegu i lawin. Mimo tego, że już nie chciało mi się nawet wchodzić na szczyt, postanowiłam, że wejdę przynajmniej do obozu III, żeby pomóc przy ustawianiu obozów IV i V, a także przy samym ataku na szczyt.

Powoli wróciłam do obozu, wzięłam plecak i ruszyłam przez zielone łąki w górę. Kwiaty i trawa zbyt szybko zostały zastąpione przez głazy oraz lód moreny i lodowca Annapurny. Jakbyśmy się czuły, gdybyśmy wszystkie mogły zobaczyć te łąki? Podniosłyby nas na duchu czy raczej przygnębiły? Jednak nasze miejsce było powyżej tych łąk, w śniegu.

Ekipa filmowa – Dyanna, Christy i Marie – wspinają się, by nakręcić materiał na dużej wysokości (fot. Arlene Blum).

Plany i zmiany
3–8 października

Kiedy dotarłam do obozu II, zostałam powitana dobrą nowiną. Irene i Piro przejęły od Szerpów prowadzenie nad obozem III. Wspięły się o jakieś 200 metrów, wchodząc po całkowicie oblodzonej ścieżce – była to pierwsza poważna przeszkoda na drodze do obozu IV.

Piro opisała szczegóły tej wyprawy w dzienniku:

Razem z Irene cztery dni siedziałyśmy w małym namiociku, czekając na koniec burzy. Kiedy w końcu się przejaśniło, spędziłyśmy cały dzień, wytyczając ścieżkę do obozu IV przez śnieg sięgający ud. Później szlakiem wykopanym przez nas przyszli Ang i Mingma, oznajmiając, że zatrzymają się w obozie III. Powiedzieli też, że odtąd „Szerpowie prowadzą, wspinamy się na górę, szczyt za trzy dni".
Usiłowałyśmy im wyjaśnić, że stromy lód nad obozem III przekopałyśmy my i że czekałyśmy pięć dni na to, żeby móc prowadzić. Nie dotarło. Uśmiechnęli się tylko i zaczęli się rozpakowywać. Zeszłyśmy do obozu IIIa strasznie wściekłe. Klęłyśmy na wszystkich Szerpów, ich matki, opiekunki, babcie i nienarodzone dzieci.
Nie było nam więc zbyt smutno, kiedy następnego dnia Ang Pemba dostał choroby wysokościowej. On i Mignma musieli zejść na dół. Strome lodowe podejście jednak było nasze.

4 października: Wietrzny i strasznie zimny poranek. Irene prowadziła na okropnym stromym trawersie przez mokry śnieg i doszła do nieprzyjemnego zakrętu przy stromej ścianie lodu grubo pokrytej śniegiem. Spędziła dużo czasu, szukając jakiegoś miejsca oparcia, i w końcu umieściła małą kotwę wysoko po lewej stronie i wygramoliła się na bardziej stabilny śnieg. Raz na jakiś czas jej czekan znikał w jakiejś dziurze; dobrze, że to nie przytrafiło się mi, pomyślałam. Podciągnęła mnie na górę i przez chwilę prowadziłam teraz krótką ścieżynką po stromej ścianie lodu, po czym przerąbałam się przez ścianę skalną i znalazłam w lodowym kominie. Na początku było mi tu miło i ciepło, mimo że nie padały na mnie promienie słoneczne. Potem Irene wspięła się do mnie i przejęła sprzęt, żeby poprowadzić przez następny kawałek drogi. Zajrzała do komina i chrząknęła. Uśmiechnęłam się z miną sprawiedliwego. Wiedziałam, że na razie mam spokój. Komin miał pionowe ściany z twardego błękitnego lodu. Był spadzisty. Irene włożyła swoje raki do plecaka i oparła dłonie o ściany, żeby się jakoś zaprzeć i wpełznąć na górę. Usiłowała wbić lodową śrubę, ale lód był zbyt kruchy. W końcu dla bezpieczeństwa owinęła linę o jakiś lodowy sopel.

Kiedy tak stałam, asekurując Irene, uśmiech przymarzł mi do twarzy. Już po kwadransie zaczęło mi się robić niewygodnie i coraz zimniej. W końcu zaczęłam trząść się i dygotać. Nie śmiałam się ruszyć, żeby założyć więcej ubrań. Właśnie rozmyślałam o zamarznięciu, kiedy Irene dała sygnał, że mogę już ruszyć. Próbowałam iść jak najszybciej, żeby się rozgrzać, i zaczęłam się wspinać, podziwiając sposób prowadzenia przez Irene. Wystawiłam głowę przez komin i słońce uderzyło mnie w twarz. Irene zrobiła zdjęcie uwieczniające moje przybycie. Obydwie czułyśmy się świetnie dopóty, dopóki nie zobaczyłyśmy kolejnego lodowego

wzniesienia – nie było strome, ale lód był stary i pokryty topniejącą warstwą.
Zaczęłam wspinaczkę i okazało się, że lód nie jest tak podstępny, jak sądziłam – więcej kłopotów miałam z głębokim śniegiem na stromej części tuż pod krawędzią tarasu. Irene, która zwykle nie narzeka, zawołała płaczliwie: „Co ty tam robisz tyle czasu?". Brnęłam przez głęboki śnieg, musiałam prawie płynąć pieskiem, żeby się przemieścić. W końcu wbiłam hak i wciągnęłam Irene na górę, która poprowadziła do następnego tarasu. Kiedy zniknęła, poczułam niedobór cukru w organizmie. Pomyślałam sobie: „Nieźle P.K. Najpierw ci zimno, potem robisz się głodna – zaraz zaczniesz płakać, że chcesz do mamusi". Czułam do siebie obrzydzenie i byłam kompletnie nieczuła na widoki – a były to jedne z najpiękniejszych widoków, jakie w życiu widziałam. Potem zobaczyłam, że Irene wystawia nos przez krawędź tarasu. Wspięłyśmy się na lodowy występ.

Następnego dnia Piro wróciła do obozu II, a do Irene dołączyły Annie i Vera K. – miały pomóc w prowadzeniu. We trzy spędziły długi, męczący dzień, brnąc przez bardzo głęboki śnieg. W końcu dotarły do stóp kolejnego, mniejszego lodowego stopnia, gdzie potrzebne były poręczówki. Następnego dnia Irene w prowadzeniu na terenie za tarasem zastąpili Mingma i Chewang. Prowadzili przez niskie, strome lodowe podejścia i śnieg.

Dotarcie do obozu IV zajęło im dwa dni długiej i trudnej wspinaczki. Vera K. opisała jej pierwszy dzień w swoim pamiętniku:

Zaczynamy wcześnie – przed nami długa droga. Musimy zanieść bagaże. Annie i ja niesiemy tyczki – bardzo dziwny bagaż. Minęliśmy teren, na którym mieścił się holenderski obóz IV; leżał bardzo nisko, nasz chcemy rozbić dużo wyżej. Około 15.30 zużyliśmy

całą poręczówkę, co bardzo rozczarowało Chewanga, ponieważ bardzo chciał dotrzeć tam już dzisiaj. Tłumaczyłam mu, że jest już za późno, ale jest niepocieszony. W końcu poddajemy się i idziemy na dół. Mamy świadomość, że jutro dotrzemy tam na pewno. W obozie III całą czwórką szykujemy kolację i gadamy do późna. Robimy lody i wystawiamy je na zewnątrz, żeby się ochłodziły – żartujemy sobie przy tym, że na pewno malutkie yeti przyjdzie i nam je pożre.

Następnego dnia Mingma bardzo szybko wytyczył elegancką ścieżkę na niemalże pionowej, mierzącej 12 metrów ścianie lodu. Wczesnym popołudniem czwórka wspinaczy w końcu dotarła do mieszczącego się na wysokości 7000 metrów obozu IV. Obozowisko znajdowało się na niewielkiej platformie w cieniu ogromnego seraka. Miejsce było ciemne i ciasne, ale roztaczał się z niego niesamowity widok. Kiedy tam dotarli, zorientowali się, że zużyli już wszystkie kotwy, więc Annie poświęciła swój czekan, który został użyty jako ostatnia kotwa. Schodzić musiała bez niego.

Obóz IV został już rozbity, więc pytaniem dnia w obozie II było: „Kto będzie wchodzić na szczyt?". Cały czas powtarzałam, że decyzję podejmiemy w ostatniej chwili, bo te, które podejmiemy teraz, mogą zmienić się w każdej chwili. Opowiedziałam historię o wspinaczce na Mount Everest, na której pierwszymi osobami, które wspięły się na szczyt, były te, które miały wejść jako jedne z ostatnich. Jedna z nich była nawet tak rozczarowana, że nie uwzględniono jej w pierwszej grupie, że niewiele brakowało, żeby się poddała i wróciła do domu.

Założyłam, że kiedy będziemy już gotowe na to, by wejść na szczyt, skład grupy wyznaczy selekcja naturalna. Na wielu wyprawach zdarzało się, że niektórzy wspinacze, którzy miesiącami ciężko pracowali na dużej wysokości, byli zbyt wyczerpani fizycznie

i psychicznie, żeby wchodzić na szczyt. Jednak na tej wspinaczce nie pojawił się efekt zużycia. Wręcz przeciwnie, większość dziewczyn z dnia na dzień stawała się coraz silniejsza i bardziej zdeterminowana.

Być może była to po prostu fizjologia. Ciało przeciętnej kobiety składa się z tłuszczu w 25 procentach, natomiast męskie tylko w 15. Ten dodatkowy tłuszcz magazynuje energię, dzięki której kobiety mogą zachować siły i zdrowie w najbardziej surowych warunkach; uważa się, że dzięki temu mają wyższą tolerancję na zimno, ciężkie warunki i głód. Joan Ulyot w swojej książce „Women's Running" („Kobiece bieganie") pisze tak: „Wśród osób ocalałych z katastrof morskich czy wypadków w górach kobiet jest więcej niż mężczyzn... Naturalną przewagą kobiet zdaje się być nie ich siła fizyczna, a wytrzymałość". Kobiety łatwiej osiągają sukcesy w takich dyscyplinach sportowych jak na przykład pływanie długodystansowe – są w stanie dłużej od mężczyzn wytrzymać w zimnej wodzie, ponieważ tłuszcz ociepla ciało i dostarcza więcej energii. Uważa się, że organizm kobiet jest w stanie lepiej spożytkować energię zawartą w tłuszczu i w związku z tym radzą sobie lepiej w dziedzinach, które wymagają wytrzymałości, a nie tylko krótkotrwałego ogromnego wysiłku.

Niezależnie jednak od przyczyny po czterdziestu dniach spędzonych na Annapurnie na szczyt nadal chciało wejść siedem z dziesięciu alpinistek – wszystkie poza Joan, Liz i mną. Byłam zachwycona, że zespół ma w sobie jeszcze tyle sił. Oznaczało to jednak, że nie ma co liczyć na to, że dojdzie do selekcji naturalnej. Spędziłam więc wiele godzin, próbując ustalić, jaki scenariusz będzie najlepszy.

Mogłam rozdzielić je w pary: Margi i Annie, Vera W. i Alison, Vera K. i Irene – taki plan wydawał się najlepszy, ponieważ

w takich parach wspinały się razem już wcześniej, były przyjaciółkami i wyraziły chęć wejścia razem na szczyt. Jednak zostawała jeszcze Piro – która dogadywała się ze wszystkimi i mogłam ją wrzucić do którejkolwiek z tych grup. Nie mogłam nikogo wyeliminować pod pretekstem niewystarczającej sprawności fizycznej. Na przykład Vera W. nie była zbyt szybka, ale nadrabiała to determinacją.

Trudniejsze do oceny były czynniki psychologiczne. Każda z nas była w stanie wejść na szczyt, chociaż Margi najbardziej bała się lawin. Szybko wykurowała się z choroby, przez którą nie mogła pomagać Liz przy prowadzeniu przez Żebro, i dołączyła do Very W. oraz Alison przy noszeniu bagaży do obozu III. Jednak kilka dni później, kiedy miała zrobić drugą rundę, Margi nie była przekonana – bała się po raz kolejny przechodzić po terenie zagrożonym lawinami. Wyszła z obozu z plecakiem, ale po kilku minutach była już z powrotem, twierdząc, że zapomniała szczoteczki do zębów. W końcu zorientowałam się, że to był żart, którym chciała przykryć swoje zdenerwowanie. Poszła, zobaczyła lawinowisko i zawróciła. Rozmawiałyśmy o jej wątpliwościach dotyczących dalszej wspinaczki.

– Pamiętasz, jak przed wyjazdem mówiłaś nam, że wspinanie się w Himalajach jest nudne? – zapytała Margi. – Że ciągle nosi się ciężary w tę i z powrotem, dzień w dzień? Ale na tej wycieczce co sekundę mamy nowe atrakcje. Przez ten cały lód wiszący nam nad głowami wcale nie jest nudno. I chyba mam tego dość. Chcę zejść na dół i trochę odpocząć. Zastanowić się, czy na pewno chcę się wspinać. Chyba wolałabym przez kilka dni ponosić bagaże między obozem I i II, niż znowu narażać się na lawiny.

– Dobrze – zgodziłam się. – Idź na dół i zastanów się, czy chcesz się dalej wspinać.

– Ale tego też nie chcę robić – mówiła dalej. – Alison uważa, że to niesprawiedliwe, że próbuję się wymigać od noszenia bagaży do obozu III. Mówi, że wnosi bagaże cały czas pomimo tego, że też się boi. Że jeżeli chcę się wspinać, też powinnam to robić. Mówi, że powinnam robić wszystko, jak należy.

– Nie ma czegoś takiego jak „jak należy" – zapewniłam ją. – Powinnaś robić to, co możesz i chcesz. Nic takiego się nie stanie, jeżeli nie zaniesiesz jednego plecaka do obozu III. Idź na dół, zrelaksuj się i spróbuj się nie martwić.

Trzy dni później Margi wróciła z „jedynki" spokojna i pewna siebie. Podjęła decyzję.

– Chcę iść na górę – powiedziała mi. – Nawet strach przed lawinami mnie nie powstrzyma. Chcę wdrapać się na tę górę, zobaczyć widok ze szczytu i sprawdzić, jak tam się człowiek czuje.

Musiałam przyznać, że Margi jest bardzo odważna. Na innych wyprawach byłam świadkiem, jak ludzie przenoszą swój strach na resztę i obniżają morale. Margi przyznała, że jest przerażona, ale mimo to chciała iść dalej.

Przyjaciółka Margi, Annie, twardo się wspinała i w nosie miała lawiny. Zastanawiałam się, czy jej spokój nie miał czasem czegoś wspólnego ze wsparciem Yeshiego. Annie pomagała mu w przygotowywaniu posiłków, a poza tym słyszałyśmy, jak rozmawiają do późnej nocy. Pasowali do siebie, ale martwiłam się, że ich romans może zaburzyć delikatną równowagę w stosunkach między nami i Szerpami. Szerpowie byli świadomi związku Annie oraz Yeshiego i najwyraźniej nie mogli zrozumieć, dlaczego nas to nie interesuje. Marie skarżyła się, że Szerpowie patrzą na nią w sposób, którego sobie nie życzy.

Wielokrotnie prosiłam Annie, żeby z rozpoczęciem związku z Yeshim zaczekała, aż wrócimy do Katmandu, ale nie chciała o tym

słyszeć. Oprócz tego była idealną członkinią ekspedycji: nie była egoistką, nie skarżyła się, była silna i ciężko pracowała.

Kolejną osobą, która zdawała się rosnąć w siłę, była Vera K. Annie powiedziała mi, że kiedy były w obozie III, Vera utrzymywała mordercze tempo ich pracy. Po wyczerpującym dniu Annie często miała ochotę po prostu się położyć, ale Vera K. nalegała, żeby stopiły jeszcze śnieg i zjadły kolację. Dziwaczne zwyczaje Very K., które na mniejszych wysokościach dawały się wszystkim we znaki, tutaj wysoko przestały w ogóle istnieć. Vera była teraz silna i miła.

Irene także pozbyła się wątpliwości i bardzo chciała wejść na szczyt. Po wszystkich jej jękach na temat ryzyka i własnych ułomności spędziła z Piro pięć dni, w samym środku zadymki, w obozie IIIa. Później prowadziła po stromych podejściach nad Żebrem. Obie wróciły pełne entuzjazmu i gotowe do ataku na szczyt.

Piro zeszła do obozu II dzień przed Irene, która została w obozie III, żeby nakręcić materiał filmowy. Piro miała to do siebie, że ciężko pracowała i rzadko się odzywała, ale kiedy wróciła z Żebra, strasznie się rozgadała.

Topienie śniegu, by pozyskać wodę do picia, gotowania i rzadkich kąpieli (z archiwum Autorki).

Idealny poranek 25 września. Arlene, Margi i Annie wnoszą pierwsze bagaże do obozu IIIa (fot. Arlene Blum).

– Na górze jest fantastycznie – promieniała. – Prowadzenie po tym lodzie to jedna z najlepszych rzeczy, jakich w życiu dokonałam. Tak się cieszę, że przegoniłyśmy stamtąd Szerpów. Na tym właśnie powinna polegać wspinaczka – pracujące ciężko dwie dziewczyny, dobra pogoda, twardy lód, piękna przyroda. Było tak dobrze, że z nawiązką nadrobiłyśmy te dni, które spędziłyśmy, czekając na lepszą pogodę.

Zapytałam Piro, jak ona i Irene zniosły odosobnienie.

– Bez problemu – odpowiedziała. – Wcześniej już zdecydowałyśmy, że do namiotu weźmiemy jedynie ubrania, które mamy na sobie, i dwa śpiwory, nie miałyśmy zamiaru dużo

gotować. Kiedy burza na chwilę ustępowała, topiłyśmy śnieg. Rozrywki dostarczały nam lodowe i śnieżne lawiny tudzież spadające kamienie. No i doskonałe kawały Christy. Jednak byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy miały ze sobą więcej jedzenia. Trzeciego dnia musiałyśmy wyjść i poprawić namiot. Wtedy ciepło naszych ciał sprawiło, że śnieg się roztopił, więc w namiocie zrobiło się bajoro. Zaczęłyśmy kopać śnieg, żeby wyrównać podłoże namiotu, ale po chwili leżałyśmy już na śniegu, ciężko dysząc ze zmęczenia. Spanikowałyśmy. Te trzy dni obijania się i niejedzenia musiały nas osłabić. Wróciłyśmy do namiotu i zaczęłyśmy wcinać okropne batoniki, po czym podgrzałyśmy danie z tuńczykiem.

Piro kaszlnęła głęboko i mówiła dalej:

– No i obie męczyłyśmy się z tym kaszlem wysokościowym. Musiałyśmy łykać kodeinę, żeby zasnąć. I teraz męczyłyśmy się ze wszystkimi skutkami ubocznymi kodeiny, takimi jak zaparcia. To wszystko na wysokości 6400 metrów – strasznie wiało i co rusz przysypywał nas śnieg. Było ciężko. Ale warto było.

Badania psychologiczne pokazały, że kiedy wspinacze spędzają dłuższy czas na wysokości ponad 5800 metrów, podupadają na zdrowiu fizycznym i psychicznym, ale wyglądało na to, że Piro i Irene aż tyle znowu nie wycierpiały. Były oczywistymi kandydatkami do grupy idącej na szczyt.

Natomiast Vera W. i Alison nie były najwyraźniej zadowolone ze swoich postępów. Vera W. nie miała tyle okazji do prowadzenia, na ile liczyła, i bardzo martwiła się tym, że jest nieco wolniejsza od pozostałych. Alison z kolei poprowadziła jedną z najlepszych ścieżek, ale była niezadowolona ze stylu wspinaczki i śmiertelnie bała się lawin. W liście do Janusza, swojego męża, napisała tak:

Przebywanie tutaj jest jak nieustanna gra w rosyjską ruletkę. To najbardziej niebezpieczna góra, na jakiej kiedykolwiek byłam.

Pomiędzy obozem II (który jest względnie bezpieczny, chociaż i tak czasem trzęsą nim wiatry lawinowe) a Holenderskim Żebrem trzeba iść tak szybko, jak tylko się da (trwa to ponad godzinę). Po każdej stronie Żebra jest ogromny wąwóz zwieńczony zboczami lodowymi, a na dnie każdego wąwozu wypolerowany zielony lód i kamienie, po których widać, z jaką częstotliwością spadają z góry. Największym jednak zagrożeniem na drodze jest majaczący w górze Sierp.
Vera W. i ja jutro znowu mamy nosić ciężary do obozu III – nie widzi mi się to. To był ciężki dzień. Wczoraj wyruszyłyśmy o siódmej rano i wróciłyśmy o szóstej wieczorem – najgorszy jest ten ciągły strach, że zaraz spadnie na nas lawina. Mam jednak nadzieję, że jeżeli przeżyjemy jutrzejszy dzień, nie będziemy już musiały chodzić w tę i z powrotem. Następnym razem zostaniemy w „trójce", zaniesiemy rzeczy do „czwórki", a potem już pójdziemy prosto do „piątki", a stamtąd na szczyt. Jeżeli pogoda dopisze, ma się rozumieć.

Mimo że była to ciężka robota, Vera W. i Alison wykazały się ogromnym samozaparciem i nosiły ciężary do obozu III, codziennie narażając się na niebezpieczeństwo. Poza tym, że chciały przyczynić się do przyspieszenia wspinaczki, liczyły, że zostaną dzięki temu szybciej wybrane do grupy atakującej szczyt.

W końcu wypracowałam sprawiedliwy i elastyczny plan wejścia na szczyt – przynajmniej tak myślałam. Nie zdecydowałam tylko, kto ma być w której grupie. 8 października, tego samego dnia, kiedy rozbity został obóz IV, o godzinie 18, podczas połączenia radiowego, wyłuszczyłam plan dziewczynom i Szerpom we wszystkich obozach.

– Pierwsza grupa idąca na szczyt będzie składać się z trzech kobiet, które wezmą ze sobą zapas tlenu – zaczęłam. – W drugiej będą dwie alpinistki i jeden Szerpa, ale istnieje możliwość, że nie

starczy już dla nich tlenu. Trzecia grupa jest opcjonalna – to znaczy powstanie, jeżeli będą jeszcze chętni. Pierwsza będzie się wspinać pomiędzy 14 i 16 października. Druga dwa dni po nich. Podobnie trzecia. Oczywiście ten plan może ulec zmianie, jeżeli wystąpią kolejne burze albo inne problemy.

Reakcje w obozie II były różne. Alison oczywiście nie była zachwycona.

– Uważam, że cała nasza ekspedycja – to znaczy nasza dziewiątka, teraz, kiedy Liz wróciła do domu – powinna mieć możliwość wejścia na szczyt. Twój plan zakłada, że w pierwszej i drugiej grupie znajdzie się nas tylko pięć. Szczerze wątpię, czy uformuje się trzecia grupa. A co z resztą? Każdy powinien mieć możliwość znalezienia się w grupie idącej na szczyt, zwłaszcza że wszyscy narażaliśmy życie, niosąc bagaże do obozu III.

– Nie mogę zagwarantować nikomu, że na pewno znajdzie się w grupie atakującej szczyt – odparłam. – Jeżeli nosisz bagaże do obozu III po to, żeby mieć taką gwarancję, to może nie powinnaś ich dłużej nosić.

Margi powiedziała:

– Będę szczęśliwa, jeżeli ktokolwiek wdrapie się na szczyt, nawet jeżeli to nie będę ja.

– Oczywiście ja również – zgodziła się Alison. – Po prostu chcę, żeby każdy czuł, że ma szansę. Myślę, że w drugiej grupie powinny być trzy dziewczyny i jeden Szerpa. Zasługujemy na wejście na szczyt bardziej niż którykolwiek Szerpa. Włożyłyśmy w tę ekspedycję dużo więcej niż oni. I zdecydowanie powinnyśmy uformować trzecią grupę – żeby każdy miał szansę.

– Przykro mi – powiedziałam – ale nie ma możliwości, żebyśmy wszystkie wspięły się na szczyt. Zresztą Joan jeszcze nie zaaklimatyzowała się po swojej chorobie, a od czasu lawiny

w obozie I mnie też się odechciało. Zostaje więc najwyżej siedem osób.

Reszta przystała na mój plan. Jednak Lopsang, który poczuł się już lepiej i przyszedł do obozu II, żeby przedyskutować ze mną tę sprawę, miał duże obiekcje.

– Nie, bara memsahib. To niedobry plan. Za dużo ludzi na szczyt. Annapurna jest bardzo niebezpieczna. Jeżeli jedna alpinistka i jeden Szerpa wejdą na szczyt, wszyscy będziemy szczęśliwi i będziemy mogli wracać do domu. Wszystko będzie super.

– Nie, Lopsang. Wszystkie chcą wejść na szczyt – zresztą wielu Szerpów też. Wszyscy bardzo ciężko na to pracowali. Zanim wrócimy do domu, musimy dać im szansę.

– Nie, bara memsahib. Jedna alpinistka i jeden Szerpa wystarczy. Jesteś liderką. Jesteś odpowiedzialna za ekspedycję. Musisz im powiedzieć, że wszyscy nie mogą wejść na szczyt. Zrobią to, co im powiesz.

Uśmiechnęłam się, gdy przypomniałam sobie, jakie problemy z kontrolowaniem Szerpów miał Lopsang.

– Lopsang, nie możesz zmusić Szerpów, żeby tańczyli, jak im zagrasz. Ja nie mogę zmusić do tego moich dziewczyn.

Obydwoje wybuchnęliśmy śmiechem.

Rozumiałam Lopsanga, ale rozumiałam też Alison. Lopsang miał serdecznie dość tej ekspedycji i chciał wrócić do domu, zanim komuś stanie się krzywda. Zgadzałam się z nim, ale respektowałam również życzenia zespołu – żeby każdy, kto tego zapragnął, mógł spróbować. Pogoda się ustabilizowała, a warunki poprawiały się z dnia na dzień, więc wejście na Annapurnę wydawało się coraz bardziej realne.

Nie tylko alpinistki mające atakować szczyt dobrze aklimatyzowały się na dużej wysokości. Joan, Christy i ekipa

filmowa również nabierały siły. Tego poranka w bazie, kiedy ze łzami w oczach filmowały wzruszające sceny przy stole śniadaniowym, stało się jasne, że Dyanna i Marie były pełnoprawnymi członkiniami zespołu. W związku z tym udało im się uchwycić naprawdę piękne kadry. Kiedy pierwszy raz zawędrowały na lód ponad obozem bazowym, bardzo się denerwowały – ale w końcu to był ich pierwszy lodowiec. A teraz zrelaksowane spacerowały sobie pomiędzy ogromnymi szczelinami na północnym lodowcu Annapurny. Chociaż naturalnie bały się po tym, jak lawina nad obozem I omal ich nie pogrzebała. Obydwie były jednak profesjonalistkami i potrzebowały ujęć wspinaczki na dużej wysokości – szczególnie zależało im na sfilmowaniu, jak wspinamy się po stromych ścianach Holenderskiego Żebra. Pokonały więc strach przed lawinami i wspięły się nad obóz II, żeby nas sfilmować. To było niezwykłe osiągnięcie – te dwie młode kobiety nigdy wcześniej się przecież nie wspinały!

Kilka dni wcześniej Marie i Dyanna już raz próbowały bezskutecznie dostać się do obozu II. Kiedy w końcu udało im się przebrnąć przez głęboki śnieg i upał, wpadły w stan ekstazy.

– Dzisiaj dokonałyśmy największego do tej pory osiągnięcia. I pomyśleć, że to kobiety nas przez to przeciągnęły! – nie mogła nadziwić się Dyanna. – No i na linie jest super – dodała.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że lina może służyć czemuś innemu niż zapewnieniu bezpieczeństwa, więc spytałam dlaczego.

– Może jest to trochę dziwne, jak każdy musi poruszać się w tym samym tempie, ale energia każdej osoby jest wtedy połączona. Dzieli was 25 metrów odległości, ale jesteście połączone. Trzeba być wrażliwym na ruch każdej osoby przewiązanej liną i zwracać uwagę na to, kiedy ktoś zwalnia, ponieważ wchodzi pod górkę albo

napotkał przeszkodę. Ruch liny w śniegu dużo mówi o partnerach i ich ruchu. To mi się podoba.

– Nie mogę się zdecydować, czy uwielbiam wspinaczkę, czy jej nie znoszę – oznajmiła z kolei Marie. – Jestem oszołomiona pięknem tej góry, ale wykończona harówką. Poza tym śmiertelnie boję się lawin.

– Te pięć godzin telepania się tutaj było jak pięciogodzinna jazda samochodem na letnie wakacje, kiedy byłam dzieckiem – i to, i tamto wydawało się nie mieć końca – westchnęła Dyanna.

– Ale skoro już tutaj jesteśmy – dodała – zostaniemy i zrobimy, co do nas należy. Ale, mój Boże, te lawiny mnie przerażają!

Dziennik Dyanny opisuje wrażenia jej i Marie z pobytu w obozie II i nad nim:

Byłam wykończona, osłabiona i przerażona. Ale mus to mus. Trzeba się nauczyć nie opierać temu, co nieuniknione, nie wkurzać się i nie jęczeć, tylko skupić się na pracy. Przygotowałyśmy sprzęt i o 15.30, dzielna, lecz zarazem pokorna ekipa filmowa osiągnęła swój cel – 5800 metrów. Byłam przeszczęśliwa, że nikt nie oczekiwał, iż będę włazić jeszcze wyżej. Byłyśmy bardzo dumne, że nam się udało – pomimo ogromnego zmęczenia.

Na najbardziej stromej części pomogły nam Piro i Irene. Potem zaczęłyśmy szybciutko schodzić, żeby nie dostać odmrożeń. Chciało mi się wrzeszczeć. Było to zapierające dech w piersiach przeżycie. Kiedy schodziłyśmy na dół, zauważyłam, jak kolorowy jest obóz II: duże pomarańczowe i niebieskie namioty, małe żółte i niebieskie namiociki, zielony namiot stołówkowy – a do tego porozrzucane wszędzie kolorowe śpiwory.

Tej nocy poszłyśmy spać w kopcach włókna syntetycznego. Byłyśmy przygnębione. W naszym przytulnym domku – obozie I – wszystko się zmieniło. Nowy namiot, nowy suwak drzwi namiotu,

żadnych latarek. Gdzie do cholery jest butelka na siku? Jak nie nadepnąć komuś na głowę? Nieustający kaszel, klaustrofobia, rzucająca się z boku na bok Marie i ten pieprzony śnieg – i tak całą noc. Ale w końcu nadszedł ranek, śnieg przestał padać, a do tego nie zmiotła nas żadna lawina.

Mimo tego, że dziewczyny miały za sobą fatalną noc, zdecydowały się po raz drugi wejść na 5800 metrów, żeby nakręcić więcej materiału wspinaczkowego. Dyanna opisała to tak:

Vera K. i Annie chciały przejść przez rumowisko, zanim zrobi się późno. Na szczęście na ostatnim odcinku, jakieś 200 metrów przed końcem grani, utworzyła się wyrwa, dzięki czemu dziewczyny spowolniły, a ja spokojnie mogłam rozstawić sprzęt.
Cholera by mnie wzięła, gdyby nie udało nam się w pełnej synchronizacji nakręcić materiału w tej przepięknej scenerii. Ale udało się i to nasze największe osiągnięcie.

Tak właśnie było. Wiele osób było do Marie i Dyanny sceptycznie nastawionych – nie wierzyli, że te dwie dziewczyny będą mogły stać się częścią ekspedycji, wspiąć się na wysokość 5800 metrów i cały czas nagrywać dźwięk i obraz w pełnej synchronizacji z nami. Ich sukces utwierdził mnie w przekonaniu, że wspinaczka górska nie jest domeną wyłącznie doświadczonych sportowców – może cieszyć się nią każdy, kto ma tylko na to ochotę.

Joan wylizała się ze swojego zapalenia płuc oraz opłucnej i powoli się aklimatyzowała. Nie miała co prawda tyle sił, żeby wspinać się na sam szczyt, ale pracowicie nosiła toboły do obozu I i II, pomagała w niższych obozach i robiła, co w jej mocy, żeby usprawnić wspinaczkę.

Christy również odniosła duży sukces. Ciężko było uwierzyć, że obecna Christy i Christy zrzędząca podczas marszu w upale na początku ekspedycji to ta sama osoba. Tutaj, na górze, w śniegu, była odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu. Oczy jej błyszczały, a policzki były zaróżowione. Nie wiem, jak to się stało, zważywszy na to, że większość życia spędziła na równinach w Kansas i Iowa, ale odkryła w sobie zamiłowanie do wysokości. Raptem cztery lata temu pierwszy raz znalazła się w górach, a teraz proszę – Annapurna, 5800 metrów wysokości, a ona przeszczęśliwa.

Joan, która właśnie skończyła 50 lat, i Christy – 38 lat – były żywym dowodem na to, że wiek nie ma znaczenia. Od wielu kobiet słyszałam, że czują się za stare na to, żeby zabierać się za tak wyczerpujące aktywności jak wspinaczka. Wydawało im się pewnie, że wspinaczka górska jest jak sporty oparte na rywalizacji, jak pływanie czy gimnastyka, w których najlepsi zawodnicy mają po kilkanaście lat. Tymczasem jednym i drugim mogą zajmować się kobiety w każdym niemal wieku – o ile nie dadzą się zastraszyć obsesji mediów na punkcie młodości.

Wspinaczką i chodzeniem po górach również można się cieszyć w każdym wieku. Mazamas, klub wspinaczkowy w Portland, sponsorował popularne wycieczki na Mount Hood w Oregonie, organizowane dla ludzi powyżej 60. roku życia. Wspinający się lubią aktywne życie i mają więcej wigoru.

Wszystkie dziewczyny dostosowały się do dużej wysokości na Annapurnie – zarówno fizycznie, jak i psychicznie. To samo w sobie było dużym osiągnięciem i znowu zaczęłam myśleć o tym, dlaczego nie daje się szans kobietom na wspinaczkę na najwyższe góry. Jasne było, że powodem braku kobiet na ekspedycjach były czynniki psychologiczne, nie fizyczne. Cechy pożądane u mężczyzn – takie jak asertywność, niezależność, ambicja i rywalizacja – wciąż

nie są pożądane u kobiet. Mimo to alpiniści odnoszący największe sukcesy, zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej, posiadają te cechy.

Należy rozwijać również nasze zdolności przywódcze. Mnie na przykład bardzo ciężko było zrobić coś wbrew mojemu wychowaniu, które nauczyło mnie, że trzeba być osobą ciepłą, kojącą i lubianą. Mimo to zostałam liderką. Dopóki nie będzie pewnych siebie liderek, dopóty kobiety będą musiały polegać na męskich zaproszeniach na ekspedycje – a te niestety zdarzają się rzadko. Więc podstawą jest wiara w siebie i inne kobiety.

To, co już osiągnęłyśmy na Annapurnie jako jednostki i zespół, było powodem do dumy. Przypomniałam sobie, co powiedziała Liz przy śniadaniu pierwszego poranka po ceremonii z flagami:

– Według mnie ta ekspedycja już jest sukcesem – nawet jeżeli nie wdrapiemy się ani o metr wyżej.

Po zostawieniu bagaży w obozie IIIa alpinistki zsuwają się na dół pomiędzy ogromnymi soplami (z archiwum Autorki).

Najwyższe obozy
9–13 października

Margi i ja wyruszyłyśmy do obozu III wcześnie rano i w dosyć dobrych nastrojach. Kiedy tam dotrzemy – myślałyśmy – przynajmniej znajdziemy się poza zasięgiem lawin. Idąc, bałyśmy się jednak – cały czas oczekując, kiedy uderzy w nas kolejna lawina. Miałyśmy wątpliwości, czy to dobry dzień na ostatnią wycieczkę do obozu III. Nie chciałam iść bez niej, a ona beze mnie. Obie traciłyśmy chęci na wspinanie się wyżej, ale po tym wszystkim musiałyśmy zacisnąć zęby. W ciągu następnych sześciu dni ktoś pewnie wejdzie na szczyt.

Zdecydowałyśmy się założyć raki i uprzęże przed przejściem przez teren zagrożony lawiną, żeby skrócić czas, który musiałybyśmy spędzić w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się kryjówka. Kiedy szarpałam się z paskami na rakach, zastanawiałam się, czy zatrzymanie się tutaj na kilka minut sprawi, że lawina mnie ominie, ratując mi tym samym życie. A może spowolni marsz na tyle, że lawina trafi akurat we mnie? A może też nie zrobi żadnej różnicy? Dziwne uczucie – zdałam sobie sprawę, że podczas tego prostego spaceru na odcinku jakichś 800 metrów mogę umrzeć. Dziesięć procent szans? Jeden procent? Któż to wie? Lawiny schodziły tu codziennie.

Żołądek miałam wielkości pięści, a kiedy Margi ruszyła przede mną, przyznała, że mdli ją z nerwów. Mimo to ruszyła

zdecydowanie w kierunku Żebra. Zapinałam ciągle paski raków, a kiedy uporałam się z tym, zobaczyłam ogromną lawinę schodzącą Torem Bobslejowym, pieniącą się i wylewającą poza krawędzie żlebu.

– Lawina! – krzyknęłam. – Uciekaj, Margi! Lawina!

Jednak nie było czasu na ucieczkę. Margi mogła tylko nieznacznie zejść ze szlaku, mocując czekan głęboko w śniegu. Lawina zatrzymała się tuż nad nami i nagle się rozjaśniło. Obydwie drżałyśmy, nie wiedząc, czy iść na górę, czy w dół.

– Jeżeli pójdę dalej, pójdziesz ze mną? – wrzasnęła do mnie Margi.

Bez wahania odparłam:

– Idę dziś na górę, choćby nie wiem co.

Kiedy to mówiłam, poczułam nagle silny zew ze świata żywych, wzywający mnie do zejścia na dół. Jednak musiałam skoncentrować się na wyborze grupy atakującej szczyt i logistyce. Zmusiłam się, żeby przejść przez zagrożony teren.

– Jeżeli idziesz, to ja też idę – powiedziała zdecydowanie Margi, ale nie wyglądała na szczęśliwą.

Kiedy przedzierałyśmy się przez rumowisko ostatniej lawiny, bolał mnie brzuch i trzęsły mi się kolana. Powtarzałam sobie, że przechodzę tędy pod górę po raz ostatni – droga w dół będzie znacznie szybsza. Jeżeli tym razem mi się uda, prawdopodobnie przeżyję. Kiedy przechodziłyśmy, nie spadła żadna lawina. Jednak pięć minut później, kiedy tylko dotarłyśmy w bezpieczne miejsce pod ścianą skalną około 100 metrów dalej, kolejna duża lawina spadła tuż poniżej nas. Ledwie nam się udało – wstrzeliłyśmy się w krótkie okienko pomiędzy dwiema lawinami.

Teraz, kiedy już byłyśmy bezpieczne, wspinałyśmy się powoli, kręcąc film i robiąc zdjęcia. Dotarłyśmy do obozu IIIa, kiedy Vera

W. i Alison podawały obiad na słoneczku. W październiku na północnych stokach Himalajów jest bardzo zimno. Z większości obozów słońce było widać tylko pomiędzy godziną dziesiątą rano a drugą po południu. Obóz IIIa natomiast mieścił się na wysuniętym tarasie – dostawał najwięcej słońca i był najprzyjemniejszym obozowiskiem na północnej stronie Annapurny.

Nad obozem IIIa ścieżka wiodła przez 20 metrów po stromym lodzie po lewej stronie ogromnej szczeliny lodowej, po czym przez 150 metrów przez głęboki śnieg, skąd wchodziło się na grań o bardzo ostrej krawędzi. Grań ta zakręcała w górę na odcinku około półtora kilometra, wijąc się teraz niczym skręcony smoczy ogon, i rozszerzała przed miejscem, gdzie stał obóz III. Tuż nad obozem znajdował się wysoki na 150 metrów lodowy występ, stanowiący wyraźną granicę pomiędzy końcem Holenderskiego Żebra a początkiem wyższej partii góry.

Ponad lodowym występem miałyśmy wejść na wzgórze o niewielkim nachyleniu – w praktyce taras – i dalej kluczyć pomiędzy szczelinami i serakami, które znajdowały się na całej drodze do obozów IV i V. Droga biegła równolegle do zagięcia Sierpa – ogromnej ściany kamieni i lodu, z wiszącym lodowcem ciągnącym się od 7000 do 7600 metrów. Lodowiec zdecydowanie dominował nad wyższą częścią góry, zostawiając zaledwie kilkaset metrów wolnej od lodu przestrzeni po lewej stronie. Droga była podobna do tej, którą w zeszłym roku wspinali się Holendrzy, a tuż pod obozem V miałyśmy przeciąć ścieżkę, którą szedł Herzog z francuską ekspedycją w 1950 roku.

Jeżeli chodzi o technikę, wspinaczka w wyższych partiach góry była łatwiejsza niż na Holenderskim Żebrze, ale śnieg aż po uda, na który na tarasie natrafiły Irene, Annie i Vera K., nieco mnie

zaniepokoił. Jeżeli od 6400 metrów do szczytu będziemy cały czas musiały brnąć przez taki śnieg, może nam się nie udać. Jednak śnieg z każdym dniem robił się coraz twardszy, a teren nad obozem V wyglądał na „prościuteńki" – aż do krawędzi ostatniego kamiennego podejścia na szczyt.

Zapytałam Alison, czy wspinaczka na grani jest bardzo trudna.

– Teraz nie jest tak źle – odparła. – Ale kiedy prowadziłam, śnieg wydawał się być bez dna, to było okropne. Jednak w ciągu nocy stwardniał, więc droga przypomina teraz chodnik.

– Chodnik? – niedowierzałam.

– No, bardzo wąski chodnik, z kilkusetmetrową przepaścią po każdej stronie.

Kiedy wspinałam się na kolejnym podejściu przez kruchy, niemal stromy lód wysoki na 30 metrów, nie widziałam żadnego podobieństwa do chodnika. Ja przynajmniej mogłam się podciągnąć na poręczówce – kiedy Liz wcześniej tędy prowadziła, nie miała takiej możliwości. Po raz kolejny byłam pod wrażeniem jej umiejętności wspinaczki po stromym lodzie i pożałowałam, że musiała wcześniej wracać.

Ostrożnie umieściłam stopy w niewielkim wyżłobieniu za targaną wiatrem granią. Szczególną ostrożność zachowałam, kiedy doszłam do miejsca, z którego wczoraj spadła Annie. Zawisła na poręczówce, ale ciężko jej było wejść z powrotem. W niektórych miejscach grań robiła się trochę szersza, a wtedy odważyłam się rozejrzeć dookoła i popatrzeć na rozciągający się przede mną niesamowity widok. Wokół nas wznosiły się szczyty Wielkiej Bariery. Gdybyśmy znajdowały się odrobinę wyżej, być może mogłabym zobaczyć brązowawe wzgórza Tybetu, o których marzyłam od lat. W 1976 roku na Everešcie dotarłam na wysokość 7460 metrów – tylko kilka godzin drogi od Przełęczy Południowej,

z której widok wynagrodziłby mi wszystko. Miałam wtedy nadzieję, że wejdziemy na tyle wysoko, żeby ujrzeć Tybet. To się stało moim najważniejszym celem – ważniejszym niż wejście na szczyt.

Kiedy dotarłyśmy do obozu III, było cholernie zimno, a wiatr wył niemiłosiernie. Grań poszerzyła się na tyle, że było na niej miejsce na trzy namioty, każdy o wymiarach dwa na trzy metry. Były przypięte zaledwie o kilkanaście centymetrów od przepaści. Z zewnątrz wyglądały ciepło i przytulnie, ale od środka sprawa przedstawiała się zgoła inaczej. Kiedy wczołgałam się do jednego z nich, żeby uciec przed zimnem i wiatrem, znalazłam dwóch Szerpów wylegujących się pośród walającego się wszędzie sprzętu tudzież klusek i potrawki z wołowiny, które były kompletnie przymarznięte do podłogi namiotu.

– Namaste, Mingma, Chewang. Znajdzie się gdzieś miejsce dla mnie i Margi?

– Nie ma wolnych namiotów. Musicie spać z Szerpami – Mingma uśmiechnął się znacząco. Po dłuższych pertraktacjach Szerpowie zgodzili się przenieść do innego namiotu, a w pozostałych dwóch mogło zamieszkać sześć kobiet.

Cała nasza szóstka stłoczyła się teraz w jednym z namiotów na kolację. Ciągłe zamrażanie i topnienie sprawiło, że podłoże stało się tak wyboiste, iż trudno było znaleźć miejsce, gdzie można by postawić maszynkę, więc usiadłam przy wejściu do namiotu, ustawiając palnik z gotującym się na nim garnkiem sobie na kolanach. Pochylałam się od czasu do czasu, żeby nabrać śniegu do roztopienia. Moje stopy, uwięzione w ciężkich butach, były przemarznięte, a w namiocie było za ciasno, żebym mogła zdjąć buty. Usiłowałam właśnie zdjąć z ognia miskę makaronu z serem i zjeść go, zanim zamarznie, kiedy Vera K. i Annie zapytały mnie

o szczegóły planu wejścia na Annapurnę. O mało się nie udławiłam. W tym momencie w nosie miałam plany logistyczne, ale obiecałam im, że porozmawiamy rano.

Kiedy w końcu wyszłam z tego przeklętego namiotu i już miałam wczołgać się do tego, który dzieliłam z Verą W., zaczaił się na mnie Ang Pemba i zaprosił do siebie.

– Klusek, bara memsahib?

– Snu!

– Proszę, wejdź.

Niechętnie weszłam do namiotu Szerpów. Okazało się, że oni też chcą znać szczegóły planu wspinaczki na szczyt, ale ja mogłam jedynie powtórzyć ogólny zarys planu, o którym już zresztą wcześniej opowiedziałam.

– W pierwszej grupie będą trzy memsahiby, w drugiej dwóch Szerpów i być może cztery memsahiby – wymyśliłam lepszy sposób, żeby Szerpom również dać szansę.

– Nie, bara memsahib. To bardzo ważne mieć Szerpów w pierwszej grupie. Najlepiej będzie dwóch Szerpów, dwie wspinaczki.

Po raz kolejny wytłumaczyłam im, że z racji tego, iż jest to kobieca ekspedycja, bardzo chcemy, żeby w pierwszej grupie na szczyt były same kobiety. Kiedy jednak wyczołgałam się z ich namiotu w ciemną noc, Szerpowie wciąż nie wyglądali na przekonanych.

Następnego ranka, kiedy Szerpowie, Vera K., Annie, Alison i Vera W. nieśli bagaże do obozu IV, ja i Margi zostałyśmy w trójce, usiłując uprzątnąć trochę cały bałagan. Po wykopaniu kilku bagaży przysypanych śniegiem i wyrównaniu terenu pod namiotem przyszła pora na topienie wody do gotowania i picia. Usiadłam na krawędzi grani, a moje stopy zwisały sobie nad przepaścią

głęboką na trzysta metrów. Topiłam śnieg i lód w garnkach oraz napawałam się pięknym widokiem Dhaulagiri.

Te niezbyt wymagające zajęcia sprawiły, że mogłam spokojnie rozmyślać o szczegółach ataku. Kiedy Margi przyszła, żeby zrobić lemoniadę, byłam gotowa na przedyskutowanie z nią moich pomysłów.

– Myślę, że za trzy dni będziemy gotowe na atak na szczyt. Ale ktoś musi rozbić obóz V, a ten, kto to zrobi, może być zbyt zmęczony, żeby wchodzić na szczyt.

Obóz V miał być najwyższym obozem i znajdować na wysokości 7600 metrów. Na tej wysokości jest o połowę mniej tlenu niż na poziomie morza, a każdy wysiłek może spowodować pogorszenie się stanu zdrowia. Tu już nie ma mowy o aklimatyzacji – im dłużej ktoś znajduje się na tej wysokości, tym mniej będzie miał sił.

– Jak myślisz, jak to przyjmą dziewczyny, kiedy poproszę, by któraś rozbiła obóz V, jednocześnie pozbawiając się w praktyce szans wejścia na szczyt?

– Ja mogłabym spróbować – zaoferowała Margi. – Rozbicie obozu na tej wysokości byłoby dla mnie naprawdę dużym osiągnięciem. A jeżeli przypadkiem starczy mi sił, będę mogła pójść z drugą grupą.

Byłam bardzo zadowolona, że Margi się zgłosiła. Miała dwadzieścia jeden lat i jeżeli teraz wejdzie na wysokość 7600 metrów, na pewno będzie zapraszana na inne wyprawy wysokogórskie.

Kiedy tak rozmawiałyśmy, do obozu ze skwaszoną miną wrócił Mingma.

– Szerpom nie smakuje jedzenie. Niedobre jedzenie – oświadczył.

– Co jest nie tak z jedzeniem? – spytała Margi.

– Nie chcemy jedzenia, które przyrządzają memsahib. Chcemy więcej chilli i klusek – powiedział, po czym ze złością odmaszerował do namiotu Szerpów.

– Myślisz, że Szerpowie znów zorganizują strajk? Tym razem przez kluski? – spytałam Margi.

Zachichotała.

– Nie wiem – powiedziała. – Pewnie dałybyśmy radę wspinać się dalej bez nich. Ale chcę już bardzo wspiąć się najszybciej, jak się da, i uciec stąd w cholerę. Byłe dalej od tych przeklętych lawin.

Nie musiała mnie przekonywać.

O 15.30 z bagażami z obozu II przyszły Joan i Christy. Na razie obóz III był ich wysokościowym rekordem – były zachwycone, że tu są. Christy była jednak spięta cały dzień. Później w dzienniku napisała:

Podczas naszego ślimaczenia się przez teren zagrożony lawinami stres wypompował ze mnie całą energię. Byłam gotowa na śmierć, ale nie na umieranie pod lawiną. Wiedziałam już, jak to jest, jak spadnie na ciebie lawina – panika, zimno i ból. Walczyłam z lękiem, usiłując myśleć o czymś innym – miłości, uściskach i pocałunkach. Podziałało.

Teraz, kiedy obie już znalazły się bezpiecznie w obozie, Christy wprost tryskała energią.

– Co za dzień! To była najcięższa wspinaczka na tej wyprawie. Pierwszy raz miałam na sobie raki przez cały dzień. Moje pierwsze wejście powyżej 6400 metrów! Kawał drogi od Kansas City...

Bardzo ciepło przywitałam się z Joan – obydwie chciałyśmy puścić nasze wcześniejsze nieporozumienia w niepamięć. Ona zaakceptowała moje przywództwo, a ja autentycznie podziwiałam jej niezwykłą wytrwałość. Odkąd Joan wyzdrowiała, bardzo

sumiennie ćwiczyła i teraz miała wystarczająco dużo sił na bardzo wymagające oraz trudne noszenie bagaży z obozu II do III.

Po krótkim odpoczynku Joan i Christy ruszyły z powrotem na dół. O godzinie 18 nawiązałyśmy połączenie radiowe, a ja obwieściłam coś, na co czekali wszyscy – imiona tych, którzy wejdą na szczyt.

ARLENE (OBÓZ III): W pierwszej grupie pójdą Irene, Vera K. i Piro. W drugiej Margi, Annie, Alison i Vera W., asekurowane przez Chewanga i Mingmę – jeżeli będą czuć się na siłach.

– Margi – mówiłam dalej – zgłosiła się do rozbijania obozu V. Jutro ona, Mingma i Lakpa pójdą do obozu IV, a Irene i Piro przyjdą do „trójki" z obozu II, dołączając do Very K. Następnego dnia Margi razem z dwoma Szerpami rozbiją obóz V najwyżej, jak tylko zdołają, a trzy dziewczyny z pierwszej grupy przeniosą się do obozu IV. Potem Irene, Vera K. i Piro przejdą do obozu V i ruszą na szczyt, a Margi i Szerpowie wrócą do „trójki", żeby odpocząć i poczekać na drugie podejście.

Plan spotkał się z aprobatą – każdy, kto miał ochotę, mógł spróbować wejść na szczyt. Vera K. przypomniała mi, że Szerpowie ostatnio byli bardzo pomocni przy wnoszeniu tobołów i prowadzeniu, w związku z czym również chcieli iść z pierwszą grupą.

– Jeżeli pogoda nie dopisze, nie wykluczam konieczności wysłania jednego Szerpy z pierwszą grupą – powiedziałam jej. – Byłoby jednak lepiej, gdyby były w niej same kobiety.

– Poza tym – ciągnęłam – Chewang i Ang słabo się czują. Jeżeli czterech Szerpów nie zaniesie bagaży do obozu V, dla drugiej grupy nie starczy tlenu.

Przez całą noc wył wiatr, grożąc zmieceniem nas wszystkich z Żebra. W obozie III nikt nie spał zbyt dobrze. Obudziłam się

o godzinie 3 w nocy za potrzebą. Myśl o opuszczeniu ciepłego śpiwora, by wyjść na ten mróz, była piekłem. Usiłując opóźnić ten moment, leżałam, wsłuchując się w trzęsący namiotem wiatr z nadzieją, że haki wytrzymają. Godzinę później nie mogłam już czekać. Ostrożnie wyślizgnęłam się z namiotu, bojąc się, że jeżeli ruszę zbyt energicznie, spadnę w przepaść. Spojrzałam na rozgwieżdżone niebo i zrobiłam, co trzeba, mocno trzymając się poręczówki, po czym z ulgą wróciłam do ciepłego śpiwora.

Rano miałam przekrwione oczy, a na języku nalot. W ustach czułam suchość i czułam się, jakby ktoś rozłupał mi siekierą czaszkę. Zastanawiałam się, czy to wszystko z powodu nieodpowiedniej diety, stresu czy nieprzystosowania do wysokości. Miałam nadzieję, że nie jest to zapowiedź niczego poważnego.

Vera Watson również nie czuła się najlepiej. Dzień wcześniej szła zbyt wolno i nie dotarła z bagażem do obozu IV. Gdy pokonała już dwie trzecie drogi, spotkała Annie, Verę K. i Alison, które schodziły na dół. Zbliżał się zmierzch, więc dziewczyny, nie bez trudności, przekonały ją, żeby zostawiła bagaż i wróciła z nimi do obozu III. Vera W. była silna, ale niezadowolona ze swojego tempa. Zaproponowałam jej, żeby poszła do obozu II, odpoczęła i ruszyła z drugą grupą, ale uparła się, żeby zostać w „trójce". Z Chewangiem i Angiem również nie było dobrze – Ang powiedział, że cierpi na chorobę wysokościową, i zszedł do bazy. Chewang natomiast wziął wolny dzień, żeby odpocząć.

Margi, Mingma i Lakpa dziś mieli wyruszyć do obozu IV, a następnego dnia rozbić obóz V. Wstałam wcześnie, żeby spakować bagaże, ale przez fruwający w powietrzu śnieg i odłamki lodu prawie nic nie widziałam. Kiedy trójka wspinaczy zaczęła zapinać raki i byli gotowi do wyjścia, wiatr wiał z siłą huraganu. Śnieg

walił w nas z taką mocą, że nie byliśmy w stanie na dłuższą chwilę otworzyć oczu.

– Nie możemy się dziś wspinać, memsahib. Za duży wiatr. Za dużo śniegu. Bardzo zły dzień – obwieścili Mingma z Lakpą.

Stado gęsi krążących na niebie, nad wierzchołkiem Annapurny, lecących z Tybetu do Indii (fot. Arlene Blum).

Vera W. wspina się na stromą ścianę lodu, by rozbić obóz IIIa – tymczasowy przystanek na trudnej trasie do stałego obozu III (fot. Vera Kormakova).

Piro na krawędzi Żebra (fot. Irene Miller).

Alpinistki dochodzą do miejsca na obóz III (fot. Arlene Blum).

Piro i Irene w drodze do obozu IV (fot. Arlene Blum).

Margi usiłowała ich zmotywować do działania:

– No, chłopaki, chodźcie, chociaż spróbujmy. Może wyżej wiatr trochę zelżeje. Jestem cała nabuzowana i chcę iść.

– Nie, memsahib. Zły dzień. Szerpowie odpoczną. Jutro będziemy się wspinać.

Rozczarowane wpełzłyśmy z powrotem do namiotu i zaczęłyśmy przygotowywać śniadanie.

– Gdybyśmy tylko nie musiały polegać na tych cholernych Szerpach, mogłybyśmy pójść dziś i wreszcie mieć to z głowy – powiedziała Alison.

– Wiem – odparła Margi. – Gdyby ta góra nie była tak wysoka, poradziłybyśmy sobie bez nich. Sześciu Japończyków samodzielnie wspięło się właśnie na Nilgiri. Wolałabym, żebyśmy były same.

Usiadłam, żeby po raz kolejny powtórzyć sobie logistykę. Będziemy mogły spróbować wejść na szczyt 15 października, ale wtedy nie starczy tlenu dla drugiej grupy. Kiedy tak rozmyślałam, śniadanie zostało podane – trwało do południa. Były truskawki, smażone ziemniaki, bekon, płatki, batoniki i salami. Na niższej wysokości bardzo by mi smakowało, ale tutaj musiałam się zmuszać do jedzenia.

– Dzień odpoczynku bardzo wam się przyda – usiłowałam pocieszyć Margi. – Ty i Szerpowie najecie się trochę i odpoczniecie przed jutrzejszym wyjściem.

Jednak kiedy maszynka została wyłączona, wsłuchałam się w wiatr walący o namiot i zaczęłam się martwić. Czasu dobrej pogody, między końcem pory monsunowej a początkiem gwałtownych zamieci śnieżnych, było coraz mniej. Nawet w słońcu czuło się, że dni są coraz chłodniejsze, a na szczytach coraz gwałtowniej hulały zimne wiatry. Czy się spóźniłyśmy? Czy wiatr w końcu ustanie, czy też będzie wiał dzień po dniu?

Nagle usłyszałam nowy dźwięk – odległy niski pomruk ponad naszymi głowami. Margi, Vera W. i Alison wystawiły głowy z namiotów, żeby sprawdzić, co się dzieje, i oczywiście wszyscy zaczęli mówić naraz.

– Co to było?

– Spójrz do góry. Widzisz te czarne kropki nad szczytami? Co to takiego?

– To gęsi. Migrujące gęsi.

– Co one tu robią?

– Chyba lecą z Tybetu do Indii. Też sobie trasę wybrały!

Te gęsi były pierwszymi zwierzętami, które widziałyśmy od tygodni. Zaczęłyśmy się zastanawiać. Nie rozumiałam, dlaczego zdecydowały się lecieć ponad szczytami najwyższych gór świata. Dlaczego nie wybrały prostszej drogi przez niziny i doliny – tam, gdzie miały łatwy dostęp do jedzenia i wody? Uwięzione na maleńkim kawałeczku lodu spoglądałyśmy na lecące ptaki z zazdrością. Za kilka dni znajdą się na upalnych indyjskich nizinach.

Przez cały następny dzień wiatr nie odpuścił, ale Margi, Mingma oraz Chewang i tak poszli do obozu IV, a do obozu III przyszły Irene i Piro. Piro była radosna, ale Irene wyglądała na zmęczoną – poza tym jakby się trochę skurczyła. Tak wątłej jej jeszcze nie widziałam. Nie było to niczym dziwnym – w ciągu ostatnich dziesięciu dni wzięła sobie tylko jeden dzień na odpoczynek. Po ciężkiej pracy, którą wykonała, prowadząc po lodowym występie wraz z Piro, poszła prosto do obozu bazowego, żeby przywitać grupę naszych fanów, którzy tam akurat dotarli w ramach trekkingu po podnóżach Annapurny. Potem przyszła prosto do obozu III.

Pierwsza grupa mająca atakować szczyt była w komplecie i nie mogła się doczekać hasła do wspinaczki. Następnego ranka, 13 października, Piro, Irene i Vera K. wyruszyły do obozu IV –

oznaczało to początek ostatniej fazy wspinaczki. Postanowiłam odprowadzić je kawałek, żeby pożegnać się z nimi i, jeżeli mi szczęście dopisze, popatrzeć na brązowawe wzgórza Tybetu.

Tuż nad obozem trafiłyśmy na pękniętą na pół i wysoką na 150 metrów ścianę lodu, na której Piro i Irene wytyczały ścieżkę tuż po burzy. Nie wykuły schodów i wspinaczka w tym miejscu wymagała zwiększonej koncentracji. Powyżej zobaczyłam śnieg zsypujący się z lodowego występu. Podciągnęłam się jeszcze kawałek i wdrapałam na niewielki taras, delikatnie wcinający się w zbocze. Wiatr zwiewał z niego lodowy pył. Następne 100 metrów było zdradzieckie – nie było poręczówki, a ścieżkę wytyczały pojedyncze wbite w ziemię kijki. Kiedy usiadłam na krawędzi tarasu, niechętnie odpięłam poręczówkę i zaczęłam wędrówkę przez tnący śnieg. Vera K. jednak stanowczo maszerowała. Powlokłam się za nią.

Wiatr był coraz gorszy, a śnieg ciął w twarz i zasypywał kijki. Skupiłam się na poruszaniu drętwiejącymi z zimna palcami stóp i rozmyślaniach o Fredzie Awersie – profesorze chemii w Reed College i jednym z moich pierwszych mentorów wspinaczkowych. Fred dokonał wielu pierwszych wejść w kanadyjskiej części Gór Skalistych i w peruwiańskich Andach, mając na sobie zwykłe wojskowe buciory.

– Chodzi o to, żeby przy każdym kroku ruszać palcami u stóp – powiedział mi kiedyś. Było tak zimno, że jego rada przydała mi się nawet pomimo tego, że miałam na sobie ciężkie buty i ocieplacze.

– Miś przelazł przez górę, raz, dwa, trzy, przez lasy ponure, raz, dwa, trzy... – recytowałam zapamiętaną z dzieciństwa wyliczankę niczym mantrę i na każde „trzy" energicznie poruszałam palcami stóp. Szłam powoli do przodu pod wiatr. Wzgórze robiło się coraz bardziej strome i śliskie – od czasu do czasu ześlizgiwałam się o jakiś

metr w dół – czułam wtedy zastrzyk adrenaliny, zatrzymując się w ostatniej chwili przed przepaścią. Usiłowałam nie myśleć o lawinach. Jeżeli teraz spadłaby jedna z nich, natychmiast zmiotłaby mnie z tarasu.

W końcu, kiedy dotarłyśmy do kolejnych poręczówek, tam, gdzie wzgórze robiło się jeszcze bardziej strome, poczułam się bezpieczna. Usiadłam, żeby zaczekać na Piro i Irene, które ciągle walczyły z zawieruchą.

– Dalej nie idę – powiedziałam im. – Robi się późno, a ja nie chcę się tu plątać sama bez żadnej liny.

– Tak, ten wiatr może człowieka wykończyć – Irene straciła trochę zapału po zaciekłej walce z żywiołem. Westchnęła głęboko i dodała:

– Na wypadek, gdybym miała nie wrócić, zostawiłam w obozie II kilka listów do przyjaciół. Czy mogłabyś postarać się, by do nich dotarły?

– Och, Irene, wszystko będzie dobrze. Ale jeśli coś się stanie, to oczywiście, wyślę je.

Kiedy Piro złapała za poręczówkę, zaproponowałam Irene trochę musu czekoladowego i próbowałam powiedzieć jej jeszcze coś krzepiącego:

– Świetnie ci jak dotąd idzie. Na górze będzie pięknie. Wygląda na to, że jeżeli nawet będziecie musiały wracać w ciemnościach, to przy pełni księżyca. Myślę, że przez następne kilka dni pogoda będzie niezła.

Irene jednak była niepocieszona. Właściwie to wyglądała tak, jakby chciała się znaleźć gdziekolwiek indziej. Wtedy wcale jej nie zazdrościłam, że została przydzielona do pierwszej grupy.

– Słuchaj, Irene, jeżeli ten wiatr i śnieg nie ustąpią, możesz wziąć ze sobą na szczyt jednego Szerpę. Ostatnio byli bardzo pomocni, zasługują na to.

Na jej twarzy pojawił się teraz jakby cień nadziei i odparła:

– To dobry pomysł. Ale nie weźmiemy ze sobą Szerpy dopóty, dopóki nie uznamy, że jest nam absolutnie niezbędny.

Po czym przypięła się do liny i powoli zaczęła iść pod górę, przygnieciona ciężarem bagażu na ramionach.

Odwróciłam się i rozpoczęłam drogę z powrotem do obozu III. Zdałam sobie sprawę z tego, że na Annapurnie wyżej już nie wejdę. Byłam na wysokości około 6700 metrów. Na wielu innych górach weszłam wyżej. Nie zobaczyłam tybetańskich wzgórz, ale to się w tej chwili nie liczyło. Najważniejsze było, by dziewczynom udało się wejść na szczyt. I żebyśmy wszystkie wróciły cało z tej wyprawy.

Stąpając w rakach przez śnieg, czułam się, jakbym szła po łożysku kulkowym. Wbijałam głęboko czekan, szłam dwa kroki w dół i wbijałam go w kolejnym miejscu. Kiedy marsz po tej śliskiej powierzchni mnie zdenerwował, poszłam w prawo i weszłam na rumowisko pozostałe po starej lawinie. Podłoże było tu bardziej stabilne, ale obawiałam się lawin. Potem nadciągnęła chmura i straciłam z oczu kijki. Żeby się uspokoić, zaczęłam myśleć o wspinaczce na kalifornijskie High Sierra – o ich rozgrzanym granicie i słońcu przyjemnie ogrzewającym ciało.

Szłam przez chmurę całkiem na ślepo, ale w końcu zauważyłam kijek oznaczający ścieżkę. Dotarłam do miejsca, w którym zaczynała się poręczówka, i z wielką ulgą się do niej podpięłam. Czułam się bezpieczniej – jeżeli teraz jakaś lawina miała plany wobec mnie, lina powinna mnie przytrzymać. Kiedy schodziłam na dół do obozu III, słońce schowało się za chmurami. Wkrótce zobaczyłam zarys obozowiska pomiędzy dwoma lodowymi zboczami.

Potem usłyszałam znajomy dźwięk gęgających gęsi przelatujących nad granią szczytu – na wysokości większej niż 7600 metrów.

W kilka dni przelecą nad wysokimi szczytami i dotrą prosto do celu. Jednak niektóre słabsze ptaki mogą nie przetrwać podróży. Znów zaczęłam się zastanawiać, dlaczego wybrały akurat tę trasę. Może dlatego, że nie było tu żadnych pokus, które odciągałyby je od celu podróży? Niezależnie jednak od powodu, wybrały trudniejszą drogę.

W pewnym sensie trochę je przypominałyśmy. W tym wysokim, odizolowanym świecie, gdzie jedynymi dźwiękami były wiatr i nasze głosy, jedynym widokiem błękitne niebo, białe szczyty i jaskrawe kolory naszych namiotów oraz kurtek, a jedyne doznania to zimno lodu oraz śniegu, ciepło słońca, śpiworów i maszynek benzynowych – dopiero tutaj miałyśmy szansę przystopować i przyjrzeć się z bliska sobie i naszym celom. Dlaczego tu jesteśmy? Oto jest pytanie. Odpowiedzi znajdowałyśmy bez trudu: by zwiedzić Azję, wspiąć się na górę, poznać własne ograniczenia, poznać siebie. To prawda, ale to nie wszystko. Dlaczego jakakolwiek kobieta chciałaby ryzykować życie, żeby stanąć na szczycie góry? Gęsi przed wyruszeniem na południe okrążyły szczyt. Czy kluczyły dla widoków? Dla zaszczytów? Uśmiechnęłam się do siebie i pomyślałam: „Założę się, że robią to, bo sprawia im to frajdę”.

Na szczyt
14–15 października

Śniło mi się, że chodziłam po chmurach otaczających najwyższe szczyty w Himalajach. Wskoczyłam na brzeg chmury, która płynęła w stronę szczytu Annapurny, ale minęła go z boku. Przeskoczyłam na następną, ale ta też przeleciała obok szczytu. Chmury płynęły po niebie, a ja przeskakiwałam z jednej na drugą, usiłując znaleźć taką, która wreszcie zabierze mnie tam, gdzie chciałam dotrzeć. Z dołu przyjaciele wołali do mnie: „Uważaj! Jeżeli się poślizgniesz, spadniesz na ziemię". Ta myśl nie przyszła mi do głowy dopóty, dopóki nie wypłynęła z ich ust – byłam całkowicie skupiona na skakaniu z chmury na chmurę, by wreszcie trafić na taką, dzięki której będę mogła sięgnąć szczytu. Jednak kiedy nasłuchiwałam głosów przyjaciół, moja koncentracja osłabła, a chmury zaczęły się rozrzedzać. Podłoże utkane z chmur robiło się coraz bardziej niebezpieczne. Zaczęłam się ślizgać i spadać. Obudziłam się. Następnego dnia dziewczyny miały wchodzić na szczyt. Wiał bardzo silny wiatr. Odkąd wróciłam do „trójki" po odprowadzeniu pierwszej grupy, wichura wcale nie osłabła. Namiot Szerpów był pusty – wszyscy byli w obozie IV albo w bazie. Zostałam sama. W końcu miałam dużo miejsca dla siebie, ale to poskutkowało między innymi tym, że w nocy było w namiocie zimniej i trudniej się spało. Chowałam się w jednym śpiworze, który przykryłam jeszcze jednym – miałam też na sobie

dwie wełniane czapki, szalik obwiązany na twarzy, dwa komplety wełnianej bielizny i sweter. Ciągle jednak dygotałam. Butelka z ciepłą wodą, którą włożyłam między śpiwory, rano była zamarznięta na lód. W namiocie temperatura była niższa niż –12 stopni Celsjusza, na zewnątrz było –29 stopni.

Skontaktował się ze mną obóz II – powiedzieli, że wiatr zerwał tropiki trzech namiotów. Tutaj, w obozie III, wiatr też całą noc szarpał namiotami. W obozie IV musiało być jeszcze gorzej. Usiłowałam się z nimi skontaktować, ale nikt nie odpowiadał. Może spali. Albo radio się zepsuło.

Nie tylko my mieliśmy problemy. Lopsang nawiązał kontakt z bazy. Powiedział, że słyszał wczorajsze wiadomości z Katmandu – z 26 ekspedycji wspinających się aktualnie w Nepalu, pięć się poddało i wróciło do domu. Lopsang chciał rozpocząć naszą ewakuację do bazy.

LOPSANG (OBÓZ BAZOWY): W całym Nepalu pełno lawin w tym roku. Większość ekspedycji jest skazana na porażkę. Powinniśmy wracać, kiedy tylko jedna alpinistka i jeden Szerpa wejdą na szczyt. Poślę do Choi po tragarzy – będą tu za tydzień. Bez odbioru.

W tym momencie z obozu IV stoczyła się Margi – wyglądała na wykończoną i nieszczęśliwą.

– Co się stało? – spytałam.

– Odmroziłam sobie stopy.

– O nie! Jak to się stało?

Powiedziała, że wczoraj wyruszyła z Mangmą i Chewangiem około godziny 10 rano. Na stromej ścianie lodu tuż nad obozem IV przez pół godziny nieruchomo siedziała na mrozie, zabezpieczając Chewanga, który wtedy prowadził. Kiedy szła za nim, zauważyła,

że jedna z jej stóp nie reaguje tak, jak powinna – kiedy usiłowała zamachać palcami, okazało się to niemożliwe.

– Wrzasnęłam do Szerpów: „Zawracam! Odmrożona stopa!". Pomachali do mnie: „Pa, pa, pani Margi, pa, pa!". Wróciłam do obozu, przygotowałam sobie dużą miskę gorącej wody i zdjęłam buty. Prawa stopa była biała i zamarznięta na kamień, od palców do podbicia. Kiedy woda była ciepła, włożyłam do niej stopę, żeby odtajała.

– Bardzo bolało? – zapytałam.

– Nie wiem – zastanowiła się przez chwilę. – Nawet nie pamiętam. Siedziałam sama cały dzień – Szerpowie nie przyszli. Powiedzieli, że rozbili jeden mały namiot na wysokości 7370 metrów i że nad miejscem, gdzie zabezpieczałam Mingmę, nie przymocowali żadnej poręczówki – to musi oznaczać, że na górze wspinaczka jest łatwiejsza.

– Wkrótce po tym – kontynuowała opowieść Margi – przyszła Vera K., a ja musiałam wrócić na mróz, żeby rozbić kolejny namiot. Wyrównanie podłoża było bardzo ciężką pracą. Irene i Piro dotarły o zmroku – kompletnie wykończone przez śnieg i wiatr.

Margi opowiedziała też o kłopotach z Szerpami w obozie IV:

– Irene powiedziała dziewczynom, że pozwoliłaś im wziąć ze sobą na szczyt jednego Szerpę. Ale żaden Szerpa nie chce iść sam – chcą iść razem. W końcu zdecydowali się przydzielić do grupy atakującej szczyt Chewanga i Mingmę, a także Lakpę do noszenia ciężarów.

– Co zrobili? – wykrzyknęłam z przerażeniem. Lopsang i Ang leżą chorzy w obozie bazowym, a Wangel nie ma dużego doświadczenia – nie było innych tak silnych Szerpów. – A co z drugą grupą? Nie zostanie im żaden Szerpa...

– Próbowałam im to wytłumaczyć – powiedziała Margi – ale wszyscy byli strasznie zmęczeni i chyba nie myśleli zbyt

przytomnie. Poza tym Szerpowie upierali się, że chcą iść z pierwszą grupą.

– O tak, to na pewno. Szerpowie od początku chcieli iść z pierwszą grupą. Ale co z drugą grupą?

– Nie wiem. Piro powiedziała, że ja w ogóle nie mogę iść, ponieważ zaryzykowałabym utratę palców u stóp. Przykro mi, że straciłam szansę, ale z drugiej strony czuję się jak Liz – ulżyło mi, ponieważ wiem, że na pewno wrócę stąd żywa. Ale – tu Margi jakby zawiesiła głos – jeżeli zrezygnuję, druga grupa będzie bardzo słaba.

– Wiem. Wangel będzie z nimi, ale on nie ma takiego doświadczenia jak inni Szerpowie.

– Może druga grupa w ogóle nie powinna iść? – zasugerowała Margi. – Vera W. ostatnio mocno spowolniła tempo, a ich podporą w najlepszym wypadku będą Wangel i Lakpa. Kto wie, czy Lakpie wystarczy sił po dwóch wycieczkach z bagażami do „piątki"?

– Rzeczywiście, nie brzmi to najlepiej – zgodziłam się – ale Vera W. i Alison bardzo chcą spróbować. Usiłowałam skontaktować się z pierwszą grupą, ale nikt nie odpowiada. Wiesz może, co się dzieje?

– O, to kompletny niewypał – powiedziała Margi. – Okazało się, że pierwsze radio, które wzięli ze sobą, w ogóle nie jest radiem, tylko trzema bateriami w pudełku do radia. Przyniosłam im jeszcze jedno, ale nie można się przez nie łączyć – odbiera tylko transmisje przychodzące.

– Wzięli to radio do piątki?

– Nie. Zostawili je, kiedy się zorientowali, że nie łączy.

– Cholera. To strasznie frustrujące – westchnęłam. – Chciałabym z nimi porozmawiać na temat zabierania Szerpów.

Problem z radiem był irytujący, ale nie palący dla wspinaczy idących z obozu IV do V. Prawdopodobnie skupienie się na celu bez

rozpraszających komunikatów z radia wyjdzie im nawet na dobre. No i oczywiście ekipa filmowa będzie ich obserwować z obozu I przez teleobiektyw – będą informować nas o ich postępach.

Annie wyszła z namiotu i przytuliła Margi.

– Cześć mała, dobrze cię widzieć. Jak tam twoje stopy?

– Annie, mogłabyś na nie spojrzeć? Nie mam czucia w palcach.

– Jasne, siadaj i zdejmij buty – Annie spojrzała na stopy Margi. – No tak, tu możesz nie mieć czucia. Polepszy ci się, jak będziesz je trzymać w cieple.

Annie zamyśliła się.

– Nie jestem przekonana – powiedziała – czy druga grupa powinna w ogóle iść na szczyt bez ciebie, Margi. Jeżeli Szerpowie nie zostaną na górze, w grupie będziemy tylko ja, Alison i Vera W. – to nie do końca grupa do zadań specjalnych.

– Masz rację. Został nam jeszcze kawał drogi, a na górze jest ciężej, niż ci się wydaje – powiedziała Margi. – Kiedy szliśmy przedwczoraj do czwórki, brałam dwa oddechy na każdy krok – po 20 krokach musiałam się zatrzymać, podeprzeć na czekanie i głęboko oddychać. Przez ważące pięć kilogramów buciory, raki i ocieplacze moje stopy były strasznie obciążone. A kiedy dotarliśmy do obozu IV, przepinając się z jednej liny na drugą, praktycznie leżałam twarzą w śniegu na czubkach raków.

– W obozie IV – mówiła dalej Margi – miałam spory problem z wysokością, tutaj mi trochę przeszło. Dziś rano byłam rozdrażniona i nie chciało mi się gotować. Chciałam tylko, by wszyscy wynieśli się z namiotu, żebym mogła się uspokoić. Niby to tylko 700 metrów różnicy, ale tutaj czuję się całkiem inaczej.

– W jakiej formie były dziewczyny dziś rano? – zapytałam.

– Cóż, nie tryskały energią. Właściwie to powiedziały nawet, że wolałyby wrócić, niż wspinać się do piątki. Nie wyglądały na kogoś, kto od dwóch lat planował tę wspinaczkę i oto znalazł się wreszcie pod szczytem. Ich podejście można by streścić tak: „Jak już wejdziemy na tę pieprzoną górę, przynajmniej będziemy mogły szybko wrócić".

Godzinę później Marie nawiązała z nami kontakt radiowy i powiedziała, że trzech Szerpów opuściło obóz IV około 10.30 rano. Dziewczyny wyruszyły chwilę po nich. Cała szóstka powoli przemieszczała się w stronę maleńkiego czerwonego namiotu przypiętego tuż pod szczytem – na wysokości 7320 metrów. Szerpowie dotarli tam po południu, a dziewczyny o zmierzchu. Ostatnia poruszała się bardzo wolno i dotarła tam dopiero po zmroku. Zastanawiałyśmy się, czy to Irene i czy wszystko z nią w porządku – bez radia nie mogłyśmy się jednak upewnić.

15 października

Dzięki Bogu, dzień, w którym pierwsza grupa miała wejść na szczyt, był spokojny.

O 7.30 rano Marie nawiązała z nami kontakt z obozu I i powiedziała, że czwórka wspinaczy właśnie wyruszyła. Wytrwale parli do przodu, a warunki wydawały się doskonałe. Czwórka – zastanawiałam się – kto się wyłamał i dlaczego? Czy to osoba, która jako ostatnia dowlokła się do piątki? Może teraz leżała chora w namiocie. Założyłam jednak, że jeżeli sprawa byłaby naprawdę poważna, reszta nie poszłaby na szczyt. Po raz kolejny zaczęłam przeklinać niemożność kontaktu, ale w końcu pogodziłam się z faktem, że grupa była zdana na własne siły. Dopiero następnego dnia mogłyśmy dowiedzieć się, kto wyruszył na szczyt.

W międzyczasie druga grupa atakująca szczyt – teraz bez Margi – koczowała w obozie III, czekając na swoją kolej. Vera W. i Alison chciały iść tuż po pierwszej grupie, nie ryzykując załamania pogody. Jednak Annie miała poważne wątpliwości.

Vera W. radośnie wpadła do namiotu:

– Cześć. Strasznie się cieszę, że dziś idziemy do obozu IV. Jesteś gotowa, Annie?

Annie odpowiedziała powoli:

– Myślałam o tym całą noc. Nie wiem, czy nasza grupa jest wystarczająco silna. Nie wydaje mi się, żeby to było bezpieczne.

– Co masz na myśli? – Vera W. wyglądała na zdruzgotaną niczym dziecko, któremu jego ulubioną zabawkę ktoś właśnie wdeptał w błoto.

– Przykro mi, ale nie wiem, czy w tych okolicznościach powinnyśmy iść – oznajmiła Annie cichym, lecz pewnym głosem.

Kiedy Vera W. oswajała się z tą informacją, do namiotu weszła Alison. Vera W. powiedziała żałośnie:

– Annie nie chce z nami iść.

Alison zrobiła zdziwioną minę:

– Nie bądź niemądra, Annie. Chodź z nami. Uda nam się, wiem, że nam się uda.

– Nie jestem niemądra, Alison. Myślałam o tym przez całą noc i omówiłam dziś rano tę sprawę z Arlene i Margi. Myślę, że ja dałabym radę, ale Vera W. nie porusza się zbyt szybko. A teraz, kiedy okazało się, że wszyscy Szerpowie idą z pierwszą grupą, po prostu nie wiem, czy będziemy miały odpowiednie zabezpieczenie.

– To nieprawda, Annie. Vera W. może i jest powolna, ale za to silna. Idzie z nami Wangel, który zostanie w piątce na wypadek komplikacji. Lakpa chyba też zostanie, żeby nam pomóc.

– Jeżeli Szerpowie rzeczywiście zostaną, może będzie bezpieczniej – powiedziała Annie. – Ale czy możecie mi obiecać, że jeżeli Szerpowie zdecydują się zawrócić, wy również to zrobicie?

– Nie możemy tego teraz obiecać – stanowczo odparła Alison. – Nie da się przewidzieć, co zrobimy, dopóty, dopóki nie wejdziemy na górę i nie przekonamy się, jakie panują tam warunki.

– Przykro mi – powtórzyła Annie. – Nie idę. Wydaje mi się, że jeżeli będę chciała zawrócić, wy będziecie zdeterminowane, żeby iść dalej. Nie chcę więcej ryzykować na tej wspinaczce. Pogoda może zmienić się za kilka godzin. A co wtedy stałoby się z nami?

W głębokim śniegu pod szczytem (fot. Vera Kormakowa).

Chewang, Irene i Mingma docierają na szczyt 15 października o godzinie 15.29. W okularach przeciwsłonecznych Mingmy odbija się robiąca zdjęcie Vera K. (fot. Vera Kormakova).

Chewang biegnie, usiłując ustalić, gdzie jest najwyższy punkt (fot. Vera Kormakova).

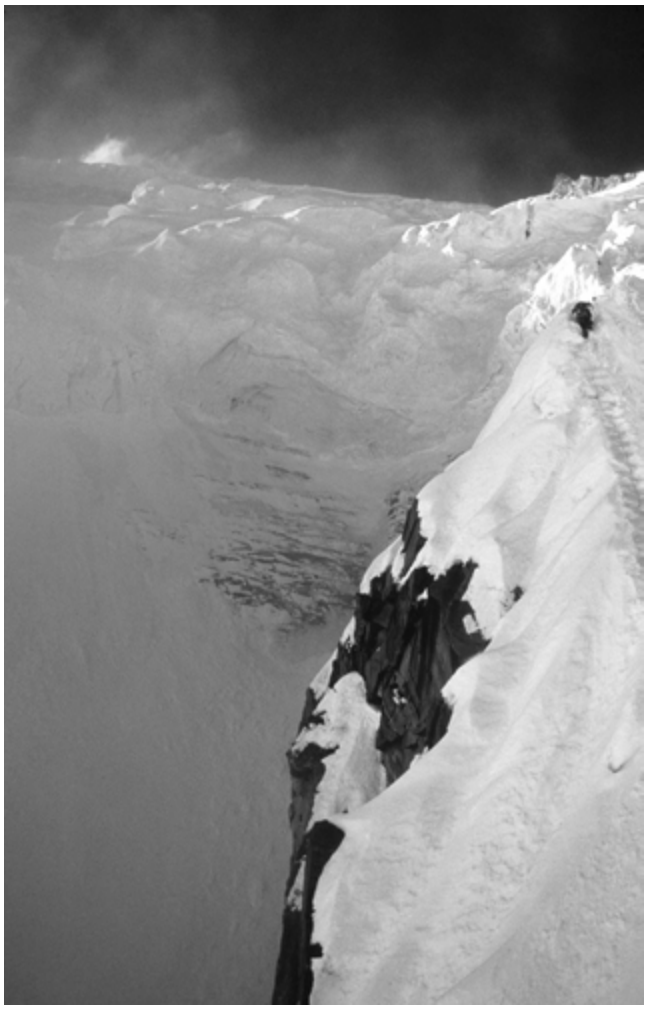

Zejście do obozu III (z archiwum Autorki).

– Kiedy zgodziłaś się wziąć udział w tej ekspedycji, zgodziłaś się również na podejmowane ryzyko. Ryzykowałaś życie za każdym razem, kiedy przechodziłaś przez lawinowe zbocze. Teraz niebezpieczeństwo wcale nie jest większe, a nagroda o ileż słodsza! Proszę, Annie, chodź z nami – naciskała Alison.

– Nie, to było co innego. Kiedy szłam przez to zbocze, myślałam sobie: „Pieprzę – jak zginę, to zginę". Musiałam to zrobić. Ale obecna decyzja zakładałaby dodatkowe ryzyko. Nie mogę jej podjąć z lekkim sercem. Nie wydaje mi się, żeby to było bezpieczne – nie będziemy miały tlenu ani wsparcia Szerpów.

– Szerpowie i tak nas za bardzo nie wspierają. Damy sobie radę same – Alison nie przestawała nalegać.

– To moja bardzo trudna decyzja, ale będę się jej trzymać – odpowiedziała twardo Annie.

Przysłuchiwałam się tej rozmowie z narastającą frustracją i w końcu się wtrąciłam:

– Alison, Annie sama musi o sobie decydować. Nie możesz nikogo namawiać do podjęcia takiego ryzyka. Ja też nie jestem zachwycona tym, że będziecie miały tak małe wsparcie – uważam, że jeśli Szerpowie zawrócą, powinnyście zrezygnować.

Jednak Alison była zdeterminowana:

– Jestem pewna, że damy sobie radę z Verą W. Pamiętajcie, że po to właśnie zorganizowałyśmy tę ekspedycję – żeby mieć zespół samych kobiet. Bez Szerpów i z małą ilością tlenu.

Odwróciła się do Very W.:

– Cóż, skoro zostałyśmy tylko we dwie, myślę, że powinnyśmy podejść na środkowy szczyt zamiast na główny.

– Tak, tak zróbmy. Od dawno marzyłam, że obie wejdziemy na ten drugi szczyt – zgodziła się Vera W. – Ten szczyt jest niżej i bliżej – wspinaczka powinna być łatwiejsza.

– No i nikt wcześniej go nie zdobył – Alison znowu zaczynała tryskać entuzjazmem. – Tylko my dwie podchodzące na dziewiczy szczyt – cóż to byłby za wyczyn! To na pewno zwróciłoby uwagę himalaistów, nie uważasz?

Kiedy Vera W. po raz pierwszy wspomniała, że mogłyby wspiąć się na środkowy szczyt, byłam sceptyczna. Nie chciałam, żeby grupa miała dwa różne cele i przez to się podzieliła. Jednak teraz, kiedy wyglądało na to, że pierwszej się powiedzie, plan Very W. i Alison brzmiał sensownie – oczywiście, jeżeli będą miały odpowiednią asekurację.

– Co z tym środkowym szczytem, Arlene? – ciągnęła Alison. – Jaką ma wysokość? I czy wspinaczka na niego jest legalna?

– Tak – odparłam. – Spytałam Gurunga, kiedy mówiłyście o tym podczas marszu. Znajduje się niewiele powyżej 8000 metrów i wspinaczka jest zgodna z prawem. Ale jeżeli zaczniecie z „piątki", będziecie musiały przygotować się na ciężką wspinaczkę po skałach. Najlepiej będzie, jak ruszycie śladem pierwszej grupy aż do siodła pomiędzy środkowym a głównym szczytem i stamtąd na środkowy szczyt.

– Droga prosto z obozu wygląda najlepiej – stwierdziła Alison. – Wolałabym iść tamtędy. Jeżeli uda nam się wspiąć na te skały, będzie to jeszcze większe osiągnięcie niż moja wspinaczka na Gaszerbrum.

Kiedy Vera W. i Alison podekscytowane ustalały szczegóły, zrozumiałam, dlaczego Alison była niezadowolona z przebiegu ekspedycji. Na Gaszerbrum III wspięła się bez tlenu, a przez większą część drogi prowadziły dwie kobiety. To, że my zdecydowałyśmy się skorzystać z pomocy Szerpów i tlenu, sprawiało, że według Alison nie było to takie duże osiągnięcie; nie mogłoby się nawet równać z Gaszerbrum – no, chyba że miałaby możliwość pójścia inną drogą albo wejścia na inny szczyt. W gruncie rzeczy podziwiałam w Alison to bezgraniczne oddanie sprawie – chciała nie tylko wspiąć się na szczyt, ale także dokonać tego na własnych warunkach.

Z obozu I znów przyszedł komunikat radiowy – Marie zrelacjonowała nam postępy naszych dzielnych wspinaczy.

MARIE (OBÓZ I): Wchodzą! Na pewno im się uda. Zostały im jeszcze jakieś cztery godziny. Fantastycznie się to ogląda. Błękitne, przejrzyste niebo, śnieg wirujący na szczycie, a wysoko na górze nasi przyjaciele. Co za piękny dzień! Bez odbioru.

CHRISTY (OBÓZ II): Martwi mnie ten wirujący śnieg. To znaczy, że na szczycie są silne wiatry. Zatrzymali się. Boże, to tak długo trwa. Chciałabym, żeby już ruszyli. Chyba zakładają butlę z tlenem. Chciałabym, żeby już ruszyli. Nie mogę znieść tego czekania. O, ruszyli. Stąd to wygląda, jakby strasznie się wlekli, ale przynajmniej posuwają się naprzód.

Kiedy słuchałam tego wszystkiego, poczułam, że napięcie w obozach sięgnęło zenitu. W końcu wyglądało na to, że może nam się udać. U nas, w obozie III, największe zmartwienia dotyczyły jednak drugiej grupy. Plan był taki, że jeżeli nie dojdzie do załamania pogody, Wangel ma iść do obozu V i siedzieć tam, podczas gdy Vera W. i Alison będą się wspinać na środkowy szczyt.

Nie mogły wziąć ze sobą odbiorników radiowych z „trójki", więc postanowiłam zejść do obozu II, gdzie mogłam być w stałym kontakcie z każdym poza pierwszą grupą atakującą szczyt. Margi i Annie chciały zostać w obozie III, żeby powitać wracających ze szczytu. Alison i Vera W. zapakowały bagaże i o 11.30 były gotowe na wspinaczkę do „czwórki" (Wangel wyruszył kilka minut przed nimi).

– Bądźcie ostrożne. Nie podejmujcie niepotrzebnego ryzyka – powiedziałam im, kiedy wychodziły. – Pamiętajcie, jeżeli opadniecie z sił albo pogoda zacznie się zmieniać, nie idźcie wyżej. Jeżeli Wangel zdecyduje się zejść na dół, wy też musicie rozważyć taką możliwość.

– Przestań się zamartwiać – Alison uśmiechnęła się radośnie. – Nic nam nie będzie.

Entuzjazm Very W. trochę osłabł po wszystkich porannych rozmowach i opóźnieniach.

– Chcę tylko wspiąć się wyżej niż kiedykolwiek wcześniej – stwierdziła. – To raptem kilkaset metrów nad obozem IV. Na pewno

uda mi się tam wejść.

Pomachałam im na pożegnanie, a kiedy założyły plecaki i wyruszyły, odmówiłam cichą modlitwę za ich bezpieczeństwo. Mimo tego, że miały ze sobą odbiornik, a w „czwórce" i „piątce" czekały na nie gotowe namioty, śpiwory, jedzenie, tlen i inne niezbędne rzeczy, były teraz zdane na własne siły.

Po pożegnaniu wczołgałam się z powrotem do namiotu, w którym Margi i Annie topiły śnieg oraz pakowały sprzęt do zejścia na dół. Panowała ponura atmosfera. Bez odbiornika, który towarzyszył mi przez ostatnie tygodnie, czułam się wykluczona i odizolowana. Margi wyznała, że bardzo martwi się o swoje przemrożone stopy, a Annie była rozczarowana, ponieważ naprawdę bardzo chciała wspiąć się na Annapurnę. Wszystkie martwiłyśmy się też o Verę W. i Alison, o to, że nie będą miały wystarczającego wsparcia, kiedy będą wspinać się na szczyt.

We trójkę zaczęłyśmy szorować tuziny garów, które zostały w namiotach – wszystkie były zabrudzone przypalonymi i zamrożonymi resztkami kolacji. Nagle wpadłam na pomysł. Spojrzałam na lodowe żleby po obydwu stronach obozu i zasugerowałam:

– Zrzucę tam te garnki i sprawdzimy, gdzie wylądują. Jeżeli na naszym szlaku, będzie to oznaczać, że znalazłyśmy szybki sposób na zabranie stąd sprzętu.

– Warto spróbować – powiedziała Annie. – Ale spróbujmy za bardzo nie śmiecić.

Zrzuciłam garnek pełen krewetek po kreolsku na Tor Bobslejowy po lewej stronie, a garnek pełen makaronu z serem do wąwozu po prawej.

– To eksperyment naukowy – oświadczyłam. – Jeżeli schodząc, znajdę makaron z serem, znaczy to, że działa spuszczanie bagażu

prawym żlebem; jeżeli zaś krewetki – lewym. Jeżeli nie znajdę niczego, będę wiedziała, że jest to kiepski sposób na wyniesienie stąd sprzętu.

– Świetnie, pani naukowiec! – zachichotała Annie.

Po obiedzie wyruszyłam z pełnym plecakiem, karimatą i śpiworem dyndającym mi przy plecaku. Nie byłam zachwycona tym, że muszę sama przechodzić po grani do obozu IIIa. Schodzenie z niego było dużo trudniejsze niż wchodzenie na niego. Wcześniej po każdej stronie ścieżki zalegało kilkanaście centymetrów śniegu, co dawało pewne poczucie bezpieczeństwa. Jednak wiatr rozwiał w większości śnieg i nasze odciśnięte w nim ślady stóp były obecnie jedyną w miarę twardą tu powierzchnią, po obu stronach której ziała ogromna przepaść. Szłam tyłem, stale trzymając napiętą linę i starając się nie patrzeć w dół. Od czasu do czasu spoglądałam za siebie, żeby sprawdzić, czy zbliżam się już do końca, ale kręta ścieżka śniegu zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Marzyłam o ciepłym słońcu w obozie IIIa i całej reszcie świata gdzieś tam w dole.

Przez ciężki plecak ciągle traciłam równowagę i parę razy omal nie wdepnęłam w przepaść. Kiedy miałam za sobą dwie trzecie drogi, zaczęłam rozmyślać: „Co takiego to dziewczę ze Środkowego Zachodu robi tutaj całkiem samo, chwiejnie idąc tyłem po wąskiej grani leżącej na wysokości 6400 metrów w Himalajach?". Gdybym spadła, przez długi czas nikt by się o tym nie dowiedział. W połowie drogi ze ściany wypadł hak, kiedy oparłam na nim ciężar ciała. Lina puściła, szarpnęło mną i niemalże spadłam w przepaść. Uratowała mnie tylko druga wbita w tym samym miejscu kotwa. Przerażona wspięłam się z powrotem i wbiłam hak tak solidnie, jak tylko się dało. Pomyślałam o dziewczynach, które

za kilka dni będą tędy schodzić z ciężkimi bagażami. Czy będą mogły bezpiecznie zejść, jeżeli haki się obluzują?

Schodząc ścieżką wytyczoną przez Liz, która była ostatnim odcinkiem ponad obozem IIIa, wylądowałam po pas w szczelinie lodowej, wypełnionej sypkim śniegiem. Chciało mi się płakać. W strachu, że wpadnę jeszcze głębiej, przypięłam jumar do liny i mozolnie się wygramoliłam. W końcu wtoczyłam się do obozu IIIa i padłam. Kiedy już złapałam oddech, puściłam sobie na dyktafonie czwartą symfonię z „Koncertu brandenburskiego" i spędziłam pół godziny, siedząc w słońcu, słuchając Bacha, pożerając glukozę i przygotowując się na resztę drogi.

Kiedy zaczęłam schodzić niżej, zorientowałam się, że warunki na stromej ścianie pogorszyły się w ciągu ostatniego tygodnia, który spędziłam w obozie III. Teraz spuszczanie się na linie wśród sopli było bardzo niebezpieczne. Usiłowałam się skupić na tym, by nie dotknąć żadnego z nich, kiedy nagle tuż przy moim uchu rozległ się głośny szum z włączonego dyktafonu. Nie mogłam się zatrzymać, żeby zdjąć plecak i wyłączyć urządzenie, więc opuszczałam się dalej z drażniącym dźwiękiem w uszach. Na dole okazało się, że czerwona lina się zaplątała, ale nie mogłam sięgnąć, żeby przepiąć się na żółtą. Musiałam więc się zaprzeć na czubkach raków, co nie było zbyt bezpieczne, ale w końcu udało mi się rozplątać liny.

Kiedy zeszłam z Żebra i z ulgą wyłączyłam dyktafon, zorientowałam się, że i tutaj wiele się zmieniło – to, co kiedyś było ubitym śniegiem, było teraz szczeliną lodową sporych rozmiarów. Byłam tak skupiona na tym, by jak najszybciej się stamtąd wydostać, że w końcu nie rozejrzałam się za garnkami, które zrzuciłam z „trójki". Nigdy nie było mi dane poznać wyników tego eksperymentu.

Zbocza pod Holenderskim Żebrem były oblodzone w miejscach, w których lawiny zmyły śnieg. Musiałam przedzierać się przez nowe lawiniska. Po raz ostatni szybko przedostałam się przez niebezpieczny odcinek. W oddali zauważyłam maleńki punkcik – to czekała na mnie Christy.

Byłam już bezpieczna, więc znów zaczęłam myśleć o tych, którzy jeszcze nie zeszli na dół – szczególnie o pierwszej grupie atakującej szczyt. Czy wszystko było w porządku? Czy wspięli się na szczyt?

Góra Kobiet
14–15 października

Z dziennika Piro Kramar:

Mam straszną ochotę na ogromną kanapkę – z grubo pokrojonego niemieckiego pieczywa, ze słodkim masełkiem i kawałkami salami. Dostałyśmy tylko kluchy. Po kolacji Vera K., Irene i ja stłoczyłyśmy się w małym dwuosobowym namiocie – w ten sposób zapewniłyśmy sobie ciepłą noc. Płaszczyzna, na której stał namiot, była pochyła i nierówna, więc co rusz turlałyśmy się na dół. Sporadycznie korzystałyśmy z tlenu, dzięki czemu udało nam się zasnąć pomimo niewygody i nerwów. Vera K. obudziła nas o trzeciej nad ranem, ale cała nasza piątka szykowała się przez cztery godziny.

Walcząc o miejsce na malutkim tarasie na zewnątrz i szamocząc się z rakami, uprzężą oraz plecakiem, sięgnęłam i wyciągnęłam aparat, żeby mi nie przeszkadzał w drodze. Kiedy dotknęłam metalu, poczułam palenie w prawym palcu wskazującym. Byłam kompletnie rozkojarzona, pomyślałam, że przecież rękawiczka jest w porządku, więc nie ma co zawracać tym sobie głowy. Kilka minut później, kiedy zapinałam raki, spojrzałam w dół i zauważyłam, że mój palec wygląda jak kawałek sera szwajcarskiego wystający z dziury w rękawiczce. Zdjęłam ją i zobaczyłam, że cała dłoń jest biała – nie mogłam nią też poruszyć. Ze strachu przed odmrożeniem wskoczyłam z powrotem do namiotu – razem z rakami i całą resztą. Wsadziłam palec do ust, a potem położyłam na brzuchu. Położyłam

się na dwóch śpiworach i przykryłam trzecim. Tego dnia spałam dziesięć godzin wciąż w rakach na nogach – szczyt przeszedł mi koło nosa.

Z dziennika Very Komarkovej:

Chewang, Mingma, Irene i ja rozpoczęliśmy wspinaczkę tuż przed siódmą rano. Na szczęście pogoda nam dopisała: niebo było bezchmurne i nie było wiatru. O tej porze roku, kiedy monsun się wycofuje, wspinaczka na dużych wysokościach może być utrudniona przez zimowe wiatry. Jednak chociaż tegoroczne wiatry już się zaczęły, czasem ustępowały na cały dzień – szczęście nam dopisało: to był jeden z tych dni.

Przez ponad 100 metrów teren był stromy i pokryty lodem. Potem kąt nachylenia się zmniejszył, a lód zniknął. W niektórych momentach śnieg sprzyjał dobremu zaczepieniu raków; w innych pod powierzchnią twardego śniegu znajdował się sypki śnieg.

Na wysokości 7700 metrów, po trzyipółgodzinnej wspinaczce, zauważyłam, że mój mózg dziwnie się zachowuje. Irene i ja zaczęłyśmy korzystać z tlenu. Bardzo wtedy zwolniłyśmy i wyglądało na to, że pokonanie kolejnych 400 metrów bez tlenu będzie niewykonalne. Być może gdyby obóz V znajdował się wyżej, udałoby nam się wspiąć bez niego. Po kilku minutach mocowania aparatów tlenowych ruszyłyśmy dalej.

Wszystkie rzeczy, które znałyśmy tylko z perspektywy patrzenia w górę, zmieniały kształty i znikały za horyzontem. Po prawej stronie było widać, jak zrównujemy się z górną częścią Sierpa, po czym zostawiamy go w dole, podobnie jak niezdobyte środkowy i wschodni szczyt. Widać było jeszcze tylko kilka szczytów i Dhaulagiri I. Rozmowę darowaliśmy sobie już dawno temu.

Jedynym dźwiękiem było skrzypienie raków na śniegu. Gumowe balony z tlenem rytmicznie pulsowały, świadcząc o wysiłku naszych nóg i płuc.
Nieopodal siodła pomiędzy środkowym i głównym szczytem, tuż przez wejściem na piramidę prowadzącą na szczyt, zwolniliśmy jeszcze bardziej. Śnieg sięgał nam do ud. W pewnym momencie Chewang – wieczny optymista – usiadł na ścieżce, przez którą właśnie się przedzierał, i oznajmił: „Może się nie udać". Chewang dotarł na tę wysokość już wcześniej z Japończykami – z powodu złej pogody nie udało im się wtedy dotrzeć na szczyt. Zaoferowałam mu tlen i zmianę przy wytyczaniu ścieżki – to wystarczyło. Natychmiast podskoczył i puścił się niemalże biegiem.
Szliśmy drogą, dzięki której mieliśmy ominąć najbardziej strome części szczytu. Spod siodła skręciliśmy w stronę grzbietu, idąc przez kilka półek wystających kamieni, i na grzbiet weszliśmy dopiero po długim przejściu pod granią. Tutaj śnieg był bardzo rozproszony, a przejście wymagało skupienia. Kiedy już wdrapaliśmy się na wietrzną grań, spędziliśmy godzinę, krążąc wokół nawisów i garbów, nie mogąc ustalić, który jest właściwym szczytem.

Z dziennika Irene Miller:

O szóstej rano wyszliśmy z namiotów, żeby rozpocząć trudny proces zakładania raków. Moje nie pasowały. Pasujące na mnie raki zostały zmiecione przez lawinę. Mam nadzieję, że te się nie zsuną. To dobry dzień na wspinaczkę na szczyt: jest prawie bezwietrznie, zimno i przejrzyście. Mamy na sobie wszystkie ubrania. Na górze mam siedem warstw, a na dole cztery. Do tego wełnianą czapkę, kominiarkę i kaptur. A i tak mi zimno.

Nagle Piro nurkuje do namiotu, miotając przekleństwa. Zakładając raki, odmroziła sobie prawy palec wskazujący. Dla Piro to proste równanie – jeżeli mimo to pójdzie, jej kariera lekarska zawiśnie na włosku. Bardzo żałujemy, że ominie ją wejście na szczyt.

Ja, Vera Komarkova i Szerpowie Mingma Tsering i Chewang Rinjing obwiązujemy się liną i ruszamy tuż przed siódmą rano. Mamy niedużo rzeczy – dwie butle z tlenem i maski, trochę jedzenia, aparaty, sprzęt awaryjny i wodę. Tuż nad obozem znajduje się nieduża szczelina lodowa i około 100 metrów stromego terenu. Kiedy docieramy do ostatniego wybrzuszenia, wzgórze robi się łagodniejsze. Zrównaliśmy się z początkiem kamiennego żebra pomiędzy Annapurną I i wschodnim szczytem. Wkrótce widzimy w oddali podejście na szczyt. Widziałam je w tylu książkach i oto jest. Ostatni odcinek jest już w zasięgu wzroku. Zbliżamy się do niego, nie mogę w to uwierzyć. Mogę ocenić nasze postępy, spoglądając w lewo i sprawdzając, jak blisko jesteśmy. Nie robię jednak tego zbyt często, ponieważ nie posuwamy się szybko.

Śnieg jest czasem ubity i solidny, lecz czasem jest to okropna mieszanka twardej, łatwo pękającej skorupy, pod którą znajduje się sypki, sięgający kolan śnieg. Mingma idzie przodem, żeby poprowadzić. Idę tuż za nim, po śladach jego stóp, ale ciężko idzie się za kimś po tej skorupie. Kiedy tylko skorupa pęka, ześlizguję się do miejsca, w którym zaczęłam.

Bardzo potrzebuję odpoczynku, ale Chewang mnie motywuje: „Idziemy powoli, bez odpoczynku. Chyba nam się uda". Usiłuję ustabilizować tempo – biorę sześć oddechów na każdy krok i staram się unikać ponownego ześlizgnięcia się. Tlenu starczy nam zaledwie na sześć godzin – musimy więc wejść jak najwyżej, zanim zaczniemy z niego korzystać.

Po wytrwałej, trwającej dwie i pół godziny wspinaczce zwalniamy do ślimaczego tempa. Vera K. i ja dochodzimy do wniosku, że pora wyciągnąć tlen. Założyłyśmy maski, a ja momentalnie poczułam się lepiej. Jednak wkrótce znowu wróciłam do sześciu oddechów na jeden krok. W końcu zauważyłam, że moja maska nie działa tak jak Very. „Mój tlen nie działa" – oznajmiłam. Chewang i ja usiłowaliśmy coś na to poradzić. Nagle usłyszałam delikatne syczenie – tlen zaczął płynąć. Zaczynam oddychać po cztery razy.

Podczas wspinaczki nie rozmawiamy. Całą energię i koncentrację wkładamy w monotonną harówkę i marsz do celu. Wiatr wciąż się nie pojawił, ale widzimy śnieg zwiewany przez zimowy wicher ze szczytu. Myślę o mojej rodzinie i przyjaciołach. Ich miłość dodaje mi sił – wspinaczka staje się łatwiejsza.

Tuż pod szczytem śnieg znów robi się bardzo głęboki, znów musimy zwolnić. Jednak śnieg wkrótce znika i łatwiej nam się idzie. Pasmo kamieni pod szczytem, o które zamartwiałam się przez całe miesiące, nie sprawiło nam żadnych problemów. Przeszliśmy po nich, a nasze raki szorowały o piaskowiec. Dotarliśmy do wietrznej grani – był to pełen nawisów grzbiet szczytu. Ale gdzie dokładnie jest szczyt? Chewang dostaje histerii i zaczyna biegać po grzbiecie, usiłując znaleźć najwyższy punkt. Przechodzimy po trzech czy czterech garbach i oto jesteśmy. W końcu! Szczyt Annapurny I! O 15.30 15 października 1978 roku znaleźliśmy się na wysokości 8078 metrów – na szczycie dziesiątej z kolei najwyższej góry świata – na szczycie świata.

Tryumfalna radość Annie i Christy (z archiwum Autorki).

Christy przekazuje Annie wieści o zdobyciu szczytu (fot. Arlene Blum).

Ekipa, która zdobyła szczyt: Vera K., Mingma, Chewang i Irene (fot. Arlene Blum).

Przynieśliśmy ze sobą zapas flag do zatknięcia na szczycie: spięliśmy flagę Nepalu, Stanów Zjednoczonych i tę ze słynnym hasłem „Miejsce kobiet jest na szczycie", zatknęliśmy wszystkie trzy. Chewang związał je i od dłuższego czasu trzymał w pogotowiu. Usiłujemy wyprostować flagi, żeby zrobić sobie z nimi zdjęcie, ale ciągle fruwają w powietrzu. Vera K. robi zdjęcie, a ja pozuję między Chewangiem i Mingmą.
Jak się czuję? Po części czuję niewiarygodną ulgę, ponieważ wiem, że nie będę już musiała wchodzić pod górę. Czuję też, że zarówno ja, jak i cały zespół odnieśliśmy wielki sukces. Zrobiliśmy, co do nas należało – nie ma wyższego miejsca, na które moglibyśmy wejść. Jednak myślę głównie o tym, że jest już 15.30 i będziemy musieli wykombinować, jak wrócić przed zapadnięciem zmroku.

Wrażenia Very K. z pobytu na szczycie są jednak zgoła inne:

Widok jest wspaniały. Widać pokryte białymi czapami masywy kilku gór wyrastających z oceanu brązowych, czerwonych i błękitnych wzgórz na tle głębokiego błękitu nieba. Jestem w stanie zidentyfikować tylko Dhaulagiri, po drugiej stronie doliny Kali Gandaki. Kiedy chmury się przerzedzały, widzieliśmy również południową ścianę Annapurny.

Kiedy Irene, Chewang i Mingma pozowali Verze K. do zdjęcia, wszyscy obserwatorzy w obozach I i II zaczęli wrzeszczeć przez radio jeden przez drugiego.

Jak na ironię, osoby, które znajdowały się najbliżej, nie były świadome, że zdobyto szczyt. W obozie V Piro i Lakpa spali zawinięci w śpiwory, bez żadnego radia, przez które moglibyśmy ich poinformować i wyrwać z wysokościowego letargu. Annie i Margi w obozie III również nie miały radia, więc także nic nie wiedziały. Margi bardzo bolały stopy; dzień spędziła na szperaniu w obozowych zapasach i gotując sobie ulubione dania – chciała nabrać sił na zejście z góry. Annie bolał brzuch i nie była zachwycona gotowaniem Margi. Obydwie z niecierpliwością czekały na zmierzch, ponieważ obiecałam im, że jeżeli szczyt zostanie zdobyty, wystrzelę rację z obozu II.

Vera W. i Alison szły do obozu IV i włączyły radio dopiero, jak dotarły tam o zmierzchu.

Jednak w niżej położonych obozach, skąd wyraźnie widać było szczyt, ekscytacja rosła cały dzień. Christy potem powiedziała, że czuła się, jakby wielkie imadło zaciskało się na jej piersi coraz ciaśniej i ciaśniej. Kiedy cztery maleńkie kropki wreszcie wdrapały się na szczyt, Christy i Joan zaczęły się ściskać i tańczyć w kółko, wrzeszcząc:

– Wspaniale, cudownie, fantastycznie!

Ekipa filmowa w jedynce również była niewiarygodnie podekscytowana. Kiedy wspinacze wkroczyli na szczyt, Dyanna o mało nie zemdlała ze szczęścia, ale ciągle filmowała. Pisała o tym w pamiętniku:

Coraz bliżej i bliżej. Kiedy nagrywam wspinaczy wdrapujących się na najwyższy punkt, kamera brzęczy. W końcu zatrzymują się. Dotarli na miejsce. Na szczyt! Jakież muszą mieć stamtąd widoki! Ale dla nas najpiękniejszym widokiem były małe figurki ludzkie, ponad którymi górowały jedynie rozwiewany śnieg i niebo.

Dyanna przerwała na chwilę filmowanie, uścisnęła Marie, wrzasnęła i zaczęła podskakiwać – po czym wróciła do filmowania mocowania na szczycie flag.

– To było piękne – powiedziała potem – podświetlone sylwetki na tle chmury.

Kiedy to wszystko się działo, po raz ostatni schodziłam z Holenderskiego Żebra. Christy podeszła z dwójki, żeby przekazać mi wieści, zauważyła mnie, kiedy schodziłam z lawinowego wzgórza; zobaczyła, jak zeszłam ze ścieżki i wpadłam w śnieg głęboki po uda. Kiedy usiłowałam się wydostać, wrzasnęłam do niej:

– Udało im się?

Pokiwała głową. Usiadłam na ścieżce i rozpłakałam się. Czułam mieszaninę poczucia triumfu, ulgi, że przeszłam przez niebezpieczny stok po raz ostatni, oraz zmęczenia napięciem. Jednak była to przede wszystkim świadomość, że miejsce kobiet w istocie jest na górze – po latach planów i przygotowań w końcu wspięłyśmy się na Annapurnę. Kiedy tak siedziałam, a łzy kapały mi w śnieg, Christy podeszła i objęła mnie. Potem wzięła ode mnie plecak –

zazwyczaj nie pozwalam na to, ale tym razem byłam jej wdzięczna. Powoli poszłam za nią do obozu II.

Kiedy już tam dotarłam, od razu przeprowadziłam przez radio rozmowę z Gurungiem w bazy. Chciał wiedzieć, kto wspiął się na szczyt, żeby móc skontaktować się z Ministerstwem Turystyki. Powiedziałam, że nie wiemy jeszcze, i poprosiłam, żeby oznajmił, że na szczyt weszło dwóch Szerpów i dwie alpinistki. Oczywiście wkrótce ich tożsamość będzie znana, ale uznałam, że tak będzie sprawiedliwie – w końcu był to sukces całego zespołu.

Rano Gurung posłał gońca do Jomoson, skąd wiadomość miała dotrzeć do Katmandu. Już za dwa dni cały świat dowie się, że po raz pierwszy Amerykanie – a dokładniej Amerykanki – wspięły się na Annapurnę. Tysiące osób, które nas wspierały, kupiły koszulki czy w jakikolwiek sposób współpracowały z nami, już wkrótce miały się o tym dowiedzieć. Miałam tylko nadzieję, że będą świadomi tego, ile znaczyły dla nas ich troska oraz wysiłek. Wspinacze stojący na szczycie mieli u stóp cały świat i już wkrótce duża jego część miała podzielić ich radość.

W tym czasie wspinacze schodzili już ze szczytu na dół. Ich długi marsz został przerwany trzy razy: raz, by mogli coś zjeść, i dwa razy, kiedy skończył się tlen Irene i Very K. Vera K. na początku nic nie zauważyła i męczyła się przez jakiś czas. W końcu zauważyła objawy niedotlenienia. Zatrzymała się i wyrzuciła butlę, żeby nieść mniejszy ciężar. Kiedy miała już mniejsze obciążenie, świetnie sobie poradziła. Irene jednak coraz szybciej traciła siły. Kiedy skończył jej się tlen, wywaliła butlę i szła dalej, krocząc trochę jak lunatyczka. Próbowała iść najszybciej, jak to możliwe, ale co jakiś czas ślizgała się po lodowej skorupie i musiała się szarpać, żeby oswobodzić stopy. Opisała to potem tak:

Osiem metrów nad obozem V zataczam się po stromym zboczu, w kompletnej ciemności. Źle postawiłam stopę i spadłam dwa metry w dół do szczeliny lodowej. Leżę na plecach, stopy sterczą mi w powietrzu, a ja rechoczę jak wariatka. Wiem, że nic mi nie grozi, ponieważ jestem zabezpieczona liną. Mingma mnie wyciąga i idziemy dalej. Gdy jesteśmy coraz niżej, zaczyna do mnie docierać, że wspięłam się na Annapurnę i do tego przeżyłam. Nie mam oczywiście pewności, czy żywi dojdziemy do dwójki, ale z każdym krokiem wierzę w to coraz mocniej.

Piro czekała na nie w obozie V:

O 18.30 zaczęło się bombardowanie kawałkami lodu – spadały na dach namiotu. To powracająca grupa zrzucała je ze wzgórza podczas marszu. W końcu są na miejscu, cali rozchichotani i ładują się do namiotu Szerpów, żeby zjeść kolację. Wychodzę z namiotu, żeby do nich dołączyć, ale ktoś woła: „Nie ma już miejsca!". Po raz pierwszy i ostatni czuję ukłucie żalu – albo zazdrości – że jednak z nimi nie poszłam. Nie chcę wracać sama do pustego namiotu, więc stoję sobie pomiędzy namiotami w świetle księżyca, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wtedy Vera K. zawołała: „Dobra, już jest miejsce, wejdź i zjedz trochę ciepłej zupy".

Kiedy wspinacze dotarli do namiotów w obozie V, z obozu II wylatują dwie czerwone race. Race miały być sygnałem dla Margi i Annie w obozie III, ale wspinacze schodzący ze szczytu też je zobaczyli – mieli miłą świadomość, że wszyscy na dole również świętują ich sukces.

Inne szczyty
16–20 października

Trzy małe kropki powoli poruszają się na ścianie nad obozem IV. Na szczycie stromego stopnia wzgórze robi się łagodniejsze, a kropki idą dalej. Kiedy się zatrzymują, dołączają do nich trzy inne kropki schodzące z obozu V.

Obserwowałyśmy to przez lornetki i soczewki teleobiektywu z obozu I i II. Z tej odległości nie mogłyśmy zidentyfikować postaci nad obozem IV, ale wiedziałyśmy, że te idące na górę to Vera W., Alison oraz Wangel zmierzający do piątki – druga grupa atakująca szczyt. Założyłyśmy też, że punkty schodzące z góry to Chewang, Mingma i Lakpa, którzy wyszli z obozu V przed Piro, Irene i Verą K. Komunikat radiowy potwierdził nasze przypuszczenia.

VERA W. (TARAS NAD OBOZEM IV): Właśnie spotkałyśmy schodzących na dół Szerpów – nie są w najlepszej formie. Są bardzo zmęczeni, a Mingma twierdzi, że ma odmrożone stopy. Spytałyśmy Lakpę, czy wraca z nami do piątki, czy woli zostać z Chewangiem w obozie IV jako wsparcie. Ale powiedzieli, że schodzą na dół, i poradzili nam, żebyśmy zrobiły to samo.

ARLENE (OBÓZ II): A co ty na to, Vera? Jesteś na wysokości 7100 metrów, więc i tak pobiłaś swój rekord.

VERA W.: Chcemy przynamniej dojść do obozu V i wziąć sprzęt. No i jest jeszcze jeden problem. Szerpowie powiedzieli nam, że nie

zostało zbyt dużo jedzenia i paliwa – liczyłyśmy na te zapasy. Jak myślisz, co powinnyśmy zrobić?

ARLENE: Jeżeli upieracie się, żeby pójść do „piątki", to powinniście wrócić do obozu IV i stamtąd wziąć jedzenie oraz wkłady do maszynki do gotowania. Może jeden z Szerpów je przyniesie, żeby oszczędzić wam zachodu?

VERA W.: Szerpowie są zbyt zmęczeni, a jeżeli teraz wrócimy do „czwórki", możemy nie dotrzeć do „piątki" przed zmrokiem. Chcemy wrócić do obozu IV i zacząć jutro wczesnym rankiem. Czy to ci pasuje?

ARLENE: Brzmi nieźle, tylko że Irene, Piro i Vera K. jeszcze nie wyszły z obozu V, a jeżeli nie ruszą się szybko, mogą nie dotrzeć dziś do „trójki". To znaczy, że w obozie IV będzie wam strasznie ciasno.

VERA W.: Damy sobie radę. Myślę, że bezpieczniej będzie zostać na jeszcze jedną noc w obozie IV i zacząć wspinaczkę jutro rano. A poza tym, jeśli jeszcze nie wiesz – na szczyt weszli Irene, Vera K., Mingma i Chewang. Piro stało się coś z palcem.

ARLENE: To świetnie! Ale co się stało Piro?

VERA W.: Odmroziła sobie palec, więc zawróciła. Czubek jej palca był sztywny i biały, ale teraz cały spuchł, więc jest pewna, że wszystko będzie dobrze. Aaa, jeszcze jedno. Droga do głównego szczytu wygląda na koszmarnie długą. Alison i ja jesteśmy na 100 procent pewne, że chcemy wspiąć się na środkowy szczyt. Szerpowie mówią, że jest bliżej. W niebieskim namiocie jest kilka książek o Annapurnie – czy mogłabyś sprawdzić, czy w którejś z nich jest zdjęcie drogi na środkowy szczyt? Daj nam znać, jak się czegoś dowiesz. Bez odbioru z tarasu nad obozem IV.

Rozłączyłam się, zaskoczona przebiegiem naszej rozmowy. Byłyśmy tak zaaferowane brakiem jedzenia i paliwa dla drugiej grupy, że prawie zapomniałyśmy o tym, kto dokładnie wspiął się

na szczyt. Jednak dzięki radiu wspinacze mogli zamówić sobie u nas informacje książkowe, pozostając na wysokości 7000 metrów.

Poszłam do niebieskiego namiotu i znalazłam książkę z dobrym zdjęciem środkowego szczytu. Połączyłam się więc przez radio z Verą W. i Alison, które były już w obozie IV, żeby opisać im drogę.

ARLENE (OBÓZ II): Wygląda na to, że po drodze na środkowy szczyt jest trochę skał. Czeka was ciężka wspinaczka. To ryzykowne dla dwóch osób.

ALISON (OBÓZ IV): Chcemy przynajmniej podejść tam i zobaczyć.

ARLENE: No dobra. Ale jeżeli pogoda się chociaż minimalnie pogorszy, powinnyście wracać. Zgadzacie się?

ALISON: Tak, tak, ale obydwie mamy dużo sił. Chcesz pogadać z Irene i Verą K.? Właśnie tu dotarły.

ARLENE: Tak. Irene, Vera K., gratulacje! Bardzo się cieszymy, że wam się udało. Wszyscy na dole są wniebowzięci.

VERA K.: Dzięki. Też się cieszymy.

ARLENE: Jak się czujecie?

IRENE: Wspinaczka do „piątki" i na szczyt była najtrudniejszą rzeczą, jakiej w życiu dokonałam. Coś niezwykłego trzymało mnie tego dnia przy życiu. Jestem szczęśliwa, ale teraz tak wykończona, że zejście z tej góry zajmie mi trochę czasu. Odbiór.

Marie, Dyanna i Christy włączyły się do rozmowy z niższych obozów z głośnymi okrzykami.

CHRISTY (OBÓZ II): Chcę wam powiedzieć, że miałam przyjemność obserwować waszą wspinaczkę na szczyt. Za wami wiatr rozdmuchiwał śnieg, a wy staliście na tle błękitnego nieba. Obserwowałyśmy wasze sylwetki, a Marie i Dyanna pracowały kamerą jak szalone.

IRENE: Dziękuję wam wszystkim. Ale droga na szczyt była wybrukowana waszymi wysiłkami, wiecie o tym doskonale. To sukces całej ekspedycji, wszystkie na to zapracowałyśmy.

ARLENE (OBÓZ II): Ale ty pracowałaś szczególnie ciężko przez te wszystkie lata i w pełni na to zasłużyłaś. Dlatego jesteśmy tak szczęśliwe. Schodzisz dziś do „trójki"? Odbiór.

IRENE: Nie. Jest późno, a my jesteśmy wykończone, więc zostaniemy na noc z Verą i Alison. Odbiór.

ARLENE: Ciasno wam będzie. Wszystkim wam należy się odpoczynek, mam nadzieję, że będziecie mogły go zaznać. Bez odbioru.

Margi i Annie wróciły do dwójki tuż przed zmrokiem – za sobą miały koszmarne zejście z obozu III po wąskiej grani. Obydwie były obciążone ogromnymi, ciężkimi plecakami, a w pewnym momencie Margi spadła siedem metrów, ale zdołała się wciągnąć z powrotem. Nie widziały wczorajszych rac, więc nie wiedziały, że się udało. Christy i ja przekazałyśmy im wieści i wszystkie razem zaczęłyśmy świętować.

Wtedy z obozu V zeszła trójka Szerpów. Mingma kulał przez częściowo odmrożoną stopę, a stopy Chewanga były bardzo zimne. Cała trójka była wykończona przez ogromny wysiłek targania ciężkich bagaży wysoko w górach oraz po jednodniowym zejściu z „piątki" do „dwójki". Pospiesznie rozwiązałyśmy im buty, zdjęłyśmy raki i zrobiłyśmy gorącej herbaty.

– Dobrze być w obozie II – powiedział Mingma. – Wchodzenie na szczyt to ciężka praca. Teraz każdy dzień zimniejszy i bardziej wietrzny. Wszyscy powinni zejść z góry. Chodźmy do Katmandu i zróbmy imprezę.

– To prawda, robi się coraz zimniej – zgodziłam się. – Ale zanim zejdziemy, druga grupa musi przynajmniej spróbować.

– Fatalnie się dziś schodziło – powiedziała Margi. – Z tymi moimi stopami za nic bym tam nie wróciła. Mam nadzieję, że Vera W. i Alison sobie poradzą.

Alison, Vera W., Vera K., Irene, Piro i Wangel robili, co mogli, żeby zasnąć. Wangel przeniósł się do dwuosobowego namiotu z jednym śpiworem. Pięć kobiet chciało pogadać i wymienić informacje na temat szczytu, więc wszystkie ścisnęły się w trzyosobowym namiocie. Alison i Vera W. dostały dwa pozostałe śpiwory – przed jutrzejszym dniem potrzebowały jak najwięcej odpoczynku. Irene, Vera K. i Piro musiały spać bez śpiworów – zostawiły swoje w „piątce" dla drugiej grupy. Musiały przykryć się swoimi okryciami wierzchnimi. Kiedy topiły śnieg i gotowały w zatłoczonym namiocie, Vera W. i Alison wypytywały je o szczegóły dotyczące drogi, trudności na głównym szczycie i perspektywy na środkowy.

Vera K. ostrzegała:

– Bez tlenu może być wam ciężko, zwłaszcza że jesteście tylko we dwie. My, zanim skorzystałyśmy z tlenu, brałyśmy przynajmniej pięć oddechów na jeden krok. Nie wiem, czy udałoby się nam bez tlenu.

– Pamiętajcie – przerwała jej Piro – że na górze jest pół butli na sen i jedna butla dla Very W. na ostatni kawałek. Może Alison weźmie jeszcze jeden – wtedy starczy wam tlenu.

– Wspinałam się wyżej niż ten środkowy szczyt i nie potrzebowałam tlenu – odparła Alison. – Vera W. porusza się trochę wolniej niż ja, więc jeśli tylko ona będzie miała tlen, wszystko będzie w porządku.

To brzmiało sensownie. Alison prowadziła w trudnej skale na wysokości 7900 metrów na Gaszerbrum i nie potrzebowała wtedy tlenu. Żartowała sobie, że ma najdziwniejszą fizjologię

na świecie: na początku ekspedycji w porównaniu z mężczyznami ruszała się powoli, ale kiedy znaleźli się wyżej, co prawda nie przyspieszyła, ale szybsi od niej mężczyźni często słabli i zatrzymywali się. Na bardzo dużych wysokościach była bardzo silna.

Irene skuliła się w kącie, cicha i wykończona.

– Na górze jest bardzo ciężko – powiedziała w końcu. – Stopnie, które wykułyśmy, prawdopodobnie już przykrył śnieg. Jesteście pewne, że chcecie tam iść? Wszystkie możemy wrócić jutro rano.

– Jesteśmy pewne – powiedziała Alison. – Tak czy siak musimy wejść na górę i wziąć bagaże. Tam są trzy śpiwory, dwa namioty i kamera – sprzęt warty tysiące dolarów. Kiedy zobaczymy, jak przedstawia się sytuacja w „piątce", podejmiemy decyzję. Jeżeli wiatr będzie porywisty, po prostu weźmiemy sprzęt, zawrócimy i zejdziemy na dół. Jeżeli jednak warunki będą sprzyjające, a my w dobrej formie, spróbujemy wejść na środkowy szczyt. Jak wyglądał z głównego szczytu?

Vera K. naszkicowała środkowy szczyt i przestudiowała go z Alison. Było kilka sposobów na dostanie się tam: jednym z nich była długa, ale prosta droga. Śladami czwórki naszych wspinaczy doszłyby do rozwidlenia pomiędzy szczytami. Druga droga była dużo trudniejsza i prowadziła po skale prosto na środkowy szczyt. Alison upierała się przy tej trasie.

– Wygląda na trudną – powiedziała Vera K. – Może wam to zająć więcej niż jeden dzień. Może nawet trzy dni.

– Na wszelki wypadek weźmiemy pałatkę na biwak, maszynkę do gotowania i więcej jedzenia – odpowiedziała Alison. – Wolałabym tam nie biwakować, ale w końcu jest pełnia. Może będziemy mogły wspinać się w nocy. Piro, chcesz iść z nami? Może tym razem będziesz miała szansę wejść na szczyt.

– Przykro mi – odpadła Piro – ale mój palec nigdy by mi tego nie wybaczył. Poza tym jestem wykończona. Wracam na dół. Ale zróbmy tak – zostaniemy w „trójce" aż do waszego powrotu. Co ty na to?

– Dzięki, Piro – Alison się ożywiła. – Właśnie tego nam trzeba – choćby wsparcia moralnego.

Kiedy spały w piątkę, było im ciasno, ale za to ciepło. Vera K. wzięła tabletki nasenne i natychmiast wyciągnęła się, zasnęła i przespała tak całą noc. Vera W. i Alison spały w swych śpiworach po obu stronach całej piątki, względnie wygodnie. Irene spała snem wykończonego człowieka. Najciężej tę noc zniosła Piro – ceniła sobie zarówno przestrzeń, jak i samotność.

Tego ranka prawie wszyscy byli w niezłej formie i gotowi do drogi – czy to na górę, czy w dół. Jedynie Wangel nie czuł się najlepiej, mimo że miał tej nocy dla siebie cały namiot – rano stwierdził, że źle się czuje i musi zejść na dół. Kiedy dowiedziałam się, że Vera W. i Alison nie będą miały wsparcia ani jednego Szerpy, postanowiłam po raz ostatni podjąć próbę odwiedzenia ich od wchodzenia wyżej.

ARLENE (OBÓZ II): Wolałabym, żebyście nie wchodziły tam bez Szerpów. Już wykonałyście kawał dobrej roboty i możecie zejść na dół. Sprzęt w „piątce" nie jest aż tak ważny – możemy go tam zostawić.

VERA W. (OBÓZ V): Chcemy wejść na górę, żeby chociaż rzucić okiem na środkowy szczyt. Może po prostu weźmiemy sprzęt. Źle by się stało, gdyby cały sprzęt tam został. Chcemy mieć chociaż szansę na wspinaczkę, jeżeli warunki będą dobre.

ARLENE: No dobra, Vera. To idźcie. Pogadamy, jak zorientujecie się, jak wygląda sytuacja. Postarajcie się wyjść jak najwcześniej.

VERA W.: Dobrze, ale nie możemy nic znaleźć w tym namiocie. Jak tylko usiłuję coś znaleźć, okazuje się, że trzy osoby albo stoją na przeszkodzie, albo na tym siedzą.

ARLENE: Cóż, postarajcie się. Jeżeli wam się uda, spróbujcie przekonać Wangela, żeby jednak z wami został. Bez odbioru z obozu I.

JOAN (OBÓZ I): Powodzenia. Ale uważajcie na siebie. Będziemy was filmować cały dzień. Bez odbioru z obozu I.

Kiedy pięć alpinistek w cieniu lodowca przygotowywało się do wyjścia – trzy miały zejść na dół, a dwie wspinać się w górę – mój niepokój rósł. Nie kwestionowałam samego pomysłu dwóch kobiet wspinających się na szczyt ani tego, że Vera W. i Alison dadzą sobie radę. W końcu Vera W. samotnie wdrapała się na szczyt Aconcaguy na wysokości 6950 metrów, a Alison na wysokość 7900 metrów na Gaszerbrum III; niemniej coraz bardziej martwiłam się o to, że nie mają asekuracji.

W tym czasie wszystkie dziewczyny, oprócz Very W. i Alison, albo wspięły się na szczyt, albo z różnych powodów z tego zrezygnowały. Z osób, które pozostały na dole, Annie i mnie zostało dużo energii i jeżeli Verze albo Alison miało coś się stać na górze, mogłyśmy wrócić tam i próbować im pomóc. Jednak żadna z nas nie była na tyle silna, żeby znieść chorą albo unieruchomioną koleżankę na dół – właśnie dlatego tak się upierałam przy Szerpach. Jednak teraz już nie mogłyśmy oczekiwać od nich pomocy: Ang i Lopsang siedzieli chorzy w bazie, Wangel, który twierdził, że jest chory, wracał na dół, a Mingma, Chewang i Lakpa już byli na szczycie albo przynajmniej w obozie V i nie chcieli tam wracać.

Na wielu ekspedycjach w Himalajach po tym, jak jedna grupa wdrapie się na szczyt, emocje opadają – grupa jest zmęczona, niebezpieczeństwo dalszej wspinaczki wydaje się być większe, niż

jest w istocie, i wszyscy chcą już wracać na dół i się zabawić, dokładnie tak, jak to Szerpowie proponowali. Sen, który Vera W. miała podczas burzy, był snem w pewnym sensie proroczym, a Alison wielokrotnie mówiła mi, że obawia się, iż po tym, jak pierwsza grupa wdrapie się na szczyt, będziemy chciały od razu wracać na dół. Chciałam dać Verze W. i Alison szansę na to, czego tak bardzo pragnęły, i podziwiałam zarówno ich upór, jak i odwagę wspinania się bez wsparcia. Mimo to nie mogłam przestać się zamartwiać.

Po raz kolejny skontaktowałam się z obozem IV, żeby powiedzieć obu dziewczynom o moich wątpliwościach i zapewnić Verę W. i Alison, że mogą sobie nie zawracać głowy sprzętem w „piątce". Odebrała Vera K.; powiedziała mi, że są już gotowe do drogi i nie chcą tracić czasu na rozmowę na ten temat. Miały nawiązać kontakt, kiedy dojdą do obozu V.

Wyjęłam więc lornetkę i obserwowałam dwie sylwetki powoli i pewnie posuwające się w górę lodowej ściany oraz w stronę obozu V. Ekipa filmowa, która również obserwowała je ze stanowiska w obozie I, oznajmiła, że idą szybciej niż pierwsza grupa, która miała dużo większe obciążenie. Zważywszy na to, że pierwsza grupa również wyruszyła późnym rankiem, a do obozu dotarła około godziny 17, byłyśmy pewne, że Vera W. i Alison dotrą tam przed zmrokiem. Ulżyło mi, że mimo ciężkiej nocy wspinaczka idzie im tak dobrze.

Piro, Irene i Vera K. wyruszyły z „czwórki" kilka dobrych godzin po Verze W. i Alison. Niedopasowane raki Irene utrudniły jej zadanie – na lodowym wzgórzu jeden z nich się zsunął, a ona sama spadła, cudem zatrzymując się na krawędzi. Kiedy wszystkie trzy dotarły do obozu III, było już prawie ciemno.

Ekipa filmowa ponownie nawiązała kontakt – oznajmiły, że Vera W. i Alison zbliżają się do „piątki". W porze kolacji ściana była już za bardzo zacieniona, żeby na niej filmować, zatem Marie i Dyanna zaprzestały obserwacji i weszły do stołówki na kolację. Kiedy skontaktowały się z nami po raz ostatni, stwierdziły, że Vera W. i Alison mają jeszcze około 20 minut drogi i nie zwalniają.

Spodziewając się rychłego kontaktu z „piątki", zostawiłam włączone radio. Jednak Vera i Alison nie dały znaku życia. Po kolacji sama spróbowałam się z nimi skontaktować, ale bez skutku. Strasznie się zaniepokoiłam, ale założyłam, że radio im się zepsuło – tak jak to było w przypadku pierwszej grupy. Tej nocy nie spałam dobrze – bardzo wcześnie się obudziłam i ponowiłam próby nawiązania kontaktu.

ARLENE (OBÓZ II): Tu obóz II do Very i Alison w obozie V. Zgłoście się. Obóz II do obozu V.

Żadnej odpowiedzi. Cały czas ponawiałam próby.

ARLENE: Obóz II do obozu V. Zgłoście się. Obóz V, jeżeli mnie słyszycie, ale nie możecie odpowiedzieć, wystrzelcie racę, żebym wiedziała, że wszystko w porządku.

Żadnej odpowiedzi. Żadnej racy. Nic.

Siedziałam w ten spokojny, bezwietrzny, piękny dzień, skanując przez lornetkę wzgórza nad obozem V i nieustannie ponawiając próby kontaktu. Zamiast cieszyć się, że udało nam się wspiąć na szczyt, byłam coraz bardziej zaniepokojona. Może Verze W. i Alison udało się wczoraj dojść do „piątki" i obydwie siedzą sobie teraz w namiocie? Jednak ekipa filmowa od świtu obserwowała całe wzgórze przez swoje kamery. Powiedziały, że jeżeli ktokolwiek wyszedłby z namiotu w „piątce", nawet na momencik, żeby zrobić siku, zauważyłyby to. A nie widziały nic.

Kiedy bezskutecznie próbowałam nawiązać kontakt z Verą W. i Alison, zaczęłam rozważać różne możliwości. Pierwsza była taka, że radio w „piątce" było zepsute, a Vera i Alison postanowiły sobie odpocząć. To było prawdopodobne, ponieważ powiedziały, że w przypadku wysokich wiatrów nie zamierzają się wspinać, a na szczycie widać było wirujący śnieg. Druga możliwość była taka, że zepsuło im się radio i postanowiły wyjść z obozu, zanim je w ogóle zauważyłyśmy. W tym przypadku już niedługo zobaczyłybyśmy, jak schodzą na dół. Trzecie możliwość: coś im się stało. Ta możliwość była po prostu niewyobrażalna i to właśnie ona tak mnie przeraziła.

Dzień zdawał się trwać bez końca, a ja nie przestawałam obserwować góry przez lornetkę i wydzwaniać do „piątki". W obozie III nikt się o nie szczególnie nie zamartwiał. Piro, Vera K. i Irene pożegnały się z nimi zaledwie 24 godziny temu i zapewniły mnie, że z obozu IV wyszły pełne siły, determinacji i w dobrych nastrojach. Byłam sama w obozie II – Christy i Annie wzięły swoje plecaki do „jedynki" i postanowiły tam przenocować. W obozie I ekipa filmowa, Joan, Christy i Annie martwiły się coraz bardziej, ale nie chciały myśleć o najgorszym. Margi w bazie strasznie się zamartwiała i zasugerowała, żebyśmy natychmiast wysłały kilku Szerpów, żeby sprawdzili, czy nic się nie stało.

Tego wieczoru przy kolacji zaczęłam rozmawiać z Szerpami o możliwości ich wejścia na górę i sprawdzenia, czy Vera W. i Alison nie potrzebują czasem pomocy.

– Z memsahibami chyba wszystko w porządku – powiedział Mingma. – Kiedy przyszedł dzień wspinania się na szczyt, doktor Piro i Lakpa cały dzień spali w obozie. Teraz Alison i Mamuśka (tak Szerpowie ochrzcili Verę W.) też pewnie śpią. Wrócą jutro. Nie martw się, bara memsahib.

– Mam nadzieję – powiedziałam. – Ale co z radiem?

– Radio zepsute – powiedział Chewang. – Nie martw się, bara memsahib, jeżeli jutro nie będzie kontaktu, a Mamuśka i Alison nie wrócą, pójdziemy na górę i zobaczymy. Ale jesteśmy bardzo zmęczeni. Musimy odpocząć jeszcze jeden dzień, zanim będziemy mogli bezpiecznie wejść na górę.

– Dzięki, Chewang. Wiem, że jesteście bardzo zmęczeni, ale jeżeli nie będzie od nich żadnych wieści, będziecie musieli pójść i sprawdzić.

Wróciłam do namiotu i jeszcze raz spróbowałam z radiem.

ARLENE (OBÓZ II): Obóz II do obozu V. Obóz II do obozu V. Proszę, dajcie jakiś znak. Proszę. Proszę.

Jednak zgłosił się tylko obóz I – powiedzieli, że przez cały dzień nic nie widzieli.

Spędziłam bezsenną, samotną noc w obozie II – to była jedna z najgorszych nocy w moim życiu. Nie straciłam nadziei całkowicie, ale zaczęłam obawiać się najgorszego. Jeżeli na górze coś im się stało, szanse, że zdołamy im pomóc, były minimalne. Chociaż trzy kobiety z pierwszej grupy zostały w obozie III, były zbyt wycieńczone, żeby wracać na górę.

Jeżeli rano wciąż nie dadzą żadnego znaku życia, będę musiała wysłać na górę Szerpów. Mimo zmęczenia wciąż mogli machnąć trasę z dwójki do czwórki w ciągu jednego dnia i zdać raport z „piątki” w południe następnego dnia. W ostateczności prawdopodobnie mogliby nawet znieść wspinaczkę. Ich siła byłaby niezwykle ważna w przypadku ewentualnej akcji ratunkowej.

Tego ranka znów rozmawiałam z Szerpami.

– Nie dają znaku życia. Musicie w tej chwili iść i sprawdzić, co z Verą W. i Alison.

– Nie – beznamiętnie oznajmił Mingma. – Ciągle mamy odmrożone stopy. Jesteśmy zbyt zmęczeni. Nie możemy iść.

– No cóż, ktoś musi iść do obozu V, i to w tej chwili – może Vera W. i Alison leżą chore w namiocie – powtórzyłam stanowczo. – Jesteście dużo szybsi niż my; jeżeli wyjdziecie teraz, dotrzecie tam jutro. Nam ta wyprawa zajęłaby trzy dni.

– Z Mamuśką i Alison na pewno wszystko w porządku – powiedział Mingma. – Ale jeżeli nie wrócą do jutra, pójdziemy. Dziś mamy chore stopy i jesteśmy zbyt słabi.

Rzeczywiście, Szerpowie wyglądali dość mizernie. Poprzedni dzień spędzili, wygrzewając się na słońcu, usiłując trochę się ogrzać i nabrać sił – dziś robili to samo. Musiałam przyznać, że dodatkowy dzień odpoczynku sprawiłby, że ich podróż byłaby bezpieczniejsza i krótsza. Nie miałam serca zmuszać ich, żeby wychodzili w tym stanie, więc zgodziłam się. Obiecali, że wyruszą jutro rano.

Spędziliśmy kolejny długi dzień na czekaniu i wypatrywaniu. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak wspaniale byłoby, gdybyśmy wszyscy byli w bazie i świętowali, zamiast siedzieć tutaj w tym potwornie męczącym napięciu. Za każdym razem, kiedy słyszałam huk lawiny, ściskało mnie w żołądku. Annapurna pozwoliła nam wejść na szczyt. Czy ceną będzie życie?

– Proszę... – nieustannie się modliłam. – Niech wyjdą z namiotu. Proszę, to jedyne, czego chcę.

O godzinie 15 Annie i Christy wróciły przygnębione z obozu I. One również poranek spędziły na obserwowaniu ściany i próbach nawiązania kontaktu. Powiedziały, że atmosfera jest napięta i ponura.

– Nawet nie próbujemy sobie wyobrazić, co mogło się stać – powiedziała Christy. Ale ja wyobrażałam to sobie aż za dobrze...

O godzinie 16 zaczął padać śnieg. Piro i Vera K. zostały na wszelki wypadek w „trójce", a Irene schodziła sama. Była tak wykończona, że gdyby została tam dłużej, a śnieg nie przestawałby padać, mogłaby mieć kłopoty z zejściem, jednocześnie unieruchamiając w obozie III Piro i Verę K. Najgorsze było jednak to, że gdziekolwiek Vera i Alison się znajdowały, tam zadymka była jeszcze gorsza.

Tuż przed kolacją Irene dotarła do obozu II. Zapytałam ją raz jeszcze o to, w jakich nastrojach Vera W. i Alison opuszczały obóz IV i jakie dokładnie miały plany.

– Kiedy wychodziły, były bardzo pewne swego – powiedziała. – Chciały iść na środkowy szczyt i wzięły ze sobą maszynkę do gotowania oraz śpiwory na wypadek, gdyby miało im to zająć dwa czy trzy dni.

– Biwak? Na tych wysokościach? O tej porze roku? Ani słowem mi o tym nie wspomniały – mówiłam zdumiona.

– Teraz, kiedy już tu jestem, też wydaje mi się to szalonym pomysłem – zgodziła się Irene. – Ale wtedy brzmiało to sensownie.

Westchnęłam głęboko i podzieliłam się z nią moimi wątpliwościami.

– Obawiam się, że mogły spaść gdzieś pod obozem V.

– To możliwe – stwierdziła, mówiąc powoli, Irene. – Tuż pod piątką jest bardzo stromo. Są dwie ścieżki z ubitego śniegu – niemalże lodu. Ale nie sądzę, żeby sama wspinaczka sprawiła im tam dużą trudność.

– Jest tam możliwość asekuracji?

– Tak. Jest wąska szczelina lodowa, gdzie można zamocować czekan – jest na samym środku zbocza, tuż pomiędzy tymi dwoma występami.

– Czy istnieje możliwość, że mogły nie zauważyć szczeliny? Albo zboczyły ze ścieżki?

– Tak, to możliwe. Ale ekipa filmowa stwierdziła, że widziała je na właściwej drodze i że miały wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do piątki przed zmrokiem. Piro uważa, że urządziły sobie dwu- czy trzydniową wycieczkę z biwakiem i po prostu nie ma ich w zasięgu wzroku i dlatego nie widziałyśmy ich przez cały dzień.

– Mam nadzieję, że Piro ma rację – powiedziałam, choć sama w to nie wierzyłam. – Wyglądasz na wycieńczoną, Irene. Jak się czujesz?

– Przeżyję, ale ostatnio czuję się, jakby mój organizm nawalał – przyznała Irene. – Kiedy wczołgałam się do namiotu w obozie III, głowa zaczęła mi ciążyć, pochyliłam się do przodu i wylądowałam na maszynce do gotowania. Nie zdawałam sobie sprawy z oparzenia do momentu, gdy kilka dni później nie dotknęłam strupa.

– Nie wygląda tak źle – powiedziałam.

– A potem – opowiadała – kiedy zsuwałam się po czerwonej linie, poleciałam za daleko i całym ciężarem ciała okrakiem wylądowałam na supłach na końcu liny. Obróciłam się i wisiałam tak tyłem do ściany, całym ciężarem zawieszona na czerwonej linie. Na chwilę ogarnęła mnie panika – przyszło mi to głowy, że spędzę tak resztę mojego krótkiego życia. Jednak okazało się, że mogę rozwiązać supeł jedną ręką. Potem z kolei, kiedy właśnie miałam przechodzić po wzgórzu lawinowym, z Sierpa spadła całkiem pokaźna lawina. Ale nie uderzyła we mnie i oto jestem. Przeżyłam.

Uścisnęłam Irene i razem poszłyśmy na kolację. Po kolacji Christy, Irene i ja leżałyśmy już w śpiworach, usiłując przestać się martwić i zasnąć, kiedy nagle usłyszałyśmy dochodzące z zewnątrz wrzaski.

– Światła. Światła! Widzimy światła! Memsahiby schodzą do IV!

Była godzina 21 i pełnia księżyca. Nie zawracając sobie głowy narzucaniem ubrań, wybiegłyśmy w lodowatą noc i zaczęłyśmy obserwować wzgórza. Nie widziałyśmy żadnych świateł. Szerpowie jednak powtarzali, że widzą światełka poruszające się w stronę obozu IV – to mogły być tylko one. Schodzenie na dół w nocy nie było zbyt prawdopodobne, jednak wtedy o tym nie myślałyśmy. Tak bardzo chciałyśmy uwierzyć w to, że to one, że zdołałyśmy się nawet dać przekonać, że rzeczywiście są tam jakieś światełka. Po raz pierwszy, odkąd Alison i Vera W. wyruszyły z obozu IV, spokojnie przespałyśmy noc.

Następnego ranka, gdy z góry nie nadszedł żaden znak życia, zmuszeni byliśmy przyznać, że światła były prawdopodobnie odbiciami księżyca na śniegu i że Very W. i Alison ciągle nie ma. Szerpowie przygotowywali się, żeby iść na górę; dziś mieli dojść do obozu IV, a jutro do obozu V. Pomachałyśmy im na pożegnanie, czując jednocześnie niepokój i ulgę – w końcu miałyśmy usłyszeć jakieś potwierdzone informacje. Później Annie, Irene, Christy i ja obmyślałyśmy plan działania w zależności od wieści, które przyniosą Szerpowie.

– Po pierwsze, jeżeli Szerpowie znajdą Verę W. i Alison chore lub wycieńczone w obozie IV albo V, co powinnyśmy zrobić? – zapytałam.

– Mamy jeszcze trochę siły – powiedziała Christy. – Mogłybyśmy wziąć Anga, Lopsanga i może Wangela na górę.

– No tak – zgodziłam się. – A niezależnie od stanu zdrowia Szerpów, Piro, Vera K., ja, Annie i ty mogłybyśmy spróbować. Wydaje mi się, że dałybyśmy sobie radę.

– Druga możliwość jest taka, że nie znajdziemy ich w żadnym z obozów. Jeżeli będzie jakikolwiek ślad po nich, Szerpowie

oczywiście będą szukać dalej. Ale co powinnyśmy zrobić, jeżeli nie będzie żadnego śladu? Irene, ty znasz dobrze ten teren.

– Szerpowie powinni szukać przynajmniej aż do stromego podejścia nad obozem V i rozejrzeć się po tarasie pod szczytem – zasugerowała Irene. – Raczej nie uda nam się przeszukać całego terenu wokół szczytu, ale możemy szukać aż do tarasu.

– Tak, to dobry pomysł. A... – tu zawahałam się, ale musiałam mówić dalej – co, jeśli w obozie V Szerpowie znajdą ciała?

– Wtedy chyba będziemy musiały pochować je w szczelinie lodowej. Nie damy rady znieść ich na dół, to pewne – zauważyła przytomnie Christy.

Musiałam się z tym zgodzić.

– Biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu na górze, znosząc je, naraziłybyśmy się na niebezpieczeństwo. Nie mogłabym narażać życia kogokolwiek, każąc mu znosić na dół sztywne ciała – powiedziałam.

Z ulgą zakończyłyśmy ten temat i wróciłyśmy do rozmowy o tym, co zrobimy, jeżeli coś im się stało. Moglibyśmy wysłać gońca z bazy do Momosom, żeby przyprowadził wsparcie. Nowi Szerpowie mogliby przylecieć helikopterem w ciągu kilku dni i pomóc w ewakuacji.

– Boże, mam nadzieję, że po prostu któraś z nich się pochorowała – Christy była bliska płaczu.

– Nie wiem – Irene pokręciła głową. – Okropnie długo już tam siedzą. Tam jest jednak koszmarnie zimno. A zimno i wicher naprawdę mogą człowieka wykończyć – dodała, patrząc na nas ponuro.

– Postarajmy się o tym nie myśleć. Wkrótce czegoś się dowiemy – usiłowała nas pocieszyć Annie.

Tak, wkrótce się dowiemy. Dni wypełnione jedynie czekaniem stawały się nie do zniesienia. Serce zaczęło mi walić w piersi, a w mózgu tłukły się te trzy słowa: wkrótce się dowiemy.

Nagle ktoś nawiązał kontakt radiowy – usłyszałyśmy rozhisteryzowanych Szerpów.

– Yeshi, mógłbyś nam tłumaczyć? – poprosiłam.

Yeshi wypadł z namiotu kuchennego i wziął radio.

– Mingma i Lakpa znaleźli czerwoną kurtkę niedaleko obozu IV – powiedział z przejęciem. – Sądzą, że to kurtka Alison.

Wstrzymałam oddech. To mogło oznaczać, że doszło do najgorszego.

– Czerwona kurtka obok wielkiej szczeliny lodowej niedaleko obozu IV. Pójdą się jeszcze rozejrzeć.

Nie byłam zaskoczona, choć nie chciałam w to uwierzyć. Annie i Christy ściskały się i pocieszały nawzajem, a po twarzach spływały im łzy. Nikt nic nie mówił.

Dziesięć minut później Szerpowie znowu nawiązali kontakt – strasznie wrzeszczeli. Wiedzieliśmy, co chcą nam przekazać, jeszcze zanim Yeshi zaczął nam to tłumaczyć:

– Mingma i Lakpa mówią, że widzą Alison. Jest wciąż przywiązana do liny prowadzącej do szczeliny, w której leży Mamuśka.

Wzięłam lornetkę i spojrzałam na lewą stronę od obozu IV. Teraz już wiedziałam dokładnie, gdzie mam patrzeć, ale niewyraźnie zobaczyłam tylko coś czerwonego – była to kurtka Alison. Zobaczyłam kropki – Szerpów – podchodzące do tego miejsca, jak zatrzymują się i szybko zaczynają schodzić. Potem dowiedziałyśmy się, że kiedy dwóch Szerpów zbliżyło się na odległość 50 metrów od ciała, drogę przecięła im ogromna lodowa szczelina. Odwrócili

się i zaczęli schodzić z góry w takim pośpiechu, jakby gonił ich sam diabeł.

Najwyraźniej Vera W. i Alison tamtego wieczoru nie dotarły do obozu V. Musiały spaść z lodowego podejścia pod obozem lub zostać z niego zrzucone przez spadający śnieg albo lód. Spadły z wysokości niemal 300 metrów i zatrzymały się na lewo od obozu IV, gdzie ciało Very W. wpadło do szczeliny.

Mimo tego, że w sumie spodziewałyśmy się czegoś podobnego, byłyśmy w ciężkim szoku. To nie mogła być prawda. Vera W. i Alison – żyjące pełnią życia, tak pełne energii i entuzjazmu, kochane przez tak wiele osób... Kiedy otępiała siedziałam na śniegu, nieświadoma tego, co działo się wokół mnie, zaczęły mnie nachodzić wspomnienia Very W. i Alison. Myślałam o Verze, widząc ją w jej pełnej słońca kuchni, przygotowującej dla nas pyszny posiłek, a potem przypomniało mi się, jak „tańczyła" przy wchodzeniu na kamienną ścianę – każdy jej ruch był pełen gracji. No i Alison – widziałam ją teraz w wyobraźni, jak siedzi obok Janusza w obozie bazowym przed wejściem na Noszak albo jak bawi się z nepalskimi dziećmi na szlaku na Annapurnę.

Vera W. i Alison łącznie wspięły się na setki gór i miały świadomość, że upadek ze stromego zbocza może zdarzyć się każdemu wspinaczowi w każdej chwili. Wystarczy jeden fałszywy krok, przesunięcie ciężaru, poślizg – cienka granica pomiędzy życiem i śmiercią. Ale dlaczego musiało się to przydarzyć akurat im? Dlaczego jedna z nich nie postawiła stopy chociaż odrobinkę bardziej w lewo albo prawo? Dlaczego musiały zrobić ten fałszywy krok?

Powoli usiłowałam się pozbierać i myśleć o tym, co teraz zrobimy. Któraś z nas – prawdopodobnie Piro i Vera K., które ciągle były w obozie III – powinny jutro pójść i sprawdzić, co mogło

spowodować upadek albo inną przyczynę śmierci. Chciałyśmy dowiedzieć się jak najwięcej.

Mimo tego, że tak się martwiłam o to, że nie mają żadnego wsparcia, w tym przypadku obecność Szerpów nie miałaby żadnego znaczenia. Szerpowie byli szybsi, w związku z czym zazwyczaj mieli własne liny. Szerpowie, którzy towarzyszyli pierwszej grupie, dotarli do obozu V na wiele godzin przed dziewczynami.

Tej nocy śniło mi się, że byłam na miejscu Very W. i Alison – spadałam. We śnie wbiłam stopę w śnieg, podciągnęłam się i nagle skała zaczęła się kruszyć, a ja straciłam równowagę – zaczęłam się ślizgać i spadać. Próbowałam się zatrzymać, ale spadałam na łeb na szyję. Śniło mi się też, że ktoś ciągnie mnie z tyłu i ściąga ze ściany. Usiłowałam trzymać mocno czekan, ale mi się nie udało – więc znów zaczęłam spadać. Czasem śniło mi się, że zabija nas wszystkich lawina. Obudziłam się, łkając i resztę nocy przepłakałam.

Chciałam przewinąć taśmę do tyłu – zmienić grupy atakujące szczyt, wspinaczy prowadzących, zmienić to, że w ogóle ktokolwiek chciał wspinać się na ośmiotysięcznik. Jednak nie mogłam tego cofnąć. Prawda była taka, że my przeżyłyśmy, a Vera W. i Alison nie. A poza tym wszystkim byłam na nie trochę zła – że odeszły i uniemożliwiły nam radość ze zdobycia szczytu. Miałam też poczucie winy za tę złość. Potem dowiedziałam się, że nie tylko ja się tak czułam.

Cała reszta również miała fatalną noc. Christy w ogóle nie mogła zasnąć, a Marie wymiotowała w środku nocy. Najgorzej jednak miały Vera K. i Piro, które dzieliły jeden śpiwór w obozie III – całą noc nie zmrużyły oka, bojąc się jutrzejszego dnia i oglądania ciał. Założyłam, że skoro Piro jest lekarzem, będzie jej łatwiej. Jednak tak nie było.

– Nie chciałam tam iść – powiedziała mi później. – Nigdy nie widziałam ciała kogoś znajomego. Jako okulistka nie oglądam zbyt dużo martwych ciał.

Nadszedł nieunikniony poranek. Annie, Christy i ja leżałyśmy w śpiworach jak odurzone. Vera K. i Piro zaczęły wspinaczkę, by dokonać oględzin ciał. Ściana wciąż była ukryta w cieniu i było przeraźliwie zimno. Kiedy wspięły się zaledwie 100 metrów ponad obóz III, skontaktowały się z nami przez radio.

PIRO (ZNAD OBOZU III): Tu Piro i Vera K. na lodowym stopniu do Arlene w obozie II.

ARLENE (OBÓZ II): Tu obóz II. Mówcie.

PIRO: Palec znowu mnie boli. Istnieje ryzyko, że jeżeli pójdę dalej, bardzo go uszkodzę. Ja i Vera K. chcemy zawrócić. Uważamy, że inspekcja ciał nie jest taka ważna.

ARLENE: Miałam nadzieję, że je pochowacie.

PIRO: Jestem pewna, że jeżeli pójdę dalej, dostanę poważnych odmrożeń.

Dla chirurga palec wskazujący jest bardzo ważny. Dla uratowania go Piro zrezygnowała z ataku na szczyt – nie mogłam jej prosić, żeby szła teraz dalej i ryzykowała utratę palca.

ARLENE: Dobra, wracajcie. Uważajcie na siebie.

PIRO: Zobaczymy się po południu. Bez odbioru.

Więc nigdy nie dowiemy się, co dokładnie przydarzyło się Verze W. i Alison. Kiedy Piro i Vera K. zawróciły i zaczęły podążać w stronę świata żywych, ciała naszych towarzyszek w swą wieczną opiekę wzięli bogowie Annapurny. Nie chciałyśmy ich tam zostawiać, były naszymi przyjaciółkami, ale przyszła pora na zejście z tej góry. Nie mogłyśmy nic więcej dla nich zrobić.

Piramida złożona z ludzi i sprzętu, którą tak pieczołowicie konstruowałyśmy, miała teraz zostać zdemontowana, ale dwa jej

bardzo istotne składniki na zawsze pozostały na Annapurnie. Reszta wróci do obozu bazowego i spróbuje się z tym pogodzić, a także zrozumieć i uszanować decyzje, które Vera W. i Alison podjęły. Przede wszystkim jednak pozbyć się żalu. Były dwiema silnymi kobietami, które kochały góry i uwielbiały się wspinać. Mimo to bardzo trudno było nam pogodzić się z decyzją bogów tej góry. Gdyby tylko jedna stopa znalazła się odrobinę bardziej w prawo...

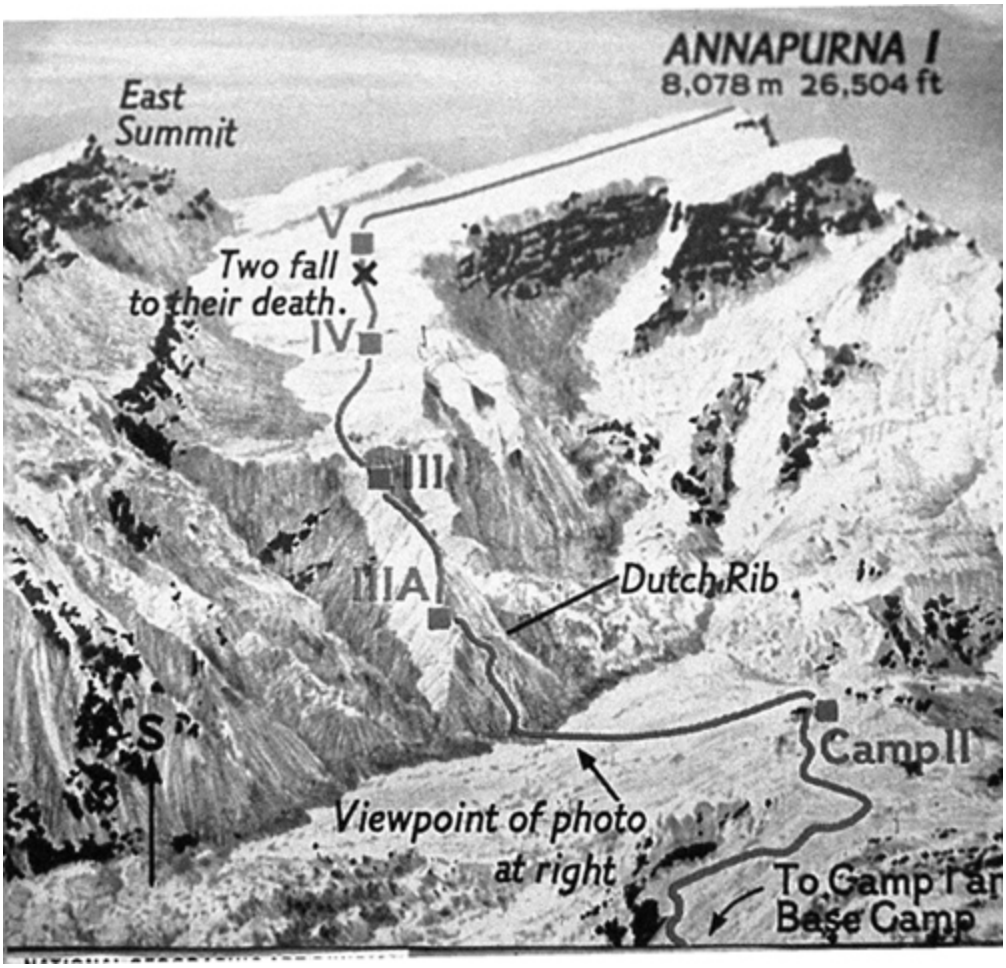

Mapa z zaznaczonym miejscem, gdzie Szerpowie Mingma i Lakpa znaleźli ciała Very W. i Alison (z archiwum Autorki).

Symboliczny cmentarz
21–22 października

Przyszedł czas na złożenie kolorowych namiotów, które przez ostatnie tygodnie chroniły nas w obozie II. Czy naprawdę to tylko tygodnie? Wydawało mi się, że mieszkałyśmy tutaj przez długie miesiące. Christy i ja wzięłyśmy ogromne toboły – ważące przynajmniej po 35 kilogramów – i zaczęłyśmy chwiejnym krokiem schodzić z lodowca; ogrzewało nas gorące słońce. Teraz, kiedy nadszedł już koniec wspinaczki, powietrze było przejrzyste, a góra wyglądała słonecznie i łagodnie. Nie mogłam się powstrzymać przed spoglądaniem od czasu do czasu na okolice obozu IV, gdzie zginęły Vera i Alison.

Kiedy dotarłyśmy do obozu I, spojrzałyśmy na ścianę przez 500-milimetrową soczewkę i ujrzałyśmy czerwień kurtki Alison. Ten widok był bardzo bolesny – usiadłam na kamieniu przepełniona żalem. Szerpowie wierzyli w reinkarnację i byli obyci ze śmiercią w górach, ale nimi również wstrząsnęła ta tragedia. Lopsang usiadł obok mnie, spoglądał na serak przez lornetkę i kręcił głową. Potem podszedł do mnie, poklepał po ramieniu i powiedział:

– Daj im odejść. Musisz puścić je wolno.

Kiedy pakowaliśmy rzeczy pozostałe w obozie I, nadeszła mgła znad Miristi Khola, a ja po raz ostatni zaczęłam wędrówkę do bazy. Z każdym krokiem w szarą, gęstą mgłę oddalaliśmy się od Annapurny, Very i Alison. Z każdym krokiem coraz bardziej my,

towarzyszki ostatnich tygodni ich życia, rozumiałyśmy, że już do nas nie wrócą. Od czasu do czasu na duchu podnosiła mnie myśl, że jednak udało nam się wspiąć na szczyt, ale głównie przepełniała mnie rozpacz. Przechodziliśmy przez kamienie moreny i po raz ostatni weszliśmy na strome, kamienne wzgórze prowadzące na pierwszą na naszym powrotnym szlaku górską łąkę. Kiedy ujrzałam zieloną trawę i kolorowe kwiatki, chciało mi się położyć na tej łące i płakać. Po tych wszystkich tygodniach spędzonych wśród śniegu i lodu, dotyk trawy na mojej skórze był niczym dotyk aksamitu.

Wszyscy zebrali się w bazie. Kiedy ściskałam Margi, Christy i Irene, łzy płynęły mi po twarzy. Margi, w butach ochronnych, w których miały się podleczyć jej stopy, próbowała mnie pocieszyć.

– Odwaliłaś kawał dobrej roboty, Arlene – powiedziała. – Kawał dobrej roboty. Nie martw się, nie mogłaś nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Byłam jej wdzięczna – czułam bliskość z tymi wszystkimi kobietami. Przez ostatnie kilka miesięcy doświadczyłyśmy razem wielu rzeczy. Byłyśmy przepełnione emocjami, ale nie miałyśmy teraz wiele do powiedzenia.

– Wykąp się – pośpieszyła z praktyczną radą Irene. – Kiedy kąpałam się wczoraj, było cudownie. Jedzenie tutaj też jest całkiem niezłe.

Kąpiel była cudowna. Była już jesień, więc było chłodno, a woda ze źródła ledwie ciekła – lodowce przestały się już topić. Nie było zatem wystarczająco wody, żeby się całkiem zanurzyć, ale nie miałam na to ochoty. Usiadłam obok strumienia, myjąc się po kawałeczku – byłam niemalże zaskoczona, kiedy zobaczyłam własne ciało wyłaniające się powoli spod skorupy brudu, potu i soli, które mnie pokrywały.

Tragarze, po których posłał Lopsang, przyszli z Choi, by wziąć bagaże na dół. Zaczęłam się pospiesznie ubierać. Zorganizowanie wyprawy do Katmandu wciąż jednak wymagało bardzo dużo roboty. Niemniej byłam bardzo zadowolona, że mam coś do roboty – mogłam się rzucić w wir pracy, zamiast nieustannie rozmyślać o tym, co się stało. Prowadziłam rozmowy z Szerpami i planowałam – wszystkie czynności wykonywałam jak robot. W ciągu dnia odpoczynku reszta ekipy i Szerpowie ściągnęli na dół ogromne toboły. Piro przyszła z mocno zabandażowanym palcem – była jednak pewna, że się zagoi i dalej będzie mogła przeprowadzać operacje. To ciekawe, że taka mała rzecz jak dziura w rękawiczce może sprawić tyle kłopotów. Gdyby nie ta mała dziurka, Piro na pewno wspięłaby się na szczyt.

Joan przyszła ostatnia, po gruntownym wysprzątaniu obozu I. Powiedziałam, że jestem jej bardzo wdzięczna za ciężką pracę, którą wykonała mimo tego, że nie mogła wspinać się wyżej – odpowiedziała mi serią komplementów na temat mojego przywództwa, twierdząc, że sama nie poradziłaby sobie tak dobrze.

Wkrótce cały zespół był już w obozie bazowym. Widząc odległy szczyt, trudno było sobie wyobrazić, że niektóre z nas na nim kilka dni temu stały – jeszcze trudniej było pojąć stratę, którą okupione było nasze osiągnięcie. Jednak zdobyłyśmy nie tylko szczyt. Lata planowania i miesiące wspinaczki zmieniły nas oraz wzmocniły. Przetrwałyśmy najgorsze fizyczne i psychiczne napięcia i odkryłyśmy, że jesteśmy w stanie osiągnąć wielkie rzeczy. Każda z nas w pełni wykorzystała swoje umiejętności oraz możliwości i każda miała świadomość, że jej wysiłki przyczyniły się do naszego wspólnego sukcesu. Dodatkowo zyskałyśmy przyjaźń i ciepło, które nas zjednoczyły. Zadawniony konflikt między Joan a mną został po przyjacielsku rozwiązany, a w ciągu ostatnich miesięcy nie

doszło do żadnych większych nieporozumień, które mogłyby zaowocować wzajemną wrogością. Dla mnie było to równie ważne jak zdobycie szczytu.

Tego wieczoru napisałam listy do rodziców i męża Alison, do przyjaciół i rodziców Very W., a także do Liz, której umiejętności bardzo pomogły w ekspedycji i której tak bardzo zależało na każdej z nas. Opisałam im szczegóły ostatnich dni i usiłowałam znaleźć dla nich słowa pocieszenia, które zawsze wychodziły banalnie:

– Odeszła, robiąc to, co kochała najbardziej... Annapurna jest dla nich dobrym miejscem ostatniego spoczynku... To była szybka i bezbolesna śmierć.

Kiedy pisałam te słowa, nie pocieszyły mnie one zbytnio i szczerze wątpiłam, czy przyniosą ukojenie rodzinom i przyjaciołom Alison i Very W. Jednak cóż innego mogłam napisać? Że powinny być tu z nami, że to niesprawiedliwe, że góra zażądała tak wielkiej zapłaty?

Christy wnosi ważący 40 kilogramów ładunek z obozu II do bazy (fot. Arlene Blum).

Arlene wykuwa imiona i nazwiska Very W. i Alison na skale symbolicznego cmentarza (fot. Marie Ashton).

Eklpa świętuje sukces przy szampanie i smażonym kurczaku (fot. Arlene Blum).

Vera W. i Alison, tak jak wszystkie himalaistki, podejmowały już wcześniej podobne ryzyko. Vera W. opowiadała nam wiele razy o swojej samotnej wspinaczce na Aconcaguę – o strasznych burzach, halucynacjach i koszmarnym znalezisku buta, w którym tkwiła kość ludzkiej nogi. Przetrwała to wszystko. Wspięła się na szczyt i zeszła na dół całkiem sama. Alison natomiast, kiedy zdobywała Noszak w 1972 roku, została wybrana do grupy wspinającej się na szczyt późnym popołudniem mimo tego, że doskonale znali ryzyko schodzenia po ciemku. Po drodze na dół zgubiła raka, upadła i zdołała się zatrzymać tuż nad przepaścią. Jednak tym razem żadna z nich nie miała tyle szczęścia.

Kiedy z wielkim trudem pisałam te listy, usłyszałam Szerpów tańczących i śpiewających wokół ogniska rozpalonego przy kuchni. Dziewczyny zebrały się wokół ognia i obserwowały ich tańce,

jednak ja zostałam w stołówce – tu, siedząc sama, silniej czułam bliskość z Alison, Verą W. i ludźmi, którzy je kochali.

Następnego dnia wcześnie rano podeszłam do kamiennego muru z wyrytymi nazwiskami siedmiu innych osób, które zginęły po tej stronie Annapurny. Marie wypisała kredą wielkimi literami nazwiska Very W. i Alison po stronie muru zwróconej ku Annapurnie. Słońce się nie pojawiło, więc poranek był chłodny. Zaczęłam wykuwać litery na kamieniu przy pomocy młotka i śrubokrętu. Nazwiska Very W. i Alison zostaną tu na zawsze, wyryte w skale zwróconej w stronę szczytu, który tak pragnęły zdobyć.

17 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU
VERA WATSON
ALISON CHADWICK

Nagle usłyszałam jakiś łoskot w oddali.

– Helikopter – ktoś wrzasnął.

– To na pewno Marquita! – zawołałam. Marquita Maytag była moją przyjaciółką od czasów ekspedycji na Everest w 1976 roku, kiedy to była amerykańską ambasadorką w Nepalu. Powiedziała mi, że jeżeli uda nam się wspiąć na szczyt Annapurny, przyjedzie, żeby nam pogratulować, i najwyraźniej dotrzymała słowa.

Kiedy helikopter zbliżał się do ziemi, wszyscy rozbiegli się po namiotach, żeby zabezpieczyć rzeczy przed wiatrem wytwarzanym przez wirniki. Tragarze, z których większość nigdy wcześniej nie widziała helikoptera na oczy, dziwowali się temu stworowi, który zleciał z nieba. Nawet my byłyśmy zaskoczone tym niespodziewanym widmem zmechanizowanego świata pojawiającym się tu znienacka, po tylu miesiącach naszej izolacji.

Marquita wysiadła i oficjalnie nam pogratulowała:

– To wspaniałe, co zrobiłyście. Nie tylko dla siebie, ale dla tylu kobiet na świecie.

Przedstawiłam ją zespołowi. Rozejrzała się i spytała:

– Czy to wszyscy?

– Nie – powiedziałam. – Grupa, która jako druga ruszyła na szczyt, nigdy nie wróciła.

– Co?!

– Vera Watson i Alison Chadwick spadły z góry, kiedy próbowały wspiąć się na szczyt. Zginęły na miejscu.

– O nie! – Marquita się skrzywiła. – Nie mogę w to uwierzyć. To okropne.

Usiłowałam ją pocieszyć. Właśnie dowiedziała się o czymś, z czym my godziłyśmy się przez ostatnie trzy dni.

– Czy mogę coś dla was zrobić? Może przewieźć Szerpów helikopterem, żeby znieśli ciała? – spytała.

– Nie. Nie ma sensu. Nie mogłyśmy znieść zwłok bez ryzykowania własnego życia. Dziękujemy, Marquito, ale nie możesz nic dla nas zrobić.

– Co dokładnie im się stało?

– Spadły z wysokości 300 metrów tuż pod obozem V. Któraś z nich się poślizgnęła albo zmiotła je lawina lub kamienie. Szerpowie powiedzieli, że ciała były w różnych miejscach. Jeżeli któraś z nich przeżyłaby upadek, prawdopodobnie podpełzłaby do drugiej, więc założyłyśmy, że zginęły na miejscu.

Marquita jest silną kobietą. Pozbierała się i kontynuowała przekazywanie gratulacji, teraz może odrobinę bardziej mechanicznie.

Przywiozła nam smażonego kurczaka, kanapki, skrzynkę kalifornijskiego wina i – co było najlepsze ze wszystkiego – pocztę. Kiedy tak siedziałyśmy w ciepłym słońcu, czytając listy i delektując

się po raz pierwszy od wielu tygodni świeżym jedzeniem i winem, Marquita powiedziała nam, że Wanda Rutkiewicz właśnie wspięła się na Mount Everest. Dokonała tego w ciągu ośmiu godzin – i to idąc od Przełęczy Południowej. To było niezwykłe osiągnięcie. Gdyby Alison mogła to usłyszeć, bardzo by ją to uradowało.

W ciągu dnia zmieniałyśmy się przy wykuwaniu imion Very W. i Alison w skale. Tego popołudnia miałyśmy zamiar urządzić stypę, ale ciągle to odkładałyśmy – to by oznaczało, że Vera i Alison z całą pewnością nie żyją, w co jakoś wewnętrznie nie mogłyśmy wciąż uwierzyć. W końcu kiedy już się ściemniało, a szczyt schował się we mgle, zdecydowałyśmy, że nie możemy dłużej czekać – następnego dnia mieliśmy zwijać obozowisko. Kiedy zapadł zmierzch, podeszłyśmy do skały i stałyśmy tam w ciszy. Nasze umysły i serca były wypełnione wspomnieniami o Verze W. i Alison – nie mogłyśmy jednak wykrztusić z siebie ani słowa.

W końcu Christy rozpoczęła ceremonię:

– Zebraliśmy się tutaj, by uczcić pamięć Very W. i Alison, naszych drogich przyjaciółek. Czy ktoś ma jakąś pamiątkę po nich, którą chciałby tu zostawić?

Chrisy wyciągnęła pudełko, w którym były zdjęcia i pamiątki po tych, którzy zginęli na Annapurnie. Było one przechowywane w zagłębieniu w murze symbolicznego cmentarza.

Dodałyśmy do pudełka zdjęcia Very W. i Alison, fotografię szczytu Annapurny, a ja zostawiłam również szalik modlitewny, który dostałam w prezencie od mnicha z klasztoru w Tengboche. Nosiłam go na Evereście w nadziei, że ochroni mnie przed lawinami.

– Mam nadzieję, że dzięki temu ich dusze zaznają spokoju tu, na Annapurnie – wymamrotałam. Potem Christy odłożyła pudełko na swoje miejsce, a my przysypałyśmy je kamieniami.

– Tak bardzo za nimi tęsknię – powiedziała Christy. – Tęsknię za ciepłem i entuzjazmem Very W. Tęsknię za tym, jak bardzo zależało jej na nas i na tej wspinaczce.

– Bez uporu Very W. poddałybyśmy się na starcie i nigdy nie dostałybyśmy pozwolenia na tę ekspedycję – powiedziałam. – Kiedy sprawy zaczęły się komplikować, Vera nie przejęła się tym. To dzięki niej mogłyśmy tu przyjechać.

– Brakuje mi troski, uczciwości i idealizmu Alison – oznajmiła Margi. – Ona naprawdę wierzyła w kobiecą wspinaczkę i w możliwości kobiet w osiąganiu wielkich rzeczy.

Objęłyśmy się ramionami i zaśpiewałyśmy starą piosenkę kwakrów:

– Niech to będzie prosty dar, niech to będzie wolność, niech nam wolno będzie być tam, gdzie jest nasze miejsce...

Potem Szerpowie zaczęli skandować:

– Om mani padme hum, om mani padme hum... (Klejnot znajduje się w lotosie, duch ludzkości unosi się we wszechświecie).

– Niech dusze Very W. i Alison zostaną na Annapurnie! – Szerpowie i dziewczyny skandowali razem, obejmując się ramionami.

Szczytu już nie było widać, a my szliśmy w ciężkiej mgle na kolację. Po kolacji wszyscy podeszli do ogniska, żeby ostatniej nocy tańczyć i spędzić razem trochę czasu. Rozejrzałam się po zebranych tu twarzach, podświetlonych na złoto przez migające płomienie, i zaczęłam rozmyślać o tym, co zyskałyśmy i jak to doświadczenie wpłynie na nasze życie.

Annie i Yeshi siedzieli wygodnie i obejmowali się. Annie miała zamiar zostać przez miesiąc w Nepalu i wędrować przez ten czas razem z Yeshim. Joan, Margi i Vera K. również chciały zostać w Nepalu na trekking. Patrząc na Verę K. tańczącą z Szerpami, nikt

by się nie domyślił, że przed paroma dniami wspięła się na wysoką górę. Była silna i pełna entuzjazmu – myślała już nawet o zorganizowaniu ekspedycji na Dhaulagiri. Christy następnego ranka miała polecieć helikopterem Marquity, żeby telefonicznie przekazać tragiczne wieści rodzinom i przyjaciołom Very W. i Alison.

Izolacja i deprywacja sensoryczna, w której pozostawałyśmy tyle czasu, dobiegały końca. Następnego dnia miałyśmy po raz pierwszy od bardzo dawna zobaczyć krzewy, potem pojedyncze drzewa, a w końcu lasy. Miałyśmy ujrzeć zwierzęta i mieszkańców Nepalu. Wkrótce nasza zwarta grupa – którą zjednoczyło zwycięstwo i cierpienie – miała natknąć się na tłum turystów z całego świata, którzy zdążali wzdłuż brzegu Kali Gandaki na tutejsze listopadowe święto. A w Katmandu miałyśmy zobaczyć naszych przyjaciół i czekające na nas media. W końcu każda z nas miała pójść w swoją stronę i spróbować wrócić do normalnego życia. Jednak w tej chwili po prostu odpoczywałyśmy i obserwowałyśmy tańczących Szerpów.

Kiedy po raz ostatni przechodziłam przez lawinowe wzgórze, poczułam, że stoję na granicy – po jednej stronie była otchłań pełna śniegu i śmierci, natomiast po drugiej życie i odnowiony szacunek do niego. Tygodnie spędzone na nieustannym strachu o własne życie, a także tragedia Very W. i Alison nauczyły mnie skupiać się na tym, co naprawdę ważne. Ryzykowałyśmy życie, a w nagrodę dostałyśmy dar radowania się nim.

Następnego ranka musiałyśmy wysprzątać obóz i spalić śmieci. Ze wszystkich pudeł zrobiłyśmy ogromne ognisko. Szerpów i tragarzy coś chyba opętało i zaczęli wrzucać do ognia wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Puszki z aerozolami wybuchały, a butelki tłukły się. Wrzucili do ognia nawet resztki jedzenia. To był niesamowity widok jak na kraj, w którym każdy przydatny

przedmiot zachowuje się i ceni. Może to palenie było jakąś formą egzorcyzmów? Obserwowałam to z fascynacją graniczącą z przerażeniem.

Kiedy wszyscy już sobie poszli, po raz ostatni przysiadłam przy ścianie symbolicznego nagrobka. Dotknęłam imion Very W. i Alison i próbowałam myśleć o szczęśliwych chwilach, które przeżyły w ciągu ostatnich miesięcy. Przypomniałam sobie, jak Vera W. bawiła się z pieskiem podczas marszu, radość Liz i Alison, kiedy rozbiły obóz I, radość ze zdobycia szczytu, eteryczne piękno tego świata kamienia, lodu i śniegu. Potem pomyślałam o migrujących gęsiach, które latały w tę i z powrotem pomiędzy Tybetem a Indiami. Latały tak zapewne przed powstaniem Himalajów i będą latać, kiedy obrócimy się w pył.

Wstałam. Stawiałam automatycznie stopy. Krok po kroku oddalałam się od Annapurny.

Posłowie

Fragment ostatniego wpisu w dzienniku Annie Whitehouse:

Kiedy wracałam do domu, lecąc nad chmurami, zachodzące na nami słońce zostawiało wielokolorową poświatę: widziałam róże, oranże i żółcie, które powoli zanikały na błękitnym niebie. Ekspedycja dobiegła końca, a nasze życie w Nepalu już zmienia się we wspomnienia... To koniec wspinaczek z moją drogą towarzyszką, Verą Watson, która na zawsze pozostanie w mej pamięci. W efekcie mojego związku z Yeshim to również koniec życia, jakie znałam do tej pory... Chmury na horyzoncie trysnęły pięknym oranżem. Dobrze wiedzieć, że każdy koniec jest także początkiem czegoś nowego. Koniec tego dnia zwiastuje pierwsza świecąca gwiazda. Powoli, jedna po drugiej zaczyna świecić reszta – całą noc będą jasno świecić, po czym o świcie zbledną.

Od wyprawy na Annapurnę minęło trzydzieści pięć lat. Dla jej uczestniczek końce i początki były różne.

16 lutego 1980 roku

JOAN FIREY zmarła w Seattle w stanie Waszyngton – cierpiała na rzadką chorobę szpiku kostnego. Przez ostatnie miesiące życia nie przestawała inspirować ludzi odwagą, witalnością i ciepłem.

27 maja 2005 roku

nagła śmierć zabrała VERĘ KOMARKOVĄ. W ostatnich latach życia mieszkała w Lesin w Szwajcarii, gdzie uczyła biologii i matematyki w szkole amerykańskiej. W 1980 roku poprowadziła kobiecą ekspedycję na Dhaulagiri (8222 metry) trudną ścieżką o nazwie Pear Route; w jej zespole znalazła się również Annie Whitehouse. W 1984 roku Vera poprowadziła na Czo Oju (8201 metrów) grupę złożoną z dwóch kobiet i dwóch Szerpów. Zarówno pogoda, jak i warunki były świetne – cała czwórka wspięła się na szczyt w wielkim stylu. Wówczas po raz pierwszy na Czo Oju wdrapała się kobieta. Było to również pierwsze na ten szczyt wejście amerykańskie, czechosłowackie i nepalskie. Vera wspinała się także z dwójką swoich synów, Mipamem i Dorje, którzy są w połowie Szerpami. Połączyła swoje dwie wielkie pasje – rośliny i góry – badając roślinność na dużych wysokościach.

3 sierpnia 2013 roku

zmarła IRENE MILLER (w 1980 roku wróciła do panieńskiego nazwiska BEARDSLEY). Wraz z mężem, Danem Bloombergiem, mieszkała przez ostatnie lata w Palo Alto w stanie Kalifornia. Po wyprawie na Annapurnę wspierała finansowo dwójkę z naszych tragarzy, płacąc za nich czesne. Wielokrotnie powracała do Nepalu na wędrówki z nimi, swoją córką i przyjaciółmi. Irene przeżyła wiele tragedii – jej córka Teresa cierpiała przez wiele lat na chorobę, która zagrażała jej życiu. Jej pierwszy mąż, Leigh Ortenburger, zginął w 1991 roku w pożarze lasu w Oakland Hills, a jej matka zmarła na raka. W 1992 roku Irene zrezygnowała z posady fizyka w IBM i od tamtej pory pracowała m.in. nad dokończeniem „Przewodnika wspinacza po górach Teton", który pisał jej zmarły mąż. Badała też kaniony w stanie Utah – zasiadała w radzie Coyote Creek Riparian Station (organizacji non-profit wspierającej ochronę ekosystemów

rzek górskich) i badała życie ptaków występujących w Potoku Kojotów. Nie rozstawała się z górami – co roku, w sierpniu, wyruszała na trekking w górach stanu Wyoming, dużo jeździła również na rowerze po pięknych trasach w Jackson Hole.

Wszystkie pozostałe uczestniczki wyprawy żyją, mają się z grubsza dobrze i kontynuują, na ile pozwalają im na to warunki, swoje pasje, w tym te związane z górami.

LIZ KLOBUSICKY-MAILAENDER

mieszka z mężem Nicko Mailaenderem, w Monachium. Jej ulubione zajęcia to wspinaczka i skialpinizm. Ostatnio próbowali wejść, startując z poziomu morza, na szczyt Mount Waddington – najwyższą górę w Kolumbii Brytyjskiej. Wyprawa wymagała między innymi 160-kilometrowej podróży kajakiem przez Fiord Knight i przedzieranie się przez gęsto zarośnięty teren do obozu bazowego. Burza zmusiła ich do odwrotu, ale zamierzają tam wrócić.

Liz pomogła w założeniu szeregu obiektów służących mieszkańcom wschodniego Tybetu – szkół, klinik i domu dla starszych oraz schorowanych osób. Inną pasją Liz jest joga, która pozwala jej na odkrycie elastyczności własnego ciała, a także zasięgu jego możliwości. Profesjonalnie uczy i przeprowadza badania programów komputerowych mających pomóc w uczeniu się języków. Przez wiele lat zarządzała również międzynarodowym programem integracji dla studentów filologii na uniwersytecie w Monachium.

PIRO KRAMAR

jest emerytowaną okulistką i mieszka na wyspie Vashon w stanie Waszyngton. Nadal pasjonują ją trudne technicznie wspinaczki,

trekking i jazda na nartach, choć, jak przyznaje, jej tolerancja na duże wysokości spadła i stara się obecnie nie wspinać wyżej niż 3000 metrów. Wcześniej dwukrotnie próbowała wejść na Mount Waddington (4019 metrów), jednak wobec trudnych warunków pogodowych zmuszona była się poddać. Interesuje się fotografią i muzyką klasyczną. Jak wiele osób w „podeszłym wieku" uważa, że „coraz trudniej jest utrzymać dobrą formę, organizm wolniej się regeneruje, a popołudniowe drzemki są coraz bardziej nęcące".

Mieszka w domu z widokiem na zatokę Puget wraz z Barbarą Drinkwater, fizjologiem wysokościowym, która badała członkinie naszej ekspedycji. Zajmuje się też schroniskiem dla zwierząt i uwielbia czytać dobre książki, na które często włazi jej ulubiony kot.

MARGI RUSMORE

jest profesorem geologii na Occidental College w Los Angeles, gdzie zajmuje się geologią strukturalną, wędrówką płyt tektonicznych i ewolucją łańcuchów górskich. Ma męża, Scotta Bogue'a, i syna, Roberta Rusmore'a Bogue'a.

Udało się jej pogodzić swoją miłość do gór i zawód geologa, pracując w Górach Nadbrzeżnych w Kolumbii Brytyjskiej, które opisuje jako piękne, wyboiste i odizolowane – „głównie dlatego, że pogoda jest tu do kitu!". Margi nadal wspina się na skaliste partie swoich ukochanych gór, choć przyznaje, że obecnie bardziej pasjonuje ją odkrywanie pradziejów łańcucha górskiego, niż samo wspinanie się na jego szczyty.

CHRISTY TEWS

przez wiele lat mieszkała na ranczu nieopodal Garson City w stanie Nevada. Od powrotu z Annapurny pracowała jako cieśla i nauczycielka wspinaczki. Potem zajmowała się projektowaniem

domów ze słomy, uczyła w technikum, a obecnie uwielbia spędzać czas ze swoją dorosłą córką Gail, wnukiem Alexandrem, który pisze teksty piosenek, i prawnuczką Samanthą.

Poprowadziła kilka wypraw trekkingowych w niższych partiach Himalajów, głównie w Bhutanie, połączonych z odwiedzaniem świętych miejsc buddyzmu. W trakcie jednej z nich, gdy grupa znalazła się w bardzo trudnej sytuacji ze względu na nagłe załamanie się pogody, uratował ich młody przewodnik o imieniu Tenzin. Christy zaadoptowała go i pomogła mu w przeprowadzce do Stanów Zjednoczonych. Tenzin skończył uniwersytet i poślubił jej siostrzenicę.

Christy bardzo lubi podróże po Azji ze swym mężem Ronem Suttonem oraz loty po całej Ameryce ich własną awionetką. Pomagała przy zakładaniu buddyjskiej sanghi (społeczności) złożonej z 60 osób praktykujących buddyzm w północnej Nevadzie. Jej celem jest „proste, zrównoważone życie pełne miłości i bez szkodzenia innym". Uścisnęła dłoń Dalajlamy. W roku 2014 planuje poprowadzić pielgrzymkę pod górę Kajlas w Tybecie, która jest świętym miejscem dla wyznawców czterech religii – hinduizmu, buddyzmu, dżinizmu i bon. Przez szacunek dla nich na górę tę nie wspiął się jeszcze żaden alpinista.

ANNIE WHITEHOUSE

jest profesjonalną alpinistką, wykładowczynią i położną. Mieszka w Boulder w stanie Kolorado. Cztery lata po Annapurnie rozwiodła się z Yeshim Tenzingiem, który jednak pozostał w Stanach Zjednoczonych, a Annie zachowała bliskie stosunki z jego rodziną w Nepalu. Uprawia jogę i pisze magisterium z antropologii oraz etyki medycznej. Wyszła ponownie za mąż za Michaela Gilberta, który jest prawnikiem z Denver. Uwielbiają wspinać się razem na skałki.

Ekspedycja na Annapurnę była początkiem podróżniczej kariery Annie. Była na dużych kobiecych wyprawach na Annapurnę i Dhaulagiri, poprowadziła małą ekspedycję w stylu alpejskim, w której poza nią znaleźli się sami mężczyźni, na Ama Dablam (6856 metrów). Była też w zespole zdobywającym zachodnią ścianę Everestu w 1983 roku. Wspięła się wtedy powyżej 8500 metrów – był to wówczas rekord wysokości wśród Amerykanek, który utrzymał się przez kolejnych pięć lat. W 1986 roku Annie wróciła na Everest i wspięła się na jego północną ścianę. W 1991 roku Annie i jej przyjaciółka dokonały pierwszego wejścia na północno-wschodnią grań Gurla Mandhata (7700 metrów) w zachodnim Tybecie.

Ekipa filmowa:

MARIE ASHTON

mieszka w Santa Monica w stanie Kalifornia. Wychowała trzy córki: Lillie, Katharine i Stephanie. Po Annapurnie robiła filmy dla Narodowej Organizacji Kobiet i pracowała w Hollywood. Po urodzeniu pierwszego dziecka wróciła na studia i zrobiła doktorat z psychologii klinicznej. Jako terapeutka zajmowała się dziećmi, które doświadczyły przemocy, pracowała nad projektem interwencyjnym dla nastoletnich gangów i uczyła w Antioch Graduale School of Clinical Psychology.

Pracowała też jako wolontariuszka w klinice odwykowej. Uwielbia podróżować i jeździć na rowerze z córkami oraz mężem Ronem Friendem.

DYANNA TAYLOR

mieszka w domu zrobionym ze szkła, drewna i suszonej na słońcu cegły na dwóch hektarach pustyni pod Santa Fe w Nowym Meksyku – nazywa to miejsce swym azylem. Kariera filmowca sprawiła, że jeździła po całym świecie. Nakręciła doskonałe filmy na tematy takie jak: dzieci, które doświadczyły przemocy, ginące ekosystemy, walka o ochronę brazylijskiego lasu deszczowego i historia rdzennych Amerykanów. Dalej kręci, reżyseruje i produkuje filmy zarówno o ciemiężonych mniejszościach, jak i o dzikiej przyrodzie oraz ochronie środowiska.

Dyanna biega, podróżuje, tańczy, uprawia ogródek warzywny, kocha zwierzęta i praktykuje buddyzm.

Wreszcie parę słów o mnie

W 1980 roku poprowadziłam ekspedycję, w której udział wzięły Piro, Christy i pięć innych kobiet. Dokonałyśmy pierwszego podejścia na Bhrigupanth położonego na wysokości 6797 metrów w indyjskich Himalajach. Po poprowadzeniu ekspedycji na Annapurnę i Bhrigupanth moim kolejnym wielkim marzeniem było himalajskie przejście trekkingowe przez Bhutan, Nepal i Indie. W lipcu 1982 roku dokonałam, wraz z Hugh Swiftem, doświadczonym pisarzem i wędrowcem, tego liczącego 3200 kilometrów przejścia, które zajęło nam dziewięć miesięcy. W kolejnych latach poprowadziłam szereg wypraw wspinaczkowych i trekkingowych w Nepalu, Indiach, Birmie, Alpach, Andach i górach wschodniej Afryki. Prowadziłam również kurs trekkingu himalajskiego na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, zorganizowałam coroczny Berkeley Himalayan Fair, nagrałam szereg taśm do nauki języków używanych w Nepalu i organizowałam wycieczki w region Himalajów – wszystko po to,

żeby rozwinąć zainteresowanie i szacunek dla regionu oraz ludzi mieszkających w Himalajach.

Irene w drodze na Annapurnę, w tle Dhaulagiri (fot. Arlene Blum).

Annapurna – góra kobiet (z archiwum Autorki)

Zgadzam się z Margi, Marie i Irene, że największą przygodą w życiu jest macierzyństwo. Kiedy moja córka, Annalise, miała trzy miesiące, wraz z jej ojcem, Robem Gomersallem, wyruszyliśmy na trzymiesięczną wycieczkę po Alpach, zatrzymując się w góralskich chatach. Potem mieszkałyśmy długo z Annalise w Kensington w Kalifornii, gdzie prowadziłam kursy dla liderów i zajęcia z dialogu międzykulturowego – przede wszystkim dla naukowców i kobiet. Mieszkałyśmy też jakiś czas w Katmandu, gdzie również prowadziłam warsztaty dla liderów. W poszukiwaniu dobrych szkół pojechałyśmy do Fortu Collins w Kolorado. Byłyśmy także w Monteverdi na Kostaryce – tam Annalise uczęszczała do dwujęzycznej szkoły, a ja pracowałam nad książką „Molekuły, góry i macierzyństwo" o mojej samorealizacji w roli naukowca, wspinacza i matki.

Annapurna była przyczyną wielkich zmian w moim życiu. To doświadczenie spowodowało, że na wiele lat zrezygnowałam z kariery biochemika i napisałam książkę, zaczęłam także nauczać o Himalajach, podróżować i prowadzić warsztaty dla liderów. Czasem pół żartem, pół serio mówiłam: „Jak niby mają wsadzić mnie z powrotem do laboratorium po pobycie w Himalajach?".

Po latach jednak – w 2006 roku, kiedy moja córka zdążyła dorosnąć i pójść na studia (studiuje inżynierię środowiska i zajmuje się problemem dostępu do wody oraz warunków sanitarnych w krajach rozwijających się) – powróciłam do pracy naukowej.

Jako profesor wizytujący wykładam chemię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Jestem także dyrektorem wykonawczym w Green Science Policy Institute, który założyłam w 2008 roku. Organizacja ta zajmuje się lobbingiem na rzecz ograniczenia stosowania szkodliwych chemikaliów, a także ochrony ludzkiego zdrowia i globalnego środowiska. Dzięki naszym badaniom i wysiłkom udało się zapobiec użyciu kilkudziesięciu tysięcy ton środków toksycznych stosowanych przy produkcji materiałów ognioodpornych oraz wielu innych toksycznych chemikaliów używanych na całym świecie, m.in. przy produkcji mebli i urządzeń elektronicznych.

Wcześniej, przed powrotem do pracy naukowej, ukończyłam drugą kolejną książkę, zatytułowaną „Breaking Trail: A Climbing Life". Rozważam w niej, w jaki sposób moje trudne dzieciństwo przyczyniło się do sukcesów, które w dojrzałym życiu osiągnęłam we wspinaniu się oraz w innych dziedzinach.

Wydawało nam się, że wyprawa na Annapurnę ostatecznie przełamała tabu związane z uczestnictwem kobiet w wyprawach wysokogórskich. Jednak zmiany w mentalności nie zachodzą aż tak szybko.

Kilka lat po wyprawie założyłyśmy fundację imienia Very W. i Alison mającą wspierać młode alpinistki. Kiedy po raz pierwszy przedstawiłyśmy projekt, napotkałyśmy opór.

– Musicie zbierać pieniądze również dla mężczyzn. Wspinaczki nie uprawia zbyt wiele kobiet – zapewnił mnie jeden z szacownych członków American Alpine Club. Zaprotestowałam. Oznajmiłam, że pieniądze zostały zebrane na wspinaczkę kobiecą i nie powinny być użyte w żadnym innym celu. Odpowiedź brzmiała:

– Kobiety są dobre w zbieraniu funduszy i organizowaniu wsparcia dla wspinaczek. Jeżeli będziecie miały duży fundusz, powinnyście podzielić się z prawdziwymi wspinaczami, mężczyznami.

To, niestety, w dalszym ciągu częsta opinia w tych „szacownych kręgach" środowiska wspinaczkowego. Mimo to jednak udało nam się założyć fundusz na kobiecą wspinaczkę ekspedycyjną, który został zatwierdzony przez AAC. Rodzina i przyjaciele Alison założyli podobną fundację w Wielkiej Brytanii. W kolejnym roku sfinansowałyśmy zjazd wspinaczy w górach Teton, który później przerodził się w coroczne wydarzenie. W ramach tego spotkania odbyło się szkolenie dla kobiet w planowaniu ekspedycji. Wzięło w nim udział około czterdziestu kobiet i mężczyzn.

Na Annapurnie nic się nie zmienia – wciąż jest piękna, odległa i obojętna na ludzkie troski. Rok po naszej wspinaczce amerykańska wyprawa złożona z ośmiu mężczyzn postanowiła pójść naszym śladem, to jest holenderskim szlakiem – bez Szerpów i tlenu. Radzili sobie doskonale do momentu, w którym wiatr spowodowany pędem ogromnej lawiny zwiał z Holenderskiego Żebra ich obóz wraz z jego załogą.

Kiedyś napisali do mnie Szwedzi, prosząc o radę. W 1981 roku zamierzali się wspinać na północną ścianę Annapurny.

W odpowiedzi napisałam, że na tej górze schodzi bardzo dużo lawin, ale starałam się ich nie zniechęcić. Nie mogłam im powiedzieć, że ryzyko jest zbyt duże; sami musieli podjąć decyzję. W alpinizmie sprawdza się zasada, że największe nagrody dostają tylko najwięksi śmiałkowie.

Na Annapurnie cały zespół podjął ryzyko i wiele poświęcił. Jakie będą tego konsekwencje? Tylko czas pokaże. Maurice Herzog napisał na zakończenie swojej książki: „Dla mężczyzn zawsze będą inne Annapurny".

Dla kobiet także.

Pisząc tę książkę, zapytałam członkinie ekspedycji o to, jaki wpływ na ich życie miała ta wyprawa. Dyanna, Liz i Marie odparły, że przez wspinaczkę na Annapurnę zaczęły interesować się tybetańskim buddyzmem. Annie i Christy również praktykują buddyzm, a w ostatnich latach życia praktykowała go też Vera Komarkova. To, że tyle z nas po tej wyprawie zwróciło się ku filozofii życia bieżącą chwilą, nie jest zbyt zaskakujące. Wartość skupienia się na teraźniejszości na Annapurnie była ogromna – granica życia i śmierci była bardzo cienka i wystarczył jeden fałszywy krok czy ruch, żeby ją przekroczyć.

„Wspinacze żyją na krawędzi, w stanie całkowitego skupienia – napisała w liście do mnie Christy. – Nieopodal mojego domu jest kasyno, na którym wisi hasło: »Żeby wygrać, musisz być obecny«. Tak jest w kasynach, ogólnie w życiu, a przede wszystkim we wspinaczce. Jeżeli odpłyniesz – przegrywasz".

Christy napisała również:

„Annapurna otworzyła przede mną możliwości, o których istnieniu nawet nie miałam pojęcia. Zaczęłam pokonywać swoje słabości – podróżować, wspinać się, uczyć wspinaczki i prowadzić

wyprawy trekkingowe. Kiedy organizowałam pokazy slajdów z gór, nauczyłam się, obserwując reakcje widzów, że mogę mieć wpływ na czyjeś życie – obiecałam sobie, że będę to robić najlepiej, jak potrafię".

Marie odpowiedziała na moje pytanie tak:

„Na Annapurnę pojechała dziewczyna z New Jersey, która w życiu na oczy nie widziała ośnieżonej góry. Wróciła kobieta żądna przygód i podróży. Od tamtej pory byłam w tak odległych miejscach, jak Afryka, Peru i Nowa Zelandia. Grałam w polo, uprawiałam bodyboarding, rafting, snorkeling, paralotniarstwo i wędrowałam po górach. Na Annapurnie poczułam jedność z ziemią. Nauczyła mnie także, że przygody są dobre dla ducha".

Margi z kolei napisała mi w liście:

„Ważne było dla mnie to, że jako młoda kobieta zrobiłam coś niezwykłego i odważnego – i otrzymałam na to pozytywne reakcje otoczenia. Bardzo często tego typu zachowanie jest karane; często też usiłuje się zniechęcić kobiety do takich wyzwań. Poza tym śmierć Very W. i Alison, a także nieustanne widmo mojej własnej śmierci nauczyły mnie, jak ważni są rodzina i przyjaciele".

Dyanna:

„Annapurna zmieniła nas wszystkie. Moje życie już nigdy nie było takie samo. Nauczyłam się, że należy żyć pełną piersią. Żyć chwilą. Nauczyłam się też, że ryzyko, odwaga i pasja są niezbędne do życia. Życie jest krótkie i należy je szanować. Wszystkie moje wybory, związki, praca – wszystko to miało jakiś związek z Annapurną. Kiedy musiałam podjąć trudną decyzję, czułam się tak, jakbym ponownie stała przed tą górą, w całej jej krasie".

Piro odpisała, że często się nad tym pytaniem zastanawiała, ale nigdy nie znalazła dobrej odpowiedzi:

„Wiem tylko, że Annapurna na zawsze pozostanie w moich myślach – to niesamowite, jak trzy miesiące z przeżytych 61 lat może mieć tak ogromny wpływ na czyjeś życie".

Pytałam również członkinie naszej ekspedycji, czy wybrałyby się na Annapurnę raz jeszcze. Dyanna, Marie, Christy i Piro odparły, że z całą pewnością. Reszta nie była już taka pewna.

Mimo tego, że wejście na szczyt Annapurny było największym osiągnięciem w życiu Irene, powiedziała (w rozmowie z 1998 roku):

– Nie chciałabym powtarzać tego przeżycia – zwłaszcza mając świadomość tego, jakie poniosłyśmy straty. Gdybym jednak mogła cofnąć czas, zrobiłabym dokładnie to, co wtedy.

Liz była bardzo wdzięczna za cudowne doświadczenia w grupie złożonej z samych kobiet, twierdzi jednak, że nie chce się już wspinać tak wysoko – gdzie nie ma pewności przeżycia.

Margi oznajmiła, że gdyby mogła cofnąć czas, poszłaby bez wahania. Teraz jednak, jak sama twierdzi, nie ma tej determinacji, która jest konieczna do wejścia na szczyt w Himalajach. Uważa, że gdyby teraz znalazła się wysoko na Annapurnie, powiedziałaby pewnie: „No cóż, skoro już tu jesteśmy, popatrzmy sobie na te unikalne formy skalne".

Annie nie chodzi już na długie, wyczerpujące wspinaczki – jednak nie przestała o nich myśleć.

„Nie mam już potrzeby powrotu na ośmiotysięcznik, ale na siedmiotysięcznik... Hm, może dałabym się skusić" – napisała.

Jeżeli chodzi o mnie, wspinaczka na Annapurnę zawsze była przyćmiona przez śmierć Very Watson i Alison Chadwick-Onyszkiewicz. Żadna wyprawa nie jest warta takiej straty. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że byłam zbytnią optymistką,

gdy wydawało mi się, że możemy zminimalizować ryzyko i bezpiecznie się wspinać. Mimo to nawiązane relacje, umiejętność przywództwa i mądrość, którą zdobyłam na Annapurnie, zmieniły moje życie. Kiedy pisałam tę książkę, miałam okazję przyjrzeć się życiu innych osób. Musiałam zaakceptować zarówno radości, jak i smutki, których doznałyśmy na Annapurnie.

Nasz zespół składał się z kobiet, które połączyło pragnienie wejścia razem na wysoką górę. Włożyłyśmy w to nasze serca, umysły i dusze. Podczas wspinaczki nauczyłyśmy się, że życie należy szanować, podobnie jak obecnych w nim ludzi. Nauczyłyśmy się także, że świat jest pełen cudów. Postawiłyśmy wszystko na jedną kartę i okryłyśmy nieznany nam dotąd wymiar życia – świat przygód i podróży. Przekonałyśmy się na własnej skórze, że życie jest krótkie i w związku z tym, jak ważne jest, by cieszyć się nim w każdej chwili i doceniać bliskie nam osoby.

Wspomnienie
o Wandzie Rutkiewicz

Dla polskich czytelników tej książki zdecydowałam się dodać kilka słów wspomnień związanych z Wandą Rutkiewicz, bez której ta wyprawa nie zaistniałaby – to ona pierwsza przecież rzuciła jej pomysł.

Kiedy dowiedziałam się, że Wanda Rutkiewicz zaginęła na wysokości ponad 8300 metrów, byłam w szoku. Wanda była kobietą przepiękną, pełną życia i silną. Była również doskonałą alpinistką.

Urodziła się 4 lutego 1943 roku na Litwie jako Wanda Błaszkiewicz. Jej życie było pełne niezwykłych tryumfów i przytłaczających tragedii. Góry były jej duchowym domem. Były również dla niej miejscem, w którym odnosiła ogromne sukcesy i równie wielkie porażki.

W ciągu ostatnich kilku lat życia goniła marzenia. Pragnęła zostać pierwszą kobietą, która wejdzie na wszystkie ośmiotysięczniki świata. W chwili śmierci miała ich na koncie osiem, a pozostałe chciała zdobyć do wiosny 1993 roku.

Pierwszym jej ośmiotysięcznikiem był Everest. Droga z Przełęczy Południowej na wierzchołek zajęła jej zaledwie 6 godzin i 15 minut. Później tego dnia powiedziała, że „była bardzo skupiona" oraz: „Miałam tylko jeden cel... szczyt. Osiągnęłam stan, w którym nie martwiłam się o nic". 16 października 1978 roku została pierwszą

osobą z Polski, która wspięła się na szczyt Mount Everest. Tego samego dnia Karol Wojtyła został papieżem Janem Pawłem II. Później Wanda sprezentowała mu kamyk, który tamtego dnia zabrała na pamiątkę ze szczytu.

Następnie wspięła się na się na Nanga Parbat i K2 – była pierwszą kobietą, która weszła na ten ostatni szczyt. Później były Sziszapangma, Gaszerbrum II i I, Czo Oju i Annapurna I. Oprócz tego wspięła się na wiele innych trudnych miejsc, wliczając w to wschodni filar Trollryggen w Norwegii, północną ścianę Matterhornu, północny filar Eiger i południową ścianę Aconcagui. W 1975 roku poprowadziła również ekipę, która jako pierwsza w historii weszła na Gaszerbrum III; w jej składzie znalazła się także Alison Chadwick-Onyszkiewicz.

Poznałam Wandę w 1972 roku podczas wspinaczki na Noszak w Afganistanie. Wtedy na wszystkie ośmiotysięczniki na świecie wspinali się tylko mężczyźni – żaden ze szczytów nie został zdobyty przez kobietę. Podczas tej ekspedycji wielu kobietom – w tym Wandzie – udało się wspiąć na szczyt, mieszczący się na wysokości 7500 metrów. Uznałyśmy wtedy, że najwyższy czas, by kobiety zaczęły zdobywać najwyższe góry ziemi, i zaczęłyśmy omawiać plany polsko-amerykańskiej kobiecej ekspedycji na któryś z ośmiotysięczników. Nie udało nam się ich zrealizować, ponieważ nie uzyskałyśmy zgody władz nepalskich na wspinaczkę w planowanym terminie wyprawy (1975 rok), a później także ze względu na natłok innych zajęć i zobowiązań. Jednak każda z nas rozwijała ideę kobiecego himalaizmu niezależnie: Wanda w sierpniu 1975 roku poprowadziła pierwszą kobiecą wyprawę na Gaszerbrum II (po dziewiczym wejściu miesiąc wcześniej, w mieszanym męsko-damskim zespole, na Gaszerbrum III), a ja w 1978 roku poprowadziłam wyprawę Amerykanek na Annapurnę I.

Wanda była indywidualistką – wielokrotnie wspinała się samotnie, po najbardziej niebezpiecznych trasach. Podobnie jak wielu alpinistów wchodzących na najwyższe i najbardziej niebezpieczne szczyty, często podczas wypraw była świadkiem tragedii, które zabierały jej przyjaciół i partnerów we wspinaczce.

Wychowała się w zniszczonej przez wojnę Europie, w związku z tym od najmłodszych musiała być niezależna. Wcześnie również zaczęła tracić bliskich. Pamiętała, że chodziła do sklepu po jedzenie dla rodziny, kiedy miała trzy lata. Kiedy miała pięć lat, jej starszy brat zginął podczas zabawy znalezionym niewybuchem. Na kilka minut przed eksplozją Wanda została wykluczona z zabawy – chłopcy nie chcieli bawić się z dziewczynką.

Wanda osiągała fantastyczne wyniki zarówno w nauce, jak i w sporcie. W 1964 roku pierwszy raz wybrała się za granicę – pojechała w austriackie Alpy. Miała jedynie 20 dolarów i bursztynowy naszyjnik w kieszeni. Zdobywając pozwolenie na wyjazd z Polski i podróżując z bardzo małym budżetem, wykazała się taką samą determinacją i niezłomnością jak przy swoich późniejszych legendarnych wspinaczkach.

W 1988 roku, podczas jej wizyty w Stanach Zjednoczonych, spytałam ją, jak to jest, że tylu najlepszych wspinaczy na świecie pochodzi z Polski. Odpowiedziała mi tak: „Życie w Polsce jest tak ciężkie, że wyprawa w Himalaje wydaje się luksusem. Wspinaczka jest jednym z niewielu sposobów na wyrwanie się z Polski i przy okazji być może na wymianę kilku polskich produktów na rzeczy, które naprawdę przydadzą nam się w domu. W Ameryce życie jest prostsze i wygodniejsze. Dla was Himalaje mogą wydawać się wyzwaniem. Polscy alpiniści cieszą się z samej możliwości wspinaczki, nie dbają o zaszczyty".

W miarę jak wspinaczka szła jej coraz lepiej, zmieniła zawód. Była inżynierem – później została operatorem doskonałych filmów, kręconych na dużych wysokościach.

Jej życie osobiste nie zawsze było usłane różami. Małżeństwo jej rodziców było trudne. Kiedy w końcu rozwiedli się w 1972 roku, jej ojciec został brutalnie zamordowany przez bandytów. Wanda była zamężna dwukrotnie – rozwody przypisywała swojemu absolutnemu oddaniu się górom. Dwa i pół roku po swoim tryumfalnym wejściu na Mount Everest złamała nogę. Doszło do tego, kiedy inny alpinista spadł na nią podczas wspinaczki na górę Elbrus. Kość zrastała się kilka bolesnych lat – Wanda nie zrezygnowała jednak wówczas ze wspinaczek: do obozu bazowego na K2 weszła o kulach.

Uważa się, że to właśnie ta jej niezłomność i niezważanie na przeciwności losu przyczyniły się do jej śmierci na Kanczendzondze. Była to jej trzecia próba wspinaczki na tę górę. W marcu 1992 roku Wanda oraz Arek Gąsienica przyłączyli się do meksykańskiej ekspedycji prowadzonej przez Carlosa Carsolia, która wspinała się na północne zbocze Kanczendzongi. Wcześniej, w 1987 roku, wraz Carlosem i jego żoną Elsą Avila Wanda weszła na szczyt Sziszapangma w Tybecie.

Pierwsze podejście na Kanczendzongę zostało przerwane przez burzę. Tylko Carlos i Wanda zostali, żeby spróbować po raz drugi. Opuścili obóz mieszczący się na wysokości 8000 metrów 12 maja o godzinie 3.30 nad ranem. Carlos poszedł przodem, wytyczając ścieżkę w głębokim śniegu. Wanda, która najwyraźniej była wykończona zbyt wieloma dniami spędzonymi na wysokości ponad 7000 metrów, nie mogła za nim nadążyć.

Carlos wszedł na szczyt Kanczendzongi (8568 metrów) o godzinie 17. Spotkał Wandę około ósmej wieczorem, kiedy schodził na dół.

Przygotowywała się do spędzenia nocy w śnieżnej jamie na wysokości 8300 metrów. Wydawała się pewna siebie i szczęśliwa – pomimo tego, że miała przy sobie tylko trochę słodyczy, nie miała natomiast żadnego napoju, maszynki benzynowej ani paliwa, co pozwoliłoby jej rozpuścić śnieg na wodę. Oboje omówili techniczne szczegóły drogi, którą Wanda miała przed sobą, po czym Carlos ruszył w dół do obozu IV.

Carlos ma do dziś pretensje do siebie, że nie zdołał wówczas przekonać Wandy, żeby wróciła z nim na dół. Jednak było to praktycznie niemożliwe, gdyż Wanda była niezwykle zdeterminowana, by wejść na szczyt – zdaniem Carlosa czuła, że jest to jej ostatnia szansa na wspinaczkę na Kanczendzongę. Czekał na nią przez trzy dni w obozie II. Kolejne pięć dni spędził w obozie bazowym.

Nikt już nigdy nie zobaczył Wandy. Prawdopodobnie nigdy też nie dowiemy się, jak zginęła ani czy udało jej się przed śmiercią wejść na wymarzony szczyt. Podobno przed wspinaczką powiedziała: „Wcale się nie zdziwię, jeżeli przyjdzie mi tam umrzeć. Pójdzie łatwo. W końcu tam, w górach, czeka na mnie większość moich przyjaciół".

Książka o marzeniach i pasji

Na historię Arlene Blum i jej ekspedycji natrafiliśmy, studiując teorie przywództwa. Krótka informacja na jej temat brzmiała mniej więcej tak:

Czasami akceptacja decyzji lidera przez zespół może przesądzać o powodzeniu całego przedsięwzięcia. Przykładem może być tu historia Arlene Blum, feministki, która zorganizowała wyprawę kobiet na Annapurnę – jeden z himalajskich ośmiotysięczników. Aby sfinansować tę wyprawę, dziewczyny sprzedały 50 tysięcy koszulek z napisem „Miejsce kobiet jest na szczycie". Już w trakcie wyprawy Arlene Blum musi podjąć decyzję, kto znajdzie się w grupie, która wejdzie na szczyt. Decyzja jest trudna i kontrowersyjna. Ostatecznie wejścia na szczyt dokonują dwie grupy. Pierwsza zdobywa szczyt. Drugie podejście kończy się tragicznie – dwie himalaistki giną...

Ciarki przechodzą nam po plecach. Szukamy w Internecie. Znajdujemy zdawkowe informacje na temat ekspedycji i o tym, że w czasie drugiego podejścia giną dwie uczestniczki wyprawy: Alison Chadwick-Onyszkiewicz i Vera Watson. Czytamy wstrząsające historie na temat wyzwań, przed którymi stanęły Arlene, Vera W., Alison i inne uczestniczki. Fakt, że w czasie wyprawy zginęła żona popularnego polskiego polityka, dodatkowo przybliża nam tę historię. Kupujemy więc w Amazonie książkę,

w której Arlene opisała wyprawę. Musimy dowiedzieć się, co się w jej trakcie stało!

Kiedy książka przychodzi, rzucamy się na nią i czytamy jednym tchem. Stale o niej rozmawiamy i inspirujemy się historią, bohaterkami oraz liderką wyprawy.

Wow! Co za książka! We wstępie wspaniała przedmowa Maurice'a Herzoga, pierwszego zdobywcy Annapurny, a zarazem pierwszego człowieka, który pokonał granicę 8000 m n.p.m. Dalej Arlene zabiera nas na niezwykle osobistą przygodę. Poznajemy kontekst wyprawy, który uświadamia nam, jak bardzo zmieniła się rola kobiety w społeczeństwie, ale również to, jak wiele musi się jeszcze zmienić. Poznajemy dziewczyny, ich pasję i determinację. Poznajemy Himalaje, piękno natury i jej zatrważającą potęgę. Teraz dopiero uświadamiamy sobie ogrom niebezpieczeństwa i ryzyka na takiej wyprawie. Poznajemy Arlene, młodą dziewczynę, która musi zmierzyć się z wielką odpowiedzialnością lidera niebezpiecznej wyprawy, a także z odpowiedzialnością za misję, której dziewczyny się podjęły, idąc w góry – udowodnić, że kobiety nie są gorsze od mężczyzn. Poznajemy ich zwycięstwo i ich wielką tragedię.

Świetna, wielowymiarowa książka. Znajdujemy w niej lekcje i przykłady, których szukaliśmy – na temat przywództwa i procesów podejmowania decyzji. Odkrywamy też w tej opowieści dużo więcej, niż oczekiwaliśmy. Kiedy w kolejnych miesiącach omawiamy dylematy, przed jakimi stanęła Arlene, z uczestnikami naszych warsztatów, za każdym razem natrafiamy na ich zaciekawienie i zaangażowanie w tę historię.

Warto przeczytać!

Piotr Wisoky, Robert Zych
organizatorzy warsztatów

„DecisionMakingForLeaders”,
Warszawa, 14 listopada 2013 roku

Bibliografia

Lista składa się zarówno z publikacji, do których odnosi się tekst, jak i innych, które traktują o wspinaczce kobiet.

nderson, John R.L., *The Ulysses Factor*, Nowy Jork: Harcourt Brace Jovanovich, 1970. Studium ludzkiego pragnienia odkrywania nieznanego – w tym także rozdział o odkryciach kobiet.

nother Ascent of the World's Highest Peak – Qomolangma, b.a., Pekin: Foreign Language Press, 1975. Kolorowo ilustrowana relacja z wejścia Chińczyków na Mount Everest w 1975 r.; w wyprawie wzięło udział 16 kobiet. W książce znajduje się rozdział zatytułowany „Kobiety radzą sobie tak samo dobrze jak mężczyźni".

arret, Katherine i Robert Le Moyne, *The Himalayan Letters of Gypsy Davy and Lady Ba*, Cambridge (Wielka Brytania): W. Heffer & Sons Ltd., 1927. Poetycki i sugestywny zapis podróży ekscentrycznej brytyjskiej pary w Ladakhu i Baltistanie.

ell, Gertrude, *The Letters of Gertrude Bell*, Londyn i Nowy Jork: Bell, Ernest & Benn Ltd., 1927. Fascynująca korespondencja wybitnej uczonej, archeolożki i arabistki. Zawiera opisy wielu skomplikowanych alpejskich wspinaczek.

ishop, Isabella L. Bird, *Among the Tibetans*, Nowy Jork: Fleming H. Revell Co., 1894.

Lady's Life in the Rocky Mountains, Norman, Oklahoma: University of Oklahoma Press, 1960. Obydwie książki przygodowe zostały napisane przez spostrzegawczą podróżniczkę.

lum, Arlene, Irene Miller i Vera Komarkova, *Triumph and Tragedy on Annapurna*, „National Geographic" 155, 3 (marzec 1979): 295–311. Pierwsza publikacja na temat wspinaczki na Annapurnę w 1978 r.

annan, Joanna, *Ithuriel's Hour*, Londyn: Hodder and Stoughton, 1931. Opowieść o konflikcie w zespole himalajskiej ekspedycji.

lark, Ronald, *The Victorian Mountaineers*, Batesford, 1953. Dobrze napisana kronika pierwszych alpejskich wspinaczy. W książce znajduje się również rozdział poświęcony kobietom.

n Eccentric in the Alps: The Story of Reverend W.A.B. Coolidge, Londyn: Museum Press, 1959. Ciotka Coolidge'a, „Meta" (Marguerite Breevort), i jego pies, Tschingel, byli nierozłącznymi towarzyszami podczas setek wspinaczek w Alpach; pani Breevort dokonała szeregu pierwszych wejść kobiecych na alpejskie szczyty.

ole, *A Lady's Tour Round Monte Rosa*, Londyn: Longman, Green, Longman and Roberts, 1859. Ciekawy zapis wczesnych wypraw w Alpy (w latach 1850–1858).

umming, C.I. Gordon, *Granite Crags of California*, Edynburg i Londyn: William Blackwood & Sons, 1886. Podróże w kalifornijskiej dolinie Yosemite w 1878 r.; podobnie jak wiele autorek w tamtych czasach Cumming podpisywała się tylko pierwszymi literami swoich imion.

avid-Néel, Alexandra, *Tibetan Journey*, Londyn: John Lane, The Bodley Head, 1936. Niezwykła opowieść o podróżach autorki w zakazanym dla cudzoziemców Tybecie.

My journey to Lhasa: The Personal Story of the Only White Woman Who Succeeded in Entering the Forbidden City, Nowy Jork: Harper & Bros., 1927. Klasyczny już zapis liczącej ponad 3 tys. km

podróży przez Tybet dokonanej przez 56-letnią francuską uczoną przebraną za żebraczkę.

eacock, Antonia, *No Purdah in Padam: The Story of the Women's Overland Himalayan Expedition, 1958*, Londyn: George G. Harrap and Co., 1960. Trzy Brytyjki podróżują drogą lądową do Indii, piechotą przemierzając 700 km z Manali do Ladakh, po czym dokonują pierwszego wejścia na Biwi Giri (5700 m), który nazywają Szczytem Żon.

ingle, Graeme, *Two Against the Alps*, Christchurch (Nowa Zelandia): Whitcombe and Tombs, 1972. Pierwszy zimowy trawers skalistych nowozelandzkich Alp Południowych dokonany przez autora wraz z Jill Tremain.

uFarr, Freda, *The Conquest of Mount Cook and Other Climbs*, Londyn: George Allen and Unwin, 1915. Doskonały opis wspinaczki Australijek w nowozelandzkich Alpach Południowych, a także opowieść o pierwszym kobiecym wejściu na Górę Cooka.

uncan, Jane E., *A Summer Ride Through Western Tibet*, Londyn: Smith, Elder & Co., 1906. Fascynująca opowieść pierwszej kobiety z Zachodu, która odwiedziła Ladakh i Baltistan.

unsheath, Joyce, Eileen Gregory, Hilda Reid i Frances Delany, *Mountains and Memsahibs*, Londyn: Constable and Co., 1958. Zapis wspinaczek w regionie Kulu-Spiti-Lahul w indyjskich Himalajach, a także na Deo Tibbę (6100 m).

unsheath, Joyce, *Guest of the Soviets*, Londyn: Constable and Co., 1959. Wspomnienia pierwszej kobiety z Zachodu, która wspinała się w radzieckim Kaukazie.

Trigthuni Garhwal, „American Alpinie Journal" 14, 2 (1965): 472. Indyjska ekspedycja kobieca na ten mierzący 6854 m szczyt, poprowadzona przez autorkę.

unsheath, Joyce i Eleonor Baillie, *Afghan Quest: The Story of the Abinger Afganistan Expedition, 1960*, Londyn: George G. Harrap and Co., 1961. Pełna przygód wyprawa dwóch Brytyjek do Afganistanu, gdzie niemalże udało im się wspiąć na Mir Samir (6059 m).

yhrenfurth, Hettie, *Memsahib in Himalaya*, Lipsk: Verlag Deutsche Buchwerkstetten, 1931. Wspomnienia autorki z ekspedycji w masywie Kanczendzongi w 1930 r.

dwards, Amelia B., *Untrodden Peaks and Unfrequented Valleys: A Midsummer Ramble in the Dolomites*, Londyn: George Routledge and Sons, 1873. Klasyczna relacja z jednych z pierwszych wspinaczek we włoskich Alpach.

ngel, Clarie Elanie, *They Come to the Hills*, Londyn: George Allen and Unwin, 1952. Ciekawe sylwetki najsłynniejszych brytyjskich wspinaczek, w tym Lucy Walker i Aubrey LeBlond.

Mount Blanc, Londyn: George Allen and Unwin, 1965. Opisy wejść na najwyższe szczyty Europy.

Mountaineering in the Alps, Londyn: George Allen and Unwin, 1971. Historyczna książka napisana przez elokwentnego alpejskiego uczonego.

ortescue, Winfried, *Mountain Madness*, Edynburg i Londyn: William Blackwood and Sons, 1943. Alpejskie wakacje arystokratów.

reshfield, Henry, *A Summer Tour in the Grisons and the Italian Valley of the Bernina*, Londyn: Longman, Green, Longman and Roberts, 1862.

lpine Byways, Londyn: Longman, Green, Longman and Roberts, 1861. Obydwie książki są uroczymi wspomnieniami o alpejskich wycieczkach i wspinaczkach – drugi tekst został opublikowany anonimowo.

ribble, Francis, *The Early Mountaineers*, Londyn: T. Fisher Unwin, 1899. W książce znajduje się rozdział na temat pierwszych alpinistek.

amilton, Helen, *Mountain Madness*, Londyn: Wm. Collins and Son, 1922. Powieść, której akcja rozgrywa się w Alpach.

erzog, Maurice, *Annapurna*, tłumaczenie angielskie: Nea Morin i Janet Adam Smith, Nowy Jork: E.P. Dutton and Co., 1953. Zapis pierwszego wejścia na ten ośmiotysięcznik.

illary, Sir Edmund, *From the Ocean to the Sky*, Nowy Jork: Viking Press, 1979. Opis liczącej 2600 km podróży w górę Gangesu – z Zatoki Bengalskiej do źródła w Himalajach.

win, Robert William, *Challenge: An Anthology of the Literature of Mountaineering*, Nowy Jork: Columbia University Press, 1950. W książce znajduje się rozdział o Gertrudzie Bell (zobacz: Bell, Gertrude).

ackson, Monica i Elizabeth Stark, *Tents in the Clouds: The First Women's Himalayan Expedition*, Londyn: The Travel Book Club, 1957. Trzy Brytyjki eksplorujące Jugal Himal w Nepalu w 1955 r. Pierwsze wejście na Gyalgen (ponad 6700 m) oraz próba wejścia na Dorje Lakpa.

nowlton, Elizabeth, *The Naked Mountain*, Nowy Jork: G.P. Putnam's Sons, 1935. Dobra książka o niemiecko-amerykańskiej ekspedycji na Nanga Parbat, która odbyła się w 1933 r. Po raz pierwszy kobieta wzięła udział w ekspedycji na ośmiotysięcznik.

ogan, Georges i Nicole Leininger, *The Ascent of Alpamayo*, przetłumaczona na angielski przez Petera E. Thompsona, Londyn: George G. Harrap, and Co., 1954. Zapis francusko-belgijskiej ekspedycji na Alpamayo w Cordillera Blanca w Peru. Claude Kogan i Nicole Leininger wspięły się na Quitaraju – po raz

pierwszy ekspedycja złożona z samych kobiet zdobyła szczyt znajdujący się powyżej 6100 m.

ambert, Raymon, i Claude Kogan, *White Fury*, przetłumaczona na angielski przez Showella Stylesa, Londyn: Hurst and Blackett, 1956. Dramatyczna opowieść o pierwszych próbach wspinaczki autorów na Gaurisankar (7144 m) i Czo Oju (8153 m) w Nepalu. Kogan na Czo Oju pobiła kobiecy rekord wysokości.

eBlond, Aubrey, *Mountaineering in the Land of the Midnight Sun*, Londyn: T. Fisher Unwin, 1908. Opowieści o wspinaczkach w Norwegii.

rue Tales od Mountain Adventure for Non-Climbers, Young and Old, Londyn: T. Fisher Unwin, 1903. Opowieści o alpejskich wspinaczkach – w niektórych z nich wzięły udział kobiety.

dventures on the Roof of the Word, Londyn: T. Fosher Unwin, 1907. Kolejna porcja dramatycznych przygód w Alpach.

unn, Arnold, *Matterborn Centenary*, Londyn: George Allen and Unwin, 1965. Zawiera rozdział poświęcony wejściu Lucy Walker na Matterhorn.

Maillart, Ella K., *Forbidden Journey – From Peking to Kashmir*, przetłumaczona na angielski przez Thomasa McGeevy'ego. Londyn: William Heinemann, 1937. Interesujące podróże Francuzki przez Chiny i Kaszmir w latach 30. XX w.

he Land of the Sherpas, Londyn: Hodder and Stoughton, 1955. Doskonały opis podróży do regionu Khumbu w Nepalu w latach 50. XX w.

Mazuchelli, Elizabeth Sarah, *The Indian Alps and How We Crossed Them*, Londyn, 1876. Opis dwuletniego pobytu we wschodnich Himalajach i dwumiesięcznej podróży w rejon masywu Kanczendzongi.

Herrick, Henrietta Sands, *In The World's Attic*, Nowy Jork i Londyn: G.P. Putnam's Sons, 1931. Podróże w Kaszmirze i Ladakhu.

Messner, Reinhold, *Everest: Expedition to the Ultimate*, przetłumaczona na angielski przez Audrey Salkeld, Londyn: Kay and Ward, 1979. Pierwsza wspinaczka na Mount Everest bez tlenu. W książce znajduje się także opis chińskiej mieszanej ekspedycji, a także ekspedycji Japonek, która odbyła się w 1975 r.

Middleton, Dorothy, *Victorian Lady Travellers*, Londyn: Routledge and Kegan Paul, 1965. Pierwsza autorka, która opisała dokonania Isabelli Bishop i Annie Taylor.

Miller, Luree, *On Top of the World: Five Women Explorers in Tibet*, Londyn i Nowy Jork: Paddington Press, 1976. Inspirujący i rzetelny opis przygód pięciu kobiet, które podróżowały po Himalajach i Tybecie na przełomie XIX i XX w.

Milne, Malcolm, red., *The Book of Modern Mountaineering*, Nowy Jork: G.P. Putnam's Sons, 1968. Zawiera ciekawy, napisany przez Monicę Jackson, rozdział zatytułowany „Kobieta-wspinacz".

Moffat, Gwen, *Space Below My Feet*, Londyn: Hodder and Stoughton, 1961. Szczera biografia pierwszej kobiety, która została dyplomowaną przewodniczką wspinaczkową w Wielkiej Brytanii.

wo Star Red, Londyn: Hodder and Stoughton, 1964. Książka o pracy autorki, która doradzała załodze Air Force One jako ratowniczka górska.

n My Home Ground, Londyn: Hodder and Stoughton, 1968. Ciekawy opis życia profesjonalnej pisarki-alpinistki.

Mons, Barbara, *High Road to Hunza*, Nowy Jork: Faber and Faber, 1958. Zapis podróży autorki i jej męża w regionie Hunza w 1956 r.

Morin, Nea, *Woman's Reach. Mountaineering Memoirs*, Londyn: Spottiswoode, 1968. Wspomnienia z długiej i wybitnej kariery –

o Alpach, Wielkiej Brytanii i ekspedycji na Ama Dablam, która odbyła się w 1959 r. Zawiera również listę wielu pierwszych kobiecych wspinaczek.

Mountaineering in China, b.a., Pekin: Foreign Language Press, 1965. Ilustrowany zapis wypraw chińskich wspinaczy, w tym wielu kobiet.

Murphy, Dervla, *Tibetan Foothold*, Londyn: John Murray, 1966. Poruszająca i wiarygodna historia o pracy autorki z tybetańskimi uchodźcami w Indiach, a także o podróży rowerem z Irlandii do Wielkiej Brytanii.

The Waiting Land: A Spell in Nepal, Londyn: John Murray, 1968. Żywy opis podróży w Nepalu.

Nicolson, Marjorie, *Mountain Gloom and Mountain Glory: The Development of the Aesthetics of the Infinite*, Ithaca, Nowy Jork: Cornell Press, 1959. Akademickie studium motywów górskich w zachodniej literaturze.

Ares, Bip, *Himalayan Honeymoon*, Londyn: Hodder & Stoughton, 1940. Ciekawe opisy Sikkimu, a także wrażenia ze spotkania autorki z brytyjską ekspedycją zmierzającą na Mount Everest w 1938 r.

Peck, Annie S., *A Search for the Apex of America*, Nowy Jork: Dodd, Mead, and Co., 1911. W Anglii opublikowana pod tytułem *High Mountain Climbing in Peru and Bolivia* (T. Fisher Unwin, 1912). Zapis wyprawy w Peru i Boliwii, a także opis pierwszej wspinaczki na północny szczyt Huascaran.

The South American Tour, Nowy Jork: Doran, 1913. Kolejne podróże w Ameryce Południowej, a także opis wspinaczki na Illampu w Boliwii.

Petzholdt, Patricia, *On the Top of the World. My Adventures with My Mountain – Climbing Husband*, Nowy Jork: Thomas Y. Crowell

and Co., 1953. Opowieść o wspinaczkach autorki z jej mężem, Paulem Petzholdtem, w górach Grand Teton. W książce opisana jest również ekspedycja na K2 z 1938 r.

ierre, Bernard, *La Conquete du Salcantay*, Paryż: Dumont, 1953. Zapis wspinaczki francusko-amerykańskiej ekipy (w której była również Claude Kogan) w Cordillera Blanca w Peru.

Mountain Called Nun Kun, przetłumaczona na angielski przez Neę Morin i Janet Adam Smith, Londyn: Hodder and Stoughton, 1955. Pełna entuzjazmu relacja z pierwszego wejścia na Nun Kun (7135 m) w Kaszmirze. We wspinacze udział brali Claude Kogan i Bernard Pierre.

igeon, Anna i Ellen Abbot, *Peaks and Passes*, Londyn: Griffith Fanne, Okeden and Welsh, 1885. Autorka wspinała się na strome urwisko po południowo-wschodniej stronie Monta Rosa – uznano to za pierwsze wielkie osiągnięcie kobiety we wspinaczce.

illey, Doroty, *Climbing Days* (2. wydanie), Nowy Jork: Harcourt, Brace and Co., 1953. Wspomnienia kobiety, która prowadziła jedne z pierwszych wspinaczek w Alpach i górach Wielkiej Brytanii w latach 20. XX w. W książce znajduje się doskonały rozdział dotyczący wczesnej historii kobiecej wspinaczki.

lunket, Frederica, *Here and There Among the Alps*, Londyn: Longmans, Green and Co., 1875. Zapis wczesnych alpejskich wypraw, które odbyły się, „by przekonać inne panie... do przekroczenia śnieżnych granic alpejskiego świata".

eclus, Elisée, *The History of a Mountain*, przetłumaczona na angielski przez Berthę Ness i Johna Lillie, Nowy Jork: Harper & Brothers, 1881. Poetycka rozprawa o górach i ich mieszkańcach.

ichard, Colette, *Climbing Blind*, przetłumaczona na angielski przez Normana Dalla, Nowy Jork: E.P. Dutton and Co., 1967. Inspirująca

historia młodej niewidomej kobiety, która wspina się w górach i bada jaskinie.

idgeway, Rick, *The Last Step: The American Ascent of K2*, Seattle: The Mountaineers, 1980. Zapis udanej amerykańskiej ekspedycji na K2, w której wzięły udział trzy kobiety: Cherie Bech, Dianne Roberts i Dianna Jagersky. Bech i Roberts nosiły bagaże na wysokości ponad 7620 m bez użycia tlenu.

carr, Josephine, *Four Miles High*, Londyn: Victor Gollancz, 1966. Historia kobiecej ekspedycji na Kulu w 1961 r. – pierwszy raz dokonano wtedy wejść na trzy indyjskie szczyty o wysokości ponad 6100 m. W książce również opisana jest kobieca ekspedycja na Jagdulę w łańcuchu Kanjiroba w Nepalu w 1962 r.

chaffer, Mary T.S., *A Hunter of Peace: Old Indian Trails of the Canadian Rockies*, Banff: The White Foundation, 1980. Zapis wspinaczek niezwykłej przewodniczki i pionierki w kanadyjskiej części Gór Skalistych.

eghers II, Carroll, *The Peak Experience: Hiking and Climbing for Women*, Indianapolis i Nowy Jork: The Bobbs – Merrill Co., 1979. Tekst, który może wprowadzić w błąd; napisany przez mężczyznę, który niewiele wie zarówno o wspinaczce, jak i o kobietach.

harma, Man Mohan, *Of Gods and Glaciers on and Around Mt. Rataban*, New Delhi: Vision Books, 1979. Historia pierwszego indyjskiego (a zarazem kobiecego) wejścia na Mount Rataban w łańcuchu Zanskar w Lakdahu.

hipton, Diana, *The Antique Land*, Londyn: Hodder and Stoughton, 1950. Absorbująca historia o życiu w chińskiej prowincji Sinkiang. Książka została napisana przez żonę znanego brytyjskiego wspinacza Erica Shiptona.

hor, Jean Bowie, After You, *Marco Polo*, Nowy Jork: McGraw – Hill Book Company, Inc., 1955. Zapis pełnej przygód próby

powtórzenia podróży trasą Marco Polo.

mith, Janet Adam, *Mountain Holiday*, Londyn: J.M. Dent and Sons, 1946. Urocza opowieść o wakacjach w górach Wielkiej Brytanii i Alpach.

ykes, Ella, *Through the Deserts and Oases of Central Asia*, Londyn: Macmillan and Co., 1920. Opis podróży przez chiński Turkiestan.

hompson, Dorothy E., *Climbing with Joseph Georges*, Londyn: Titus Wilson, 1962. Wspinaczki autorki wraz z przewodnikiem Josephen Georgesem w Alpach w latach 1923–1933.

llyot, Joan, *Women's Running*, Mointain View, Kalifornia: World Publications, 1972. Pierwsza i póki co najlepsza książka na ten temat (biegania kobiet).

nderhill, Miriam, *Give Me the Hills*, Londyn: Methuen and Co., 1956. Urocza autobiografia najlepszej amerykańskiej alpinistki – w książce są również opisy pierwszych podejść bez mężczyzn na Matterhorn i Grépon.

isser-Hooft, Jenny, *Among the Kara-Korum Glaciers in 1925*, Londyn: Edward Arnold and Co., 1926. Podróże w Himalajach – od Ladakhu do Hunzy.

Villiams, Cicely, *Women on the Rope: The Feminine Share In Mountain Adventure*, Londyn: George Allen and Unwin, 1973. Historia kobiecej wspinaczki górskiej napisana przez kobietę.

Vorkman, Fanny Bullock i William Hunter Workman, *In the Ice World of the Himalaya: Among the Peaks and Passes of Ladakh, Nubra, Suru and Baltistan*, Londyn: T. Fisher Unwin, 1900.

hrough Town and Jungle: Fourteen Thousand Miles A – Wheel Among the Temples and People of the Indian Plain, Londyn: T. Fisher Unwin, 1904.

ce-Bound Heights of the Mustagh: An Account of Two Seasons of Pioneer Exploration and High Climbing in Baltistan Himalaya,

Londyn: Constable and Co., 1908

eaks and Glaciers of Nun Kun: A Record of Pioneer Exploration and Mountaineering in the Punjab Himalaya, Londyn: Constable and Co., 1909.

he Call of the Snowy Hispar: A Narrative of Exploration and Mountaineering on the Northern Frontier of India, Londyn: Constable and Co., 1910.

wo Summers in the Ice-Wilds of the Eastern Karakoram: The Exploration of Nineteen Hundred Square Miles of Mountains and Glaciers, Londyn: T. Fisher Unwin, 1917. Zapisy badań i wypraw tej niestrudzonej pary wspinaczy z Massachusetts.

oung, Eleanor Winthrop, *In Praise of Mountains, An Anthology for Friends*, Londyn: F. Muller, 1948. Praca o motywach górskich w literaturze.

Przypisy

[1] Od redakcji: w Himalajach jest dziesięć ośmiotysięczników, pozostałe cztery w Karakorum.

[2] W Alpach są również ekstremalnie trudne drogi wspinaczkowe.

Przeczytaj także

Ucieczka na szczyt ♦ Bernadette McDonald